


PATTI MCCRACKEN



# WIOSKA WDÓW

Przełożyła Urszula Gardner

**SZOKUJĄCA HISTORIA MORDERCZYŃ**  
Z WIOSKI NAGYRÉV

MO  
VA

PATTI McCracken

# WIOSKA WDÓW

SZOKUJĄCA HISTORIA MORDERCZYŃ  
Z WIOSKI NAGYRÉV

Przełożyła Urszula Gardner



*Pamięci mego ojca,  
J. Everetta McCrackena*

## NOTA OD AUTORKI

Większość imion podano w formie zanglizowanej, podobnie jak część nazwisk. Niektóre imiona zmieniono przez wzgląd na czytelność, gdyż wiele osób wspomnianych na kartach tej książki nazywało się identycznie. Pewne nazwy ulic również zanglizowano. Nazwiska postaci historycznych i polityków nieodgrywających w fabule większej roli pozostawiono w oryginalnym węgierskim brzmieniu.

Opisana przeze mnie historia wydarzyła się naprawdę. Książka jest wynikiem mojej wieloletniej pracy, na którą składały się wizyty w przeróżnych archiwach, wywiady, lektura protokołów sądowych itp. Wszystkie fakty są zgodne z rzeczywistością lub moim przeświadczeniem o niej.

Oczywiście w celu uzupełnienia luk musiałam użyć wyobraźni, co jednak uczyniłam z głębokim szacunkiem dla prezentowanej sprawy.

Wszelkie dialogi zapisane z wykorzystaniem cudzysłowu zostały zaczerpnięte bezpośrednio z materiałów archiwalnych.

## NOTA OD TŁUMACZKI

W przekładzie na język polski przywrócono węgierskie brzmienie wszelkich nazw własnych z wyjątkiem tych, które mają obowiązującą w polszczyźnie zwyczajową wersję (np. miasto Budapeszt, rzeka Cisa). Wszystkie kwestie dialogowe zapisano zgodnie z zasadami polskiej sztuki edytorskiej za pomocą półpauz, cudzysłów rezerwując dla cytatów, myśli bohaterów oraz tytułów gazet. Zamieszczone w tekście wyimki z materiałów archiwalnych w przekładzie na język polski oddano kursywą.

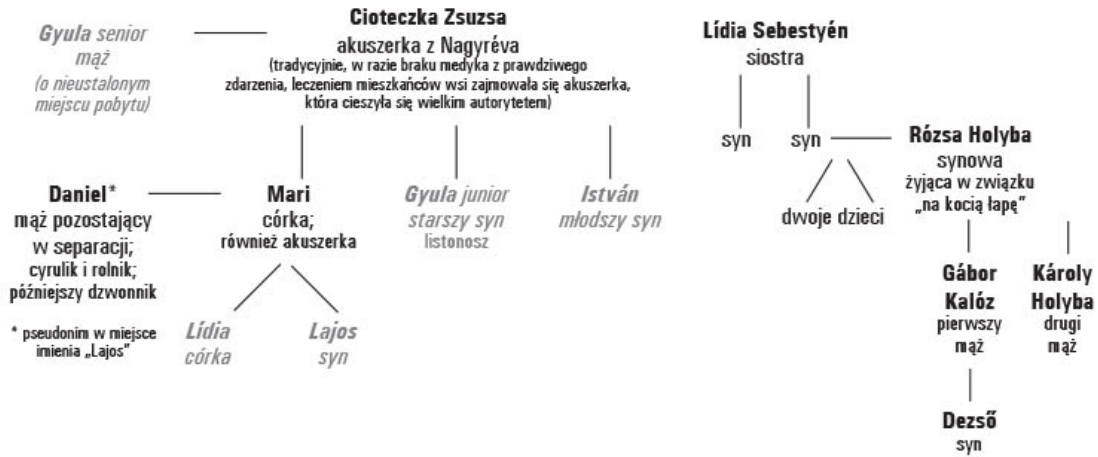




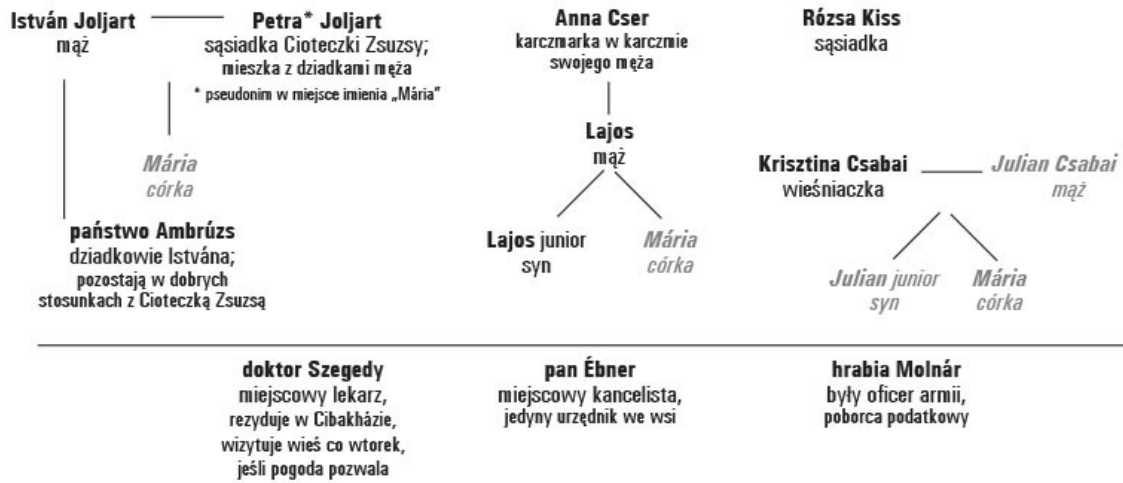
## SPIS POSTACI

Osoby zapisane kursywą i szarą czeionką nie występują w książce z imienia.

### RODZINA CIOTECZKI ZSUZSY



### MIESZKAŃCY WSI NAGYRÉV



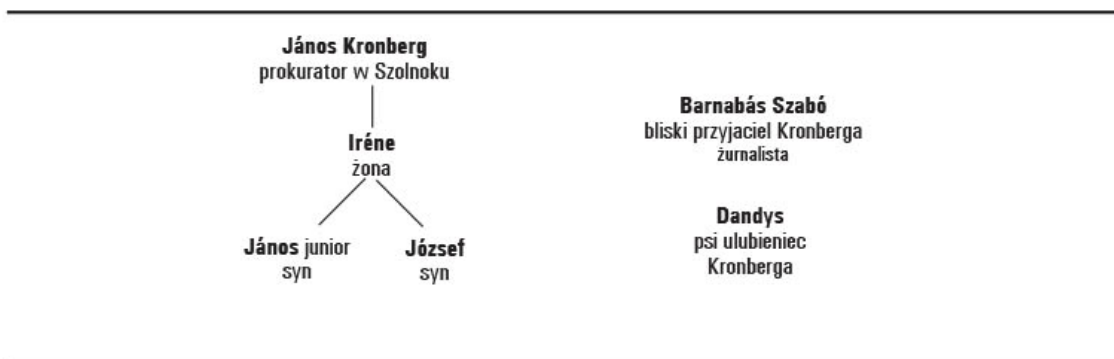
### MIESZKAŃCY WSI TISZAKÜRT







## RÓD KRONBERGÓW I ARYSTOKRACJA Z SZOLNOKU



**Sándor Imre**  
sędzia

**Sándor Almásy**  
gubernator

*József Borsós*  
prezes sądu

**Gábor Kovács**  
adwokat

**doktor Henrik Orsós,**  
**doktor Izidor Kanitz,**  
**doktor Gábor Popp**  
medycy sądowi

## MacCORMACK & S-ka

**Mike Fodor**  
rodowity Węgier,  
zurnalista,  
bliski przyjaciel  
MacCormaca

**Jack MacCormac**  
reporter „New York Timesa”,  
szef wiedeńskiego biura

**Erzsébet de Pünkösti**  
niezależna dziennikarka „New York Timesa”  
działająca w Budapeszcie,  
siostra Mike’a Fodora

## RODZINA MÁRII

**Sándor Kovács senior**  
pierwszy mąż

———— **Mária Szendi Kardos**  
najlepsza przyjaciółka Cioteczki Zsuzsy,  
w młodości  
najładniejsza wieśniaczka, również najbogatsza

———— **László Méhéész**  
drugi mąż

↙ ↘

**Károly Kovács**  
syn  
zmarły  
w dziewiątym  
miesiącu życia

**Sanyi Kovács**  
syn

———— **Mihály Kardos**  
trzeci mąż  
wdowiec, ziemianin,  
były sędzia gromadzki

**Franklin\* Todor**  
„adoptowany syn”,  
parobek i rzekomy  
kochanek Márii  
\* pseudonim w miejsce imienia „Steven”

**Marcella Todor**  
„adoptowana córka”,  
służąca

**„sędzia” Süle,**  
najlepszy przyjaciel Mihálya

*Gdyże mąż cię przydybie,  
Jak warzysz pokrzyk w sadybie,  
Pieprzu, soli, zadaj kminu,  
Niech mężulo zlegnie nynie.*

– fragment węgierskiej piosenki ludowej

*Węgierska wieś Nagyrév leży w zakolu rzeki Cisy, w dolince o powierzchni jakichś trzydziestu pięciu kilometrów kwadratowych, gdzie wśród porośniętych zielenią ogrodów kryją się niskie białe chaty i skąd do najbliższej stacji kolejowej jest czterdzieści kilometrów.*

*W tenże sielski krajobraz ściągają zewsząd, nierzadko z Budapesztu, który usłyszał o istnieniu tej miejscowości z pewnym zdumieniem, liczni żurnaliści i wszelakiej maści śledczy zamierzający ustalić, co też może być przyczyną takiego, a nie innego stanu rzeczy. Wszyscy oni zastają na miejscu [wioskę] zamieszkaną przez ubogich rolników, których egzystencja zależy od gospodarstw i winnic już niesłychanie małych i jeszcze sukcesywnie malejących z każdym kolejnym pokoleniem, gdy przechodzą one z rąk ojców w ręce synów, albowiem Nagyrév otaczają niby ciasnym kordonem wielkie majątki, z których nie da się uszczknąć ni łana. Młodzi, w braku ziemi i perspektyw, zaczynają postrzegać swe potomstwo nie jako błogosławieństwo, lecz jako przekleństwo. [...] Azaliż upadek kultury okazuje się nader owocny dla niejakej [Cioteczki Zsuzsy].*

*O wsi [Nagyrév] z czasem dowiaduje się cały świat, choć owa popularność bynajmniej nie jest w smak Węgrom, którzy nagle zyskują złą prasę za granicą. Wszyscy w kraju są w szoku, że niecałe sto kilometrów od stolicy jest miejsce, które bardziej niż do współczesności pasuje do najciemniejszych wieków średnich.*

*Coś takiego jest wprost nie do wiary w 1930 roku.*

– John „Jack” MacCormac,  
szef wiedeńskiego biura „New York Timesa”,  
marzec 1930 roku

CZĘŚĆ I

MORDERSTWA (1916—1925)

## DWA GROBY I PANNA DO ZAMEŚCIA

*Wydaje się, że śmiałość i bezduszność, z jaką prowadziły swoje przestępcze działania, mogą się równać tylko niefrasobliwości mężczyzn będących ich ofiarami, mężów i ojców, którzy choć widzieli, jak jeden po drugim giną nagle w męczarniach ich przyjaciele, nawet nie podejrzewali, co stoi za tą tajemnicą, znaną dobrze niemal każdej kobiecie ze wsi [Nagyrev].*

– Jack MacCormac,  
„New York Times”

### **ŚRODA, 16 SIERPNI 1916 ROKU**

Anna Cser leżała na podłodze głównej izby.

Plecy miała całe czerwone i swędzące. Wiele godzin temu zległa na jutowym worku, który rozłożyła dla niej akuszerka, i do tej pory jego luźne grube włókna zdążyły odcisnąć na jej skórze gryzący siateczkowy wzór. Na domiar złego włókna lnu czepiały się spoconego ciała, a w powietrzu wirował kurz, jakiego nie zdołała się pozbyć w czasie ostatnich porządków.

Brązowe włosy opadały jej w strąkach na twarz. Co rusz odgarniała kosmyki, lecz ona zaraz wracały na swoje miejsce, z czoła ściekały tłuste krople potu, wpadając kobiecie do oczu i spływając po policzkach niczym łzy.

Anna jęknęła. Ucapiała się worka i podciągnęła do kucek. Przeszywał ją ból. Usłyszała, jak wrzeszczy, a ponad jej głosem przebił się głos akuszerki, która wydawała chrapliwe instrukcje.

Za pomocą oddechu powoli, ostrożnie stępiła ostrze targającego nią bólu i skupiła się na słowach akuszerki.

„Robiłam to już wcześniej – pomyślała Anna. – Dam więc radę ponownie”.

Wkrótce poczuła ręce akuszerki na brzuchu. Cioteczka Zsuzsa położyła na jej łonie ciepłą, moką szmatkę i właśnie lekko ją przycisnęła. Z kompresu rozszedł się delikatny zapach oliwy, jednego ze składników eliksiru używanego dla rozluźnienia mięśni.

Ból z wolna ustępował. Anna bez tchu położyła się z powrotem na worku. Uda drżały jej z wysiłku. Dłonie ją paliły tam, gdzie otarły je włókna juty.

Anna była chudziwą nawet jak na miejscowe standardy. Gdyby nie brakło jej urody, ludzie mówiliby o niej, że jest filigranowa, a tak każdy widział w niej tylko skórę i kości, i te kanciaste ruchy, kiedy szła przez świat jak niezdara.

Przez biegnące płytko cienkie, sine żyły jej przezroczysta cera przypominała witraż, gdyż nie było na niej ani grama tłuszczu. Ludzka szczapa – jeśli nie liczyć ogromnego ciężowego brzucha.

Cioteczka Zsuzsa towarzyszyła Annie przez prawie całe popołudnie. Krążyła wokół niej, stąpając ciężko bosymi stopami po chłodnym klepisku. Trzewiki zostawiła na ganku zaraz po tym, jak się pojawiła z mężem Anny, Lajosem, którego od tamtej pory więcej nie widziała. Z niepokojem zastanawiała się, dokąd mógł się udać.

Cioteczka Zsuzsa ubrana była jak zwykle – w czarną suknię z fartuchem na wierzchu. W jego kieszeniach trzymała wszystko to, co niezbędne. W lewej miała fajkę z główką wydrążoną z kolby kukurydzy i kapciuch ze swoją ulubioną tabaką, razem z pudełkiem zapalek. W prawej szklaną fiolkę z roztworem własnej receptury, zamkniętą drewnianą zatyczką i zawiniętą w szary papier.

Ten swój roztwór uważała za jeden z największych cudów.

Pogmerawszy w kieszeni, wydobyla fajkę. Zapaliła ją i zaciągając się długo, z namysłem, rozważyła sytuację. Lajos nigdy zbyt nie oddalał. Mógł być teraz w szopie albo w karczmie. Wypuściła z ust niewielki obłoczek białego dymu, który przez moment wisiał przed jej twarzą, zanim całkiem się rozwiął.

„Gdzie podziewa się Lajos? Oto jest pytanie!”, myślała.

Widok głównej izby przygnębiał Cioteczkę Zsuzsę. Było to małe pomieszczenie, a niskie tak, że mogłaby sięgnąć sufitu, gdyby wyciągnęła swoją pulchną rękę. Ściany świeciły pustkami, jeśli nie liczyć kilku świętych obrazków umieszczonych w skleconych domowym sumptem ramkach. Zwisały krzywo z kołeczków, przymocowane za pomocą powrozika, który Anna zabrała z mężowskiej szopy.

„Nie zazdrozczę katolikom w naszej wsi – uznała akuszerka. – Są tu najbiedniejsi, bez piędzi ziemi, tak jak Anna”.

Poobijana komoda stała pod przeciwległą ścianą. Z jednego uchwytu zwisała smętnie ścierka, o drugi zaczepiony był kalendarz, z tych rozdawanych za darmo przez radę wsi. Wszędzie wałały się nieporządnie różne rzeczy. Stare drewniane wiadro, w którym Anna przynosiła świeżą wodę ze studni, zydelek, parę misek, w większości wyszczerbionych, lampa naftowa, która niemal nigdy się nie paliła, bo nie było do niej nafty. Oprócz komody i stołu z mebli była jeszcze tylko jedna drewniana ława do siedzenia – i to wszystko. Na noc Anna rozkładała na ziemi słomiane maty i spała na nich razem z dziećmi. Czasem zlegał z nimi Lajos, przybyły prosto z karczmy, i napełniał izbę głośnym chrapaniem.

Z kątów wyzierała przeraźliwa bieda i wrażenia tego bynajmniej nie zmniejszała żalosna mieszanina zużytych do cna niezbędnych sprzętów i nielicznych pamiątek niespełnionego życia. Cioteczka Zsuzsa poczuła się oszukana.

„Wszystko tutaj wzięte do kupy ma taką samą wartość jak śmieci zmiecione ze ścieżki przed moim domem”.

Ta myśl nieco ją zdenerwowała, gdyż przywiodła jej na pamięć dawne czasy, czasy własnej biedy i niedostatku, do których nie lubiła wracać.

Drzwi wejściowe prowadziły bezpośrednio do kuchni, drugiej i ostatniej izby w domu. Nigdy ich nie zamykano. We wsi nikt nie używał kluczy ani zasuw. Zazwyczaj nie przeszkadzało to Cioteczce Zsuzsie, ale tego dnia było inaczej.



Obrzuciła drzwi baczny spojrzeniem. Były poznaczone rysami i głębokimi brzdami – na jej oko wyglądały, jakby uratowano je z jakiejś ruiny. Trzymały się w futrynie na słowo honoru, a pomiędzy deskami, z których je zbito, widniały nierówne szczeliny przepuszczające światło.

Przez całe popołudnie Cioteczka Zsuzsa wędrowała od drzwi do okna, z którego rozciągał się widok na zbieraninę bielonych chałup. Rozrzucone przypadkowo jak kijki w lesie, wszystkie ciasne, w porywach czteroizbowe, na ogół składały się tylko z dwu izb i stały zwarto upakowane wzdłuż wąskich uliczek. Wieś z lotu ptaka musiała przypominać talerz makaronu ze skwarkami – poszczególne nitki odzwierciedlały drogi i dróżki usłane takimi właśnie chatami. Akuszerka pomyślała, że prawdę mówi stare węgierskie przysłowie: wieśniak buduje swój dom tam, gdzie upadnie cegła z wozu, na którym jedzie.

Cioteczka Zsuzsa ponownie zaciągnęła się dymem z fajki, nie przestając wyglądać przez okno. Patrzyła na córeczkę Anny, która bawiła się lalką zrobioną przez matkę z kukurydzianych łupin i sznurka. Dziewczynka zwykle przesiadywała na skrawku trawy przed domem, nieopodal rowu, tego dnia jednak trzymała się tylnego podwórka, gdzie klapnęła na ziemi pośród kur.

Akuszerka dostrzegła także starszego syna Anny, który to pojawiał się na podwórku, to znów znikał. Wcześniej wybrał się za furtkę z długim, grubym kijkiem i drewnianym wiaderkiem. Chłopiec miał już sześć i pół roku i większość lata spędził nad rzeką, łowiąc ryby na prowizoryczną wędkę z kołowrotkiem, ale teraz kręcił się koło domu, ponieważ miał za zadanie pilnować siostry.

Zza ściany dochodziły odgłosy ław szurających po podłodze. Karczma przylegała do domu Cserów doczepiona na podobieństwo trzeciej ręki i Cioteczka Zsuzsa mogła teraz słuchać, jak dodatkowa izba zapełnia się popołudniowymi gośćmi.

Z zamyślenia wyrwał akuszerkę dopiero głośny hałas. Odwróciła się, żeby spojrzeć na drzwi, i zobaczyła, że ktoś szarpie za klamkę.

Nie było sposobu na ich zabarykadowanie. Ława okazała się za niska, a w całym domu nie znalazło się nic innego, czym dałoby się je zablokować. Główna izba stała się pułapką.

Doszło do tego, czego Cioteczka Zsuzsa obawiała się przez cały dzień.

Drzwi otworzyły się na oścież, wyrznęły z hukiem o ścianę i aż się odbiły.

Światło słoneczne zalało wnętrze. W pierwszej chwili akuszerka widziała tylko zwalistą sylwetkę obramowaną futryną, ale po samym zapachu bez trudu poznała, że wrócił pan domu. Lajos cuchnął gorzałą i uryną, roztaczał zastałą woń tytoniu, która wżarła się w jego ubranie, tak samo zresztą jak odór niemytego ciała, co łączyło się w odrażający fetor.

Upstrzony kroplami potu mężczyzna był równie brudny jak uganiające się po wsi kundle i niemal równie jak one zawszony. Cotygodniowa kąpiel w balii na podwórzu niewiele dawała, ponieważ Lajos nie miał dość cierpliwości, by chociaż raz namydlić się porządnie. Brud i łój pokryły jego ciało grubą warstwą, wnikając we wszystkie zakamarki, gdzie schronienie znajdowały krwiożercze insekty.

Obecnie mąż Anny był nawet bardziej pijany niż rano, kiedy się obudził. Większość wieśniaków lubiła strzelić sobie kielicha po śniadaniu, najpóźniej po obiedzie, ale wszem wobec było wiadomo, że Lajos przypina się do butelki, zanim zaświeci słońce. Najczęściej sięgano tu po miejscową gorzałą, mieszankę pędzoną ze sfermentowanych śliwek i buraków (oraz czasami moreli i nadgniłych pyr), a gdy jej brakowało, zawsze pod ręką było wino.

Po wejściu do środka Lajos rzucił się w stronę żony. Nogi go nie słuchały, sztywne i ciężkie jak dębowe kłody, tak że przebierał nimi z najwyższym trudem. Każdy niezdarny, ogłuszający krok tylko zwiększał wściekłość gospodarza, zatem gdy wreszcie stanął jedną stopą na jutowym worku, aż gotował się z gniewu. Nachylił się ku Annie, balansując ramionami dla zachowania równowagi, i chuchnął jej prosto w twarz wyziewami przetrawionego alkoholu i gnijących zębów.

– Głupia baba! – krzyknął, popatrując na nią dziko.

Wydał wargi i na moment przybrał wyraz skupienia, które było mu potrzebne, aby zgromadzić w zaschniętych ustach wystarczającą ilość śliny, po czym odchylił głowę do tyłu i splunął na żonę.

– Gdybyś była mądrzejsza, tobyś nie chodziła z brzuchem rok w rok!

Anna trzymała oczy zamknięte, odkąd jej mąż wpadł do izby. Teraz zacisnęła powieki jeszcze mocniej. Ostre włókna worka raniły wewnątrz jej dłoni, kiedy je zaciskała. Skurcz, który właśnie ją dopadł, osłabł i zalał jej ciało falą mdłości, nie odważyła się jednak zaczerpnąć głębiej tchu.

Lajos cofnął nogę, przymierzając się do kopniaka, przez co znowu musiał zamachać rękami, lecz tym razem nic to nie dało. Załopotał ramionami jak wiatrak, zachybotał się jak wańka-wstańka i w końcu poleciał do tyłu, zupełnie jakby zaatakował go niewidzialny napastnik.

Akuszerka wykorzystała okazję. Zadudniła bosymi stopami o klepisko, furkocząc przy tym suknią, i rozczapierzywszy obie dłonie, pożegnała się z fajką, ale sięgnęła ku Lajosowi z całym impetem swego przysadzistego ciała. Gdy poczuła pod palcami obrzydliwie sztywny materiał przodu jego koszuli, trąciła Lajosa ze wszystkich sił. Starsza kobieta nie była godnym przeciwnikiem dla kogoś o jego gabarytach, a mimo to poddał się jej sile. Ze stęknieniem przepchnęła go przez całą izbę, aż za próg kuchni, gdzie poleciał na plecy, z rumorem przesuwając po drodze stół.

Akuszerka zatrzasnęła dzielące ich drzwi i zasłoniła je własnym ciałem w zastępstwie barykady, o której marzyła zaledwie przed paroma chwilami.

Wcześniej tego samego dnia, gdy Lajos nie był jeszcze tak pijany, zdołał ją sprowadzić, żeby przyjęła na świat jego dziecko. Cioteczka Zsuzsa nie mieszkała daleko od Cserów, ot, pod numerem pierwszym przy ulicy Árva.

Jej dom był jednym z najładniejszych we wsi. Usytuowany na okazałej działce, mógł się pochwalić pięknym ogrodem, którego strzegł wysoki drewniany płot. Od wiosny do jesieni Cioteczka Zsuzsa pielęgnowała w nim całą gamę kwiatów pokrywających teren wokół domu zwartym kobiercem.

Urządzone na zewnątrz palenisko, w którym bez względu na pogodę podtrzymywała ogień od rana do wieczora, nocami służyło za ulubione miejsce do spania jej starego psiego ulubieńca.

Mieszkała w Nagyrévie od ponad piętnastu lat, odkąd zaczęła oficjalnie pełnić funkcję miejscowej akuszerki. Dostała wtedy dom od rady wsi i mogła również liczyć na okrągłą pensję, co bynajmniej jej nie przeszkadzało w pobieraniu opłat od pacjentek. Starszyzna wymagała, by najuboższych pielęgnowała za darmo, lecz Cioteczka Zsuzsa potrafiła zadbać o to, aby nigdy nie wracać do domu z pustymi rękami.

Obowiązki miała rozległe, tak że właściwie uważano ją we wsi za medyka. Prawdziwy lekarz mieszkał w Cibakházie, niby tylko osiem kilometrów od Nagyréva, ale podróż z jednej miejscowości do drugiej zajmowała dobre półtorej godziny po wyboistych i oznaczonych koleinami polnych drogach. Doktor Szegedy miał w Nagyrévie izbę, w której przyjmował w każdy wtorek, pod warunkiem że drogi pozwoliły mu na przyjazd, to znaczy ani nie rozmokły, ani nie zamarzyły, co niestety w tej okolicy było normą przez niemal pół roku.

W efekcie wieśniacy musieli na co dzień polegać na Cioteczce Zsuzsie, która swoje szklane fiolki wypełnione roztworem trzymała w spiżarce przy kuchni, choć nie było to jedyne miejsce ich przechowywania. Znacznie większy zapas ukrywała gdzie indziej.

Warzyła swój eliksir regularnie. Wpierw nalewała do ceramicznego garnczka kwartę octu destylowanego i podgrzewała go albo na piecu w izbie, albo na otwartym palenisku. Pilnowała przy tym, by ogień nie buchał zbyt mocno, a gdy ocet był już wystarczająco ciepły, dorzucała do niego kilka sześciokątnych arkuszy lepu na muchy, w który zaopatrywała się hurtowo w składzie Feldmayra przy ulicy Árpád. Sklep mieścił się nieopodal karczmy Cserów.

Ocet parował wolno. Proces trwał godzinami i dłużył się niemiłosiernie, ale gdy dobiegał końca, na dnie garnczka znajdował się arszenik w stanie płynnym. Akuszerka przelewała go ostrożnie do fiolek. Ciecz miała mleczny kolor, który zawdzięczała dodatkowi kleju w lepie. Sama trucizna była jednak bezbarwna,

bezwonna i praktycznie niewykrywalna. Cioteczka Zsuzsa lubiła powtarzać, że *nawet stu dochtorów nie wykryłoby* obecności jej zabójczego eliksiru w zwłokach tych wieśniaków, którzy padli jej ofiarą.

Anna znowu podciągnęła się do kucek. Kolana ledwie utrzymały jej ciężar, a patykowate łydki i uda zadrżały z wysiłku. Strumyczek potu mknął po jej plecach, drugi torował sobie drogę między jej małymi piersiami.

Choć minęła ponad godzina, odkąd Lajos wparował do izby, w powietrzu nadal unosił się zapach uryny i jego nieświeżego oddechu. Anna zaczęła się rozluźniać dopiero wtedy, gdy nieprzyjemna woń niemal całkiem się rozviała.

Nadszedł kolejny skurcz. Położnica nabrała tchu i spięła się w sobie. Obnażyła zęby, zaciskając przy tym szczęki tak mocno, że poczuła rozdzierający ból w żuchwie. Pod powiekami paliły ją łzy. Wydała z siebie donośny, przeciągły jęk, który przetoczył się przez nią niczym gład po zboczu góry. W jej uszach zabrzmiał potwornie.

Cioteczka Zsuzsa klęczała naprzeciwko niej. Zakasała suknię i opadła gołymi kolanami na klepisko. Obie ręce położyła płasko na ziemi, dając się przeniknąć chłodowi bijącemu od fundamentów. Dzień zdążył przejść w zmierzch i w izbie zrobiło się jeszcze mroczniej, przyciągnęła więc do siebie zapaloną lampę. Pochyliwszy nisko głowę, sięgnęła po lusterko i wsunęła je pod Annę. Odbicie pokazało ciemną rodzącą się dziecko, okraszone wilgotnymi kosmykami brązowych kręconych włosów. Widać było, że na krocze od wewnątrz napiera jedno z ramionek.

Akuszerka wiedziała, że to już nie potrwa długo.

Anna wzięła głęboki oddech i z głośnym stęknięciem jęła znów przec. Cioteczka Zsuzsa obserwowała w lusterku, jak ciemną najpierw się cofa, a później pokazuje się ponownie, tym razem odsłaniając skronie.

Kolejne stęknięcie, dalsze parcie i główka wyłoniła się całkowicie. Mokra czuprynka sięgała dziecięcych uszu.

Główka przekrzywiła się w lewo, pociągając za sobą resztę wątłego ciała i zmieniając jego pozycję na dogodniejszą.

Anna nie przestawała przec, dzięki czemu wkrótce na zewnątrz pojawiły się oba ramionka. Akuszerka pochyliła się jeszcze niżej, wyciągnęła przed siebie złożone dłonie.

Położnica w tym czasie zrobiła sobie przerwę. Dysząc, łykała powietrze otwartymi szeroko ustami, jakby to była woda. W końcu wrzasnęła i napiąwszy wszystkie mięśnie, wycisnęła z siebie resztę dziecięcego ciała, które śliskie niczym wąż świeżo po wylince wpadło w sprawne ręce Cioteczki Zsuzsy. W ciasnej izbie rozszedł się piżmowy zapach noworodka.

Podtrzymując go, akuszerka równocześnie masowała mu brzusek i plecki, skłaniając do zaczerpnięcia pierwszego oddechu. Wreszcie zakwilił, wciągając w płuca wiejskie powietrze.

Gdy dziewczynka trafiła na zapadnięty teraz brzuch Anny, intuicyjnie zaczęła się wic w stronę matczynej piersi. Otworzyła różane usteczka i ułożywszy wargi w małą literę O, na oślepek szukała sutka. Anna przygarnęła do siebie niemowlę, które ucapiło brodawkę i jęło ssać z zapalem, aż mu się zapadły oba policzki. Mleko jednak nie popłynęło i nie chciało płynąć bez względu na to, jak usilnie dziewczynka cmoktała. W końcu na małej twarzyczce pojawił się grymas, czoło przecięły zmarszczki świadczące o determinacji. Gdy stało się jasne, że mleka nie ma i nie będzie, że pierś matki jest sucha jak wiór, noworodek wypuścił z ust sutek i rozkrzyczał się z głodu i pogardy.

Nie był to pierwszy raz, kiedy Anna zawiodła jedno ze swoich dzieci. Gdyby mieszkała w Szolnoku, mogłaby skorzystać z darmowej mamki, w Nagyrévie jednak nie prowadzono podobnego programu dla matek. Przez dziewięć miesięcy Anna się modliła, aby tym razem było inaczej. Obserwowała swoje piersi i czekała, aż nabrzmieją mlekiem. Gdy tak się nie stało, ogarnął ją strach. Spoglądała na córeczkę, która z buzią czerwoną jak wiśnia trzęsa się cała z gniewu.

Rozległy się obojętne, oczywiste słowa akuszerki:

– *Chcecie, żebym coś z nią zrobiła?*

Ulica Árva biegła pod lasem, gdzie nocami dało się słyszeć wycie szakali i gdzie czasami słowiki uprawiały gody tak głośno, że ich śpiew niósł się hen uliczkami Nagyréva. Tej nocy w powietrzu czuło się zbawczy powiew. Stojący niemal w pełni księżyc oświetlał drogę przed Petrą Joljart.

Otoczona przez migotliwy rój robaczków świętojańskich, minęła właśnie furtkę i przekroczyła rów, zadzierając długą suknię. Potem się zatrzymała. Nawet będąc w tej odległości od domu, słyszała swojego męża. Obróciła się, by ponad rowem domknąć furtkę, po czym ruszyła na przełaj przez niechlujną trawę i po chwili zniknęła za ogrodzeniem sąsiedniego domu Cioteczki Zsuzsy.

Widząc, że wewnątrz pali się światło, ruszyła schludną ścieżką wiodącą do drzwi, przystając tylko na moment obok paleniska, na którym spał pies. Znalazłszy się na ganku, zastukała do okna. Nie była w stanie zajrzeć do środka, ponieważ akuszerka zawsze trzymała zasłony zaciągnięte.

W domu była córka Cioteczki Zsuzsy, Mari. Ledwie parę lat starsza od Petry, miała już męża i dwoje dzieci, ale nadal mieszkała z matką pod jednym dachem, jak mówili wieśniacy, i pozostawała na jej utrzymaniu, co bardzo odpowiadało akuszerce, która czuła się najszcześliwsza, mając rodzinę blisko siebie. Tak naprawdę oprócz biedy najbardziej się obawiała, że dzieci zostawią ją samą, i robiła wszystko, aby do tego nie dopuścić. Z mężem sprawa wyglądała zgoła inaczej. Swego czasu poślubiła gadzia, białego mężczyznę niebędącego Romem, on zaś pewnego razu wyszedł z domu i nigdy nie wrócił. Cioteczka Zsuzsa zupełnie się tym nie przejęła.

Mari była najstarszym dzieckiem akuszerki i miała dwóch braci, z czego starszy był żonaty, a młodszy rozwiedziony. Cioteczka Zsuzsa dawała wszystkim we wsi jasno do zrozumienia, że szuka nowej synowej.

Petra od dwóch lat mieszkała po sąsiedzku, u państwa Ambrúzsów, dziadków jej męża. Wprowadziła się do nich z nowo powitym niemowlęciem w początkach wielkiej wojny, gdy jej mąż został wcielony do armii. István spędził na froncie pięć



miesiące, zanim Rosjanie natarli na okopy przeciwnika, zasypując je granatami. W wyniku ataku István postradał jedno oko i stracił widzenie w drugim oraz trafił do niewoli na pół roku, po czym dopiero został wydany węgierskiej stronie.

Właśnie cierpienie jej męża skłoniło Petrę do odwiedzenia sąsiadki tego wieczora. István słabował od lat, ale to bezsenność doprowadziła go na skraj szaleństwa. Petra miała nadzieję, że akuszerka podzieli się z nią czymś, co by mogło uspokoić mężczyznę.

Zapukała ponownie i spuściła wzrok na drewniane chodaki, całe mokre od rosy. Zauważyła, że obcasa czepia się parę ździebeł trawy, zbyła to wzruszeniem ramion i przeniosła spojrzenie na psa. Przez parę chwil przyglądała się miarowo oddychającemu zwierzęciu. Lekko zniecierpliwiona, zastukała w okno jeszcze raz. Owionął ją powiew wiatru, który zaszeleścił w liściach i z chrobotem poruszył gałęziami co starszych drzew. Nawet stojąc na sąsiedzkim ganku, Petra słyszała krzyki męża.

Wreszcie zasłonka się uchyliła i za szybą pokazała się twarz Mari, podświetlona od tyłu blaskiem lampy, która wisiła nad stołem. Dziewczyna pokręciła przecząco głową i palcem wskazała szyldzik przy furtce. Ręcznie malowana deska przedstawiająca wizerunek niemowlęcia opuściła swoje zwykłe miejsce i stała teraz oparta o słupek, zawiadamiając, że akuszerka jest w pracy. Petra musiała przegapić szyldzik w pośpiechu. Teraz pozostało jej tylko zabrać się stamtąd i wrócić po swoich śladach, ostrożnie, aby nie zbudzić psa.

Nowo narodzona córeczka Anny poddała się, rezygnując z dalszych prób ssania. Podkurczyła paluszki u nóg, zwinęła dłonie w piąstki i wygięła plecki w łuk. Anna przytuliła ją do siebie mocniej, lecz dziecko nie dało się w ten sposób pocieszyć. W izbie roznosił się jego gniewny, przenikliwy płacz.

Położnica spojrzała na loki zdobiące niemowlęcą główkę. Wszystkie jej dzieci miały kręcone włosy, które uwielbiała gładzić. Szkrab wyglądał identycznie jak jej poprzednie, przez co odnosiła wrażenie, że trzyma znowu w objęciach któreś

z nich. W tej samej chwili zdała sobie sprawę, że bez względu na to, jak usilnie mała będzie się starać, nie wycisnie z jej suchych piersi ani kropli mleka.

Odpowiedź sformowała się mimowolnie na ustach Anny:

– *Wszystko mi jedno.*

Wyciągnęła się na worku wygodniej, a Cioteczka Zsuzsa zaczęła się krzątać. Najpierw poszła do kuchni po bryłkę cukru i małą filiżankę, z tych, których miejscowi używali do picia kawy po turecku – naczynie miało nawet swoją nazwę: findzsa. Akuszerka nalała do filiżanki odrobinę wody z dzbanka stojącego na stole, wrzuciła bryłkę cukru i sięgnęła do kieszeni fartucha po szklaną fiolkę. Odwinęła ją z szarego papieru, wyszarpnęła zatyczkę, po czym nakropiła na łyżeczkę nieco płynu, który następnie wymieszała ze słodzoną wodą. Człapiąc po klepisku, wróciła do głównej izby. Zamoczyła palec w miksturze, zatoczyła nim koło, a potem wyjęła i przyłożyła opuszkę do warg i języka niemowlęcia.

Po ulicy Árva przechadzał się nocny strażnik ubrany w sparciałą czarną pelerynę, która zwisała mu z chudych barków, kryjąc pod spodem pajdę chleba i flaszeczkę. Pełnił wartę od zachodu do wschodu słońca i zwykle zdążył obejść wszystkie boczne uliczki trzy, a nawet cztery razy, zanim jego wachta dobiegła końca.

Mijał właśnie dom akuszerki. O tej porze panowały w nim ciemności, choć dom po sąsiedzku rozjaśniony był blaskiem zapalonych lamp. Mimo że okna szczelnie zamknięto w obronie przed nocnym chłodem, na zewnątrz i tak wydostawały się hałasy. Coś takiego zazwyczaj było dla strażnika powodem interwencji, ale kłopoty państwa Ambrúzsów z wnukiem, odkąd wrócił z wojny, były wszystkim znane. Tragedia młodego Istvána Joljarta nie schodziła z ust mieszkańców Nagyréva. Strażnik zatem poszedł dalej, nawet nie przystając.

W czterech ścianach domu István leżał w łóżku. Był skołowany. Od prawie roku w jego głowie nie pojawiła się jedna jasna myśl. Zdarzało mu się nie przespać trzech, czterech, pięciu nocy z rzędu, a jego wyłączną bronią przeciwko udreće bezsenności była wściekłość. Lżył wszystko i wszystkich. Kazał żonie iść w diabły. Dziadkom też życzył, by trafili do piekła. Język Istvána zamienił się w jadowitego

węza, który poruszał się tylko po to, by mógł sykiem przeklinać każdego, kto mu się napatoczył.

Potrafił tak krzyczeć godzinami. Nocą dawał upust nienawiści i cierpieniu, które były dodatkowo podsycane przez zmęczenie, ból, strach i żal nad samym sobą.

Petra i państwo Ambrúzsowie starali się wdrożyć pewną rutynę, która pozwoliłaby im się wyspać lub choćby odpocząć na zmianę, w całym domu jednak nie było miejsca, gdzie Petra mogłaby znaleźć wytchnienie od ciągłego zamieszania. Próbowwała zabierać córkę do masztalu, jak zresztą często robił stary pan Ambrúzs zwyczajem wieśniaków, którzy traktowali stajnię jak sanktuarium. Nawet tam jednak docierały hałasy, te same, które strażnik usłyszał z ulicy.

Wybuchy Istvána były kontrapunktowane przez chwile zaciętej ciszy, kiedy to starał się zmusić siłą do zaśnięcia. Jego metoda polegała na tym, aby leżeć nieruchomo. Uznał bowiem, że jeśli ani drgnie, portal do nieświadomości się otworzy, a on będzie mógł się przez niego prześlizgnąć na drugą stronę. Zawsze jednak prędzej przed oczami stawała mu parada groteskowych i niepokojących twarzy, które szydziły i natrząsały się z niego złośliwie, wszystkie sprokurowane przez złąkniony snu umysł. István nie miał wątpliwości co do tego, że traci zmysły.

Na szafce nocnej obok jego łóżka leżały okulary w drucianej oprawce, na których szklach od wewnętrznej strony optyk zmyślnie umocował kawałki sztywnego czarnego płótna. István otrzymał je jeszcze w budapesztańskim szpitalu dla ociemniałych, gdzie wprawiono mu sztuczne oko w miejsce tego, które postradał. Ponieważ z drugim jego okiem nie było wcale lepiej, spędził tam, i w szpitalu Świętej Zyty, większość minionego roku. Znaczną część tego czasu, jak inni ślepcy, poświęcił na naukę zawodu i zdobywanie nowych umiejętności, poznał mianowicie sztukę robienia mioteł i wyplatania koszyków. Z kolei u Zyty leczono jego rozmaite choroby – od zapalenia płuc poczynając, a na boleściach brzucha kończąc. W węgierskich szpitalach pełno było takich młodych weteranów jak István, ale z powodu blokady Europy wyschło źródło artykułów medycznych.

Brakowało pościeli, leków, nawet opatrunków. Medycy zostali zmuszeni do owijania ran papierem w nadziei, że je uchroni przed zakażeniem.

Sam István wrócił do Nagyréva całkiem niedawno, niedołączony niczym starzec, choć miał dopiero dwadzieścia pięć lat, i od tej pory nieustannie powtarzał żonie, że wolałby zginąć zastrzelony na polu bitwy.

Petra wkroczyła do kuchni tuż przed trzecią nad ranem. Zaświeciła lampę nad stołem, wspięła się po drabinie na stryszek mieszczący się nad spiżarnią, tam złapała garść słomy z kosza i zlazła z powrotem na dół. Otworzyła żeliwne drzwiczki pieca, wcisnęła słomę do środka i podpaliła ją. Później ustawiła na płycie dzban z wodą, której pani Ambrúzs miała użyć rano do mycia. Nadeszła pora dojenia krów, Petra udała się więc do obórki, aby jeszcze przed świtem wyjść w pole.

Wielka wojna zabrała niemal wszystkich mężczyzn we wsi (choć synowie Cioteczki Zsuzsy zdolali uniknąć poboru). Petra i pozostałe słomiane wdowy przejęły męskie zajęcia i któryś rok z kolei co dzień o czwartej nad ranem przyłączały się do mijającej Nagyrév karawany. Długi rząd rozchwierutanych wozów oświetlonych latarniami rozjaśniał pogrążoną wciąż w nocnym mroku wieś, czemu towarzyszył niesiony rześkim powietrzem kłamor i klang narzędzi rolniczych. Stukot końskich kopyt cichł w miarę oddalania się robotnic polowych od rynku. Jechały najpierw aleją topolową, która przypominała szpaler zubożniałych gwardzistów, po czym wydostawały się na otwartą niziną przestrzeń, upstrzoną mającymi na horyzoncie żurawiami wodnymi, które zaczynały lśnić w promieniach wstającego słońca.

Akuszerka zakrzętnęła się ponownie, zanim opuściła dom Anny. Podniosła z ziemi worek jutowy, aby zabrać go do domu i tam doczyścić. Wylała resztkę wody z dzbanka na szmatkę i pomogła Annie się podmyć. Rozłożyła słomianą matę do spania w miejscu, które przed chwilą zajmowała położnica, po czym obok rozwinęła mniejsze, dziecięce maty. Przed wyjściem sięgnęła po zapłatę. Ponieważ w kredensie nie było prawie jedzenia, zabrała kilka sprzętów kuchennych

i umieściła w swoich koszykach – Cioteczka Zsuzsa nigdy nie rozstawała się z koszykami, które nosiła przewieszane przez każde przedramię. Na koniec jeszcze zajrzała do karczmy i złapała flaszkę czy dwie gorzałki. Przyświecając sobie zapaloną lampą, udała się w drogę powrotną do domu. Odprowadzały ją wrzaski głodnego niemowlęcia.

Spoczywając na macie, Anna tuliła córeczkę. Dwoje pozostałych dzieci leżało na swoich miejscach, usiłując zasnąć pośród harmideru. Lajos niewątpliwie zwał się gdzieś jak kłoda, pewnie w szopie.

Większość kobiet, które znała, nie musiała leżeć na ziemi po urodzeniu dziecka. Spały w najlepszym łóżku zajmującym centralne miejsce w głównej izbie i zasłanym pierzynami niemal pod sufit. Taki widok budził zawsze w Annie uczucie palącej zazdrości. Karmiąca matka pozostawała w łóżku przez sześć tygodni, kryjąc się za baldachimem z firanki dla ochrony przed *złym okiem*. U Cserów jednak nie było ani łóżka, ani firanek, a ona sama musiała się zadowolić słomianą matą.

Postanowiła, że nazwie córeczkę Justína, i pogładziła ją w ciemnościach po policzku.

Nie chciała wychodzić za Lajosa. Bała się go, odkąd sięgała pamięcią, i ilekroć zobaczyła, że idzie w jej stronę, robiła uniki. Raz przechodziła na drugą stronę ulicy, kiedy indziej wpadała do najbliższego sklepu i tam przeczekiwała. To jednak, że nie krzyczała na niego ani go nie odpychała, jemu wydało się zachętą. Nie mając za grosz asertywności, Anna nie wiedziała, co mogłaby zrobić, znalazłszy się z Lajosem sam na sam, gdy zniecka rozgniał jej wargi swoimi ustami, wpychał do środka język i błędził nim łapczywie po jej zębach i podniebieniu. Zanim się spostrzegła, już się na niej uwalił. Był tak ciężki, że wycisnął z niej wszystko powietrze. Jedyne, o czym myślała, to żeby się to jak najprędzej skończyło. Opuściła własne ciało i uniosła się ku chmurom, by tam podskakiwać jak balonik – przynajmniej dopóty, dopóki nie sprowadził jej znów na ziemię ostry ból, kiedy Lajos wdarł się w jej wnętrze.

Pierwszy syn urodził się w styczniu następnego roku. Lajos miesiącami nie chciał uznać dziecka. Większość kobiet zwróciłaby się do akuszerki i usunęła ciążę, lecz nie Anna. Albo z wiary, albo ze strachu utrzymała ją i donosiła.

Lajos był żonaty w czasie, gdy zapłodnił Annę, ale po tym jak żona od niego uciekła, zostawiając go bez pomocy – w karczmie i w domu, przy starych rodzicach – zdecydował, że pora wziąć Annę za żonę.

Czuła się raczej jak branka. Miesiącami nie wychodziła z domu, co najwyżej udając się po wodę do studni na rynek Nagyréva. Unikała, jak mogła, rozkrakanego stadka „wron”, jak katoliczki nazywały kalwinistki, które wiecznie ubierały się na czarno. Wrony gromadziły się co rano, by obgadywać bliźnich; celem ich docinków były zwykle kobiety mające więcej niż dwoje dzieci.

– *Spójrzcie tylko na nią* – szydziły między sobą. – *Ma szczeniąt jak suka.*

Anna wiedziała, że naigrawają się również z niej. Wprawdzie milkły na jej widok, kiedy się zbliżała, ale nerwy i tak miała przez nie zszargane. Była niczym zastraszonego ptaszka, płochliwa i drżąca, niezdolna zjeść coś więcej niż okruszki, niezdolna usiedzieć w miejscu dłużej niż minutę. Niemal bez przerwy musiała walczyć z napływającymi jej do oczu łzami. Nic dziwnego, że upatrzyły w niej sobie ofiarę.

Każda chwila radości była dla Anny zaskoczeniem, gdy już zakradła się w jej smutne życie. Dla przyjemności nie miała nawet określenia w swoim słowniku. Czasami tylko ogarniało ją przemożne wzruszenie, gdy syn wyciągnął paluszki po pajdę chleba lub gdy w słońcu zaśniły świeżo namydłone skrzydlate łopaty córki czy też gdy szczególnie ją ujął łagodny łuk ich szyi. Momenty te stanowiły cienkie włókienka szczęścia wplecione w pelerynę frenezji, która zdawała się zawsze jej towarzyszyć. Wystarczyło, że je rozpoznała, a już karciła się w duchu za własną głupotę i czym prędzej uwalniała się z ich splotów.

**CZWARTEK, 17 SIERPNIĄ 1916 ROKU**

W porze śniadania panował już skwar. Pan Ambrúzs zerwał się skoro świt, by doglądać nielicznej chudoby, ostrzyć narzędzia i robić porządki w stajni. Był za stary na codzienną pracę w polu, ale sumiennie zajmował się obejściem i żywym inwentarzem.

Choć upał wszystko utrudniał, pan Ambrúzs wytrwał do połowy przedpołudnia, kiedy to zrobił sobie przerwę i udał się do Cioteczki Zsuzsy, mając nadzieję, że spotka go więcej szczęścia niż Petrę w nocy. Zastał akuszerkę w domu. Na prośbę sąsiada wzięła swoje koszyki i ruszyła za nim.

Żyli obok siebie, odkąd przeprowadziła się do Nagyréva. Wiele letnich wieczorów spędzili, siedząc na jednym albo drugim ganku, popijając wino i łuskając kukurydzę. Siostra Cioteczki Zsuzsy, Lídia, która mieszkała przy tej samej ulicy, często do nich dołączała późniejszą porą, donosząc gorzałkę.

Akuszerka nieraz służyła staremu Ambrúzsowi pomocą, gdy zawodziły go plecy. Stosowała wtedy specjalne kremy i maści, które robiła z wyciągów roślin. Czasami odwdzięczał się jej gotówką, którą chowała do puszki trzymanej za piecem. Przechowywała tam większość pieniędzy, choć miała też banknoty wszyte w rąbki halek i powłoczki niektórych poduszek. Z myślą o czarnej godzinie przezornie zakopała na podwórku kilka słoików z monetami. W przypadku Ambrúzsów równie chętnie jednak szła na handel wymienny, tyle że na własnych warunkach. Tego konkretnego dnia przyjęła bez szemrania dwie kanki mleka prosto od krowy.

Główna izba państwa Ambrúzsów była bardzo wygodna. Na siedziskach krzeseł leżały wypełnione pierzem poduszeczki, a półki zdobiły malowane ręcznie dzbanuszki i miseczki. Spora część lepszych sprzętów należała do Petry za jej panięńskich lat, budząc podziw Cioteczki Zsuzsy.

Słońce aż się odbijało od świeżo bielonych ścian. Pomędzy dwoma oknami wisiała litografia przedstawiająca eleganckiego żołnierza z doczepioną twarzą Istvána, na pamiątkę jego służby. Obok pysznił się portret cesarza Wilhelma II.



Pod obrazami siedziała Petra. Odkąd jej mąż wrócił z wojny na tarczy, czasem kończyła pracę w polu wcześniej, żeby pomóc dziadkom. Przyjeżdżała wtedy do wsi na wozie jakiegoś krewnego, który dostarczał strudżonym posiłek.

Cioteczka Zsuzsa z przyjemnością rozsiadła się pośród tych luksusów. Wyjęła fajkę z lewej kieszeni fartucha, na tę chwilę nie sięgając jeszcze do prawej.

Otoczyły ją kłęby dymu. Romską sakiewkę, putsi, miała zawieszoną na sznurku wokół szyi, trzymała w niej swoje cenne talizmany – przede wszystkim amulet ochronny, gałązkę jarzębiny przesiąkniętą magią i zapewniającą dostatek. Babka nauczyła ją, jak rzezać patyk, żeby wzmóc jego moc. Teraz gładziła go przez skórę, przysłuchując się uważnie Petrze, która opowiadała o kłopotach z mężem.

Była osobą, której wszyscy chętnie się zwierzali. Wystarczyło, że spotkała kogoś na promie albo w pociągu i wyznała mu jeden albo dwa nic nieznaczące fakty na swój temat, a człowiek ów natychmiast się rozgadywał o sobie, wylewając żale na krewnych, szefów i dzieci. Niektórzy zastanawiali się potem, jak to możliwe, że tak się otworzyli przed zupełnie obcą osobą, która w dodatku nie zdradziła niemal nic ze swojego życia.

Cioteczka Zsuzsa badawczo się przyglądała mówiącej dziewczynie. Petra była średniego wzrostu, ani wysoka, ani niska, średniej budowy ciała, nie za chuda ani nie za gruba, chociaż miała zadatki na osobę korpulentną i akuszerka nawet teraz przewidywała, że za ledwie kilka lat młoda kobieta będzie równie pulchna jak ona sama. Co do siebie, nigdy nie uważała się za piękność. Miała wąskie oczy osadzone zbyt głęboko i zbyt blisko siebie, a jej cienkie usta przypominały ekler, który dzielił jej pucołowate oblicze na dwoje. Niesforne brązowe włosy zwykle nosiła spięte w koczek, zamiast zakrywać je chustą, jak czyniła większość kobiet.

W młodości przyprószała twarz mąką, żeby pozbyć się ciemnego odcienia romskiej karnacji. Obecnie wystarczyło, że zażyła szczyptę swojego specyfiku i jej skóra natychmiast jaśniała.

„Nada się”, pomyślała o dziewczynie. Petra nie tylko była ładna, ale też cieszyła się poważaniem we wsi. Cechowała ją uprzejmość i rezerwa, a w dodatku

miała za sobą pięć klas, czyli tyle samo, ile większość wykształconych mężczyzn w Nagyrévie. Najlepsze jednak zdaniem akuszerki było to, że dziewczyna wywodziła się z zamożnej węgierskiej rodziny. Jej ojciec posiadał liczne ziemie, w tym duże i zasobne w ryby stawy hodowlane, które rozciągały się na zachód od wioski.

Lista skarg na Istvána okazała się długa, ale Cioteczka Zsuzsa przyjęła to ze spokojem – w końcu od pewnego czasu monitorowała sytuację. Nadal miała w pamięci tamten dzień, w którym do okna przyciągnęło ją skrzypienie kół. Gdy wyjrzała na zewnątrz, zobaczyła, że przed domem Ambrúzsów zatrzymał się ciągniony przez konia wóz, z którego na jej oczach niezdarnie zgramolił się István przy pomocy swego brata. Wrócił wtedy z pierwszego pobytu w szpitalu. Od tamtej pory akuszerka miała go na oku.

W końcu Petra zapytała ją, czy może coś podać Istvánowi na uspokojenie.

– *Znam pewien sposób* – odparła Cioteczka Zsuzsa.

Petra zaprowadziła ją do sypialni, gdzie czekał István.

## **SOBOTA, 19 SIERPANIA 1916 ROKU**

Skóra Justíny stała się sina. Jej maleńkie usta, przez krótki czas karmazynowe, obecnie były koloru nocnego nieba. Przez pierwsze trzy dni wyła jak syrena, zapiekła w swoim oburzeniu, ale od godziny nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Spiąwszy się w sobie zaraz po urodzeniu, pozostała napiętym kłębkim wiotkich mięśni, drżących niemal tak, jakby raz za razem przeszywał je prąd; ręczki trzymała zwinięte w pięści na wysokości twarzy niczym bokser szykujący się do ataku. Do teraz jednak zdążyła się rozprostować, a gdy pokazała wnętrze dłoni, Anna ujrzała jej delikatną linię życia.

Lajos rzucił miłą uwagę na temat córki, kiedy ją zobaczył. Powiedział, że ma cudne włoski, i Anna wiedziała, że jest to prawda. Okalały niemowlęcą główkę niczym dopasowana czapeczka, wijąc się radosnymi lokami wokół twarzy.

Z zewnątrz dolatywały zapachy kolacji szykowanej przez mieszkańców wioski. W pewnym momencie rozległy się dzwony wybijające pełną godzinę.

Tuż po szóstej serduszko Justyny przestało bić.

Księżyc niczym lampa oświetlał nieoznakowany cmentarzyk, gdy Cioteczka Zsuzsa pracowała na nim w pocie czoła. Kucając na wilgotnej ziemi, co rusz wychylała się do przodu i rytmicznie dziabała grunt łopata, od czasu do czasu robiąc przerwę, aby pozbyć się większej grudy gołymi rękami. Lídia i Mari stały na czatach, jak nierzadko wcześniej, mimo przekonania akuszerki, że znajduje się z dala od wścibskich oczu. Cmentarzyk położony był półtora kilometra od wsi, a grabarz, który mieszkał w ceglanej chacie nieopodal, większość lata spędzał w swojej winnicy pod Nagyrévem.

Kobiety kopały na przemian, aż wreszcie łopata uderzyła w twardą powierzchnię, której szukały. Cioteczka Zsuzsa sięgnęła do płytkiego dołu i z utyłanego wieka zbitego z lichych desek strąciła większość pędraków i grudek ziemi.

Nadstawiała przy tym uszu, wyczulona na najdrobniejszy szelest, który by wskazywał na obecność przypadkowego przechodnia, nikt taki jednak się nie pojawił. Nabrawszy pewności, że są same, przysunęła sobie jeden ze swoich koszy i wyciągnęła z niego ciasno owinięty tobołek. W drugim koszu tkwiła świeżo obstalowana przez nią i wciąż otwarta trumienka. Tak mała jak dla lalki. Cioteczka Zsuzsa umieściła tobołek w środku i pośpiesznie zabiła wieko gwoździami.

Każda z kobiet złapała za róg trumienki, po czym wspólnymi siłami opuściły ją do wykopanego dołu, układając równo na zmiecionych przed chwilą deskach. Musiały przy tym wstrzymać oddech w obronie przed smrodem zgnilizny bijącym spod spodu, gdzie spoczywała inna maleńka trumna, zawierająca doczesne szczątki braciszka Justyny.

Chłopiec urodził się trzy lata wstecz, przedwcześnie i *na wpół żywy*, jak twierdziła Anna. Ponieważ i dla niego nie miała ani kropli mleka, mogła się tylko

przyglądać, jak marniał na jej oczach. Po trzech tygodniach zasnął i więcej się nie obudził, a przyszła go zabrać Cioteczka Zsuzsa.

Teren nieoznakowanego cmentarzyka nawoziły ciała wydawanych po kryjomu na świat wiejskich dzieci. Gdy akuszerka rozglądała się wokół siebie, tylko oczami wyobraźni widziała maleńkie nagrobki. Ilekroć zjawiała się tu nocą, by wykopać nową mogiłkę, wspominała własny sekret. W myślach nadała mu imię Henrik.

Trzy kobiety prędko zasypały świeży grób. Kiedy skończyły, udeptały ziemię na wierzchu, żeby nie został ślad.

Upłynęły niemal trzy tygodnie, odkąd bliscy Istvána po raz pierwszy wezwali Cioteczkę Zsuzsę. Bezsensowność ustąpiła właściwie od ręki, co akuszerka przypisywała mocy zaordynowanych tabletek. Mimo to pojawiała się w domu Ambrúzsów regularnie, kołyszając się jak kaczką z oboma koszykami na przedramionach. Szła prosto do sypialni i tam leczyła swojego pacjenta na osobności.

Zapewniała Petrę, że eliksir, którego dolewała jej mężowi do wody – na szafce nocnej Istvána stała zawsze pełna szklanka – to nic więcej, jak krople na żołądek.

Symptomy, które przejawiał, odkąd wrócił z wojny, trapiiony różnymi przypadłościami, w większości obejmujące kaszel i rozwolnienie, nie ustąpiły. Tego dnia Cioteczka Zsuzsa miała mu podać silniejszą dawkę specyfiku – ostatnią, jak miała nadzieję. Jeśli wszystko dobrze sobie wyliczyła, a tego była niemal pewna, dla Istvána będzie już za późno, gdy do Petry w końcu dotrze, że powinna wezwać lekarza.

Kiedy akuszerka wychodziła przez furtkę, usłyszała dzwonienie i stukot podków. Zatrzymała się na skraju rowu, trzymając oburącz fałdy zakasanej sukni, i obserwowała zbliżający się wóz, który z każdą chwilą stawał się wyraźniejszy. Była to okazała, ciągniona przez parę koni kasztanowa bryczka, zwieńczona budą z delikatnej czarnej skóry. Oba konie wyglądały na dobrze odżywione i zadbane, ich sierść lśniła zdrowiem.

Bryczka zaliczała się do najelegantszych, jakie Cioteczka Zsuzsa widziała w życiu. Na jej widok poczuła się tak, jakby się znalazła na budapesztańskiej alei w miejsce zakurzonej i wyboistej wiejskiej drogi, po której w najlepszym razie jeździły sterane, rozpadające się furmanki.

Sama wolała się przemieszczać pieszo. To dawało jej możliwość zaglądania za próg domów i odbierania od ludzi zaległej zapłaty. Kiedy jednak zobaczyła, kto jedzie powozem, postanowiła skorzystać z nadarzającej się sposobności. Uniosła pulchne ramię i zatrzymała woźnicę.

Lőrinc Keszi dostrzegł machającą akuszerkę i szarpnął wodze, zmuszając konie do postoju. Cioteczka Zsuzsa, drobiąc, pośpieszyła ku bryczce. Otworzyła sobie drzwiczki i pomimo dwóch koszyków jakoś zdołała się wdrapać na tylne siedzenie, gdzie klapnęła na gładką brązową skórę, która z jękiem ustąpiła pod jej ciężarem. Lőrinc, którego żona jechała obok niego na przedzie, strzepnął lejce, dając koniom znak, by ruszyły.

Przytulność bryczki zrobiła wielkie wrażenie na akuszerce, która nawet wyobraziła sobie obok całą swoją rodzinę, od czego natychmiast poczuła się lepiej, zupełnie jakby przystrojono ją w futra i w klejnoty.

Lőrinc był kuzynem Petry, należał do tego samego bogatego rodu, który rządził w Nagyrévie, tak więc Cioteczka Zsuzsa w myślach już widziała efekty tego fortunnego spotkania.

Poprosiła Lőrince, aby wysadził ją przy rynku. W czasie jazdy po Árpád małżonkowie nawiązali z nią rozmowę, pytając o samopoczucie Istvána.

Akuszerka doniosła, że nieszczęsny weteran miewa się z każdym dniem gorzej, po czym wydała z siebie przeciągłe, smutne westchnienie, kątem oka przyglądając się Lőrincowi i jego żonie.

– *Kto wie, jak długo jeszcze wytrzyma?* – dodała powątpiewająco.

Lőrinc się zdumiał. Gdy odwiedził kuzynkę i jej męża przed dwoma tygodniami, nic nie świadczyło, aby István był poważnie chory.

Kując żelazo, póki gorące, Cioteczka Zsuzsa kontynuowała:

– *Żal mi go, ale prawdziwą ofiarą jest Petra, która musi się nim opiekować.* – Umilkła, pozwalając tym słowom zapaść w pamięć małżonków, po czym ciągnęła: – *Jeśli István umrze, mam nadzieję, że zaakceptujecie mojego młodszego syna w roli nowego powinowatego. Byłby dobrą partią dla Petry.*

Lórincc osłupiał. Wymienił z żoną spojrzenia, jakby pytając ją, co można odpowiedzieć na tak zuchwałe i szokujące słowa akuszerki. Jej jednak również odebrało mowę. Gapiała się na męża z rozdziawionymi ustami.

Mężczyzna wrócił spojrzeniem na drogę.

– *Decyzja, kogo poślubić, należy do Petry* – oświadczył. – *Do zawarcia umowy małżeńskiej trzeba dwojga.*

## **CZWARTEK, 21 WRZEŚNIA 1916 ROKU**

Od rana trwała ulewa. Wilgoć utrzymująca się w powietrzu nie pozwoliła do końca wyschnąć lakierowi, którym pokryto trumnę. Zgodnie z tradycją trumniarz malował trumny dla starszych osób na ciemny brąz, dla małych dzieci na białe, a dla nastolatków i młodych dorosłych na królewski błękit, i to właśnie ten ostatni kolor barwił teraz dłonie żałobników.

Petra stała na rozmiękłym podwórzu, tonąc w błocie. Musiała narzucić pelerynę na głowę, żeby ochronić się przed sieczącym deszczem. Po raz ostatni spojrzała na Istvána, którego ubrała w jego ulubioną ciemnoszarą koszulę. Włożyła mu na oczy okulary z czarnymi płóciennymi kłapkami i wcisnęła w zmartwiałą lewą dłoń wełnianą wojskową czapkę, wcześniej wypraną. Odsunęła się, kiedy przykrywano twarz zmarłego białą szmatką tuż przed tym, jak zabito na głucho wieko trumny.

István przestał oddychać chwilę po dwunastej w południe minionego dnia, a rodzina natychmiast wezwała do pomocy Cioteczkę Zsuzsę. Ponieważ w Nagyrévie nie było lekarza z prawdziwego zdarzenia, to akuszerka stwierdzała zgon, ilekroć we wsi ktoś umarł. Załatwiała grabarza, przygotowywała ciało do pochówku i posyłała po dzwonnika, który nie tylko obwieszczał śmierć we wsi biciem w dzwony, ale też zjawiał się w domu nieboszczyka, aby podać oficjalną

przyczynę odejścia jednego z mieszkańców, szepniętą mu na ucho przez Cioteczkę Zsuzsę.

Żałobnicy dźwignęli trumnę na wóz Ambrúzsów. Woźnica strzelił lejcami, każąc koniom iść stępa. Za wozem ustawił się kondukt, który czekała dżdżysta wędrówka na cmentarz. Na przedzie kroczyła Petra. Młoda wdowa niosła dziecko na biodrze, robiąc wszystko, co w jej mocy, aby bryzgi spod kół nie leciały na nią. Żeby ochronić córkę przed najgorszym, nałożyła jej na głowę kaptur dziewczęcego płaszczyka.

Cioteczka Zsuzsa obserwowała Petrę bacznie z jednego z tylnych rzędów. Teraz już nic nie stało akuszerce na drodze. Postanowiła, że na stypie wykona pierwszy ruch. Weźmie Petrę na bok, wyłuszczy jej swój plan i zanim ktokolwiek się spostrzeże, młoda wdowa będzie jej nową synową. Od kilku tygodni tylko to ją zaprzętało, wprowadzając w radosne podniecenie.

Nie przyszło jej na myśl, że Petra może odmówić. Albo co gorsza, zwrócić się przeciwko niej.

# POWRÓT DO DOMU

*Mądry człowiek wie, że kiedy trzeba, należy się bać.*

– stare romskie przysłowie

## **ŚRODA, 2 MAJA 1917 ROKU**

Ławka w pociągu jeżyła się drzazgami i nie wydawała się zbyt solidna. Mária pomyślała o sytuacji, w jakiej mogłaby się załamać pod czyimś ciężarem. Na przykład grubasa, który by pacnął na sam jej środek, gdzie wyglądała na trochę zapadniętą. Albo rolnika, który by usiadł ze skrzynką na kolanach. Czy też energicznego dziecka ze smyką do destrukcji.

Rozejrzawszy się, zauważyła, że ściany przedziału były wyłożone tą samą sklejką, z której sklecono ławkę. Pomalowano je artystycznie w taki sposób, aby udawały prawdziwe drewno, ale Mária nie dała się nabrać. Rysy przecinające „deski” pod różnymi kątami ujawniały prawdę, tak samo zresztą jak głuchy odgłos, który towarzyszył każdemu zetknięciu się jej pleców z oparciem.

Telepała się tym pociągiem od wielu godzin, rzucana na wszystkie strony jak kamyk w sicie przez poszukiwacza złota, tak że czuła w kościach każdy kilometr podróży. Była rozbita, jakby dopadł ją wirus.

Na języku miała metaliczny posmak, który nie chciał opuścić jej ust i przenikał nawet wydychane przez nią powietrze. Było tak, odkąd tego ranka znalazła się na budapesztańskim dworcu Keleti.

Gdy tam dotarła, mimo porannego chłodu nie zobaczyła ognia płonącego w piecykach na peronach. Dni obfitości węgla się skończyły. Nie marnowano już opału na ogrzewanie podróżnych, którzy czekali na swój pociąg. Zresztą jeździło teraz znacznie mniej składów, niemal połowę wyłączono z użytku, niektóre



zarekwirowała armia, ale do większości brakowało części oraz mechaników mogących dokonać napraw, dlatego trafiły na kolejowe bocznice. Te, które nadał działały, nie kursowały po kraju, gdyż nie było do nich paliwa. Równocześnie, mimo mniejszej liczby lokomotyw i niemal całkowitego braku piecyków na peronach, powietrze wokół i tak przesycone było sadzą. Mária czuła się brudna, zanim wsiadła do pociągu.

Chciała wyjechać z Budapesztu dzień wcześniej. Zsuzsa Fazekas, jej dawna, może nawet jedyna przyjaciółka, zwykła powtarzać, że pierwszego maja przychodzi prawdziwa wiosna i zarazem jest to dobry moment na rozpoczęcie nowego życia. A Mária brała sobie rady Cioteczki Zsuzsy do serca. Prawie się nie widziały przez te wszystkie lata, chyba że akuszerka miała akurat coś do załatwienia w stolicy czy wybierała się z wizytą do mieszkającej tam kuzynki. Mimo to Mária wciąż bardzo polegała na starej romskiej wiedźmie. Traktowała ją jak różdżkę do odkrywania własnej przyszłości i korzystała z jej podpowiedzi, kiedy znalazła się w trudnej sytuacji. Konsultowała z Cioteczką Zsuzsą niemal każdą decyzję, śląc do niej telegramy w pilniejszych sprawach i listy w tych mniej pilnych.

Postanowienie, w który dzień wyruszyć w podróż powrotną do Nagyréva, aby mieć największe szanse powodzenia, zdaniem Márii było jedną z najważniejszych decyzji w całym jej życiu. Na myśl o tym, co jeszcze ją w tym życiu czeka, czuła ogromną ekscytację, lecz uczucie radości podszyte było pewnym niepokojem. Wiedziała, że to jej ostatnia szansa. Stała pod ścianą. Tym razem musiało jej się udać.

Niestety plan opuszczenia Budapesztu pierwszego maja spalił na panewce. Pod oknami swego mieszkania zobaczyła tłumy. Fabryki i sklepy zostały zamknięte z okazji Międzynarodowego Dnia Solidarności Ludzi Pracy, na ulice wylegli protestujący. Byli wśród nich robotnicy i bojownicy, powracający z obozów jeńcy wykrzykiwali marksistowskie slogany, których nauczyli się od rosyjskich oprawców. Matki domagały się chleba dla swoich dzieci. Co śmielsi wołali, że cesarstwo musi upaść. Od rana do wieczora Mária wysłuchiwała butnych okrzyków

rozgorączkowanego tłumu przewalającego się po mieście. Było to dla niej pierwsze tego rodzaju doświadczenie. Spokój panował tylko w wąskich bocznych uliczkach i zaułkach, przy których swoje zakłady mieli szewcy i krawcy i gdzie gęsta zabudowa kamieniczna blokowała hałas, potęgując jedynie szum dratew przeciąganych przez skórę i warczenie maszyn do szycia.

W obłęzionej w ten sposób stolicy Mária mogła tylko czekać w zaciszu swojego mieszkania i szykować się do wyjazdu nazajutrz.

Wprawdzie wśród zamieszek łatwiej byłoby jej się wymknąć. Kiedy wszyscy koncentrowali się na protestach, jej ucieczka pozostałaby niezauważona. W normalnych okolicznościach przepchnęłaby się przez ciżbę bez trudu, za jedyne brzemie mając kosztowności na sobie, lecz tak się składało, że musiała zabrać pokaźną skrzynię, z tej podróży bowiem nie zamierzała wracać.

Następnego dnia rano przywołała dorożkarza i kazała się zawieźć na dworzec, w nadziei, że nikt z lokatorów nie widział, jak wychodzi. Zresztą nawet jeśli ktoś zauważył, nic na to nie mogła już poradzić.

Cieszyła się, że opuszcza Budapeszt. Miasto zmieniło się nie do poznania. Z zatkanych rynsztoków unosił się smród. Teatry były zabite deskami. Kawiarnie, w których niegdyś się roiło od szachistów rozgrywających emocjonujące pojedynki oraz żurnalistów i dramatopisarzy bazgrzących notatki na marmurowych blatach, bardziej się nadających do podawania herbaty cesarzowej, zostały przejęte przez grandziarzy. Obszerne targi, dawniej upajające aromatami, stały niemal puste. Żywność nie docierała z prowincji, gdzie było jej pod dostatkiem. Brakowało pociągów, które mogłyby przewozić towary.

Stolica spuchła od rosnącej liczby mieszkańców, którzy gnieździli się w mieszkaniach niczym pasażerowie w tramwajach. Zewsząd cuchnęło niemytymi ciałami. Woda była na wagę złota, kosztowała krocie, nikt więc nie zużywał do kąpieli więcej niż paru kropel w połączeniu z kapką mydła zdobytego na czarnym rynku. Ludzie chorowali i głodowali, a gdy zabierała ich śmierć, ciała wyrzucano do rynsztoków, gdzie nieraz czekały wiele dni na to, by ktoś je uprzątnął. Słynne aleje przypominały pobojuwisko, nie było komu zbierać trupów.

Sporadycznie dało się zobaczyć jakiegoś hrabiego z napomadowanym wąsem sterczącym nad górną wargą niczym uniesiona kurtyna i ze zmarszczoną brwią nad okiem przytrzymującym monokl, gdy kręcąc głową na podobieństwo sowy, bacznie się przyglądał swojemu podupadającemu otoczeniu. Nie dało się ukryć, że stolica Węgier, ta wielka dama Europy, stała się kobietą upadłą – i Mária wmawiała sobie, że wyjeżdża właśnie z tego powodu, z żadnego innego.

Jeśli nawet czuła żal czy miała poczucie klęski, nie pokazywała tego po sobie. Miarowe kołysanie pociągu, stukot kół na szynach mówiły jej, że zostawia Budapeszt w tyle, a wraz z nim także swój kram z kłopotami. Ledwie znalazła się w przedziale, wyrzuciła z głowy wszystkie niemiłe wspomnienia.

Siedziała teraz wyprostowana na swoim miejscu i uśmiechała się do siebie.

Możliwości otwierały się przed nią. Czuła przepelniającą ją energię, moc i obietnicę. Stała u progu nowej, wspaniałej przygody i nie było nikogo, kto by jej zepsuł humor. Po niemal dwu dekadach Mária wracała do domu.

W rzeczywistości jednak owoc tej nowej, wspaniałej przygody krył brzydkie, skurczone nasionko, w którym tliła się największa katastrofa, najstraszniejsza tragedia. To przez nią Mária musiała uciekać z Nagyréva z podkulonym ogonem. Teraz zdawała sobie z tego sprawę tylko mgliście, odczuwając tę wiedzę jako wyłom w ogólnej radości. Na razie jeszcze nie wiedziała, że od środka toczy ją zgnilizna.

*Jej niemowlę płakało. Słyszała je w całym domu, nawet w sypialni na tyłach, gdzie spędziła cały ranek, zatrzasnąwszy drzwi przed dzikim zawodzeniem. Zostawiła Sanyiego samego w salonie.*

*Leżała w przepoconej pościeli, nogi miała splątane z jego. Dawała mu się przygniatać. Czuła ciepło męskiego oddechu na uchu, na szyi. Od tygodnia każdy ranek wyglądał tak samo: przemykali oboje na tyły domu, do sypialni, po tym gdy słońce wstało, a Kovács dawno rozpoczął pracę w polu.*

*Koguty piały na podwórzu. Przez ich wrzask nie usłyszała cichego kląskania kopyt ani skrzypienia kół, ani pisku otwieranych delikatnie drzwi, ani cichego*

*stąpienia w sieni. Nie słyszała swego męża w ogóle, dopóki nie sapnął głośno, nie zacharczał i nie zwał się z łomotem na podłogę.*

Wagon zachybotał się, gdy pociąg zmienił tory. Mária poleciała do przodu. Zaszleściły jej halki i suknia, jakby z oburzenia. Walizki nad jej głową podskoczyły na półce. Wiedziała, że jest już blisko.

*Była pewna, że Kovács wyszedł w pole tamtego ranka. Dlaczego postanowił zakraść się z powrotem do domu? Czy zastawił na nią pułapkę?*

Mária tyle razy roztrząsała swój dramat z korektorskim tuszem w ręku, że zachowała w pamięci tylko te szczegóły, które jej pasowały. W efekcie otrzymała garść niepowiązanych faktów mających niewiele wspólnego z prawdą, coś na kształt kręgosłupa odseparowanego od reszty ciała. Wszelkie okruchy winy uleciały z wiatrem bez ustanku wiejącym nad Niziną Węgierską.

Wzburzenie jednak jej nie opuściło nawet po pośpiesznym rozwodzie z Kovácsem. Gdyby jej mąż przebywał tam, gdzie powinien był przebywać, nic złego by się nie stało. Bez końca to powtarzała. Była to jej mantra. Stworzyła własną prawdę na podstawie tego detalu, co tylko nastawiło wszystkich przeciwko niej. Wyłącznie Cioteczka Zsuzsa wzięła jej stronę.

Mária nigdy nie wątpiła, że przegoniono ją ze wsi z powodu niefortunnego zbiegu okoliczności. Wraz z upływem lat jednak zatriumfowała. Pokrętny uśmiech losu sprawił, że upolowała znacznie lepszy kąsek niż Kovács. I do tego w Nagyrévie. Wracała z wygnania, jako – to nie przesada – królowa wioski. Nic nie mogłoby jej bardziej uszczęśliwić.

W trakcie jazdy ani na moment nie dawała spocząć dłoniom. A to ocierała z twarzy pot chusteczką, a to wygładzała samymi opuszkami suknię, gorset, rękawy, spódnice, rozkoszując się dotykiem jedwabiu. Zbierała niewidoczne pyłki i lekceważąco strącała je na podłogę, przyglądając się, jak – wciąż niewidoczne – lądują pod jej nogami. Przeczesała palcami długie, lśniące włosy, w dalszym ciągu kruczoczarne, może z jedną albo dwiema siwymi nitkami. Poprawiała na

sobie łańcuszki i bransoletki, wspominając przy tym, co dostała od którego mężczyzny. Prowadziła bowiem skrzętny rejestr kochanków i ich prezentów, całkiem jak rabuś wyliczający swoje łupy. Nie mogła się powstydić żadnego. Ludzie, których zabawiała w Budapeszcie, napawali ją dumą. Nie mieli nic wspólnego z marnymi wieśniakami, z jakimi zadawała się w młodości. Były to same szczy. Członkowie parlamentu. Gubernatorzy. Bankierzy. Przez lata wyświadczyli jej wiele przysług, a co najważniejsze, zachowali dyskrecję. Mimo to nie wszyscy umknęli czujnemu oku jej budapesztańskich sąsiadów. Mária wiedziała, kiedy podać tyły.

Wczesnym popołudniem ledwie była w stanie mówić. Przesiąknięte sadzą i dymem powietrze wysuszyło jej gardło, ale nie chodziło tylko o to. Paplała godzinami, nie milnąc ani na chwilę. Gdy pasażerowie wstawali, aby wysiąść albo poszukać wolnego miejsca w innym przedziale, ona perorowała dalej jakby nigdy nic. Kiedy pojawiał się ktoś nowy, streszczała opowieść do tej pory, tak aby się nie pogubił w dalszej części. Nie było tematu, którego nie umiałaby powiązać z własną osobą. Wystarczyła sekunda czy dwie namysłu, zamaskowanego pauzą na zaczerpnięcie tchu, i znów znajdowała się w centrum uwagi. Większość z tego, co mówiła, było czystą paplaniną, lecz chwaliła się także swoją wspaniałą przygodą i nagłym zaproszeniem, na które w pośpiechu porzuciła stolicę, by wrócić do rodzinnej wsi. O samym Budapeszcie mówiła najmniej.

Pociąg zwolnił i teraz się włókł. Wagon kołysał się leniwie z boku na bok niczym łódź wiosłowa pochwycona w kilwater okrętu. Mária otarła twarz chusteczką po raz ostatni i spróbowała się przejrzeć w oknie, w czym jednak przeszkadzało jej ciągłe podskakiwanie na ławce. Marny wygląd współpasażerek dostarczał jej uciechy. Podkute ćwiekami buciory załatane korą. Pończochy z ziejącymi dziurami. Prześwitujące ze starości chusty. Czowała wdzięczność dla własnego odbicia za ten kontrast, który uświadamiał jej dobitnie, iż wojna nie dotknęła jej w takim stopniu, jak je wszystkie.

Rozległ się przeciągły gwizd, gdy pociąg zaczął się zbliżać do stacji. Wkrótce budynek pojawił się w polu widzenia.

Márię ogarnęło podniecenie, prędko zastąpione przez uczucie paniki.

„Co będzie, jeśli po mnie nie wyjdzie?”

Uświadomiła sobie w tym momencie, że rzuciła wszystko na podstawie jednego listu.

„Co będzie, jeśli się rozmyślił?”

Poczuła zwątpienie. Może pomyliła się co do niego? Może popełniła największy w życiu błąd? Czy nie powinna wsiąść do najbliższego pociągu powrotnego, by już jutro wieczorem znaleźć się znowu w Budapeszcie? Dokąd by jednak poszła? Nie mogła zamieszkać na starych śmieciach. Gdzie więc będzie żyła? W Szolnoku? A może w Kecskemécie?

Przeciągły zgrzyt kół towarzyszący hamowaniu doprowadził w końcu do zatrzymania pociągu z lekkim tylko szarpnięciem przy wtórze sapania lokomotywy. Mária po raz ostatni opadła plecami na twarde oparcie ławki.

W przedziale wszczął się ruch zwykły przy wysiadaniu. Na Márię co rusz padał cień, gdy pasażerowie sięgali do półek po swoje torby. Ona nie miała przy sobie żadnych walizek; przed wyjazdem z Budapesztu ubezpieczyła skrzynię podróżną na wypadek rabunku i pozwoliła, by portier dworcowy umieścić ją w wagonie bagażowym, zanim sama wsiadła do pociągu.

Wyjrzała teraz przez okno. Rażące popołudniowe światło niemal wymazało scenę przed jej oczu, lecz gdy przyłożyła dłoń do czoła, aby osłonić wzrok przed blaskiem, zaczęły się wyłaniać znajome szczegóły. Stali przy semaforze w Újbögu, rzut kamieniem od stacyjki w Tiszaföldvárze, skąd będzie musiała tylko pokonać rzekę promem, chyba że zdecydowałaby się na czterdziestokilometrową podróż wozem.

Stacja nic się nie zmieniła, odkąd widziała ją ostatnio. Niewielki, kanciasty budynek w dalszym ciągu potrzebował bielenia, zupełnie jakby nikt go nie pomalował przez te wszystkie lata. Litery na szyldzie z nazwą miejscowości były wciąż popękane i wyblakłe. Nieopodal na trawie jak zawsze pasły się krowy. Czas jakby zapomniał o tym miejscu, tak samo jak ona po wyjeździe do stolicy.

Doskonale jednak pamiętała moment pożegnania. Zaciętą twarz ojca. Matkę trzymającą na ręku czternastomiesięcznego Sanyiego, który jeszcze wcale nie wyglądał na chorego.

Mária nie mogła się wtedy doczekać chwili, gdy wreszcie wsiądzie do pociągu i odjedzie. Gdy straci z oczu niemowlę, a wraz z nim własną życiową porażkę. Wówczas pragnęła rozpocząć życie od nowa niemal tak mocno, jak teraz.

Zmrużyła oczy i powiodła spojrzeniem po peronie. Stało na nim kilka wron z dziećmi, które wyległy na powitanie mężów i ojców wracających z targu w Szolnoku, gdzie Mária miała przesiadkę. Para psów trzymała się skraju peronu, wężąc za czymś zawzięcie w bezpiecznej odległości od wydającej wciąż zgrzyty i parsknięcia lokomotywy. Umorusany sadzą pracownik kolei przebiegł wzdłuż składu tuż przed jej nosem. Zbici w grupkę mężczyźni popalali papierosy. Drobnny szary ił nawiany z Niziny Węgierskiej wirował w podmuchach nisko nad ziemią.

W końcu dostrzegła Mihálya.

Promienie słońca odbijały się od srebrzystych pasm w jego włosach. Twarz miał zaczerwienioną z gorąca. Koszula i spodnie wymagały prasowania, tyle na nich było zagnieceń, wyraźnie widocznych w jasnym blasku dnia. Bransoleta na nadgarstku, żółte ślady po tytoniu na serdelkowatych palcach, buty upstrzone trocinami z ulubionej karczmy i z wozu, którym przyjechał. Mária zauważyła jeszcze, że Kardos wygląda jak ktoś, kto nadaremno gonił odjeżdżający tramwaj albo uciekającego muła. Choć zdyszany, wydawał się jednak zawadiacki.

W ręku trzymał bukiet kwiatów zerwanych dla niego przez zawiadowcę stacji, który opiekował się schludnym ogródkiem tuż obok.

Gdy to zobaczyła, przestała panikować. Znów była sobą.

Dumnie wyprężyła pierś.

Tyle osób powinno być świadkiem tej sceny: Mária Szendi odziana w kosztowny jedwab podaje dłoń do pocałowania Mihályowi Kardosowi. Mária Szendi przyjmuje od Mihálya Kardosa bukiet kwiatów.

Przez niemal dwadzieścia lat wyobrażała sobie swój powrót do Nagyréva, traktując go jako odegranie się na mieszkańcach wsi. Była więc bardzo rozczarowana, że stacja nie znajduje się w samym centrum, gdzie mogłaby wysiąść wprost na rynek. Cóż, jej chwila jeszcze nadejdzie.

Zorientowała się, że obok Mihálya ktoś stoi. Musiała teraz wyginać szyję, aby widzieć wyraźniej pośród zamieszania panującego w przedziale, kiedy to pasażerowie przez okna podawali swoje bagaże krewnym przybyłym na ich powitanie. Korzystając z brudnej szyby, mogła przynajmniej napatrzeć się do woli.

Plecy miał krzywe jak pochyłe drzewo. Chude jak szczapy nogi drżały pod jego, niewielkim przecież, ciężarem. Gdy zadzierając głowę wysoko, zezował w nieokreślonym kierunku, wydawał się z lekka szalony. Sterczące kości upodabniały go do zabiedzonego stepowego zwierzęcia. Mária pomyślała, że pierwszy silniejszy powiew wiatru złamie go wpół.

Pewnie by go nie poznała, gdyż na palcach jednej ręki mogła zliczyć okazje, przy których się widzieli na przestrzeni tych dwudziestu lat, ale miał charakterystyczne błękitne oczy i słomiane włosy Kovácsów.

Wyszła na peron. Czyste wiejskie powietrze pozwalało dostrzec niebieskie niebo, nieprzesłonięte węglowym pyłem, który stanowił nieodłączną część miasta. Kiedy jednak zawiął wiaterek, pomknął w jej stronę pył zbierający się na ziemi. W takim тумanie ruszyła ku Mihályowi, który powitał ją cmoknięciem w oba policzki.

Stojący nieopodal Sanyi drgnął. Oddech miał urywany, a każda próba zaczerpnięcia tchu głębiej kończyła się paroksyzmem kaszlu i plucia. Mária kątem oka widziała jego zażółconą skórę, przesuszone rzadkie włosy. Czuła dolatującą od niego woń rozkładu. Nachyliła się na tyle, by cmoknąć powietrze obok obojga jego uszu, po czym prędko się odsunęła. Zawsze żałowała, że to nie Sanyi zmarł, tylko jej pierwsze dziecko.

Opuszczając Nagyrév, nie miała pojęcia o chorobie syna, ponieważ symptomy jeszcze nie zdążyły wystąpić. Ale kiedy chłopiec miał osiem lat, jego dziadkowie



usłyszeli diagnozę z ust budapesztańskiego specjalisty: Sanyi urodził się z syfilisem, którego nabawił się w łonie matki, będącej bezobjawowym nosicielem. Od tamtej pory ta przypadłość, postępująca i nieuleczalna, pozbawiła go większości mięśni i nerwów i stała się przyczyną dotkliwego cierpienia.

„Nigdy nie powinien był się urodzić”, pomyślała Mária.

Splotła ramiona z Mihályem i wyszarpnęła z jego dłoni bukiet, kiedy go jej podał. Nie potrafiła zrozumieć, po co przyprowadził ze sobą Sanyiego.

Mihály odebrał jej skrzynię z wagonu bagażowego i we troje wsiedli na prom, który miał ich zawieźć do Nagyréva. Trasa ta była obsługiwana dwa razy dziennie przez linię promową Csongrád–Szolnok, od wiosny do jesieni. Zimą, gdy rzeka zamarzała, wiele osób zwyczajnie przechodziło na drugą stronę po lodzie.

Silnik promu tak dudnił, że Mária musiała krzyczeć, by Mihály ją usłyszał. Głos jej się łamał z wysiłku, a wiatr wciskał się w usta, dodatkowo ją dławiąc. Przy wtórze donośnego ryku prom odbił od przystani, kierując się w stronę Nagyréva. Praca silnika wywoływała drżenie pokładu, od czego Márii drętwiały stopy – tak bardzo, że w pewnym momencie ledwie je czuła. Przez cały czas trzęsły się jej ręce, w których trzymała bukiet, a delikatne płatki szarpane były podmuchami. W przeciwieństwie do niej Mihály stał nieporuszony.

Znała go całe życie. Miała dziewięć lat, kiedy on miał lat piętnaście, lecz nasłuchiwała się historii o jego życiu miłosnym, które krążyły po wsi, odkąd sięgała pamięcią. Wiedziała więc, tak jak pozostali mieszkańcy, że Mihály nie odpuszczał dziewczynie, dopóki się w nim nie zakochała, na co nigdy nie trzeba było długo czekać.

Jej własny romans z nim rozpoczął się zaledwie parę tygodni wcześniej. W swoim pierwszym liście do niej napisał o niedawnej śmierci żony i zapowiedział się z wizytą w Budapeszcie. W interesach. Czy chciałaby się z nim przy okazji zobaczyć? Mária nie mogłaby liczyć na lepsze zrządzenie losu.

Prom zwolnił, zbliżając się do brzegu. Kapitan wyłączył silnik, aby ostatnie metry pokonać siłą bezwładu, po czym jego ludzie rzucili cumy.

Mária wysiadła i pokonała błotnisty nasyp, uważając przy tym, by nie ubrudzić jedwabnej sukni. Gdy stanęła na szczycie, znieruchomiała, lekko chwiejna, lecz poza tym pewna siebie, i zaczęła chłonąć widok.

Ptasie trele wydały jej się równie znajome jak delikatna woń sosny, którą wciągała teraz w płuca. Słyszała też dzieci bawiące się w starorzeczu. Naprzeciw, choć niewidoczna, wznosiła się kaplica, której wysoka wieża górowała nad nijakim rynkiem. To tam, przy ołtarzu, Mária poślubiła Kovácsa podczas najwspanialszego weseliska, jakie widział Nagyrév. Jej rodzina była jedną z najzamożniejszych w okolicy, a związek tych dwojga połączył bogactwo obu rodów. Uroczystości trwały wiele dni.

Jednak nie o tym mężu myślała teraz Mária. W pamięci przywołała obraz drugiego, tego ze stolicy. Przelotnie się zastanowiła, co ów uczyni, gdy wróci do domu i jej nie zastanie.

Następny ranek powitał Mária słońcem. W jasnym blasku natychmiast zobaczyła, co jest do zrobienia. Gdy wraz z Mihályem przybyła do jego domu – odtąd ich domu – zmierzchało się już, a mdłe światło lamp naftowych nie radziło sobie z rozpraszaniem mroku. Teraz jednak widziała wszystko jak na dłoni.

Nic nie świadczyło o uporządkowanej naturze statecznego ziemianina. Podłogi były niezamiecione. Dywany roztaczały woń pleśni. Szyby okienne straszyły brudnymi mazami. Żona Mihálya zmarła całkiem niedawno, a po jej śmierci ewidentnie nikt nie zajmował się domem. Mária uznała, że będą potrzebne generalne porządki, ale najpierw musiała się pozbyć śladów po swojej poprzedniczce – wymienić trzeba było dosłownie wszystko, od czajnika po narzutę na małżeńskim łóżu.

Złapała koszyk na zakupy i wyprawiła się na rynek. Czwartek był dniem targowym, co dobrze się składało. Mária mogła mieć pewność, że zaopatrzy się w niezbędne nowe sprzęty – i nie tylko.

Wychodząc przez furtkę, usłyszała hałasy dolatujące od karczmy Cserów, która stała naprzeciwko. Mária natychmiast pożałowała tej lokalizacji. Mihály miał kilka

domów, z których część zasługiwała na miano willi, i Mária najchętniej zamieszkałaby w jednej z nich, zamiast musieć się bratać z karczmią hołotą. Z kolei spod numeru sześćdziesiątego piątego przy ulicy Árpád blisko było do Cioteczki Zsuzsy, którą Mária zamierzała odwiedzać niemal codziennie.

Kiedy zamykała furtkę, rozdzwoniły się jej bransolety. Uniosła skraj długiej sukni i przeskoczyła nad rowem, aby dostać się na drogę, przy czym spod jej stóp prysnęły grudki błota. Przed nią, w cieniu drzewa świętojańskiego, jakieś dzieci bawiły się laleczkami zrobionymi z kaczanów kukurydzy.

Przejeżdżający rozklekotanymi wozami wieśniacy gapili się na nią, nie dowierzając własnym oczom, Mária jednak nie zwracała na nich najmniejszej uwagi i kroczyła dystyngowanie przed siebie. Głowę trzymała wysoko uniesioną, jakby nasłuchiwała sekretów zdradzanych jej przez niebiosy. Kiedy jej śladem ruszyły kundle, pogoniła je syknięciem i groźbą, że zdzieli każdego koszykiem przez łeb.

Mijała sklepy i zakłady, które wciąż dobrze pamiętała z dzieciństwa. Kolejno były to: pasmanteria, gdzie zaopatrzyła się w dodatki do sukni ślubnej, skład Feldmayra oferujący dzieciom cukierki i poczta, skąd aż na ulicę dochodziły dźwięki klekoczącego telegrafu.

Dotarłszy na rynek, zobaczyła znajomą zbieraninę kramów, które tworzyły prowizoryczny targ. Pomiedzy nimi wiły się wąskie, zatłoczone alejki, z unoszącym się w powietrzu intensywnym aromatem przypraw. Kilkanaście koni i mułów stało przytroczonych do słupków nieopodal, wbitych o świcie w ziemię przy studni. Dyszle odczepiono, a wozy podciągnięto bezpośrednio pod kramy poszczególnych kupców. Nie brakowało jedzenia w dużych ilościach, które trafiło na długi stół przy pręgierzu, podobnie jak gąsiorów z winem do próbowania. Garstka dzieciaków uganiała się między kramami, podczas gdy większość zajęta była grą w berka na kościelnym trawniku. Ładna pogoda sprawiła, że na targ wyległy tłumy, czemu jak zwykle towarzyszyła świąteczna, niemal karnawałowa atmosfera.

Dzień targowy był wydarzeniem, na które wszyscy mieszkańcy czekali, mimo że na rynku w Nagyrévie nie pojawiali się egzotyczni kupcy rodem z Konstantynopola czy Sarajewa, jak to miało miejsce w przypadku większych bazarów organizowanych w Kecskemécie czy Szolnoku, przynajmniej przed wojną. Tu można było spotkać zbieraninę handlarzy, którzy przemierzali nizinę pieszo, by sprzedawać swoje wyroby garncarskie, przybory do szycia, egzemplarze Biblii i balie. Zdarzali się Romowie mający na zbyciu nuty za grosik. Byli też oczywiście miejscowi wieśniacy i to właśnie oni najbardziej interesowali Márię.

Przez większość ranka tylko oglądała stragany. Unosiła pod słońce ceramikę, szukając skaz, po czym kręciła nosem na słabą jakość wykonania. Nie podobały jej się ściereczki, ceberki, chochle ani dzbany. Wytykała brak gładkości i strzępiące się końcówki. Przyciągała spojrzenia wszystkich. Zadawała pytania, by pochwalić się budapesztańskim akcentem. Wcześniej długo pracowała nad tym, aby pozbyć się ze swojej mowy wiejskiego zaśpiewu, i chciała, żeby ktoś docenił jej trud. Od czasu do czasu rzucała jakieś niemieckie określenie albo całą frazę w tym języku, podchwyconą od drugiego męża, i dyskretnie się rozglądając, sprawdzała, czy ktoś to zauważył.

Jednym słowem: postarała się, aby nikomu w całym Nagyrévie nie umknął fakt jej powrotu do domu.

Wiosna była chyba najgorętszym okresem w życiu każdej akuszerki. Nie tylko rodziły się jagnięta i cielęta, które Cioteczka Zsuzsa również przyjmowała na świat, ale była to też pora prac polowych, kiedy nietrudno o wypadek czy naciągnięty mięsień. Nie brakowało rolników skarżących się na ból pleców i zmuszonych korzystać z pomocy. Niektóre kobiety we wsi oferowały masaże i upuszczanie krwi, dobre na bóle głowy, ale poważniejsze sprawy – naderwane ścięgna czy przepukliny – wręcz się prosiły o zastosowanie specyfiku Cioteczki Zsuzsy.

Często więc się wyprawiała do lasu skoro świt, żeby zbierać zioła do swoich nalewek. Zwykle miała oczy szeroko otwarte za pokrzykiem, który trzeba było zerwać w czasie kwitnienia, gdy jego pąki zawierały najwięcej atropiny

i hioscyjminy. Pokrzyk stanowił jej zdaniem jedną z najużyteczniejszych roślin leczniczych, jakie znał świat, nic dziwnego zatem, że kurowała nim różne przypadłości z nie najgorszym skutkiem.

Tego dnia Cioteczka Zsuzsa wróciła z leśnej wyprawy w samą porę na śniadanie i wkrótce zaczęła swój zwykły obchód po pacjentach, w pierwszej kolejności udając się jak zawsze do najbliższych sąsiadów.

Na przestrzeni ostatnich ośmiu miesięcy, które upłynęły od pogrzebu ich wnuka, Ambrúzsowie pozostawali z akuszerką w dobrych stosunkach. Pan Ambrúzs odwdzięczał się jej wciąż mlekiem i przetworami, a pani Ambrúzs chętnie widziała ją i jej siostrę Lidię u siebie w długie zimowe wieczory, gdy przewodziła kumom zbierającym się pod jej dachem pod pretekstem wspólnego szycia. Petra jednak wymawiała się za każdym razem. Jeśli nawet pani Ambrúzs zauważyła, że wdowa po jej nieżyjącym wnuku unika akuszerki, nie wspomniała o tym ani słowem Cioteczce Zsuzsie.

Tymczasem medyczka pchnęła furtkę sąsiadów i przeganiając kury ze ścieżki, ruszyła w stronę stajni.

Obok worków z obrokiem stały zydle służące przy dojeniu krów oraz wiadra na pomyje, które Cioteczka Zsuzsa ominęła z głośnym człapaniem, kierując się ku roboczej ławie gospodarza. Pan Ambrúzs zostawił dla niej kilka jajek w skrzynce wysłanej słomą. Umieściła je ostrożnie w koszyku, po czym udała się do domu Ambrúzsów.

W środku odciągnęła zasłony. Wkroczyła do kuchni i zaczęła przetrząsać szafki. Wyjęła puszkę z suszonymi przyprawami, podważyła wieczko i nabrała garść proszku. Podeszedłszy do kredensu, przejrzała zastawę Petry, wybrała jedną z filiżanek i ją także włożyła do koszyka, uważając, aby nie potłuc jajek.

Kiedy Petra odmówiła poślubienia jej młodszego syna, akuszerka w pierwszym odruchu mocno się zdziwiła. Nie dowierzała wręcz w to, co słyszy. Dlatego wróciła do dziewczyny w tej samej sprawie i poruszyła temat wesela. Wcześniej rozglądała się za domem, w którym młodzi mogliby zamieszkać razem, a który jej syn bez

kłopotu by kupił za wiano Petry. W myślach zrobiła spis własnych rzeczy, które wymagały wymiany, co nie byłoby trudne z pomocą pieniędzy nowej synowej: miednica, kredens, chodnik... Raz widziała u obwoźnego kupca wysokie lustro, które bardzo by pasowało do jej sypialni.

Nie mieściło jej się w głowie, że Petra może nie akceptować jej planu. Uwolniła ją przecież od uciążliwej opieki nad Istvánem do końca życia, jak więc to możliwe, że dziewczyna nie chciała zapłacić żądanej ceny?

Skoro Petra nie dopuściła jej do swojego bogactwa, Cioteczka Zsuzsa postanowiła, że sama je sobie weźmie – filiżanka po filiżance.

Wyszła z domu Ambrúzsów i kontynuowała obchód. Kilka wizyt miało na celu sprawdzenie stanu jej pacjentów, ale przy okazji odbierała też zapłatę. Wieśniacy przywykli, że po powrocie do domu zastają akuszerkę w swojej spiżarni, gdzie przetrząsa ich zapasy fasoli czy soczewicy albo łakomym okiem łypie na wędzone mięso zawieszony u powały do wyschnięcia.

Zakończywszy obchód, Cioteczka Zsuzsa podążyła wzdłuż Árpád po swoją codzienną nagrodę. Minęła pocztę, na której jej starszy syn był listonoszem. Ponieważ roznosił listy po całej okolicy, miała ułatwione zadanie, gdyż dzięki romskim znajomym i licznym wędrownym handlarzom rozsiewającym wieści o skuteczności jej leków dorobiła się wielu pacjentów spoza Nagyréva: syn dostarczał im medykamenty bez rejestrowania przesyłek przez naczelnika poczty. Właśnie z myślą o tym załatwiła mu tę pracę. Akuszerka знаła kilkoro członków rady wsi, w tym kancelistę, pana Ébnera, z którym zażyłą przyjaźń podtrzymywała na wszystkie sposoby, stwierdziła bowiem, że tak będzie jej łatwiej umieszczać ludzi w miejscach, w których na coś jej się przydadzą.

Powiodła teraz wzrokiem na drugą stronę ulicy, gdzie znajdował się zakład cyruliczny jej zięcia. Zimą Daniel miał otwarte dwa dni w tygodniu, lecz zdążył już wrócić do letniej rutyny, wedle której przyjmował klientów wyłącznie w soboty. Był także właścicielem spłachetka pola i jak większość węgierskich wieśniaków zbudował sobie trzciniową chatę, gdzie często spędzał ciepłe noce. Ostatnimi czasy

jednak jego nieobecność w Nagyrévie bardzo rzucała się w oczy – Daniel niemal nie bywał w domu.

Zanim Cioteczka Zsuzsa dotarła do karczmy Cserów, zdążyła przejść z koszykami dobre kilka kilometrów, zrozumiała więc, że dostała zadyszki, do której wydatnie przyczyniła się jej tusza. Za dwa tygodnie akuszerka miała skończyć pięćdziesiąt sześć lat i czuła w kościach każdy rok.

Odgoniła spod drzwi psy, zgięła się wpół i zebrawszy ślinę w ustach, splunęła za siebie. Kundle się rozpierzchły. Cioteczka Zsuzsa wyprostowała się ze stęknieniem i przekroczyła próg karczmy.

Wewnątrz było ciemno i chłodno, słońce z najwyższym trudem przebijało się do środka przez jedno zapyziałe okienko. Na kołkach wbitych w ścianę wisały sterane męskie kapelusze zalatujące potem. Porysowane stoliki stały gdzie popadnie, jakby poprzesuwała je wichura. Podłogę zaścielały trociny.

Akuszerka dowlekała się do pierwszego z brzegu stolika i odstawiła na niego swoje koszyki. Następnie klapnęła ciężko na ławę, na której siedzący tu wcześniej mężczyźni musieli się przez to stłoczyć. Nie było poza nią we wsi kobiety, która by się odważyła wejść do karczmy. Pewnie nie znalazłaby się taka na całych Węgrzech.

Tymczasem w oczach Cioteczki Zsuzsy karczma wydawała się równie znajoma i komfortowa jak jej własny dom. Zresztą często o niej myślała w ten sposób. Znała wszystkie sekrety tych ludzi. Wystarczyło, że spojrzała na twarz któregoś z mężczyzn, i od razu wiedziała – nawet lepiej od samego zainteresowanego – jakie kłopoty czekają na niego w domu. Nie było dla niej tajemnicą, co uczyniła córka pana Takácsa, szczególnie że wiele dziewcząt z Nagyréva przychodziło do niej z rosnącym brzuszkiem, przestraszonych. Nie była też dla niej tajemnicą wstydliva wysypka pana Nagyego, która szczęśliwie dała się zaleczyć. Akuszerka wiedziała, że pan Csabai, ledwie wrócił z frontu, zaczął bić żonę i że żona pana Virága okropnie się boi własnego męża. Wiedza ta dawała jej poczucie mocy większej nawet niż moc pichconych przez nią wywarów.

Cioteczka Zsuzsa złożyła zamówienie u Anny donośnym krzykiem. Pogmerła w kieszeni za fajkę, wyciągnęła ją i zapaliła. Rozejrzała się po izbie. Lajos na poły siedział, na poły leżał przy kontuarze. Sanyi grał w karty przy swoim stoliku pod oknem.

Sanyi miał rękę do kart. Nauczył się kilku gier, dzięki czemu był górą. Ilekroć zgarnął bank, stawiał wszystkim w karczmie, po czym wracał do domu goły i wesoły, jak przyszedł.

Najwygodniej mu było w pozycji siedzącej. Próżnował więc w karczmie, przy swoim stoliku, całymi godzinami, opierając kościste ciało o oparcie ławy i dyndając stopami pod blatem. Lubił popijać kawę i gorzałkę od rana do wieczora. Również palił, ale jedzenia nigdy nie tykał.

W miarę upływu lat jego chód jeszcze bardziej zdziwaczał, ponieważ mięśnie nóg ogarniał coraz silniejszy paraliż. Od czasu do czasu jego podbrzusze przeszywał ostry ból.

Większość kolegów, z którymi dorastał, została powołana do wojska, ale zaprzyjaźnił się z paroma starszymi wieśniakami i z paroma wyrostkami, dla których był niczym kuzyn.

Mało co go wzruszało i generalnie był dobrze usposobiony. Tliła się w nim wciąż ochota do psot, choć dni, kiedy czynił wygłupy, odeszły dawno w niepamięć. Co najwyżej przywoływał swoje harce w opowieściach, gdy zaczynało się nowe rozdanie i nowa gra.

Cioteczkę Zsuzsę raził jego widok. Uważała, że lepiej by się stało, gdyby ktoś coś z nim zrobił lata temu. Połowiczne życie, jakie przypadło mu w udziale, było problemem, który potrzebował rozwiązania. Doskonale wiedziała, co sama by uczyniła, gdyby tylko miała okazję.

Kiedy dostrzegła Mihálya, zmiękły jej kolana. Nie przywykła go oglądać w tych okolicznościach. Wiedziała, że częściej się prowadzi z tymi nielicznymi mężczyznami, którzy skończyli choć pięć klas i spotykali się w domu wspólnotowym, gdzie można się było napić słodkiego tokaju i poczytać tygodniki.



Prędko wzięła się w garść. Nauczyła się zachowywać kamienną minę w obliczu Mihálya Kardosa.

„To, co się między nami wydarzyło, było dawno i nieprawda”, powtarzała sobie.

Mihály cieszył się w Nagyrévie powszechnym poważaniem i wciąż miał wielu przyjaciół. Widząc byłego sędziego grodzkiego, mężczyźni żalowali, że nim nie są, a kobiety pragnęły zaciągnąć go do łóżka. Tym, że po śmierci żony wybrał Márię Szendi, wielu zdziwił, a niejednej kobiecie złamał serce.

Jeśli nawet akuszerka czuła do przyjaciółki urazę za to, że związała się z jej dawną miłością, starannie to ukrywała. Miała wielki szacunek dla Márii, która przypominała jej Romki z czasów dzieciństwa – pełne życia i jakże różne od tego stada wron wystających przy studni i wytykających bliźnich paluchami (co zaliczało się też do grzechów Cioteczki Zsuzsy i jej siostry).

Kardos zjawił się w karczmie z okazji swoich imienin. Zasiadał u szczytu stołu zastawionego dzbanami z winem i misami jadła, a otaczały go góry prezentów. Wokół niego cisnęli się jego najzagorzalsi poplecznicy, których akuszerka teraz obserwowała jastrzębim okiem. Gdy była gotowa do wyjścia, włożyła gruby palec do komina fajki i zagasiła tabakę. Potem dopiła gorzałkę i odstawiła z hukiem szklankę na blat. Podniosła się ciężko z ławy i zawiesiła oba koszyki na przedramionach.

– *Zapłacie dzisiaj?* – zawołała do niej Anna.

Nie zaszczyciwszy jej nawet spojrzeniem, Cioteczka Zsuzsa podreptała do drzwi.

– *Dobry Panbócek zapłaci!* – odkrzyknęła.

Znalazszy się na ulicy Árpád, skierowała się w stronę domu, by uciąć sobie południową drzemkę.

Pierwsze tygodnie we wsi Mária spędziła na poznawaniu od nowa Nagyréva. Wędrowała aż na starorzecze, gdzie jako dziewczynka bawiła się lalkami, i wychodziła w pole, by ogarnąć wzrokiem swoje ziemie. Zarosły trawą do pasa,

teraz wyschniętą i zbrązowiałą, ale ich widok i tak cieszył jej serce. Była ostatnim żyjącym członkiem swojego rodu. Należała do niej cała fortuna Szendich.

Wracając z tych popołudniowych wycieczek, często mijała sąsiadów, którzy siedzieli na gankach i łuskali kukurydzę na karmę dla chudoby. Przystawała więc, by się z nimi melodyjnie przywitać. Odpowiadali jej zdawkowo, głosami oschłymi jak te liście wokół kaczanów. Nie licząc kilkorga kuzynostwa, którzy czuli się w obowiązku traktować ją uprzejmie, pozostawała zdana wyłącznie na przyjaźń Cioteczki Zsuzsy.

Czasami gdy wracała do domu, zastawała Sanyiego pogrążonego w rozmowie z Mihályem. Sanyi mieszkał z ojcem, lecz odkąd Mária wróciła do rodzinnej wsi, połączyła go nić sympatii z gospodarzem. Ucinali sobie pogawędkę w salonie albo w stajni, gdzie popijali z flaszki, którą Mihály tam chował. Okazywał synowi Márii wiele cierpliwości, co tylko budziło w niej gniew. W ogóle nie podobało jej się, że mieszkańcy hołubią Sanyiego. Zawsze znalazł się ktoś, kto proponował mu podwózkę do karczmy, na rynek, nad rzekę czy gdziekolwiek tam, dokąd akurat podążał. Piekarzowi zdarzało się upiec dla niego specjalny bochenek, chociaż chłopak właściwie nie miał wcale apetytu. Każdy przejaw dobroci okazanej jej synowi miał swoją cenę.

„Czemu tak nadskakują kalece?”, zastanawiała się.

Trzy lata wcześniej zdobyła dowód na to, że Sanyi oznacza same kłopoty. Kiedy jeszcze pracował jako nocny stróż, dla zgrywy ukradł trzy kurczaki z podwórka jednego z wieśniaków zasiadających w radzie. Podówczas sędzią grodzkim był Mihály, który wymierzył winnemu najłagodniejszy wymiar kary. Niemniej chłopak stracił posadę i od tamtej pory nie mógł znaleźć żadnej pracy.

Syn był dla Márii problemem, nie tak dużym jednak jak mąż. Nie przewidziała, jak trudne dla niej będzie mieszkanie z nim znów w jednej miejscowości po rozwodzie. Dokądkolwiek poszła, prześladował ją grzech młodości.

Obciążona takim brzemieniem, mogła zrobić tylko jedno: pójść do swojej przyjaciółki akuszerki i poprosić ją o wróżbę i radę.

\*\*\*

Mária pokonała ulicę Árva i minęła furtkę prowadzącą do domu Cioteczki Zsuzsy. Stanąwszy na ganku, zapukała do okna. Kiedy drzwi się otworzyły, owionął ją mdląco słodki zapach ulubionej tabaki akuszerki. Gospodyni, o ile nie załatwiała jakichś spraw we wsi, przesiadywała w swojej kuchni, gdzie ciężka woń uwięzła między czterema ścianami.

Cioteczka Zsuzsa wskazała przyjaciółce krzesło przy długim stole. Nie uszło przy tym jej uwagi, że Mária ma na sobie jedną ze zwykleszych sukien, choć i tak było na czym zawiesić oko. Przed wizytą uprasowała ją starannie, aż zniknęły wszystkie zagniecenia. Teraz usiadła ostrożnie, by nie zepsuć efektów porannej pracy, i niespokojnie czekała, aż akuszerka do niej dołączy. Te codzienne wizyty u Cioteczki Zsuzsy były czymś więcej niż tylko szukaniem towarzystwa. Przyjaciółka doradzała jej w większości życiowych spraw przez te wszystkie lata, które Mária spędziła w Budapeszcie. Teraz, gdy znów mieszkały blisko siebie, mogła do niej zachodzić przy każdej okazji. Traktowała ją niemal jak prywatną czarodziejkę, będącą w stanie nagiąć przyszłość do jej woli. Nie było takiego kłopotu, z którym Mária nie mogłaby przyjść do Cioteczki Zsuzsy, pewna, że ta jakoś mu zaradzi.

Akuszerka tymczasem, człapiąc, podeszła do kredensu po starą talię kart do gry, wróciła do stołu i klapnęła na ławę naprzeciwko swojego gościa. Nie musiała pytać przyjaciółki, co ją trapi. Wystarczająco często wysłuchiwała skarg na Sanyiego. Prawdę powiedziawszy, miała ich powyżej uszu.

– *Twój syn to tylko niepotrzebny kłopot* – zwykła powtarzać Márii.

Kładąc talię kart na blacie przed sobą, wyrównała jej brzegi, po czym zebrała z wierzchu kilka i rozłożyła je wachlarzem jak do wrózenia. Potrafiła wróżyć na różne sposoby, ale Mária najbardziej lubiła karty. Teraz Cioteczka Zsuzsa odwróciła kolejno wybrane karty i przyjrzała się każdej z głębokim namysłem. Po chwili wyjaśniła przyjaciółce, co oznaczają.

Skończywszy mówić, sięgnęła po tabakę. Umieściła szczyptę w kominie fajki i wzięwszy ubijak do ręki, zaczęła ugniatać brązowe listki, popatrując spod oka na Márię, która wciąż spoglądała w karty.

– *Jest na to sposób* – oznajmiła i jęła przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu zapalek. Moment później już się zaciągała z wyraźnym zadowoleniem. – *Wszystko odbędzie się szybko* – dodała, wypuszczając dym z ust. Wyciągnęła rękę i zebrawszy karty na kupkę, dokończyła: – *Nie będziesz musiała więcej oglądać cierpienia swojego syna.*

Jeśli chodzi o drugi z bliźniaczych kłopotów przyjaciółki – męża – także miała pewien pomysł. Márii nie od dziś było wiadomo, że Cioteczka Zsuzsa potrafiła rozwiązać każdy problem.

Tegoroczne plony obrodziły. Najpierw zebrano arbuzy i ziemniaki, których było w bród, potem przyszła pora na żęcie zboża. Pewnego późnego wrześnieowego popołudnia do pracujących w polu dotarła wiadomość o śmierci starego Kovácsa. Nagły zgon wstrząsnął mieszkańcami wsi. „Stary” Kovács miał tylko czterdzieści cztery lata i przez całe lato energicznie pracował przy zbiorach. Wszyscy byli zdziwieni, że ktoś tak krzepki odszedł z dnia na dzień.

Gdyby Mária była ciekawska albo gdyby nie brakowało jej odwagi, udałaby się do domu wspólnotowego, żeby zerknąć na akt zgonu. Przeczytałaby wtedy, co doprowadziło do śmierci jej pierwszego męża. Tym razem Cioteczka Zsuzsa kazała dzwonnikowi ogłosić, że była to apopleksja.

Kovács nie chciał mieć wiele wspólnego z Márią, odkąd wróciła do Nagyréva, ona jednak czuła jego obecność wszędzie, dokądkolwiek poszła. Miała wrażenie, że czai się na nią w sklepowych alejkach, za węglem, za każdym zakrętem drogi. Można było pomyśleć, że jest jak mgła, która ją opadła. Z chwilą jego śmierci opar się rozstąpił i Mária zrozumiała, co powinna teraz zrobić.

Niezdolna przyjąć od akuszerki jej słynnego roztworu z przeznaczeniem dla Sanyiego, już dawno obmyśliła sposób, jak inaczej pozbyć się syna ze swojego życia. Teraz, gdy Kovács nie mógł jej już przeszkodzić, postanowiła zrealizować

ten plan. Nadal miała koneksje w stolicy. Tak załatwiła Sanyiemu posadę w Budapesztańskim Urzędzie Transportu.

Nareszcie mogła pomyśleć o sobie.

Daniel pomieszkiwał w polu od tygodni, aż jesień przyniosła chłodniejsze noce. Przez większość lata sypiał pod gołym niebem, napawając się widokiem gwiazd. Dzień po dniu rozkładał na ziemi matę, czasem nucąc do siebie, a wtedy jego głos niósł się nad niziną niczym śpiew ptaka.

W niektóre noce korzystał z trzciny chaty, której szczyt nie sięgał wyżej niż stogi pstrzące pola po żniwach. Musiał pochylać się mocno, aby wejść i wyjść, dlatego jeśli tylko pogoda na to pozwalała, wolał zasypiać na zewnątrz.

Pił tyle tylko, żeby się rozgrzać. Teraz też, choć nakrył się kożuchem, nie rozstawał się z flaszką w kształcie krzyża, którą przed wielu laty dostał w prezencie. Przyłożył ją do ust i pociągnął łyk, czując, jak gorzałka pali go w gardło.

Zastanawiał się, co począć. Czuł, że akuszerka rzuciła na niego urok.

W ciągu dziewięciu lat, które przeżył pod jednym dachem z teściową, poznał ją jak zły szeląg. Był świadkiem, jak Cioteczka Zsuzsa przepędza dni na człapaniu tam i sam: o dwunastej wracała do domu objuczona koszykami, z których wystawały przeróżne produkty, a po południu tradycyjnie udawała się do karczmy na popitkę. Widział także, jak traktuje jego dzieci, chłopca i dziewczynkę. Pilnowała, co wnuki jedzą, wyprawiała je do szkoły co rano, a wieczorami oprowadzała po swoim ogrodzie, ucząc na temat leczniczych i trujących roślin. Była równie czuła i troskliwa jak jego własna babka wobec niego.

Daniel jednak nie był ślepy. Widział, czym się akuszerka zajmuje. Rozumiał, że nie wszystkie wywary, które warzy w swojej kuchni, służą leczeniu chorych. A pewnego razu usłyszał przypadkiem rozmowę, którą toczyła z jego żoną i jej braćmi. Nie były to słowa przeznaczone dla jego uszu.

Któregoś dnia, zamiast zabrać się z pola wozem jak inni, zmitrężył. Miał świadomość zbliżającej się zimy i wiedział, że prędzej czy później będzie musiał

wrócić do wioski. Przez kilka nocy kombinował, gdzie mógłby zamieszkać. W końcu uznał, że wykroi sobie kawałek przestrzeni na tyłach własnego zakładu. Jednego był bowiem pewien: za żadne skarby nie powinien wracać do domu stojącego pod numerem pierwszym przy ulicy Árva. Podobnie jak jego teść lata wcześniej, Daniel zdawał sobie sprawę, że musi ratować własną skórę.

# ZABÓJCZA GRYPA, UPADŁE KRÓLESTWO, UDAREMNIONY PLAN

*[Cioteczka Zsuzsa] miała wyczulony zmysł obserwacyjny, była bystra i jak się zdaje, przepęłniały ją niewyczerpane pokłady energii, za to brakowało jej skrupułów. Pulchna postać na podobieństwo Buddy znała wszystkie troski i zmartwienia współmieszkańców swojej wsi.*

– Jack MacCormac,  
„New York Times”

Chusteczka Cioteczki Zsuzsy była przesiąknięta na wskroś. Akuszerka zamoczyła ją w occie siedmiu złodziei i przyłożyła do nosa i ust w ochronie przed panującą zarazą, która przekraczała wszystko, co dotychczas widziała. Choroba powalała ludzi jak huragan drzewa. Znad skraju kawałka tkaniny wyzierały tylko jej jaszczurcze oczy, łzawiące od silnych oparów kamfory. Oczywiście jej nos zielarki wychwytywał także woń innych ziół, które znalazły się w miksturze, obok wina dodanego dla przydania mocy.

Doprawdy szokowało, jak znieczeka wirus się pojawił i jak wielkie szkody powodował. Austro-Węgry wystawiły do walki trzy i pół miliona mężczyzn, z czego pod koniec wojny do domów wróciło ich tylko półtora. Dwa miliony poległy. Jednak ta plaga, okrzyknięta przez amerykańską prasę „grypą hiszpanką”, okazała się śmiertelnością, ostateczną bronią rzuconą do walki przez nieznaną bestię. Do tego miała szczególny apetyt na młodych dorosłych. Cioteczka Zsuzsa sama to zauważyła.

Mokra chusteczka była lodowata. Trzymanie jej w dłoni tylko wzmagało ból stawów, na który akuszerka od dawna cierpiała. Schyliła się po ostatnie leżące na ziemi prześcieradło, a wtedy jej putsi, zawieszona jak zawsze na sznurku wokół szyi, wysunęła się z dekoltu i zadyndała jej przed twarzą. Cioteczka Zsuzsa nie

miała wątpliwości: za to, że jak dotąd nie zachorowała, mogła podziękować tyleż octowi siedmiu złodziei, ile swoim amuletom ukrytym w skórzanej sakiewce. Nie wątpiła też, że zdrowie – byle jakie, ale jednak zdrowie – zawdzięcza rytuałom, które odprawia w domu. To one ją chroniły. Osobiście była przekonana, że gdyby gadzie szanowali romską magię, toby nie byli tak słabi fizycznie. Zwinęła prześcieradło i umieściła je w jutowym worku, który ze sobą przyniosła, nie zapominając potem starannie wytrzeć rąk w wilgotną wciąż chusteczkę.

Następnie opadła na czworaki. Jej ruchy krępował czarny wełniany płaszcz, uszyty przez kuśnierza z Nagyréva lata wcześniej, gdy nie była jeszcze tak gruba. Obecnie wszystkie szwy aż na niej trzeszczały, a gdy znalazła się na czworakach, materiał opiął ją ciasno, niemal odbierając dech w piersi. Obok siebie miała drewniane wiadro, które napełniła octem i wodą. Sięgnęła po zanurzoną szmatę i zaczęła szorować klepisko. Ilekroć wrzucała szmatę do wiadra, rozchlapywała więcej lodowatej wody. Z jej ust unosiły się obłoczki pary powstałej z powietrza wydychanego przez nią coraz ciężiej, w miarę jak posuwała się na kolanach do przodu. Na razie żaden ogień nie ogrzał prowizorycznie skleconej sadyby. W środku panował nieludzki ziąb.

Gdy skończyła z podłogą, wstała i zabrała się do szorowania zszarzałych ścian. Także były zimne i mokre, pełne szczelin i szpar, przez które hulał wiatr. Chyląca się ku ziemi chata wiejskiego klikona była najżałośniejszym, najbardziej zapuszczonym budynkiem w całej wiosce.

Ostatnio spędziła w środku tyle czasu, że mogłaby się tu poruszać po omacku. Poznała nieszczęsny dwuizbowy dom nad rzeką aż za dobrze, z jego wypaczonymi drzwiami, pustymi szafkami, wyblakłym dywanem w głównej izbie. Choć stał teraz pusty, opuszczała go niechętnie.

Całymi tygodniami roiło się w nim od wieśniaków, poddawanych tutaj kwarantannie. Cioteczka Zsuzsa doglądała chorych podczas pierwszej fali hiszpanki, a potem drugiej. Od dwóch lat na Węgry nie docierały żadne leki, ale akuszerka bardziej wierzyła w swoje okłady i nalewki niż cokolwiek, co medycy stosowali w szpitalach.



Klepisko było przez cały czas zasłane słomianymi matami, których wieśniacy normalnie używali do drzemek w stajni. Część chorych przyniosła swoje maty ze sobą, udając się na kwarantannę. Reszcie donieśli maty krewni, których poprosiła o to Cioteczka Zsuzsa. Rodziny przynosiły także chleb, zupę i gulasz. Stojąc na ganku, przekazywali naczynia akuszerce. Większość jej pacjentów był zbyt chora, aby jeść, lecz Cioteczce Zsuzsie apetyt dopisywał.

Robiła, co mogła, aby utrzymać chatę w cieple przez wzgląd na pacjentów. Paliła kolejno drewnem, sianem, plewami, wreszcie łajnem i suchymi liśćmi, jeśli zdołała jakichś nazbierać, byle nie zgasł ogień pod kuchnią. Opatulała swoich pacjentów prześcieradłami, jeśli ich bliscy takie dostarczyli.

Stojący pośrodku głównej izby stół przesunęła na bok, żeby zrobić miejsce dla chorych. Pod ścianami rządkiem stały nocniki, niedawno wymyte i zdezynfekowane za pomocą octu siedmiu złodziei. Cioteczka Zsuzsa wiele czasu spędziła na opróżnianiu nocników do wygodki na zewnątrz i niezmiernie się ucieszyła, gdy odpadł jej ten niemiły obowiązek. Piec znajdował się na jednym krańcu głównej izby, przy czym druga – znacznie mniejsza od pierwszej – służyła za sypialnię. To tam zażywała krótkich drzemek Cioteczka Zsuzsa.

Podobnie jak to było w jej przypadku, klikonowi dom przypadł w udziale na wniosek rady wsi. Zajęty na cele kwarantanny, przestał mu służyć z dnia na dzień, a on sam musiał – zabierając ze sobą ubrania i bęben – przenieść się do domu wspólnotowego. Tam trafił do składziku, gdzie także od czasu do czasu jakiś wieśniak odsiadywał wyrok za drobne przestępstwo. Jedni dostawali baty przy preęgierzu na rynku, drudzy chodzili po wsi z tabliczką, na której było napisane na przykład: UKRADŁEM KOZĘ PANA TAKÁCSA, a jeszcze inni spędzali noc w składziku domu wspólnotowego. Na to ostatnie Mihály skazał Sanyiego za kradzież kurcząt.

Klikon zaczynał jako rybak. Był synem i wnukiem rybaka, ale odkąd pół wieku wcześniej uregulowano rzekę, ryby nie zapuszczały się już w rejon Nagyréva. Przy pustych sieciach i haczykach nie miał innego wyjścia, jak przyjąć posadę klikona, gdy mu ją zaoferowano.

Wykrzykiwał więc zawiadomienia co najmniej dwa razy w tygodniu, pięciokrotnie w ciągu jednego dnia, zaczynając o świcie przy studni na rynku i sukcesywnie przenosząc się w inne miejsca. Rozwinąwszy zwój, odczytywał nagłówki budapesztańskich gazet i tej wydawanej w Szolnoku, przesłane za pomocą telegrafu, ale też ogłaszał wszystko, co kazał kancelista.

Na piersi przed sobą niósł bęben, na którym wybijał werble, po czym wołał:

W SZKOLE ZATRUDNIONO NOWEGO NAUCZYCIELA.

W SZOLNOK ZACZYNAJĄ OD DZIŚ OBOWIĄZYWAĆ NOWE  
AGROPRZEPISY.

PAN BERA SZUKA KUPCA NA SWOJĄ KROWĘ.

BEDNARZ TÓTH MA NOWE BECZKI DO SPRZEDANIA.

SYN PANA PAPPA ZOSTAŁ ZWOLNIONY Z ROSYJSKIEGO OBOZU  
JENIECKIEGO.

Wszystko, czego klikon potrzebował do wykonywania swojej pracy – a więc szmatki do czyszczenia dwu naftowych latarni oraz szczotki do zmiatania domu wspólnotowego i rynku po każdym dniu targowym – przechowywane było w składziku, w którym obecnie spał.

Spoczywał na nim jeszcze jeden obowiązek, mianowicie prowadzenie rejestru urodzeń i zgonów. Przy okazji nadzorował terminarz doktora Szegedyego.

Mimo że druga fala epidemii uderzyła w Nagyrév z siłą nieustępującą pierwszej fali, nikt od dawna nie widział we wsi dziecienniałego lekarza, który winien był się stawiać w swoim gabinecie raz w tygodniu. Ulewne deszcze zmyły drogi, czyniąc je nieprzejezdnymi nawet dla kogoś, komu bardzo by zależało na odwiedzinach. Cioteczka Zsuzsa nie spodziewała się zobaczyć staruszka co najmniej do przyszłej wiosny, gdy pogoda się poprawi i drogi zostaną naprawione.

Tymczasem najgorsze było za nimi. W Nagyrévie ludzie marli na zabójczą gripę, ale liczba ofiar była mniejsza niż gdzie indziej, aż w końcu ostatni pacjent akuszerki wrócił o własnych siłach do domu.

Cioteczka Zsuzsa złapała worek i przerzuciła go przez ramię. Cieszyło ją, że doprowadziła chatę klikona do porządku, rugując z niej wszelkie ślady zarazy. Resztę prześcieradeł podniosła z ziemi i umieściła pod pachą, po czym balansując koszykami, otworzyła drzwi frontowe. Uderzyło w nią zimno i zacinający wciąż deszcz. Przez moment stała na ganku bez ruchu, wpatrując się tylko przed siebie. Ledwie widziała wstęgę Cisy, choć rzeka płynęła zaledwie kawałek drogi od niej. Podmuchy silnego wiatru przynosiły ze sobą ostry rzeczny piasek, którego ziarenka kąsały ją w twarz. Wreszcie wyszła na ulicę Sącárook, błotnistą ścieżkę prowadzącą z domu klikona na rynek. Wracała do siebie, aby wygotować prześcieradła.

Powłócząc nogami, minęła kościół i opustoszały rynek, po czym sama nie wiedząc kiedy, znalazła się przed zakładem cyrulicznym Daniela. Jej zięć trzymał drzwi zwykle uchylone, toteż w przeszłości często mogła zajrzeć do środka. Choć epidemia doprowadziła do zamknięcia większości sklepów i zakładów, akuszerka i tym razem się zbliżyła, by zajrzeć choć przez okno. Pobiegła spojrzeniem na tyły pomieszczenia, gdzie za kotarą Daniel miał swoje miejsce do spania.

Ani trochę jej nie przeszkadzało, że zięć wyniósł się z domu. Było to najprostsze rozwiązanie.

W listopadzie gruchnęła wiadomość, że podpisano rozejm. Wielka wojna się skończyła. Przestało istnieć cesarstwo austriackie, które od upadku starożytnego Rzymu decydowało o losach Europy Środkowej – przez ostatnie półwiecze pospołu z Węgrami. Same Węgry, z historią sięgającą tysiąca lat wstecz, przestały być królestwem i w pośpiechu okrzyknęły się Węgierską Republiką Ludową. Wszyscy wiedzieli jednak, że jej przyszłość jest niepewna. Wrodzy Rumuni od dwóch lat okupowali Transylwanię, wschodni region Węgier. Alianci grozili, że rozparcelują resztę kraju i rozdadzą po kawałku sąsiednim zwycięzcom. Ważyły się losy dwu trzecich nowo powstałego państwa.

Tymczasem węgierscy jeńcy wojenni, zradykalizowani w wyniku uwięzienia w rosyjskich obozach, próbowali przejąć kontrolę i przekazać władzę

bolszewikom.

Stolicą targwały bunty, na każdym kroku można było spotkać rewolucjonistów i zabójców, w narodzie panował chaos. Dla Márii jednak liczyło się wyłącznie to, że jej drugi mąż po powrocie z frontu w randze porucznika i zastaniu pustego domu zgodził się na rozwód.

Odkąd zjawiała się w Nagyrévie, żyła z Mihályem na kocią łapę. Tylko na taki związek mogła sobie pozwolić, skoro oficjalnie wciąż miała męża w Budapeszcie. Niemniej bardzo jej się nie podobało, iż nikt nie traktuje jej jak prawdziwej żony Mihálya. Inaczej wyobrażała sobie powrót do rodzinnej wsi, a niestety nic, co robiła, nie poprawiało jej położenia. Mieszkańcy mieli ją teraz w takiej samej pogardzie jak wtedy, gdy uciekała z Nagyréva. To przyprawiało ją o wściekłość.

Zdarzało się, choć niezbyt często – zwykle w bezsenne noce – że Mária żałowała opuszczenia stolicy. Prawdą było, że nudziła się tam i czuła się bardzo samotna. Jej mąż walczył na froncie przez połowę trwania ich małżeństwa. O tym, jak żyła przed tym, zanim go poznała, wolała nawet nie myśleć. Zepchnęła tamte wspomnienia w najdalszy zakamarek umysłu i poprzysięgła sobie nigdy do nich nie wracać. Dopiero ślub z podoficerem pozwolił jej się wspiąć wyżej na drabinę społeczną, o czym marzyła, odkąd nauczyła się raczkować. Zajęło to wiele czasu, ale w końcu osiągnęła pozycję, na którą w swoim mniemaniu w pełni zasługiwała.

A teraz wreszcie mogła wyjść za Mihálya. Oboje byli zdeterminowani, by doprowadzić tę sprawę do końca. Jeśli mieszkańcy Nagyréva nie chcieli jej darzyć szacunkiem sami z siebie – trudno. Niebawem będzie mogła się tego od nich domagać.

Tyle że gdy jedna przeszkoda zniknęła z jej drogi, zaraz pojawiła się następna. W morzu telegramów, które zalały pocztę wraz z końcem wojny – kancelista Ébner co godzinę odbierał uaktualnienia na temat sytuacji politycznej – nadszedł jeden od Sanyiego. Budapesztański Urząd Transportu uznał go za *niezdolnego do pełnienia obowiązków*. Jej syn wracał do domu.

## „ŚPIEWAJ, CHŁOPCZE!”

*Gdziekolwiek są Cyganie, tam są czarownice.*

– stare romskie przysłowie

Z nadejściem wiosny mieszkańcy Nagyréva wyruszyli na pola jak co roku, aczkolwiek tym razem z nieco większą obawą w sercach.

Wojna dotknęła wieśniaków o tyle, że wysłali swoich synów na front, oszczędziła im jednak największych okropieństw. Co do leków, mogli liczyć na akuszerkę. Co do żywności, mieli własne zbiory. Co do bitew, toczyły się one setki kilometrów od ich domów. Stało się więc tak, że zaczęli się bać o swoje życie dopiero wraz z końcem wielkiej wojny.

Pod koniec marca władzę w kraju objął brutalny komunistyczny reżim. Przejął kontrolę nad mediami, szkołami, bankami i stworzył nową siłę wojskową: Armię Czerwoną.

Mieszkańcy Nagyréva obawiali się najbardziej grupy o nazwie Chłopcy Lenina, której członkowie wałęsali się po prowincji i zabijali oraz torturowali wszystkich tych, którzy ich zdaniem byli przeciwni nowemu reżimowi. Krążyły słuchy, że jedną kobietę pozbawili zębów za pomocą dłuta, a drugiej przyszyli język do nosa. Wbili jakiemś mężczyźnie gwóźdź w głowę. W Szolnoku pewnego popołudnia przywódca Chłopców Lenina – komisarz Armii Czerwonej do spraw wojskowych – poddał egzekucji dwadzieścia cztery osoby, w tym prezesa sądu.

Wieśniaków ogarnęło przerażenie. Zateśknili za czasami, gdy klikon wykrzykiwał ogłoszenia o krowie na sprzedaż zamiast obecnej długiej listy okropności.

Tymczasem Armia Czerwona walczyła z najeźdźcami. Odkąd wielka wojna zakończyła się w listopadzie minionego roku, większa część Węgier pozostawała pod okupacją, głównie rumuńską. Ostatnia linia frontu zatrzymała się na Szolnoku,

gdzie dopiero po czterech miesiącach, pod koniec lipca, Armia Czerwona złożyła broń, poddając się Rumunom.

## **PIĄTEK, 1 SIERPNIĄ 1919 ROKU**

Telegraf na poczcie w Nagyrévie nie przestawał dźwięczeć. Większość wiadomości dotyczyła lokalizacji wojsk rumuńskich, które nacierały na Budapeszt celem ogłoszenia zwycięstwa. Pojawiały się również wieści o potyczkach i plądrowaniu wsi na ich drodze.

Do uszu wieśniaków docierały tylko strzępy informacji, lecz i tak mieli oni nerwy napięte jak postronki w oczekiwaniu na to, co nadejdzie. I wszyscy jak jeden mąż woleliby, aby to ktoś inny, nie Ébner, przeprowadził ich przez ten kryzys.

Ébner jawił im się jako postać prosto z opowieści snutych w upalne letnie noce jeszcze przed wojną. W tamtym czasie przez wieś przewijało się mnóstwo ludzi. Oprócz wędrownych handlarzy byli i długowłosi prorocy, i połykacze mieczy, i szlifierze noży, i cyrkowcy, i poeci, ale najwięcej było zawsze bazarzy. Wieśniacy gromadzili się w czyjejs stajni albo oborze, rozpalali ostrożnie ognisko i siedząc wokół niego kręgiem, podawali sobie z rąk do rąk butelkę gorzałki. Dzieci w kaftanikach tuliły się do krowich czy końskich boków, uśpione pod kocym. Dorośli słuchali zafascynowani. Niektórzy mieli oczy zamknięte, żeby przywoływać obrazy pod powiekami. Pośród migoczących cieni bazarz opowiadał o królewskich wyczynach, magicznych krukach, psach posiadających boskie moce, jak również o samolubnych prostackich waźniakach, z których wszyscy przypominali im Ébnera.

Na ich tle wyglądał jak cudzoziemiec, członek góralskiej starszyny w butach z cholewami jak z katalogu i z tyrolskim kapelusikiem zaopatrzonym w kępkę koźlich włosów za otokiem. Zazwyczaj trzymał w naznaczonym artretyzmem rękę laskę, którą odpędzał bezpańskie psy.

Kancelistą został w tysiąc dziewięćsetnym roku, tym samym, w którym Cioteczka Zsuzsa objęła posadę akuszerki. Nie było we wsi wyższego urzędnika od

niego. Wywodził się ze szlachty i uważał, że stanowisko należy mu się z urodzenia. Umieszczał się na czele różnych ciał i nadawał sobie tytuły, ale większość dni spędzał na polowaniu i hazardzie.

Cioteczkę Zsuzsę traktował jak jedną z korzyści zajmowanego urzędu. Musiała leczyć wszystkie jego przypadłości (tak samo jak wszystkie przypadłości jego żony i dwu zepsutych do cna córek). Nie można jednak było zaprzeczyć, że darzy akuszerkę sympatią. Ilekroć wtaczała się do karczmy Cserów i zasiadała naprzeciw niego, cieszył się, że ją widzi.

Sama Cioteczka Zsuzsa była zdania, że nie mogłaby sobie wymarzyć nikogo lepszego u sterów Nagyréva niż ów potężny, lecz indolentny szlachcic, który w mieszkańcach wsi widział swoje zabawki. Bawiło go płatanie im psikusów. A to napełnił czyjś wóz pierzem, a to wypuścił z zagrody czyjeś wieprzki. Nikogo nie traktował poważnie, nawet akuszerki.

Pewnego razu poddała go testowi. Pili razem w karczmie, kiedy sięgnęła do prawej kieszeni fartucha i wyjęła fiolkę. Odwinęła ją z szarego papieru i wręczyła mu.

Ébner przyjrzał się naczynku w blasku karczmianej lampy. Zlustrował mleczną zawartość. Wyciągnął zatyczkę i powąchał roztwór, przy czym krawędź szkła poślaskotała go w wąsy.

Nie wyczuł prawie nic, jeśli nie liczyć słabej metalicznej woni, która przywiodła mu na myśl zapach lekko stęchłej wody.

– *Co to?* – zapytał.

– *Arszenik* – odparła. – *Wystarczająca ilość, żeby uśmiercić setkę chłopca. Żaden lekarz nigdy się nie zorientuje.*

Ébner wybuchnął śmiechem. Akuszerka z jej szalonymi pomysłami zawsze go bawiła. Cioteczka Zsuzsa roześmiała się do wtóru i ukryła fiolkę z powrotem w kieszeni.

Obecnie jednak nawet Ébnerowi nie było do śmiechu. Właśnie otrzymał wiadomość o nadciągającej armii. Przeczytawszy telegram, niezwłocznie wezwał

klikona, wcisnął mu kartkę w rękę i kazał się pośpieszyć. Nadrzędną rzeczą było, aby mieszkańcy usłyszeli nowiny jak najprędzej. Klikon zabrał pomięty papier i wypadł z domu wspólnotowego ze swoim bębniem. W tym samym czasie Ébner zaczął zwoływać członków rady na pilne posiedzenie.

Klikon udał się najpierw na rynek. Przepchnął się przez gromadkę owiec i mułów, które poły się przy studni. Nieopodal stała grupka wron z wiadrami u stóp. Klikon zajął miejsce naprzeciw pręgierza.

Uderzył w werble, sprawiając, że wrony cofnęły się pod naporem hałasu. Kiedy skończył bębnić, ile sił w płucach zawołał:

– *Uwaga, uwaga! Rumuńskie wojska prą w stronę Nagyréva!*

Wrony się rozpierzchły. Przypominały raczej przestraszone mrówki, kiedy tak biegły każda w swoją stronę, byle prędzej do domu, rozchlapując wodę z ceberków. Niewielki tłumek, który zebrał się przy kościele, aby wysłuchać obwieszczenia, także się przerzedził. Niektórzy mężczyźni popędzili wyprzęgać konie z wozów i pogalopowali na pola, by zanieść innym niepokojącą wieść.

W domu każdy robił, co mógł, aby przygotować się na najgorsze. Ci, którzy mieli piwniczki na wino, zaczęli upychać w nich drogocenne przedmioty. Przemierzali swoje sadyby i zbierali najlepsze obrusy, najsolidniejsze dzbany, a zwłaszcza zegarki kieszonkowe, które kupili kiedyś podczas wycieczki do stolicy. Upchnąwszy wszystko pod ziemią, zrywali z ogrodzeń pnącza i rozkładali je na włazach celem zamaskowania. Pieniądze chowali gdzie popadnie.

Rumuńscy żołnierze nie byli w stanie założyć garnizonu w żadnej z okolicznych posiadłości, gdyż wcześniej zniszczyła je doszczętnie Armia Czerwona. W efekcie wojsko miało stacjonować w samym Nagyrévie. Szeregowcy zajmą stajnie, a oficerowie co lepsze chaty i dom wspólnotowy, z którego będą wszystkim zawiadywali.

Zważywszy, że nadciągała kawaleria, rada wsi niewiele mogła zrobić w obliczu inwazji, co najwyżej ochronić najbardziej bezbronne osoby przed brutalnością



zaciekłych żołdaków. Jak wszystkim było wiadomo, najbezpieczniejszą osobą w wiosce był Sanyi.

Wczesnym popołudniem do furtki Mihálya i Márii zaczął się dobijać klikon, który by zwrócić na siebie uwagę gospodarzy, w końcu uderzył w werble. Oboje w tym czasie krzątali się po domu, czyniąc gorączkowe przygotowania. Nie mieli żadnych wątpliwości co do tego, że Rumuni zajmą na kwatery ich dom. Było to oczywiste z powodu funkcji pełnionej przez Mihálya.

– *Wzywa się Márię Szendi!* – zawołał klikon.

Rzadko kiedy chodził po domach wieśniaków. Zakres jego obowiązków wymagał jednak, aby towarzyszył policjantom, gdy ci zjawiali się, by kogoś aresztować. Ale w Nagyrévie nikt nie widział policjanta od co najmniej pokolenia. Przez pół wieku wieś nie miała nawet własnych funkcjonariuszy. Kiedy zatem klikon stawał u czyichś drzwi, to zwykle u boku członka rady mającego coś do przedyskutowania z gospodarzem.

Mária pobiegła ku furtce i otworzyła ją na oścież. Za plecami klikona stojącego z rękami złożonymi na bębnie tłoczyli się członkowie rady, którzy otaczali wianuszką Sanyiego, pokrzywionego jak chwast targany wichrem.

Odkąd jej syn, niedoszły motorniczy z Budapesztu, znalazł się znów w Nagyrévie, frustrował ją coraz bardziej. Marnotrawił bowiem czas na swoich zwykłych zajęciach: grał w karty przy karczmianym stole, następnie kuśtykał nad rzekę, gdzie przyglądał się łodziom mijającym zakole Cisy i palił papierosy. Wiezorami ciągnęło go z powrotem do karczmy. Każdy dzień mijał mu tak samo. Mária skarżyła się na nieszczęście, jakie ją spotkało, każdemu, kto chciał słuchać. Najczęściej padało na akuszerkę. Właściwie nie było dnia, kiedy by nie usiadła przy kuchennym stole Cioteczki Zsuzsy i nie poprosiła jej o radę. Zawsze dostawała tę samą odpowiedź: *twój syn to tylko niepotrzebny kłopot*.

Popatrzyła teraz na niego z obrzydzeniem. Widząc same deformacje, zupełnie jakby przez jego ciało przebiegała linia uskoku zdolna wywołać trzęsienie ziemi, poczuła rodzącą się w niej gorycz, lecz wkrótce przeniosła uwagę na to, co mówili

członkowie rady. Rumuńscy szeregowcy na pewno dostaną kwaterunek w stajni jej syna. Można wierzyć, że oficerowie będą się zachowywać przyzwoicie po domach, nikt jednak nie zagwarantuje poprawnego prowadzenia się zwykłych żołnierzy. Innymi słowy, los Sanyiego będzie niepewny, jeśli pozostanie w swoim domu.

Powiodła spojrzeniem po twarzach przybyłych mężczyzn. Wszyscy oni znali ojca Sanyiego, domyślała się więc, że apelują do niej tyleż w jego imieniu, ile w imieniu niepełnosprawnego chłopaka. Mieszkańcy Nagyréva zawsze mieli słabość do tego ostatniego. Wielu traktowało go jak przybranego syna, co było jednym z powodów, dla których Kovács nie odesłał go do budapesztańskiego szpitala, a to nieraz sugerowali mu lekarze. Po zakończeniu niespełnionej kariery w Budapesztańskim Urzędzie Transportu chłopak został powitany z otwartymi ramionami. Fakt ten nastawił do niego Mărię jeszcze bardziej negatywnie.

Jednak będąc przebiegłą lisicą, wyczuła okazję. Równie jasno jak przed chwilą słyszała werble, wiedziała, że przedstawiające sobą żalosny widok pokurczone ciało jej syna to dla niej szansa. Na co dokładnie, zrozumiała dopiero po jakimś czasie. Na razie uczyniła pierwszy krok.

Prędko, ku zdziwieniu członków rady, którzy byli gotowi się z nią kłócić, Mária zaprosiła syna za furtkę i do swojego nowego domu. Ależ oczywiście, że mógł u niej zamieszkać.

Ulice Nagyréva były puste jak okradziony grób. Zamarł zwykły dla wsi harmider dnia powszedniego. Stukot końskich kopyt, klang dolatujący z kuźni, miarowe uderzenia szewskiego młotka, szelest dratwy przeciąganej przez tkaninę ręką szmuklerza – wszystko ucichło.

Godziny mijały. Wiatr hulał w koronach drzew, hen wysoko, gdzie śpiewały ptaki. Psy truchtały środkiem drogi, radośnie biorąc za dnia w posiadanie teren, który normalnie należał do nich tylko nocami.

Wieśniacy kryli się po domach. Drzwi, w zwykłych okolicznościach szeroko otwarte w sierpniowym upale, stały szczelnie zawarte. Kury zapędzono do kurników. Okienne zatraśnięto. Tu i ówdzie można było zobaczyć, jak ktoś

chyłkiem przemyka do piwniczki, aby schować ostatni skarb. Starsze dzieci siedziały cicho, biorąc przykład z rodziców. Młodsze kręciły się niespokojnie, drepcząc z izby do izby. Rodzinne domy, w których dotąd czuły się jak ryba w wodzie, nagle wydały im się obce. W ich żyłach zamiast krwi płynęło podniecenie i strach.

Czas mijał.

Pierwszym znakiem było ucichnięcie ptaków. Moment później pod stopami dało się wyczuć dudnienie ziemi. Okiennice zagrzecotały. Kilkoro śmiazków wyslizgnęło się na podwórze, by przez szpary w płocie zobaczyć wjazd kawalerii do Nagyréva.

Kundle rozpierzchły się przed wierzchowcami. W panice przeskakiwały rowy i wpełzały pod krzaki. Najmniejsze z nich przeciskały się pod sztachetami. Kawalerzyści jechali po ulicy Árpád. Żłobkowane hełmy opadały im nisko na czoła. Zakurzone plecaki podskakiwały przy każdym stąpieniu konia. Za jeźdźcami wlokła się banda obdartych piechurów.

W końcu orszak się zatrzymał. Oficerowie przyłożyli trąbki do ust i zatrąbili. Piskliwy odgłos poniósł się po bezładnym labiryncie uliczek i zaułków i dalej, aż na moczary otaczające rzekę, gdzie wśród trzcin czały się pojedyncze czarne bociany czekające na jesienny odlot.

Na przełomie września i października Nagyrév był nie do poznania. Tam, gdzie dotychczas roilo się od furmanek ciągnionych przez konie, kręcili się tłumnie żołnierze w mundurach. Grasowali po Árpád niczym stado wilków. Plądrowali sklepy. Kazali krawcom szyć za darmo suknie dla swoich żon. W składzie Feldmayra półki świeciły pustkami. Zwykli szeregowcy zatrzymywali każdego wieśniaka, który próbował ich minąć. Przykładali ludziom ostre bagnety do piersi i żądali okazania karty identyfikacyjnej. Podczas gdy zatrzymany szukał dokumentu, mundurowi przetrząsali niesiony przez niego marny dobytek. Niektórzy żołnierze kazali przechodniom klękać. I tam, wprost na chodniku,

wymuszali na nich przysięgę na wierność składaną rumuńskiemu królowi Ferdynandowi.

Wskutek okupacji Ébner utracił stanowisko. Objął je po nim dowódca rumuńskiego oddziału, który w domu wspólnotowym założył urząd celny, by nakładać srogie podatki na podstawowe nawet produkty.

Czwartek przestał być dniem targowym. Wrony nie zbierały się już na rynku u studni, którą okupowali teraz szeregowcy pocący się w wełnianych mundurach i wykorzystujący pitną wodę do mycia.

Nawet Cioteczka Zsuzsa nie odważyła się zaglądać do karczmy Cserów, którą wzięło w posiadanie wrogie wojsko. Po latach niepodzielnego panowania we wsi znalazł się ktoś groźniejszy niż Lajos.

Nocami po ulicach Nagyréva nie chodzili już odziani w peleryny strażnicy dzierżący co najwyżej lampę, lecz żołnierze uzbrojeni w karabiny.

Od dziewiątej wieczorem obowiązywała godzina policyjna, mimo że słońce zachodziło wciąż dobrą godzinę później. Zresztą wieśniacy woleli pilnować swoich domów o każdej porze dnia i nocy. Co ważniejsze, mało który był gotów zostawić żonę samą.

Mária przycięła okopcony knot za pomocą starego scyzoryka trzymanego w kuchni. Przetarła sadzę z klosza czystą szmatką. W końcu zapaliła lampę i przez chwilę tylko się przyglądała strzelającemu w górę płomieniowi. Zapach nafty przyprawiał ją o zawroty głowy. Gdy podniosła lampę na wysokość piersi, płomyk zamigotał.

Jego blask odbijał się od bagnetów, kiedy niczym złodziej przemykała pod ścianami własnego salonu. Przekradła się obok grupy oficerów, w dalszym ciągu siedzących przy stole. W powietrzu gęsto było od dymu wypalonych przez nich papierosów. Ich mundury roztaczały zapach prochu i końskiej sierści. Ostrożnie przekroczyła stertę lichych płóciennych plecaków pokrytych grubą warstwą kurzu i zniknęła w wąskim korytarzu.

Mihály oddalił się jakoś po obiedzie. Zwykle przebywał w stajni. Jeśli miał wystarczającą ilość słomy albo suszonego łąjna, rozpalał tam ognisko przed nastaniem nocy. Mária często widziała przez okno blask płomieni. Gdy nie było nic do spalenia, siedział opatulony w koce, dopóki nie zmorzył go sen.

W pierwszych tygodniach okupacji nie odstępował jej niemal na krok. Kiedy ona szła nakarmić kury, szedł za nią. Gdy robiła coś w kuchni, trzymał się blisko, tak żeby ją widzieć przez cały czas. Za nic nie chciał spuścić jej z oka, w końcu jednak stracił czujność. Groźba gwałtu albo chłosty była realna w przypadku wieśniaków, u których kwaterowali szeregowcy, lecz oficerowie nie stanowili takiego niebezpieczeństwa. Zachowywali się stosownie wobec Márii, wyniośle, ale uprzejmie, co widząc, Mihály coraz częściej szukał schronienia w stajni. Jego dom przepędzali okupanci, cudzoziemcy mówiący obcym językiem, co było dla niego nie do zniesienia. Co wieczór rozmyślał o najeźdźcach zgromadzonych w jego salonie, przy jego stole, którzy snuli plany dalszych podbojów, spożywając jedzenie z jego spizarni.

Nawet jeśli Mihály miał pewne obiekcje względem pozostawiania żony w domu sam na sam z rumuńskimi oficerami, uspokajała go obecność Cioteczki Zsuzsy. Akuszerka zaczęła się bowiem u nich pojawiać niemal codziennie, a z nią Mária była równie bezpieczna jak z nim. Rumuni wiedzieli, że starą Romkę lepiej obchodzić szerokim łukiem.

Skradająca się korytarzem Mária otworzyła drzwi prowadzące do sypialni Sanyiego. Chłopak leżał na wąskim łóżku ustawionym w rogu i dygotał pod grubym kocem, który naciągnął sobie aż na głowę. Mária jednak potrafiła wychwycić kształt jego kościstej sylwetki pod spodem.

Nie opuszczał łóżka od wielu dni. Obie potrzeby musiał załatwiać do nocnika, w którym wiecznie chlupotało, ponieważ miał ciągłą biegunkę. Ale choć nocnik stał zaledwie metr od łóżka, Sanyi nierzadko robił pod siebie, taki był słaby.

Mimo że wiązało się to ze znacznym wysiłkiem, przebrał się w nocny strój, a daytime ubranie odwiesił tam, skąd codziennie zabierała je Mária. Przywykła już do częstego prania.

Wcześniej tego dnia Cioteczka Zsuzsa podała Sanyiemu kawę. Wypił ją po jej wyjściu, po czym odstawił filiżankę na parapet biegnący wzdłuż ściany nad łóżkiem, w miejscu dawno zamurowanego okna. Findzsa stała tam nadal, na tle gołych cegieł.

W najczarniejszych chwilach Sanyi dzielił się z matką swoją obawą, że choroba, która ścigała go przez całe życie, w końcu go dopadła. Nie przeszkadzało mu to pytać Cioteczki Zsuzsy, która sprawdzała jego stan codziennie, czy przypadkiem złapał grypę hiszpankę.

Mária sięgnęła po pustą filiżankę, aby zanieść ją do kuchni. Zabrała też cuchnące ubrania. W całej izbie zajeżdżało wygodką. Ba, smród roznosił się nawet na resztę domu. Zostawiwszy syna samego, pośpiesznie wyszła na zewnątrz, by wywietrzyć jego rzeczy, zanim nazajutrz rano zabierze się do ich wyprania.

Akuszerka odciągnęła zasłonę okienną, ale nic nie zobaczyła, ponieważ mróz pokrył szybę misternym wzorem. Chuchnęła więc i zwiniętą pięścią potarła nieprzejrzyistą powierzchnię.

Drzewa i krzewy rosnące w jej ogrodzie pokrywał szron. Pies schował się przed chłodem gdzieś w obejściu. Palenisko stało wystygłe od kilku dobrych dni. W normalnych okolicznościach nigdy nie brakowało jej opału, ale ta jesień okazała się zimniejsza i mokrzejsza niż poprzednie, a ona nie zdołała przygotować się w porę. Teraz Rumuni rekwirowali każdą furmankę, jaka pojawiła się w Nagyrévie, bez względu na to, kto powoził ani co wiózł. Cioteczka Zsuzsa bała się, że to, co ma w drewnitni, będzie musiało wystarczyć ich rodzinie aż do wiosny.

Okupacja wsi nie dotknęła jej tak bardzo jak innych mieszkańców. Nikt nie zakwaterował się ani w jej domu, ani w obejściu i nie musiała znosić szykan, które były chlebem powszednim reszty mieszkańców. A jednak był to w jej życiu najgorszy czas. Obecność Rumunów wiele ją kosztowała, i to pod różnymi względami. Musiała zrezygnować z codziennych obchodów, co oznaczało, że nie była w stanie odbierać zapłaty od pacjentów. W dodatku jej syn stracił posiadłość

listonosza, którą przejął po nim jeden z oficerów, a to uniemożliwiało jej przesyłanie swoich mikstur do osób spoza Nagyréva.

Poczuła się równie biedna jak w czasach dzieciństwa. Po dziś dzień pamiętała, że będąc dziewczynką, pokonywała dystans dzielący dom sąsiadów od jej domu rodzinnego obarczona misą z żarem, aby rodzice mogli rozpalić ogień pod własnym piecem. Pamiętała, że została zawleczona do domu wspólnotowego w pewne Boże Narodzenie, gdzie gadzie ciskali w tłum rromskich dzieci stare ubrania w ramach aktu dobroczynności. Mała Zsuzsa też wyciągała rączki po szmaty w tym ogólnym zamieszaniu.

Otrząsnąwszy się ze wspomnień, otworzyła drzwi i wyszła na ganek, wprost na zacinający śnieg z deszczem. Pokonała schodki i ostrożnie ruszyła ścieżką zasłaną oślizgłymi jesiennymi liśćmi. Uniosła haczyk przy furtce i pchnęła mocno ramię, żeby skruszyć blokujący ją lód. Gramoląc się na zewnątrz, splunęła do rowu, zanim stanęła niepewnie na drodze.

Jak okiem sięgnąć widziała tylko szarobeżową breję. Postanowiła trzymać się skraju, lecz nawet tam upadkiem groziły jej śliskie liście. Posuwała się do przodu chodem myśliwego, bacząc na każdy krok.

Koszyki zostawiła w domu. Kartę identyfikacyjną miała w kieszeni fartucha, tej samej, w której nosiła zawsze fajkę i kapciuch. Szklana fiolka w drugiej kieszeni, jak zwykle owinięta w szary papier, była pełna. W pewnym momencie akuszerka uniosła głowę i zaraz zakryła twarz dłońmi w ochronie przed siekącymi drobinkami. Rozejrzała się wokół, lecz nigdzie nie było żywego ducha, jeśli nie liczyć samotnego szeregowca na patrolu. Cioteczka Zsuzsa zdawała sobie sprawę, że w tak okropną pogodę na zewnątrz wyprawiał się tylko ten, kto naprawdę musiał.

Pokonała podwórze Márii i wspięła się na jej ganek. Do środka weszła bez pukania.

Wnętrze było cieplejsze, niż mogła powiedzieć o swoim domu w ciągu ostatniego miesiąca. Na żadnym z okiem Kardosów mróz nie odważył się

namalować wzorów. W powietrzu czuło się zapach palonego drewna. Akuszerka obrzuciła łakomym wzrokiem stertę opału, który szeregowcy złupili we wsi i przekazali oficerom.

W gardle poczuła mile drapiącą ostrą woń gulaszu. Z przyjemnością pociągnęła nosem, na co w jej brzuchu zaraz rozległo się burczenie.

Paru oficerów siedziało przy stole. Łyżki dzwoniły o zastawę, ławy szurały o podłogę. Popatrzyła z zazdrością na Mihályya, który właśnie przyłożył miskę do ust, aby wysiorbać resztki.

W kuchni zastała Márię stojącą nad garnkiem z bulgoczącym gulaszem.

– *Sanyiemu się nie poprawiło?* – zapytała przyjaciółkę.

– *Skądże* – odparła Mária.

Cioteczka Zsuzsa rozpięła płaszcz i przystanęła w progu, upewniając się, że przesłania widok Mihályyowi i oficerom. Sięgnęła do kieszeni i wymacała fiolkę. Podając ją Márii, szepnęła:

– *To, moja droga, też będzie cię kosztowało sześć tysięcy koron.*

Nie była to pierwsza fiołka, którą akuszerka dostarczyła potajemnie. Chorowity syn przyjaciółki z jakiegoś powodu nie chciał się poddać tak łatwo, jak sobie wyobrażała.

Kwota była gigantyczna. Za sześć tysięcy koron można było kupić dziesięć ton zboża. Było to właściwie wszystko, co Mária jeszcze posiadała. Zwitek banknotów okazał się tak duży, że miała kłopot z ukrywaniem go przez cały ranek.

Cioteczka Zsuzsa wyrwała jej pieniądze z ręki i czym prędzej upchnęła w kieszeni fartucha.

Zapłata była równa czterdziestu takim dawkom.

Akuszerka wyjęła zatyczkę i odmierzyła dwie łyżeczki roztworu do szklanki, którą Mária wcześniej napełniła wodą. Obecnie dało się go wymieszać z czymkolwiek: zupą, kawą, winem i zawsze był tak samo niewyczuwalny.

Z salonu dobiegały falami męskie głosy:



– *Racz nim Sanyiego trzy razy dziennie* – szepnęła Cioteczka Zsuzsa, wylewając resztę roztworu do miski z gulaszem. Zakręciła grubym palcem, aż zniknęły smugi.

Potem wręczyła miskę Márii, która ruszyła korytarzem.

Cioteczka Zsuzsa sięgnęła do kredensu po miskę dla siebie, nabrała pełną chochlę gulaszu i przeszła do stołu, gdzie sztywno usiadła na ławie obok oficera. Zatapiając łyżkę w gęstej od kawałków mięsa potrawie, wiedziała, że po sutym posiłku będzie się jej spało znacznie lepiej.

## **NIEDZIELA, 2 LISTOPADA 1919 ROKU, DZIEŃ ZADUSZNY**

Niebo rozpląkało się na dobre.

Wychudzone konie i muły z trudem ciągnęły wozy przez błoto głębokie po osie kół, które – całe oblepione breją – kręciły się powoli i rozchlapując maź, sunęły przepastnymi koleinami.

Listopad był jeszcze jednym powodem, dla którego węgierska dusza pogrążała się w rozpacz. Co roku zalegały wtedy gęste mgły, przyprawiające ludzi o flegmę w płucach. Ciężki, siny opar sięgał aż firmamentu, spowijając całą nizinę ponurym całunem, który przypominał Węgrom o tych wszystkich, których utracili. Nigdy nie było to odczuwalne bardziej niż w Zaduszki, które dla tego narodu były świętem ważniejszym niż jakiegokolwiek inne.

Ulice Nagyréva zapełniły się wieśniakami zmierzającymi na cmentarz, by przy grobach bliskich złożyć ofiarę. Znoszone dary miały ukoić niespokojne dusze. Żółte chryzantemy, gorzałka, szynka (prawdziwy rarytas) – skarby, które tylko w ten jeden dzień nie podlegały inspekcji i były bezpieczne przed lepкими rękami żołnierzy. Nim nastąpiła rumuńska okupacja, piekarz miał zawsze zbyt na liczne chały, długie na metr i na pół metra szerokie, ważące dobre pięć kilo. Wieśniacy kupowali je, aby nimi obdarować ubogich, ale odkąd w wiosce pojawili się Rumuni, zwyczaj ten podupadł.

Cioteczka Zsuzsa dołączyła do rzeki mieszkańców i około południa była już w domu Márii. Gospodarze zostawili palącą się świecę na wspomnienie zmarłych krewnych. Jej płomień chybotął się szaleńczo, rzucając ostre cienie na akuszerkę, kiedy ta z szuraniem krzątała się w kuchni przyjaciółki.

Błaszany garnek zadygotał na piecu, gdy jego zawartość osiągnęła punkt wrzenia. Cioteczka Zsuzsa podeszła do pieca ze ścierką w dłoniach i zdjęła garnek, po czym zgasiła ogień pod płytą. Zdenerwowana Mária nie odstępowała jej ani na krok, lecz w takich chwilach akuszerka nie zwracała uwagi na nic, a już na pewno nie na takie drobiazgi.

Od tygodni spędzały razem niemal każdy dzień i dziwactwa Márii znów przebiły się do świadomości Cioteczki Zsuzsy. Gdy za którymś razem podała Sanyiemu dozę swego specyfiku, Mária prawie że zachichotała, a jej głos zwykle podszyty był ekscytacją, gdy rozmawiały na temat realizowanego planu.

Teraz akuszerka uchyliła pokrywkę. Erzac kawy miał gorzkawy zapach, w którym na pierwszy plan wybijała się nuta marchwi i rzepy. Cioteczka Zsuzsa ostrożnie naląła trochę naparu do filiżanki, następnie odmierzyła dwie łyżeczki swojego roztworu – z przyniesionej przez siebie fiolki, gdyż zapas Márii uległ wyczerpaniu – po czym wymieszała go z kawą.

– *Należy się pięćdziesiąt koron* – powiedziała.

Od podania pierwszej dawki minęły miesiące. Niesłychane, że chłopak wciąż żył.

Zła pogoda ustąpiła na kilka dni i do Nagyréva zawitała wiosenna atmosfera. Niektórzy mężczyźni, wykorzystując sprzyjającą aurę, wdrapywali się na dachy swoich domów, aby naprawiać strzechy. Czasami zostawali tam dłużej, siedząc w kucki i gapiąc się na obejście sąsiada. Niczym przycupnięte ptaki łypali w milczeniu okiem, obserwując poczynania zakwaterowanych obok okupantów. Z tego bocianiego gniazda widzieli również drogę, patrolowaną przez żołnierzy niczym teren łowiecki przez drapieżcę. Tylko z rzadka dostrzegali psa. Wiejskie kundły nauczyły się trzymać z dala od wojskowych.

Mária powitała powrót słońca z ulgą. W pierwszy naprawdę ciepły dzień przeniosła Sanyiego na zewnątrz, gdzie kazała wystawić jego łóżko. Przykryła syna dodatkowymi kocami, pod którymi chował się niczym ranne zwierzę. Przyciągnęła nawet bliżej ławkę, aby móc koło niego posiedzieć. Skierowała twarz ku górze i przymknąwszy oczy, poddała się pieszczocie promieni słonecznych. Ostatnio całymi dniami skazana była na przebywanie w ciemnej, śmierdzącej izbie Sanyiego, który stał się jej oprawcą na równi z Rumunami okupującymi jej dom. To właśnie ich czujne spojrzenia więziły ją w czterech ścianach sypialni. Ta odrobina słońca i świeżego powietrza okazała się dla niej istnym wytchnieniem.

Mária była z natury obowiązkowa. Karmiła Sanyiego i czytała mu stare gazety. Smarowała jego ciało mazidłami i okładała kataplazmami. Kolegom syna mówiła, że jest zbyt chory, aby przyjmować gości. Towarzystwa dotrzymywała jej często Cioteczka Zsuzsa, która zamiast próżnować, wraz z przyjaciółką szorowała ściany octem siedmiu złodziei, aby pozbyć się odoru zalegającego w sypialni.

Sanyi pogrążał się co najwyżej w niespokojnym śnie, ale to wtedy właśnie Mária poświęcała synowi najwięcej uwagi. Krążyła wokół niego na paluszkach niczym duch, przyglądając mu się, lecz nigdy go nie dotykając. Oceniała odcień jego cery. Badała kruchość włosów. Nasłuchiwała oddechu, czekając, aż wyda ostatnie tchnienie.

## **ŚRODA, 19 LISTOPADA 1919 ROKU**

Z dnia na dzień temperatura znacznie spadła i krótki ciąg cieplejszych dni gwałtownie się urwał. O świcie Mária rozpałała w piecu pod wszystkimi fajerkami, dzięki czemu rumuńskich oficerów tuż po śniadaniu ponownie ogarnęła senność.

Uszczelniła szparę pod drzwiami szmatą i poupychała gałganki między ramami okiennymi a parapetami, żeby zapobiec przeciągom. U wejścia na strych zawiesiła koc, aby zatrzymać ciepło na dole. Niedługo w domu zrobiło się gorąco jak latem. Rumuni zwykle rozchodzili się rano do swoich zajęć – jedni na pocztę, drudzy do prowizorycznych biur – lecz pod dachem Mihálya było znieścacka tak przytulnie, że

postanowili nieco zmitrężyć. Rozleniwieni, nie zwrócili uwagi, że Mária zniknęła. Nie zauważył tego nawet sam Mihály.

Tymczasem ona przemknęła przez skute mrozem podwórze. Na niższych gałęziach drzew potworzyły się sopele, które – gdy pod nimi przebiegała – ułamały się i spadły na ziemię.

Dotarłszy do stajni, pociągnęła mocno za skobel, a kiedy wrota otworzyły się gwałtownie, wślizgnęła się do środka i zamknęła je za sobą. Oparła się o nie na moment, aby odzyskać dech w piersi. Mihály trzymał lampę na kołku przy wejściu. Zdjęła ją teraz i zapaliła zapałką z pudełka, które trzymał na krokwi, obok gorzałki.

Odstawiła lampę na warsztat i pośpiesznie, z szaleńczo walącym sercem, zbliżyła się do maty rozłożonej między workami z obrokiem a wiadrami na pomyje. Sanyi leżał tam niczym pisklę z przetrąconym skrzydłem.

Nachyliła się nad nim. Wydzielał woń rozkładu, skórę miał poszarzałą, był wyschnięty na wiór, a jego twarz wydawała się z jednej strony zapadnięta, z drugiej zaś napuchła. Jego głowa przywodziła Márii na myśl na wpół zaorane pole, tyle włosów zdążył stracić.

Chwyciła dwoma palcami fałdy sukni i umościła się na macie obok syna. Delikatnie poklepała stertę koców, którymi był przykryty. Przeniosła go tutaj nocą, do ostatniej chwili nie wiedząc, czy podoła zadaniu.

Ilekcóż zostawała z Sanyim sam na sam, mówiła do niego, jakby był jej powiernikiem. Stał się repozytorium dla wszystkich jej skrytych myśli i tajemnic, czymś na podobieństwo zamykanej na kluczyk książeczki z wyznaniem. Sanyi to tracił świadomość, to ją odzyskiwał, kiedy opowiadała mu o jego ojcu, o drobnych zaletach, które ją do niego przyciągnęły, i o poważnych wadach, które ją od niego odstręczyły. Szeptala o swoim małżeństwie z porucznikiem oraz o Mihályu. Przywoływała ulubione wspomnienia z dzieciństwa i urazy, które nadal żywiła do przyjaciół z młodości. Napomknęła o swoim pierwszym dziecku, chłopcu jak on, który jednak zmarł w niemowlęctwie na tyfus. Paplała do umierającego syna tak, jak mała dziewczynka papie do lalki.

Raz jeszcze poklepała koce. Przyjrzała się jego twarzy. Żuchwa mu opadła. Mária wiedziała, że to już nie potrwa długo.

Nieoczekiwanie się rozczuliła. To kazało jej przekopać pamięć w poszukiwaniu jakiegoś miłego wspomnienia, które z nim kojarzyła. Nagle sobie przypomniała. Dzień jej drugiego ślubu. Kościół pękający w szwach od weselników. Kiedy nadeszła pora odśpiewania hymnu, z chóru przebijał się głos Sanyiego, który siedział w pierwszej ławce z jej rodzicami. Śpiewał jak urodzony kantor. Wszyscy się zachwycali, jaki jest uzdolniony. Tak, to było dobre wspomnienie. Jedyne dobre wspomnienie o nim.

Wyciągnęła rękę i położyła dłoń na jego głowie.

– *Śpiewaj, chłopcze* – szepnęła. – *Śpiewaj moją ulubioną pieśń.*

Mária wypadła ze stajni. Nogi owionął jej chłodny podmuch. Furkocząc dołem sukni, popędziła przez podwórze.

Wiedząc, że wiatr porwie jej słowa, po drodze krzyczała:

– Sanyi nie żyje! Sanyi nie żyje!

Drobinki słomy, które przyczepiły się do jej sukni, kiedy siedziała na macie, teraz opadały z niej przy każdym ruchu.

– Sanyi nie żyje!

Ukucnęła, zaglądając przez szpary w ogrodzeniu. Wierzchowce rumuńskich oficerów, które stały tam wcześniej, przytroczone do sztachet, zniknęły.

Pokonując oblodzone stopnie po dwa naraz, wbiegła na ganek i pchnęła drzwi. Zawołała Mihálya. Zanim nastąpiła okupacja, ranki spędzał w domu wspólnotowym na lekturze, lecz teraz najczęściej ukrywał się u przyjaciela albo chodził na spacer po lesie, z dala od wścibskich spojrzeń żołnierzy.

Brudne naczynia w dalszym ciągu stały na stole. Drwa wciąż trzeszczały i pykały pod kuchnią. Wewnątrz nadal panowała niewinność, zakonserwowana ciepłem i bezruchem.

Trzeba było jak najprędzej odprawić pradawny rytuał dla obrony żywych przed duszami świeżo zmarłych. Zanim duch chłopca utknie tu na dobre. Mária nie chciała, aby Sanyi straszył później w jej domu. Dlatego pośpieszyła ku zegarowi na odległej ścianie, wiszącym nad jej drogocennym fonografem. Sięgnęła ponad urządzeniem i położyła drobną, drżącą dłoń na wahadle. Tykanie ustało. Było tuż po wpół do jedenastej.

Złapała dzbanek z wodą i chlusnęła do piecyka, żeby zdławić płomień. Zgasła też ogień pod kuchnią. Za parę chwil w domu zacznie się robić zimno, tradycja jednak nakazywała, aby nie palić przez co najmniej dzień.

Grudki lodu, które poprzyczepiały się do jej trzewików, topiły się teraz, tak że zostawiała za sobą miniaturowe kałuże, biegnąc korytarzem. Zmysł powonienia chciał ją przekonać, że Sanyi wciąż leży w swojej izbie, lecz minęła ją i wpadła do sypialni małżeńskiej, gdzie natychmiast zakryła lustro.

Pierwsza na miejscu pokazała się Cioteczka Zsuzsa. To ona posłała po Mihálya, który z kolei udał się powiadomić kolegów Sanyiego. W końcu wszyscy wybrali się na cmentarz, by wykopać grób.

Akuszerka wysłała kogoś z poruczeniem, aby sprowadził trumniarza, który miał wziąć miarę z nieboszczyka. Ktoś inny na jej polecenie ściągnął dzwonnika.

Ten ostatni zastał ją w stajni z Sanyim. Przeszli razem do kurnika, gdzie Cioteczka Zsuzsa – otworzywszy drzwiczki – wraziła rozczapierzone ręce do środka, żeby złapać jedną ze spanikowanych uwięzionych kur. Mocno trzymając przestraszonego ptaka, wyciągnęła go z kurnika i podsunęła dzwonnikowi, który wyrwał jedno pióro. Akuszerka wrzuciła kurę z powrotem do kurnika, zamknęła drzwiczki i skierowała się do leżącego wciąż na macie zmarłego Sanyiego. Patrzyła, jak dzwonnik przykłada piórko do ust chłopaka. Ani drgnęło. Następnie dzwonnik przesunął piórko pod nos Sanyiego, ale i wtedy nic się nie stało.

Dzwonnik obwieścił śmierć Sanyiego.

Zapytał, jaką przyczynę zgonu powinien podać.

– *Suchoty* – odpowiedziała Cioteczka Zsuzsa, biorąc tę nazwę z sufitu. I żeby zabrzmiało to bardziej oficjalnie, sprecyzowała: – *Tuberkuloza*.

Wychodząc, dzwonnik minął się we wrotach z trumniarzem, który przyszedł ze swoją miarką. Obiecał uwinąć się z trumną do popołudnia i pomalować ją na królewski błękit, czyli na ten sam kolor co trumnę Istvána Joljarta trzy lata wcześniej.

Teraz dzwonnik musiał tylko powiadomić mieszkańców o odejściu Sanyiego. W drodze do kościoła w pierwszej kolejności złożył wizytę pastorowi Tóthowi.

Wspiąwszy się na dwudzwonną wieżę kościelną, zaparł się stopami o podłogę. Przed twarzą miał sznur do mniejszego dzwonu – nazywanego dzwonem śmierci. Złapał obiema rękami wyplataną linę i szarpnął z całych sił. Serce dzwonu uderzyło w dolną krawędź, wydając donośny dźwięk. Dzwonnik ucapił pętlę wieńczącą sznur, który pomknął tymczasem do góry, i pociągnął za nią, aby powtórzyć uderzenie – raz, drugi, trzeci... Po sto pięćdziesiątym przesunął się w stronę większego dzwonu i także wybił na nim sto pięćdziesiąt uderzeń.

Gdy skończył, otworzył drzwi kościoła i stanął w progu. Na dziedzińcu było już sporo osób. Garstka kupców z ulicy Árpád wyległa przed swoje sklepy i nasłuchiwała. W kuźni zapadła cisza; kowal również nadstawił ucha.

– *Sándor Kovács junior, syn nieżyjącego Sándora Kovácsa seniora i Márii Szendi* – ryknął ile sił w płucach dzwonnik – *zmarł dziś przed południem w wieku dwudziestu trzech lat!*

Mihály wrócił z cmentarza po południu, cały utyłany. Włosy, ręce, twarz, stary płaszcz, który nosił na polowaniach – wszystko miał pokryte grubą warstwą błota. Jedynymi dwoma czystymi miejscami były jego oczy, ale już nie brwi, w których drobinki mazi utknęły i zastygły na dobre. Błoto w większości zdążyło zaschnąć i teraz kruszyło się na nim i odpadało przy każdym ruchu.

Na dłoniach miał niewielkie, ledwie widoczne zadrapania pozostawione przez gałęzie, którymi przykrył świeżo wykopany grób. Nakazywał to zwyczaj, broniący

dostępu złym duchom mogącym się tam zagnieździć nocą. Przy okazji dół był zabezpieczony przed drobnymi stworzeniami, których nie brakowało na cmentarzu.

Mihály był wykończony. Minionego tygodnia ukończył pięćdziesiąty trzeci rok życia i nie nadawał się już do pracy, która młodszemu mężczyźnie nie sprawiłaby najmniejszego problemu. W jego przypadku kopanie w twardej ziemi przypominało ciosanie skał. Zanim przystąpił do pracy, wyjął z ziemi nadbutwiały krzyż, długi na niecały metr. Przybita do niego tabliczka głosiła: „Tu spoczywa Károly Kovács. Żył 9 miesięcy. Zmarł w 1895 roku”. Wkrótce po drugiej stronie pojawi się napis: „Tu spoczywa Sándor Kovács junior. Żył 23 lata”. Sanyi miał zostać pochowany na trumience brata, którego nigdy nie poznał. Tabliczka była prosta, niczym nieozdobiona, a przez lata dorobiła się licznych wgnieceń i zadrapań. Mária nie zamierzała wymieniać jej na nową. Wydawanie pieniędzy na zmarłych to czysta strata.

Oficerowie przenieśli się na noc do domu wspólnotowego. Po ich wyjściu Cioteczka Zsuzsa, Lídia i Mari zaczęły szykować zwłoki do pochówku. Podwiązały zuchwę Sanyiego sznurkiem, żeby domknąć mu usta. Ogoliły go na gładko, co okazało się zajęciem trudniejszym, niż przewidywały, gdyż arszenik wywołał łuszczenie się skóry i jej przyśpieszone starzenie. Twarz Sanyiego pokrywało więcej zmarszczek niż zwykle u młodej osoby.

Ponieważ zdaniem Márii szkoda było pogrzebać monety, akuszerka oderwała dwa kawałki papieru z opakowania noszonej przy sobie fiołki i zrobiła z nich dwie kulki, które następnie położyła na powiekach nieboszczyka. To one będą musiały strzec zmarłego przed złymi duchami.

Wreszcie kobiety rozdziały Sanyiego z cuchnącego ubrania i umyły go szmatkami zamoczonymi w wodzie z mydłem. Cioteczka Zsuzsa zwykle traktowała ciało octem, aby nadać mu żywszego różowego odcienia, lecz nie widziała powodu, aby tak się starać w tym przypadku. Arszenik w zbytnim stopniu rozprawił się z doczesną powłoką Sanyiego.



Mária okazała się raczej balastem niż pomocą. Biegała z izby do izby jak podniecone dziecko, przesuwała meble to w tę, to we w tę i nerwowym gestem poprawiała łańcuszek na szyi. Nieświadomie zaczęła nawet nucić pod nosem, jak często robiła w stanach niepokoju czy ekscytacji, ale przestała, napomniana przez Cioteczkę Zsuzsę. Akuszerka przy więcej niż jednej okazji musiała zwrócić Márii uwagę, aby zachowywała się jak na osieroconą matkę przystało.

Na koniec ubrały chłopaka. W to samo ubranie, które miał na sobie dwa lata wcześniej podczas pogrzebu własnego ojca. Cioteczka Zsuzsa była jednak dalej zafrasowana, choć poświęciły kilka godzin na przygotowanie zwłok. Zdawały się one wyschnięte na wiór, co jak się obawiała, mogło przykuć uwagę żałobników.

Podniosła Sanyiego bez najmniejszego trudu. Był lekki jak kawałek drewna wyrzuconego na brzeg, pozbawionego wszystkiego, co niezbędne do życia. Chłopak w chwili śmierci ważył ledwie trzydzieści kilogramów.

Zataszczyła go do salonu, gdzie stół odsunięto już pod ścianę, a na dwóch krzesłach wsparła deskę, która miała posłużyć za katafalk. Pochylając się, Cioteczka Zsuzsa złożyła na nim ciało.

Obecnie w domu panował ziąb. Mróz wymalował wewnętrzną stronę szyb okiennych, ściany pod dotykiem wydawały się wilgotne. Z ust akuszerki unosiła się para. Choć była grubo ubrana, czuła się tak, jakby leżała w śniegu. Bolały ją wszystkie stawy. Nikt jednak nawet nie myślał o rozpaleniu w piecu – to będzie można zrobić dopiero po wyprowadzeniu zwłok.

Cioteczka Zsuzsa usłyszała, że na zewnątrz Mihály wita żałobników.

Po chwili do izby wkroczyła większa grupka, otaczając kręgiem trzy kobiety czuwające przy ciele. W ten sposób powstał ścisły kordon, przez który koledzy Sanyiego nie śmieli się przedrzeć.

– *Boże, zanieś pociechę pogrążonym w smutku i zabierz duszę zmarłego do swego królestwa w niebiesiach* – mamrotali wieśniacy.

– *Wysłuchaj ich, Panie* – odpowiadała im Mária, nie unosząc głowy.

Cioteczka Zsuzsa, Lída i Mária zaczęły lamentować. Ich zawodzenie było przejmujące. Ilekroć pojawiał się nowy żałobnik ze słowami modlitwy na ustach, ich pieśń przybierała na sile. Mając za tło chór płaczek, Mária wypowiadała żałobne formułki.

Okazanie odbywało się w pośpiechu, nikt z żałobników nie zagrzał miejsca w izbie dłużej ani nie zobaczył Sanyiego z bliska. Każdy miał co najwyżej parę sekund na pożegnanie. Czując odrzucenie i zmieszanie, najbliżsi przyjaciele chłopaka poszukali schronienia w stajni. Jedni przysiedli na odwróconych do góry dnem wiadrach, drudzy spoczęli na macie, nieświadomi, że to na niej Sanyi wydał ostatnie tchnienie. Wyciągnęli flaszkę Mihálya i puścili ją w obieg. Potem zaczęli myszkować po szafkach, aż znaleźli dzban z gorzałką. Dolatywało ich kobiece zawodzenie, choć odległość sprawiła, że dźwięki nabrały bardziej mistycznego wymiaru. Słyszeli też, jak starsi mężczyźni śpiewają psalmy.

Przerzucali się pozytywnymi opowieściami o przyjacielu. Nikt nie grał w taroka tak dobrze jak on. Nikt nie nakradł więcej kurczaków. Nikt w Nagyrévie ani w całych Węgrzech nigdy nie pobije Sanyiego Kovácsa juniora, jeśli chodzi o pomysłupek.

W miarę osuszania dzbana z gorzałką zaczęli wysuwać teorie na temat jego śmierci. To prawda, że w ostatnich latach coraz bardziej słabował, ale żaden z nich nie spodziewał się, że Sanyi umrze.

– Może jego odejście przyśpieszył nieudany pobyt w Budapeszcie – zasugerował jeden z młodzików.

Rozmawiali o śmierci starego Kovácsa i paru innych mężczyzn, których znali, a którzy niedawno zeszli z tego świata. Żołnierze, którzy przeżyli wojnę, po powrocie do domu rychło poddali się tajemniczej chorobie. Zaskoczeniem była śmierć pana Farkasa we wrześniu – miał tylko trzydzieści dziewięć lat. Grób innego mieszkańca wykopano zaledwie dwa dni wstecz.

Ostatnimi czasy było tyle zgonów, że młodzicy zaczęli się gubić w tym, kto jeszcze żyje, a kto już umarł. Zaśmiali się smutno, gdy jeden z nich opowiedział

anegdotę o tym, jak wybrał się na stypę po przyjacielu rodziny i po drodze minął go na ulicy.

Śmiech ustąpił dalszym rzewnym wspominkom o Sanyim. Zasiedzieli się do późnej nocy i opuścili stajnię dopiero wtedy, gdy zaczął sypać pierwszy śnieg.

## **CZWARTEK, 20 LISTOPADA 1919 ROKU**

Dom Márii i Mihálya pogrążony był w ciemnościach, jeśli nie liczyć słabego blasku roztaczanego przez lampę Cioteczki Zsuzsy. W dalszym ciągu było tu zimno i cicho.

Akuszerka wymknęła się z pogrzebu wcześniej, żeby wrócić do domu przyjaciółki, ale musiała się śpieszyć, gdyż niebawem żałobnicy mieli przyjść na stypę. Wtoczyła się do kuchni i odstawiła swoje koszyki, pełne krzewinek i jagód, których nazbierała specjalnie na tę okazję.

Sięgnąwszy do kredensu po garnek, w którym Mária zwykle gotowała gulasz, złapała garść krzewinek i jagód i cisnęła je do niego, a w ślad za nimi wrzuciła zapaloną zapałkę. Natychmiast poczuła też wdzięczność, gdy owionęło ją miłe ciepło.

Cioteczka Zsuzsa rzadko przejmowała się powrotem duszy gadzia na ziemię. Tylko romski duch, mullo, mógł wrócić i dręczyć żywych. Martwiło ją jednak, że przeciągające się cierpienie Sanyiego może się przełożyć na jego niepokój po śmierci. Lepiej było dmuchać na zimne.

Akuszerka przyglądała się, jak płomienie liżą, a potem pożerają krzewinki i jagody. Gdy poczuła przyjemny zapach, ujęła garnek za uszy i przeszła tak po całym domu, oczyszczając powietrze i przeganiając mitręzącego ducha Sanyiego. Jego miejsce było teraz gdzie indziej.

Chata, w której mieszkał Sanyi, znajdowała się nieco dalej przy ulicy Árpád na działce przyzwoitej wielkości. Cioteczka Zsuzsa znała ten dom. Od czasu do czasu pielęgnowała tam starego Kovácsa, póki jeszcze żył, cierpiąc na bóle mięśni, i była

wtedy zdania, że to ładna posesja. Idealna dla jej młodszego syna. Teraz tym bardziej tak uważała. Nic dziwnego, że ogarnęło ją uczucie zadowolenia jak po sutym posiłku, gdy Mária zgodziła się uiścić ostatnią ratę zapłaty, którą była winna akuszerce nie później niż w ciągu pół roku, właśnie pod postacią chaty Sanyiego.

## PODEJRZENIA LEKARZA

*Była to tajemnica poliszynela.*

– István Burka,  
wójt Nagyréva

Mária uniosła koszyk i położywszy go na obitą skórą ławkę, zakasała spódnicę, by samej wsiąść na bryczkę. Gdy już się usadowiła na miejscu woźnicy, poprawiła na głowie kapelusz z szerokim rondem chroniącym ją przed słońcem, ozdobiony długą wstążką, którą zawiązała sobie pod szyją na kokardkę. Z koszyka unosił się zapach pieczonej szynki, zapakowała do niego również kilka pajd pszennego chleba i parę owoców. Z radością udawała się na swoje pole, gdzie od pewnego czasu pokazywała się niemal codziennie.

Koń człapał wolno wzdłuż Árpád, oddalając się coraz bardziej od rynku, ale zamiast wyjechać na drogę wiodącą na pola, Mária skręciła w stronę domu Sanyiego. Odkąd obiecała go akuszerce, minęło prawie osiem miesięcy i ku jej wielkiemu rozdrażnieniu Cioteczka Zsuzsa zaczęła się domagać spełnienia obietnicy.

Ściągnęła wodze tuż przed furtką. Prowadziła ona ku sporemu budynkowi położonemu na niemałym kawałku ziemi, jako że Kovácsowie również należeli do ludzi zamożnych. Posesja była aż za dobra dla jej syna, który nawet nie potrafił docenić swojego szczęścia – co do tego Mária nie miała wątpliwości. Poprzyglądała się domowi jeszcze przez chwilę, po czym odwróciła wzrok. Odchyliwszy się na oparcie ławki, uniosła i strzepnęła lejce, zachęcając szkapę, by znowu ruszyła. Posesja taka jak ta z pewnością była też za dobra dla akuszerki.

Mária powoziła w zamyśleniu przez jakiś kilometr. Gdy wyjechała ze wsi, zaczęła spotykać na drodze Romki, które dźwigały na plecach wielkie toboły, poza

tym jednak było niemal pusto. Na trakcie zaroi się znowu dopiero o zmierzchu, gdy wszyscy zaczną wracać do domów.

Zadarła rondo kapelusza, by spojrzeć na boki. Po obu stronach ciągnęły się poletka poprzedzielane miedzami, na których teraz odpoczywali wieśniacy, spożywając południowy posiłek. Siedzieli wprost na ziemi i mieli przed sobą plody z wyłożonym jedzeniem.

Mária ponownie ściągnęła wodze, każąc szkapie się zatrzymać, i zmrużywszy oczy w rażącym blasku, zaczęła przeszukiwać wzrokiem swoje pole.

Zobaczyła, że on podnosi głowę, również mruży oczy i unosi rękę, aby do niej pomachać. Potem ociężale ruszył przez złociste łąny ku polnej dróżce, na której stała. Kierował się w jej stronę nieśpiesznie, stawiając krótkie kroki na krótkich nogach. Widziała w nim prawdziwego Węgra; nieważne, skąd naprawdę był, przejrzała go od razu.

Szedł nie inaczej jak inni wieśniacy i parobcy, boso, z butami związanymi sznurówkami i przerzuconymi przez ramię. Lniane odzienie miał ubrudzone ziemią, stopy czarne od brodzenia w glebie przez całe przedpołudnie, ale skórę równie złocistą jak dojrzewająca pszenica. Mária sięgnęła po koszyk z jedzeniem, aby podać go Franklinowi, i przy tym ruchu luźny koniec wstążki musnął jej twarz. Co dzień nie mogła się doczekać, kiedy go znów zobaczy.

Franklin i jego siostra Marcella uciekli z Transylwanii w czerwcu tego samego roku, kiedy region ten przypadł Rumunom w efekcie podpisania traktatu wersalskiego. Zarazem inne duże połacie kraju zostały zagarnięte przez istniejące państwa bądź posłużyły do stworzenia nowych, ale to właśnie Rumunia dostała najwięcej węgierskich ziem i zasobów. Powierzchnię Węgier przycięto tak drastycznie, że ponad połowa mieszkańców znalazła się poza ich granicami. Oprócz rodzeństwa setki tysięcy osób ruszyły do ojczyzny, aby zacząć życie od nowa.

Franklin i Marcella zamierzali osiedlić się w Szolnoku, lecz po przybyciu tam stwierdzili, że miasto jest przepełnione uchodźcami. Tysiące rodzin mieszkały

w stojących na bocznicach wagonach towarowych. Ci, którzy nie mieli tyle szczęścia, wylądowali w jeszcze gorszych miejscach. Rodzeństwo wyruszyło więc w dalszą drogę śladem artystów i wędrownych handlarzy, którzy parli na wschód, w stronę Nagyréva. Tam też Franklin postanowił, że poprosi klikona, aby wśród innych ogłoszeń wykrzyczał także to ułożone przez nich:

– Brat i siostra z Transylwanii podejmą pracę w zamian za wikt i opierunek!

Mária odpowiedziała pierwsza. Marcellę zaprzęła do pracy w obejściu, a Franklinowi zleciła postawienie jej gospodarstwa na nogi. Leżące odłogiem pola, które odziedziczyła, przez lata nie przynosiły plonów.

Zanim wysłała oboje do pracy, oprowadziła ich po wsi. Zaszła nad rzekę, aby mogli poznać kobiety, które czyściły tam sierpy i prały ubrania. Franklina i Marcellę przedstawiła jako „swoje nowe dzieci”. Zabrała ich do kościoła, do składu Feldmayra, na pocztę, na targ i wszędzie mówiła to samo:

– Poznajcie mojego nowego syna, Franklina, i moją nową córkę, Marcellę.

Dla dziewczyny przyszykowała dawny pokój Sanyiego. Ponieważ ostatnimi czasy Mihály coraz rzadziej bywał w domu czy stajni, chłopaka ulokowała na jego macie pośród worków z obrokiem i wiader na pomyje.

Teraz Franklin odebrał od niej koszyk, a ona przyglądała się z zadowoleniem, jak chłopak rozkoszuje się aromatem dolatującym ze środka. Czekwała, aż ją poprosi, aby zjadła razem z nim. Zapakowała dość, by wystarczyło dla dwojga.

Akuszerka sięgnęła pod stół, żeby rozmasować pulchne kolano, w którym właśnie odezwał się ból. Drugie także było zastęłe i opuchnięte, a w łydkach czuła mrówki. Ostatnio sporo czasu spędzała w swoim ogrodzie, doglądając ziół i kwiatów, dlatego artretyzm zaczął jej bardziej dokuczać. Rozejrzała się po karczmie, w której właśnie siedziała. Było niemal pusto. Większość ław pozostawała nadal wsunięta pod stoły, a podłoga lśniła czystością. Anna wysypywała trociny dopiero pod wieczór, przed falą klientów spragnionych po powrocie z pola. Cioteczka Zsuzsa trzymała oburącz główkę swojej fajki. Przed chwilą zaciągnęła się głęboko

dymem i teraz wypuściła gęstą chmurę, która poszybowała nad blatem w stronę opasłej, pomarszczonej twarzy Ébnera.

Moment później zaciągnęła się ponownie. Ébner tymczasem sięgnął po szczyptę tabaki i kolejno umieścił proszek w obu nozdrzach. Część drobinek opadła na jego świeżo wypomadowany wąs. W te dni, w które zakład cyruliczny był otwarty, Ébner lubił zajrzeć do środka, żeby Daniel potraktował pomadą jego zarost, sam bowiem nie miał cierpliwości do takich rzeczy. Cioteczka Zsuzsa mogła teraz obserwować podrygiwanie błyszczących koniuszków, kiedy Ébner coś mówił.

Ich spotkania przerwała okupacja, o co akuszerka miała żal. Gdy w końcu zobaczyli się ponownie, stwierdziła, że zdołał jeszcze przytyć przez te kilka miesięcy, choć nie miała pojęcia, jak to możliwe.

Już dawno się przekonała, że Ébner otwierający usta jest jak rybak zarzucający wędkę. Czekał, która przynęta będzie miała branie. Nauczył się tej sztuki od żony i dwu córek, które stanowiły najbardziej znane trio plotkarek w całym Nagyrévie.

Papłając, popijał wino i jadł z dużego talerza, który Anna przed nim postawiła. Między mlaśnięciami, siorbnięciami i ocieraniem ust chusteczką przekazał Cioteczce Zsuzsie nowinę o doktorze Szegedym, mianowicie tę, że staruszek ustępuje ze swojej funkcji.

Akuszerkaomal się nie zakrztusiła. Korzystała na pijaństwie i apatii starego medyka od dekad i wolała sobie nie wyobrażać, z jakimi trudnościami przyjdzie jej się mierzyć, kiedy pojawi się nowy lekarz.

Nie spuszczała oka z Ébnera. Był równie łakomy jak Mihály, a jedzenie traktował najbardziej poważnie ze wszystkich spraw w życiu. Obserwowała, jak unosi widelec do ust, których wąsy pilnowały niczym dwaj włochaci strażnicy. A jednak dalej mówił, językiem przepychając słowa przez nieprzeżute jeszcze mięso mielone. Cioteczka Zsuzsa dowiedziała się więc, że nowy lekarz otrzyma mianowanie w listopadzie. Ébner nadział na widelec kolejny kawałek i wrzucił do pieczary ust, zanim dobrze przełknął poprzedni kęs.



– Naszego doktora – wymamrotał z pełnymi ustami – zastąpi jego syn, Kálmán Szegedy junior.

Ébner otarł wagi chusteczką i jął manipulować scyzorykiem między zębami, żeby pozbyć się włókienka mięsa, które tam utkwiło.

\*\*\*

Letnia ulewa nie była niczym niesłychanym na Nizinie Węgierskiej. Tego roku sierpniowe deszcze były wyjątkowo intensywne i trwały trzy dni. Zmyły drogi i wezbrały rzekę, która niemal wystąpiła z brzegów. Rowy niczym wanny napełniły się wodą, gotową rozlać się na podwórka.

Mária, będąc w sypialni, słyszała, jak Mihály tupie za progiem. Usiłował strząsnąć z siebie ostatnie krople. Przy drzwiach leżała szmata, o którą mógł wytrzeć nogi, ale rzadko to robił. Dobiegły ją też stęknienia i przekleństwa, gdy zzuwał z trudem buty, po czym kolejne stęknienie, kiedy pozbywał się z ramion przemokniętego płaszcza.

Od wielu godzin deszcz tłukł usilnie o dach. Krople uderzały w szyby niczym twarde pestki. Wstrzymała oddech w ciemnościach, nadstawiając uszu, żeby śledzić ruchy Mihálya.

O tej porze roku słońce zachodziło późno, blisko dziesiątej, i właśnie gdy Marcella położyła się już spać i zanim Mihálya przygnało do domu oberwanie chmury, Mária pobiegła do stajni po Franklina.

– Nie możesz tu zostać w taką pogodę. Schroń się pod dachem, gdzie jest ciepło i sucho.

Ruszył za nią do domu, najpierw do jej sypialni, a potem – już sam – do salonu, gdzie rozłożył na podłodze stajenną matę Mihálya, wciąż wilgotną i lekko zatęchłą. Umościł się niedaleko kanapy, przeciągnął wszystkie kości i zaspokojony, prędko zasnął. Ser w pułapce zastawionej przez Mărię.

Dobiegło piśnięcie zardzewiałej lampy Mihálya. Błysnęło światło w korytarzu. Leżała zwinięta w kłębek, lichy czające się w półmroku. Nawet nie drgnęła.

Przez godzinę nasłuchiwała bębnienia deszczu, czekając. Z izby Marcelli nie dochodziły żadne dźwięki – dziewczyna była równie cicha nocą jak za dnia.

W końcu Mihály zbliżył się do progu sypialni. Zatrzymał się chwiejnie, poświecił na nią i zaraz gwałtownie cofnął rękę. Odprowadzała go wzrokiem spod powiek, gdy szedł korytarzem, rzucając cienie to na jedną, to na drugą ścianę, jakby sama lampa była pijana. Mária wiedziała, że na zewnątrz ledwie zdołał osłonić płomień przed panującym tam potopem, ale w domu nie zawracał sobie głowy takimi drobiazgami. Uchwyt lampy popiskiwał w miarę, jak się kołysała. Nierówny blask przesunął się z korytarza do salonu i tam zatańczył. Mária wstrzymała oddech.

Usłyszała, że Mihály obija się o sprzęty. Potem rozległy się jego wolne, ostrożne kroki. Nawet w samych skarpetkach miał ciężki chód, brzmiało to tak, jakby ktoś regularnie opuszczał na podłogę ciężarki. W krótkich przerwach wytrząsał krople z włosów. Rozbijały się z pluskiem o ziemię.

Wyciągnął rękę z lampą przed siebie. Płomyk zamigotał szaleńczo, kiedy lampa się zakołysała, wydobywając z mroku fragmenty izby: zegar, krzyż na ścianie, kawałek blatu, nóżki kredensu. W rogu stał fonograf Márii i na jego wierzchu pudełko z przyborami do szycia. Metalowe wieczko zaśniło w świetle. Obok była kanapa. Jej szczyt i oparcia błyszcząły wypolerowane przez Marcelłę. Mihály uczynił krok w stronę mebla. W marnym oświetleniu salon składał się z samych ostrych kątów i barykad, tak że Mihály stąpał przesadnie ostrożnie, jakby torował sobie drogę w kłębowisku jadowitych węży. Jeszcze jeden krok i... runął na ziemię jak długi.

Mária zamarła.

Płomyk lampy chybotął się żałośnie, gdy Mihály próbował odzyskać równowagę. Rozjaśniał to sufit, to stół, to krzesło, aż w końcu padł na stopy Mihálya, wyłaniając z ciemności także twarz Franklina, który nagle rozbudzony gapił się tępo w rażący klosz.

Mihály zmiażdżył go spojrzeniem.

– Co ty robisz, u diabła?

Franklin podniósł się niezdarnie na nogi. Złapał matę i wetknął ją sobie pod pachę.

– Co robisz w moim domu? O tej porze? Gdzie jest Mária?

Franklin usiłował znaleźć drogę do wyjścia.

– Wynoś się stąd, do cholery!

Mária zerwała się z łóżka. Wybiegła bosą na korytarz. Długie włosy miała rozpuszczone, zmierzwione, nieokiełznane. W ostatniej chwili zdążyła zobaczyć, jak Franklin wyslizguje się na zewnątrz prosto w deszcz.

Wyczuła Mihálya, zanim go ujrzała. Roztaczał woń będącą mieszaniną tytoniu, wina i mokrej tkaniny. Była w progu, gdy zległ na kanapie. Postąpiła ku niemu.

Większość mężczyzn, których Mária знаła w Nagyrévie, trzymała w domu skórzany pas, najczęściej wiszący na kołku przy drzwiach wejściowych. Mihály jednak nigdy nie potraktował jej pasem, nie widziała nawet żadnego pod jego dachem. Mimo to poczuła ukłucie strachu. I podniecenia.

W ciemnej izbie jego błękitne oczy wydawały się szare, stalowe wręcz. Emanował z nich gniew.

– Co robił w moim domu po nocy? Odpowiadaj, kiedy pytam, Márió!

Zerwał się na nogi. On, człowiek o gołębim sercu, w tej chwili był chodzącą wściekłością. Jego mięśnie, jego nerwy, napięte jak postronki, na krawędzi zerwania. Krew mu się gotowała w żyłach, potrafił myśleć tylko o jednym. Całego go przepełniała złość, może z wyjątkiem ukrytych na dnie duszy uczuć, które wciąż żywił do Márii.

Rzucił się w jej stronę.

Mária zrobiła krok w tył. Na oślep odszukała krzesło stojące pod ścianą. Schwyciła je za oparcie i cisnęła w stronę nacierającego Mihálya.

– Nie jesteśmy po ślubie! Mogę robić, co chcę!

Mihály odrzucił krzesło w jej stronę. Zanim ją dosięgło, wyrznięto o podłogę i przewróciło się na bok. Siła uderzenia zatrzęsła fonografem i strąciła pudełko

z przyborami do szycia. Jego zawartość rozsypała się wachlarzem.

– Nie jesteś moim mężem! Nie możesz mi mówić, co mi wolno, a czego nie!

Utrzymująca się kilka dni z rzędu wilgoć wychłodziła wewnątrz. Teraz niewielki przeciąg dotknął Márii niby lodowatym palcem. Drżała na całym ciele, tyleż z zimna, ile ze strachu, ale buta jej nie opuszczała.

Zrobiła krok w stronę poczerwieniałego na twarzy Mihálya. U stóp miał przestrzeń do niedawna zajmowaną przez matę.

W ciągu trzech lat, które z nim spędziła, z zapalem usuwała każdą przeszkodę, która między nimi stała. A jednak się z nią nie ożenił.

Nagle wydał jej się jakby mniejszy. Pochyliła się nad nim.

– Dopóki nie jestem twoją żoną, mogę robić, co mi się żywnie podoba!

## **PIĄTEK, 20 SIERPNIĄ 1920 ROKU**

W domu wspólnotowym było zimniej niż na zewnątrz. Kamienne ściany stanowiły skuteczną barierę broniącą dostępu do środka letnim upałam, a że ostatnie opady schłodziły znacząco sierpniowy gorąc, wewnątrz wydawało się wręcz lodowate.

W środku było pusto. W centrum pomieszczenia stała Mária ubrana w jedwabny kapelusz ozdobiony piórkami i kwiatkami, jeden z jej ulubionych i jedyny, jaki przywiozła z Budapesztu, aż do tej pory schowany na dnie szafy, którą dzieliła z Mihályem. Kruczoczarne włosy ułożyła sobie sama. Jedwabiste pasemka zakręciła w loki i upięła je pod kapeluszem, który to sposób podpatrzyła u budapesztańskich dam z towarzystwa i następnie opanowała samodzielnie metodą prób i błędów.

Suknię miała wąską i długą, z powłóczystymi, szerokimi rękawami i gorsetem, który wydawał się na nią za mały. Od lat nie przybrała na wadze ani grama, lecz śmieszne drobiazgi, takie jak ciaśniejsze pierścionki i ucisk w talii, mówiły, że ciała jej przybywa w najmniej oczekiwanych miejscach. Protestowała przeciwko tym

nieuniknionym zmianom, zawsze podając krawcowi te same wymiary co w młodości, gdy była dziewczęciem lat dwudziestu.

Na nogi włożyła swoje najlepsze jedwabne pończochy, których nie nosiła od pogrzebu Sanyiego. Ponieważ przeleżały tyle w szafie – i dlatego że na dworze była duża wilgoć – pachniały stęchlizną, co Mária zamaskowała paroma kroplami perfum.

Nawet ich zapach jednak umykał teraz jej uwadze, przesłonięty czymś znacznie mocniejszym. Mária czerpała powietrze małymi łydkami, a najchętniej w ogóle przestałaby oddychać. Dawała radę obejść się bez tchu całkiem długo, a każde kolejne westchnienie napawało ją przemożnym strachem. Ilekroć bowiem pozwoliła swojej piersi się podnieść, jej drobne nozdrza przepelniał smród końskiego łajna.

Przywykła do tej woni na ulicach, gdzie wiatr szybko ją rozwiewał, ale odór wewnątrz domu wspólnotowego był dla niej czymś niemożliwym do zniesienia. Tymczasem jego źródło stało tuż obok niej. To Mihály roztaczał ów smród, prezentując zebrany żalostną, a zarazem pogardliwą minę. Wyglądał jak rozbitek, który próbuje przyciągnąć do siebie uwagę fetorem.

Przybył do domu wspólnotowego dosłownie kilka chwil temu. Niezdarnie zsunął się ze swojej bryczki i wdepnął prosto w kupę miękkiego, ciepłego wciąż nawozu. Deszcz tłukł się o jego plecy, gdy rozważał, co począć. Zaczerwionymi oczami przyjrzał się zbrukanemu butowi, oglądając ekskrementy bacznie, jakby był to dowód w sprawie, a on sam był detektywem. Następnie przeniósł wzrok na drugi but, jakby szukając podpowiedzi. W końcu z jękiem zadarł nogę i oparłszy stopę o koło, zaczął pocierać podeszwą, aby pozbyć się z niej odchodów. Zamiast tego jednak tylko je bardziej rozsmarował. Jedna grudka natomiast odpadła i plasnęła prosto na czubek czystego dotąd buta.

Zmoknięty jak kura przeszedł z przedsionka do głównej izby, zostawiając za sobą cuchnące ślady, po czym stanął u boku Márii. Oba buty miał utyłane gnojem, który znaczył także dół jego spodni. Był nieuczestany. Jedna poła koszuli wystawała

mu spod kamizelki. Nie ogolił się nawet. Ledwie co widział, a pod czaszką czuł łomot, niemniej – jak sądził – to kancelista stał naprzeciwko niego.

Ébner trzymał w rękach otwartą Biblię. Na nosie miał okulary, których używał do czytania. Zawczasu zaznaczył sobie strony z wybranymi wersetami. Nie robił tego wystarczająco często, aby księga sama otwierała się w żądanych miejscach. Odkąd prawo się zmieniło, dopuszczając śluby cywilne, nie było ich wcale tak wiele. Zerknął w tekst, pomagając sobie palcem, po czym spojrzał na stojącą przed nim parę. Mária zaciskała mocno szczęki. Na jej obliczu dostrzegł – będące nabytkiem ostatnich lat – zmarszczki, przez które wyraz jej twarzy wydawał się jeszcze bardziej zacięty. Zauważył lekkie drżenie jej ciała. Ale oczy jak zawsze miała jasne i lśniące.

Mihályowi przyglądał się przez dłuższą chwilę. Nigdy nie widział równie wyzywającego pana młodego.

Ébner pochylił głowę nad Biblią i rozpoczął ceremonię.

## **LISTOPAD 1920 ROKU**

W pierwszy wtorek po objęciu posady doktor Kálmán Szegedy junior zjawił się w Nagyrévie z samego rana. Pogoda jeszcze się nie pogorszyła, dzięki czemu był w stanie odbyć ośmiokilometrową podróż bez problemów. Przejął bowiem nie tylko ojcowską praktykę w Cibakházie, ale też opiekę medyczną nad pacjentami z kilku wiosek – poza Nagyrévem także w Tiszaföldvárze i Tizsaküracie.

Gdy doktor Szegedy zeskoczył z bryczki, nawierzchnia ulicy Árpád nie była ani sucha, ani mokra, lecz powleczone warstwą szronu. Grunt wydał mu się szczególnie solidny ze względu na wcześniejszą chybotliwą podróż, którą nadal czuł we wszystkich kościach. Bryczka podskakiwała na każdym wyboju, dzięki czemu teraz mógł docenić miły, kojący bezruch.

Tak jak to robił poprzednio jego ojciec, doktor Szegedy zatrzymał się pod domem wspólnotowym, aby otworzyć swój gabinet, uprzednio zapoznawszy się

z listą umówionych wizyt. Tych, którzy nie mogli przyjść do gabinetu o własnych siłach, zamierzał odwiedzić w domu.

Przedsiónek zastał pogrążony w mroku, co nie było niczym dziwnym w tak chmurą pogodę, ale pomieszczenie właściwie nie zrobiło na nim najlepszego wrażenia. Nie licząc mapy i zegara, ściany były kompletnie puste. Pod jedną z nich stała długa ława. Przeciwległe drzwi prowadziły do jaśniejszej głównej izby. Przekroczył więc próg, za którym roztaczał się zapach nafty. Ponieważ klikon niedawno dolał jej do latarni przed wejściem oraz do przenośnych lamp nocnych strażników, woń była nadal intensywna.

Wszystko czekało przyszykowane na wizytę nowego lekarza. Terminarz leżał na stole, otwarty na bieżącym tygodniu. Wcześniej jednak doktor Szegedy zapragnął się zapoznać z pozostałymi rejestrami, uznawszy, że rozpoczynając swoje obowiązki w Nagyrévie, powinien sprawdzić akty urodzin i zgonów.

Księgi nosiły na okładce wytłoczony madziarski herb. Niegdyś szyte kartki z biegiem lat poluzowały się i zaczęły wypadać. Większość była poplamiona od dekad wertowania brudnymi rękami wieśniaków, ale i tak oprawne w skórę tomy wydawały się nazbyt eleganckie jak na ten nędzny przybytek.

Doktor Szegedy przyciągnął do siebie pierwszy z nich. Otworzył go i umocowawszy okulary na nosie, nachylił się w pozie upodabniającej go do staruszka, jakim obecnie był jego ojciec. Przesunął palcem po zapisanej atramentem kartce, odczytując imiona noworodków, daty ich narodzin i notatki naniesione przez akuszerkę. Szczególnie interesowały go uwagi na temat nietypowych porodów.

Natknął się na linijki, gdzie w miejscu imienia widniała długa kreska. Każda wzmianka na marginesie wyjaśniała, że dziecko przyszło na świat martwe.

Przerzucił stronę. Szelest papieru zakłócił ciszę panującą w sali. Lekarz zjawił się grubo przed otwarciem i tylko klikon czuwał w pobliżu, gotów na każde skinienie.

Przegląd wpisów okazał się nużący, mimo że doktor Szegedy przebiegał je wzrokiem tak prędko, jak umiał. Domyślał się, że jego ojciec w ogóle zaniedbywał ten obowiązek. W pewnym momencie zatrzymał wzrok w połowie strony. Pochylił się bardziej. Miał kłopot z odszyfrowaniem niewyraźnego pisma. Choć słońce zdążyło się już wspiąć na firmament, w pomieszczeniu było nadal dość ciemno. Doktor Szegedy rozejrzał się w poszukiwaniu okna, które powinno zapewnić więcej światła.

Zaczął wertować księgę wstecz, zaznaczając niektóre strony oślimi uszami.

Uporawszy się z rejestrem urodzin, zabrał się do rejestru zgonów, który zawarty był w paru księgach o stronicach dłuższych niż szerszych, dzięki czemu każda linijka mieściła więcej informacji. Doktor Szegedy poprawił na nosie okulary i otworzył pierwszą księgę. W tej samej chwili z zewnątrz dobiegło bicie dzwonów obwieszczające pełną godzinę. Dzieci zdążyły już udać się do szkoły, niosąc podręczniki w obroczeniakach, i teraz było słychać ich śmiechy i krzyki, kiedy bawiąc się po drodze, maszerowały w stronę budynku mieszczącego klasy.

Lekarz studiował rejestr zgonów równie uważnie jak przedtem rejestr urodzin. Większość radosnych okazji została uwieczniona na chybcika, niewyraźnym pismem, bez zastanowienia, jak ktoś zainteresowany poradzi sobie z odczytaniem informacji w przyszłości. Za to kaligrafia w rejestrze zgonów była nienaganna, jakby pełna szacunku dla zmarłego, który zakończył życie.

Sunął palcem z lewa na prawo, nie całkiem pewien, czego właściwie szuka.

Czytał kolejne wpisy, aż wreszcie zamarł. Przekartkował rejestr wstecz. Potem cofnął się jeszcze bardziej. W torbie lekarskiej miał kajet i pióro. Wyciągnął je teraz i zaczął robić własne notatki.

Od ślęczenia nad księgami rozboleły go plecy. Klikon krążył wokół niego coraz bardziej zniecierpliwiony, starając się zwrócić uwagę lekarza na terminarz.

W akademii medycznej doktor Szegedy nauczył się znajdować dowody choroby. Odcień skóry, szybkość pulsu, rytm serca, melodia oddechu. Każdy



symptom, każda skarga stanowiły przyczynek do stworzenia sobie szerszego obrazu, który przedstawiał pewien wzór.

Obecnie – nie miał co do tego wątpliwości – też dopatrzył się wzoru.

Wyprostował się przy stole. Zdjął okulary i rozmasował grzbiet nosa. Zatrzasnął okładki ostatniego tomu, czemu towarzyszyło westchnienie powietrza dobywającego się spomiędzy stron – coś na podobieństwo ostatniego tchnienia.

– *Jak* – zwrócił się do klikona – *nazywa się tutejsza akuszerka?*

Większość dnia doktor Szegedy spędził na wypytywaniu swoich pacjentów o Zsuzsę Fazekas. Chciał wiedzieć, od jak dawna jest akuszerką w Nagyrévie. Skąd przybyła i na ile dała się poznać mieszkańcom. Zadawał także pytania o jej rodzinę.

Nowy lekarz pod wieloma względami przypominał swego ojca za młodu. W początkach kariery doktor Szegedy senior przejawiał wielkie ambicje. Z czasem przystąpił do różnych rad i komitetów, dzięki czemu często bywał w Szolnoku, a nawet w Budapeszcie. Niemniej już przed wojną utracił wcześniejsze zacięcie. W miarę starzenia się był coraz mniej przenikliwy, wreszcie zaczął zaglądać do butelki. Przestał się interesować pacjentami. Zostawił ich w rękach akuszerki, która zgodnie z wielowiekową tradycją swoją praktykę opierała na ziołolecznictwie i magicznych wierzeniach. Nie przypadkiem obecna zmiana warty nastąpiła w momencie przejęcia władzy przez nowy reżim. Mianowanie przyszło prosto z Budapesztu, któremu zależało na oświeceniu zacofanych społeczności takich jak ta w Nagyrévie. Doktor Szegedy junior wiedział zatem, że będzie miał więcej obowiązków niż tylko cotygodniowe przyjmowanie pacjentów. Został powołany, aby wykorzenić zabobony z podległych mu wiosek. Tymczasem rezultat porannej inspekcji go zaskoczył. Spodziewał się starcia z tradycją, nie dochodzenia kryminalnego.

\*\*\*

W kolejny wtorek przyjechał lepiej przygotowany. Odprawił gestem klikona, który zjawił się przed nim z terminarzem. Zamiast zacząć przyjmować pacjentów,

poprosił o spotkanie z Ébnerem i nastawił się na dłuższe oczekiwanie w nijakiej sali, podczas gdy klikon udał się na poszukiwania kancelisty. Był sezon na bazynty i Ébner z pewnością przebywał w pobliżu swojej chaty myśliwskiej.

Siedząc na drewnianej ławie, doktor Szegedy rozmyślał o tym, że pogoda się psuje, robi się zdecydowanie zimniej i niebawem, za tydzień albo nawet prędzej, nadejdzie mróz, który uniemożliwi mu przyjazd do Nagyréva. Ta konstatacja wprawiła go w niepokój. Miał przed sobą wiele pracy.

Dom wspólnotowy na ogół świecił pustkami. Od czasu do czasu ktoś przynosił obwieszczenie klikonowi albo chciał się umówić na wizytę lekarską. Zdarzało się też, że wieśniacy pojawiali się większą grupą, aby poszukać u Ébnera rozstrzygnięcia dzielącego ich sporu. Najczęściej dom wspólnotowy gościł pod swym dachem jakiegoś rozrabiakę, który spędzał noc w areszcie (składziku klikona), ale zwykle panował tam spokój. Klikon zajmował się więc wymiataniem piachu, który wiatr nawiał przez szpary pod drzwiami. Telefon zazwyczaj milczał.

Ze swego miejsca na ławie doktor Szegedy miał dobry widok na biuro nowego poborcy podatkowego, hrabiego Molnára, który pracował w ciszy. Tacy jak on pojawili się w każdej wsi, odkąd nastał nowy reżim. Była to jedna ze zmian zarządzonych przez Budapeszt. Oczywiście Molnár był zniechęcony przez mieszkańców Nagyréva, co wzbudziło dla niego współczucie doktora Szegedyego.

Wkroczywszy do sali, Ébner przyniósł ze sobą chłodny powiew listopadowego powietrza.

Laską przepędził dziczące psy, które odprowadziły go aż pod próg, i zatrzasnął im drzwi przed nosem, zanim choć jeden zdążył dostać się do środka. Kancelista roztaczał woń gulaszu baraniego, a może koźlęcego czy świńskiego – w obliczu nęcącego zapachu psom było wszystko jedno.

Spojrzał z góry na doktora Szegedyego, który zdążył wstać z ławy, i wyciągnął do niego wielką dłoń na powitanie.

Wymijając klikona, podszedł do drzwi swojego biura, zadzwonił kluczem i otworzywszy zamek, pchnął laską skrzydło. Po wejściu do środka zdjął futro

z rysia, pozostawiając lekarzowi zamknięcie drzwi. Następnie, szurając nogami, zbliżył się do biurka, które było ogromnym meblem ani trochę niepasującym do tej izby. Kolubryna była niemal kwadratowa, tak że kancelista musiał się przepychać, aby się dostać do swojego fotela. Pośrodku blatu stała maszyna do pisania, a siedzący na wprost niej Ébner wyglądał niczym kapitan statku za sterem. Obok maszyny do pisania pysznił się telefon lichtarzowy, przy nim leżały jakieś papiery przyniesione przez klikona i naczelnika poczty.

Doktor Szegedy odstawił torbę lekarską, wcześniej wyjąwszy z niej swoje notatki, które dopracował w ciągu tygodnia, odwiedzając dom wspólnotowy w Nagyrévie jeszcze dwukrotnie, aby ponownie przejrzeć księgi i w ten sposób podbudować dalszymi szczegółami zrodzoną w jego głowie teorię. Teraz włożył okulary i docisnąwszy je do wąskiego nosa, jął odczytywać swoje zapiski Ébnerowi, który spoglądał na niego niezmiennie obojętnym wzrokiem.

Skończywszy czytać, lekarz podniósł spojrzenie na kancelistę. W jego oczach widział charakterystyczny blask przypisywany działaniu gorzałki, której butelkę Ébner trzymał w górnej szufladzie biurka.

Z zewnątrz doleciało stukanie końskich kopyt, co było oznaką, że ruch na ulicy Árpád się wzmacza. Dało się też słyszeć krzątającego się przed budynkiem klikona, który zamiatał chodnik przed wejściem.

Nie spuszczając oka z lekarza, Ébner odchylił się na oparcie fotela i w milczeniu skrzyżował ramiona na piersi. Potem rozważył sytuację, bawiąc się koniuszkiem wąsa. Zachowywał się jak rozleniwiony niedźwiedź, którego do reakcji zmusiły okoliczności. Wolnym ruchem sięgnął po słuchawkę, łapiąc drugą ręką za część lichtarzową telefonu. Ryknął do mikrofonu, każąc się połączyć z komisariatem policji w Tiszakürctie.

Cioteczka Zsuzsa leżała pod grubą warstwą koców. W izbie było ciemno, ponieważ zamknęła okiennice, broniąc światłu dostępu. Koce ciążyły jej, jakby wpychając ją w objęcia snu. Głowę miała złożoną na ulubionej poduszce.

Wróciła do domu po porannym obchodzie, który zakończyła paroma głębszymi w karczmie, i od razu położyła się do łóżka. Ilekroć ucinała sobie drzemkę w ciągu dnia, nie miała problemów z zaśnięciem, co po części wynikało ze zmęczenia, jakie wywoływało w niej chodzenie od domu do domu, a po części było skutkiem działania alkoholu.

W domu panowała cisza. Wnuki akuszerki były w szkole, a jej córka doglądała swoich pacjentów, którym jako uzdrowicielka oferowała masaże bolących pleców czy stawianie baniek mające pomagać na bóle głowy. Mari sięgała też po matczyne zioła, którymi traktowała inne dolegliwości, takie jak zatwardzenie czy uderzanie krwi do głowy.

Cioteczce Zsuzsie spało się najlepiej pod nieobecność reszty domowników. I najwięcej korzyści odnosiła z drzemek. Przywracały jej siły, a poza tym to właśnie podczas nich doznawała najbardziej wróżebnych snów. Tym razem nie spała jednak długo, zanim obudziła się z przestraczem.

Pies szczekał wściekle.

Odrzuciła koce i zwiesiła pulchne stopy za krawędź łóżka. Przywykła do tego, że budzi się ją z najgłębszego snu, gdyż dzieci nie znają się na zegarze i pchają się na świat o przeróżnych porach. Niepokojące było jednak to ujadanie kundla.

Wzwała chodaki i poczłapała do okna, gdzie przyłożyła spiczaste ucho do szyby. Nie usłyszała nic poza zajadłym szczekiem. Wypadła z izby, mamrocząc coś pod nosem. Podczas snu suknia owinęła jej się wokół ciała, poprawiała ją więc na sobie, idąc krótkim korytarzem. Tupała przy tym chodakami niczym pobijakiem. Serce jej biło jak młot. Stary pies nigdy nie szalał tak bez powodu.

Przebiegła do kuchni. W ferworze długie srebrzyste kosmyki włosów zakryły jej twarz. Policzki wciąż miała zaróżowione od wina i snu, na jednym widniał ślad odgnieciony od haftu na powłoczce. Rozejrzała się wokół siebie.

W powietrzu unosił się nadal zapach wcześniejszego posiłku. Na kołku wisiał fartuch, który zdjęła, zanim ucięła sobie drzemkę. Pies wydał z siebie przeciągły, przenikliwy pisk. Cioteczka Zsuzsa opadła na czworaki.

Niczym dziecko uczące się dopiero raczkować przepęzła pod ścianę. Palcami chodaków rysowała podłogę, ale jej pulchne dłonie prędko posuwały się do przodu. Przypadła plecami do ściany. Do jej uszu doleciał głos klikona.

„A to drań!”, pomyślała, sięgając do putsi, która leżała na jej biuście.

Na oślep wymacała sakiewkę, w której trzymała swoje amulety. Zaciśnęła na niej mocno palce i zaczęła mamrotać starożytne inkantacje, których nauczyła ją babka.

– *Wzywa się Zsuzsannę Fazekas!* – zawołał klikon śpiewnie.

Akuszerka podparła się dłońmi i podniosła na nogi. Przywierając wciąż plecami do ściany, ostrożnie zbliżyła się do okna.

Firanka zwieszała się aż do parapetu, pod którym znajdował się stół do wróżb.

Wyciągnęła jedną rękę i delikatnie odsunęła rąbek firanki. Wychyliła się nieco i wyjrzała na zewnątrz zmrużonymi oczami. Przy furtce pies odbijał się od ziemi jak piłeczka, przęzając grzbiet przy każdym podskoku, który kończył się w powietrzu korkociągiem. Szczęki kundla siekały powietrze.

Cioteczka Zsuzsa puściła firankę i obrzuciła kuchnię spojrzeniem. Koszyki były puste. Odwrotnie niż kieszenie jej fartucha, w których wybrzuszały się niewielkie przedmioty. Za to minionego wieczora uprzątnęła blat kredensu i pamiętała, żeby podomykać szuflady.

– *Wzywa się Zsuzsannę Fazekas!* – powtórzył donośniej klikon.

Patrzyła teraz na spizarkę. Serce zatłukło jej się w piersi. Starła się nie trzymać większych zapasów w domu. Naddatek przechowywała w słoiczkach zakopanych przy kompostowniku. Inny słoć skrywała pod paleniskiem służącym kundlowi do wygrzewania starych kości. Ale choć fiolki ze spizarki dawno zostały opróżnione, każda miała na dnie zachowany osad.

– *Menj a fenébe!* – zaklęła. – *A idźże do diabła!*

Raz jeszcze odchyliła firankę. Niebo było równie pochmurne jak przedtem, gdy robiła poranny obchód. Ogród stał zagrabiony. Jesienne liście dawno spłonęły w ogniu, a płot – opleciony teraz tylko suchymi gałęziami – pozwalał jej dostrzec

charakterystyczne hełmy policjantów, których dzięki pióropuszowi z kogucich ogonów nie dało się pomylić z żadnymi innymi. Teraz pióra te pyszniły się dumnie ponad krawędzią jej ogrodzenia, jakby to same koguty zdobiły głowy funkcjonariuszy, lustrując wieś z wysoka. Szybko puściła firankę. W życiu nie widziała w Nagyrévie policjanta. W Tiszakürctie co innego, tam czasami rzucali jej się w oczy, kiedy odwiedzała kuzynkę.

„Te przebrzydłe, wścibskie typy!”

Popędziła do spiżarki. Nie, nie było na to czasu. Zawróciła do kredensu, gdzie trzymała lep na muchy. Pociągnęła za szufladę, ale zaraz sobie uświadomiła, że nie ma jak pozbyć się zapasu. Moment później była znów przy oknie. Czuła się jak mysz w labiryncie.

– *A fene egye meg!* – rzuciła przez zaciśnięte zęby. – *Szlag by to!*

– *Wzywa się Zsuzsannę Fazekas! Wzywa się Zsuzsannę Fazekas!*

Rzuciła się ku stołowi i opadła na ławę, dysząc. Wezwała na pomoc babkę. Wezwała duchy.

Szukała w najbliższym otoczeniu podpowiedzi, co mogłaby zrobić w tej sytuacji. Zwlekła się z ławy i potoczyła korytarzem ku sypialni. Zawsze mogła położyć się w łóżku, udać, że spała. Może zresztą dranie zrezygnują, myśląc, że nie ma jej w domu. Wiedziała jednak, że jej stary wierny pies nie ujadałby tak bardzo, gdyby była poza domem. Policjanci też to z pewnością wiedzieli. Wróciła na ławę i przysiadła na niej ciężko. Zastanawiała się, czyby nie uciec, ale budynek miał tylko jedne drzwi, które prowadziły na zewnątrz i którymi można było wejść do środka. Akuszerka znalazła się w pułapce.

Wykonała gwałtowny ruch, chcąc się znowu podnieść z ławy, a wtedy putsi uderzyła ją w twarz. Cioteczka Zsuzsa chwyciła sakiewkę i przyłożyła ją do ust.

Chwilę później już przebierała nogami, tak szybko, aż suknia zaplątała się jej wokół ud. Dopadła płaszcz i jęła się ubierać. Na koniec przewiązała się mocno w pasie.

Przed domem unosił się dym z otwartego paleniska, które żarzyło się od świtu. Machając ramionami niczym czarownica, ruszyła przed siebie. Odpędziła psa od płotu i jednym sprawnym ruchem otworzyła furtkę. Stąd widziała wyraźnie klikona stojącego po przeciwnej stronie rowu. Miał na sobie czarną zimową pelerynę. Wełniana, stożkowata czapa opadła mu nisko na uszy. Bęben, który trzymał przed sobą, przywodził na myśl antałek.

Obok niego stali dwaj policjanci ubrani w dwurzędowe oliwkowe płaszcze, z karabinami przerzuconymi przez ramię i wyposażonymi w bagnet. Obydwaj nosili wąsy, które były dominującym elementem ich fizjonomii. Hełmy z pióropuszem dodawały każdemu niemal pół metra.

Gdy akuszerka przymierzyła się do przekroczenia progu, funkcjonariusze chwycili ją pod ramiona i przenieśli na drugą stronę. Wylądowała stopami niezgrabnie, lecz oni jej nie puścili. Klikon zamykał stawkę.

Zaniepokojony takim traktowaniem właścicielki kundel zaskomlił żałośnie.

O tej porze roku niewiele się działo na ulicy Árva. Od czasu do czasu jakiś wieśniak przejechał wozem, poza tym jednak było pusto i cicho. Mimo to nikt, nawet klikon nie zwrócił uwagi na okolicznych mieszkańców, którzy przycisnąwszy twarze do szpar między sztachetami, z zacisza własnych podwórek przyglądali się, jak Cioteczka Zsuzsa jest zabierana przez policję. Wśród ciekawskich sąsiadów nie zabrakło Petry.

Policjanci oddalali się zdecydowanym krokiem, aż kolby karabinów obijały im biodra. Cioteczka Zsuzsa musiała bardzo się starać, aby nadążyć. Za każdym razem, gdy zwalniała albo potykała się, zaciskali mocniej dłonie na jej ramionach. Klikon trzymał się parę metrów za nimi, stabilizując bęben rękami, aby mniej się kiwał.

Głosem tak słodkim, na jaki ją było stać, akuszerka zapewniała funkcjonariuszy i każdego, kto by się znajdował w zasięgu słuchu, że nie uczyniła niczego złego.

– Z pewnością to jakaś pomyłka.

Niewielki orszak zatrzymał się raptownie, dotarłszy do ulicy Árpád, po której chaotycznie poruszały się wozy. Jezdnia była wystarczająco szeroka, aby mogły się nią przemieszczać pojazdy wszelkich kształtów i rozmiarów ciągnięte przez zwierzęta, które często wybierały nie tę stronę co trzeba, a czasami zawracały zniemacka i zmieniały kierunek. Odbywało się to bez ładu i składu. Bez poszanowania jakichkolwiek zasad ruchu drogowego obowiązujących w miasteczkach i miastach. Można powiedzieć, że ruch uliczny odzwierciedlał zamęt miejscowej siatki ulic. Zwłaszcza w dni targowe dochodziło do zatkania przepustowości, gdy w jednym punkcie spotykało się za dużo wozów i zwierząt, przez co wieśniacy tracili czas na rozsupływanie tego węzła gordyjskiego, zanim ktokolwiek mógł ruszyć w dalszą drogę.

Policjanci oflankowali Cioteczkę Zsuzsę jeszcze ciaśniej, tak że czuła dolatujący z ich ust brzydki zapach zastarzałego tytoniu. Wehniałe płaszcze roztaczały stęchlą woń.

Wszędzie dokoła rozbrzmiewało dzwonienie jadących wozów, lecz to nie ono, a terkot dobiegający z urzędu pocztowego zwrócił uwagę akuszerki. Był niczym przywołujące ją światło latarni morskiej. Serce staruszki zatrzepotało, gdy do głowy przyszedł jej pewien pomysł.

Klikon właśnie ich wyprzedził, unosząc jedną rękę. Drugą zaczął uderzać w bęben, aby wstrzymać ruch na jezdni. Woźnice zatrzymali się skonfundowani.

Wybijający werble mężczyzna skinął na funkcjonariuszy. Ci chwycili Cioteczkę Zsuzsę wpół niczym porywacze, przenieśli przez ulicę i rynsztok, by postawić ją ciężko na chodniku po drugiej stronie.

Do tej pory zdążyła się zebrać spora grupa gapiów. Ludzie wpatrywali się z rozdziawionymi ustami w akuszerkę, która zamiast dwóch koszy na przedramionach miała tam łapy policjantów.

Czuła się jak w klatce. Z przymusu drobiać kroki, niewiele widziała, jeśli nie liczyć mignięć ubrań, butów i chust. Słyszała jednak, jak część kobiet wstrzymywała gwałtownie oddech. Mijając pocztę, wykrzyknęła ile sił w płucach:



– To jakaś pomyłka! Nie zrobiłam niczego złego! Niebawem będę znowu w swoim domu!

Jeśli tylko jej syn był w środku, musiał ją usłyszeć.

Parę chwil później została wprowadzona za próg domu wspólnotowego, gdzie drzwi zatrzasnęły się za nią z hukiem rozchodzącym się echem niczym w lochu. Na dokładkę opadł rygiel.

Przed sobą miała trzech mężczyzn. Pierwszego poznała niedawno. Drugiego często widywała. Trzeciego zaś nigdy wcześniej nie spotkała.

Hrabia Molnár urzędował w Nagyrévie od niecałego roku. Pozostali członkowie rady wsi zdążyli go poznać jako zacieklego biurokrate, który dzień w dzień notował ich drobne przewiny. Skargi na niego dotarły nawet do uszu Cioteczki Zsuzsy. Aż do niedawna Nagyrév świetnie sobie radził bez poborcy podatkowego i wieśniacy byli wzburzeni tą nagłą zmianą. Ledwie zawitał do wsi, akuszerka wybrała się do domu wspólnotowego, aby mu się przedstawić. Od tamtej pory nieraz korzystał z jej usług.

Ébner był niemal nieuchwytny w ostatnich tygodniach, odkąd zaczął się sezon łowiecki. Miał rozsiane po swoich ziemiach chaty myśliwskie i spędzał przy nich większość jesieni, polując na ptactwo i – rzadziej – na dziki. Czasami darował Cioteczce Zsuzsie ustrzelonego bażanta, którego ona skubała i piekła nad otwartym paleniskiem. Na widok kancelisty zalała ją fala żalu. W pamięci miała swoje przechwałki w karczmie: „Arszenik. Wystarczająca ilość, żeby uśmiercić setkę chłopów. Żaden lekarz nigdy się nie zorientuje”.

Na ostatek przyjrzała się nieznajomemu. Był mniej więcej w wieku jej synów. Wzrostu średniego, z rysującym się brzuszkiem. Nosił okulary w złotej oprawce. Z jego twarzy biła determinacja i inteligencja, czyli te dwie cechy, których raczej nie przejawiał jego ojciec, doktor Szegedy senior – przynajmniej w kontaktach z nią.

Pokój przesłuchań urządzono w izdebce klikona, dokąd zawleczono stół i jedną ławę. Z kolei prycza, na której przesypiali areszt zatrzymani i z której czasem

korzystał klikon, znalazła się po drugiej stronie stołu.

Sięgała akuszerce do połowy łydki. Na wierzchu leżał cienki wełniany koc. Cioteczka Zsuzsa zaczęła się wolno opuszczać, czując, jak płaszcz napina się na jej wszystkich fałdach, w pewnym momencie jednak artretyzm dał o sobie znać i dalej opadła z głośnym hukiem. Prycza jęknęła pod jej ciężarem. Staruszka prędko doprowadziła się do porządku i splotła dłonie na podołku.

Wszyscy trzech mężczyźni weszli do środka za nią. Ébner i Molnár stanęli pod ścianą, jako że wedle prawa przy przesłuchaniu policyjnym winni być obecni co najmniej dwaj członkowie rady wsi. Doktor Szegedy zajął miejsce na ławie obok jednego z funkcjonariuszy. Drugi pilnował akuszerki na stojąco.

Siwe włosy zwisały jej do ramion. Płaszcz opinał ją mocno, utrudniając oddychanie. Powiodła spojrzeniem od jednego mężczyzny do drugiego, ale wszyscy mieli nieprzeniknione miny, tak że nie znalazła żadnego punktu zaczepienia. Zacisnęła palce. Na blacie leżały jakieś księgi.

Izdebka klikona była mała i duszna. Nie przewidziano jej aż na tyle osób. W rogu stała miotła z wiadrem, obok leżały przesiąknięte zapachem octu szmaty.

Cioteczka Zsuzsa wbiła wzrok w siedzącego naprzeciwko niej lekarza, który zaczął właśnie wertować jedną z ksiąg. Zauważyła, że spomiędzy stron wystają karteluszkę, którymi oznaczono pewne miejsca. Natychmiast uświadomiła sobie swój błąd.

Ojciec i syn byli do siebie podobni pod niektórymi względami, takimi jak wzrost czy fryzura, ale poza tym bardzo się różnili. Przyglądała się, jak młody doktor Szegedy majstruje przy okularach. Zdjął je, skrupulatnie przeczyścił szkła, po czym nałożył z powrotem. Podzielił księgi na dwa stosy, z czego jeden rejestr miał przed sobą – otwarty na zaznaczonej stronie. Zasiadający obok niego policjant przyszykował swoje wieczne pióro.

Cioteczka Zsuzsa poczuła, że jej myśli rozbiegają się jak stado szczurów po zaułkach. Wlepiła oczy w stos rejestrów. Leżały na sobie niczym cegły. Na przestrzeni lat otwierano je i zamykano tak często, że ich grzbiety niemal całkiem

się przetały. Stronice pożółkły z upływem czasu. Okładki roztaczały woń zatęchłej skóry.

Akuszerka zerknęła na policjanta z przygotowanym kajetem. Zaczął coś pisać z mozołem, drapiąc po papierze stalówką jak kura pazurem. Gdy spojrzała na Ébnera, ten odwrócił wzrok. Wróciła więc do patrzenia na księgi. Od lat prowadziła własne w domu, odnotowując nieoficjalnie przypadłości swoich pacjentów, wdrożone leczenie, okoliczności narodzin i śmierci. Nikomu nie pokazywała tych notatek.

W pewnym momencie doktor Szegedy pochylił się niżej, przyłożył palec do kartki. Wiedziała, że musi go uprzedzić, i to szybko.

Lampę, która normalnie wisiała u sufitu, zdjęto z haka i umieszczono na stole, aby ułatwić lekturę. Było to także ułatwienie dla Cioteczki Zsuzsy, która przyglądając się badawczo lekarzowi, czuła, jak narasta w niej determinacja. Nic nie powie temu gadziowi.

Dzwony wybiły pełną godzinę.

Akuszerka wiodła spojrzeniem za zsuwającym się po stronie palcem lekarza i w pewnym momencie zdała sobie sprawę, że doktor Szegedy czyta rejestr urodzin.

Poczuła zdziwienie. Mimo że widziała wszystko do góry nogami, starała się wypatrzeć, czego młody lekarz może szukać.

Doktor Szegedy odkrył pewien wzór. Najpierw zauważył wysoki odsetek martwych urodzeń. Zagłębiwszy się w dane, uprzytomnił sobie, że zatrważająca liczba małżeństw ma tylko dwoje dzieci: chłopca i dziewczynkę. Był świadom, z jakiej metody planowania rodziny korzystają mieszkańcy Nagyréva. Po stwierdzeniu płci noworodka, jeśli była ona niepożądana, dziecko zabijano. Nie mogło być przypadkiem, że system ten wszedł w życie wraz z pojawieniem się w wiosce nowej akuszerki, Cioteczki Zsuzsy właśnie.

Doktor Szegedy odsunął księgę i sięgnął po inną, także otwierając ją na oznaczonej stronie. Kartka była dłuższa niż szersza, z czego wynikało, że zabrał się do czytania rejestru zgonów. Cioteczka Zsuzsa wstrzymała oddech.

„Co też tam odkrył?...”

Lekarz odczytał wpis: „Śmierć noworodka, kilka minut po porodzie. Dowód na wdrożenie godnej pożałowania metody planowania rodziny przez miejscową akuszerkę”.

Cioteczka Zsuzsa nagle się rozluźniła, sprawiając, że prycza pod nią jęknęła i zaskrzypiała. Dotarło do niej, że gadzio nic na nią nie ma – nic, czego nie mogłaby wyjaśnić lub podważyć. Tak ją to uspokoiło, że przestała bezmyślnie kręcić kółka kciukami. Obie z siostrą robiły to, ilekroć były zdenerwowane, ale ona mogła teraz złożyć ręce na płask, wnętrzem dłoni do góry. Wyglądała dzięki temu jak mędrzyni, niekłopotana niczym kapłanka. Zrozumiała, że jej inkantacje odniosły skutek.

Niespodziewanie poczuła kopniaka wymierzonego przez policjanta w jej nogę. Poleciała do przodu, niemal zderzając się głową z kantem stołu.

– Jesteś dzieciobójczynią?!

Funkcjonariusz kopnął ją znowu.

Cioteczka Zsuzsa ponownie spojrzała na Ébnera, który opierał się teraz o ścianę. Niemal rozpląszczył się na niej, jakby chciał zrobić więcej miejsca innym albo stać się niewidzialny. Napomadowane koniuszki jego siwych wąsów rozczapierzyły się od nerwowego pocierania. Kancelista zwiesił głowę i wbił spojrzenie w podłogę.

Akuszerkę ogarnęło politowanie. Czy ci gadzie naprawdę byli takimi głupcami? Naprawdę nie wiedzieli, że dosłownie w całej Europie każda kobieta wykonująca jej zawód ma moc zarówno sprowadzania życia, jak i jego przerywania? Bez niczyjej pomocy zapobiegły masowemu głodowi czy to z powodu zbyt dużej liczby dzieci, czy to z powodu wyschniętych piersi.

„Tak, jestem dzieciobójczynią – pomyślała. – Skoro chcecie tak to nazwać”.

Osobiście wolała inne określenie.

– Tak, tworzę aniołki.

Na to oświadczenie policjant zasiadający przy stole zaczął notować szybciej, zwłaszcza że Cioteczka Zsuzsa zalała słuchaczy falą słów, traktując to nie tyle jako spowiedź, ile jako manifest własnej profesji. Wyjaśniła mężczyznom, że ma obowiązek pomagać ludziom w zakładaniu praktycznych rodzin: nie więcej niż dwie gęby do wyżywienia, jeden posag do zapłacenia, jeden posag do otrzymania, tylko jeden dziedzic majątku, zwykle męski potomek. Utrzymywała przy tym, że oferuje ubogim wieśniakom usługę, jakiej zapewne klasy wyższe nie byłyby w stanie docenić.

Uznawszy, że powiedziała swoje, odchyliła się do tyłu na pryczy. Obojętnym gestem poklepała się po kieszeniach, szukając fajki.

Za oknem było już ciemno. Kupcy pozamykali sklepy, kowal miał niebawem zaprzestać kucia na ten dzień.

Doktor Szegedy podniósł się z ławy. Sięgnął palcami pod szkła, żeby przetrzeć zmęczone oczy.

Policjanci od nowa na nią naskoczyli.

– Wstawaj!

Kolejny kopniak okazał się mocniejszy od poprzednich. Wymierzony prosto w piszczel, wyrwał z ust akuszerki okrzyk bólu. Krzyknęła ponownie, gdy obaj funkcjonariusze poderwali ją z miejsca.

– Jesteś aresztowana!

Lekarz pochylił się nad stołem i zatrzasnął okładki rejestru zgonów, nieświadomie więżąc resztę aniołków Cioteczki Zsuzsy.

W chacie Cserów, długo po zamknięciu karczmy, Anna leżała bezsennie, nasłuchując werbli klikona i wypatrując upierzonych hełmów. Zastanawiała się, czy to ona będzie następną.

# JAKIMKOLWIEK SPOSOBEM I MAGIĄ

*Śmierć prześladowała Nagyrév jak koszmar.*

– hrabia Molnár,  
poborca podatkowy z Nagyréva

## SZOLNOK

Zakład karny hrabstwa Szolnok był parterowym budynkiem z wejściem bezpośrednio od ruchliwej ulicy Gorovego, parę kroków od placu Kossutha, na którym dwa razy w ciągu tygodnia odbywał się targ. Naprzeciwko niego mieścił się warsztat metaloplastyczny pod szyldem Fehér Fickó z wymalowanym na blasze białym psem, w pobliżu zaś – prywatny klub z kasynem dla arystokratów i apteka. Obok apteki znajdował się sklep wielobranżowy, na który mówiono U Aniołka, co miało być dowcipnym nawiązaniem do sąsiedztwa więzienia. Budynek wzniesiono zaledwie trzy dekady temu (wcześniej jego funkcję pełniło wydzielone skrzydło pobliskiego ratusza), a był w stanie przetrzymywać równocześnie do dwóch tuzinów osadzonych. Dowolnego dnia dało się zastać w środku mieszaninę drobnych złodziei, rozrabiaków, oszustów i pojedynkowiczów – tak, na Węgrzech wciąż żyli mężczyźni, którzy woleli załatwiać sprawy między sobą za pomocą szabli. Ostatnio od wielu dni mury więzienia pokrywała cienka, lecz widoczna warstwa szronu. Sople lodowe wisały u okapu.

Cioteczka Zsuzsa uniosła się częściowo z kamiennej posadzki. Wełniany koc, którym się wcześniej opatulila, zsunął się z niej powoli. W jego splot wbiły się kawałki słomy, przyniesionej do celi minionego wieczora i czepiającej się teraz także akuszerki. Miała ją we włosach i w ustach, a jej policzek zdobiła delikatna siateczka odcisniętych w skórze słomek. Wspierając się plecami o ścianę, zamrugła opuchniętymi powiekami. Spała niespokojnie i padała ze zmęczenia.

Wypiła kawę przyniesioną jej przez strażnika i odstawiła pusty kubek obok drzwi, skąd mógł go łatwo zabrać. Naparowi daleko było do prawdziwej kawy, a jego smak dziwnie przywodził na myśl marchew i rzepę, które pamiętała wciąż z czasów wojny. W rogu celi stał przepełniony nocnik. Później, w ciągu dnia, pojawi się po niego dozorca, by go opróżnić. Na razie cuchnął jej moczem i odchodami.

Cela miała około dwóch metrów długości i tyle samo szerokości. Pozbawiona okna, marnie ogrzewana, była wymarzonym domem dla karaluchów, które uganiały się po niej w dzień i w nocy. Jedyne drzwi były wąskie i ciężkie, z judaszem na wysokości głowy, przez który strażnik zaglądał do środka, kiedy chciał.

Tego ranka nie widziała nikogo poza nim. Zdarzały się dni, że nie widziała nikogo poza nim od świtu do zmierzchu. Zaraz po przyjeździe przesłuchał ją sędzia śledczy, mimo że w Nagyrévie spisano jej zeznania. Od tamtej pory kilkakrotnie spotkała się ze swoim adwokatem. Pojawił się u niej także lekarz, który przeprowadził test na inteligencję i badanie psychologiczne, stwierdzając, że nie jest upośledzona umysłowo i że jest zdrowa psychicznie.

Cioteczka Zsuzsa większość czasu spędzała wyciągnięta na posadzce. Kładła się w słomie i zakrywała kocem, żeby uchronić się przed kąsaniem karaluchów, po czym robiła wszystko, co mogła, aby zasnąć. Sen jednak rzadko przychodził. Niegdyś jej stały kompan, opuścił ją teraz i w zastępstwie zsyłał na nią koszmary. Ilekroć przymknęła oczy, widziała wielobarwne postacie. Nieważne, czy była to noc, czy dzień – w celi zawsze panowały takie same ciemności – pod jej powiekami malowały się fantastyczne kolory. Jedne przybierały ludzkie kształty, drugie tylko fragmentaryczne, brakowało im głów albo kończyn. Były to wytwory pozbawionego snu, odizolowanego od bodźców umysłu. Niektóre miały nawet towarzyszy. Wszystkie się z niej natrzęsały. Cioteczka Zsuzsa była pewna, że to jakiś mullo się na niej mści. Musiała wysłuchiwać okropnych rzeczy.

Odosobnienie dotknęło ją nie z czyjejś złej woli, lecz w wyniku zaistniałych okoliczności: była jedyną kobietą w więzieniu. Tygodnie spędzone w zamknięciu wywoływały u niej klaustrofobię. Chwilami miała nieodpartą chęć miotać się o ściany,

uderzać ciałem w kamień, dopóki jedno – albo ciało, albo kamień – nie ustąpi. Strach powodował, że serce waliło jej jak oszalałe. Pierś wokół niego zaciskała się niczym boa dusiciel na żywej ofierze, więżąc i płuca, przez co ledwie była w stanie oddychać. Panika w końcu mijała, huragan uczuć przechodził w zwiewną bryzę, a Cioteczka Zsuzsa ocierała oczy i nos rękawem albo rąbkiem brudnej czarnej sukni.

Na zachodnim krańcu gmachu przycupnął sąd. Jego fronton otwierał się na boczną uliczkę, a westybul był znacznie mniej okazały od tego więziennego. Na krańcu korytarza mieściła się prokuratura, gdzie miał swój gabinet János Kronberg.

Był on tylko jednym z wielu Transylwańczyków, którzy obecnie pracowali w sądzie w Szolnoku. Liczni sędziowie i prokuratorzy jak on uciekli przed Rumunami minionego roku, gdy wyznaczono nowe granice Węgier. Napływ imigrantów z różnych regionów sprawił, że miejscowy wymiar sprawiedliwości miał pełne ręce roboty i potrzebował więcej ludzi do pracy. Oprócz spraw czysto urzędowych były też sprawy kryminalne, ponieważ masa uciekinierów przywlekła za sobą równie dużo problemów. Niemałą ulgą dla systemu sądownictwa byli prawnicy przybyli z tych samych rejonów co większość uchodźców.

Na czele sądu w Szolnoku stał nowy prezes – to stanowisko pozostawało puste od czasu, gdy z rąk Chłopców Lenina zginął jego poprzednik. W ścianach nadal ziały dziury po kulach, którymi zastrzelono go wraz z innymi osobami. Kościoły, domy, fabryki, szkoły – rozmaite budowle nosiły blizny po czerwonym terrorze. W miesiącach, które Kronberg spędził w Szolnoku, przekonał się, że miasto to musi sobie radzić zarówno z nowymi mieszkańcami, jak i z nowymi upiorami.

Teraz obrzucił spojrzeniem wokandę. Liczba spraw przyprawiała o zawrót głowy. Było paru złodziei, dalej parę osób oskarżonych o pijaństwo w miejscu publicznym, z czego większość żyła w opuszczonych wagonach towarowych, wreszcie pozostawały do rozpatrzenia niezliczone wnioski dotyczące kwestii związanych z czerwonym terrorem. Do tego wszystkiego trafiła mu się aborterka z Nagyréva. Tamtejsi policjanci szczegółowo spisali jej zeznania. Ponieważ rzadko się zdarzało, aby można było przed sądem zaprezentować tak dobrze przygotowany



materiał dowodowy, Kronberg był pewien, że przynajmniej ta sprawa nie nastreczy mu większych problemów.

## NAGYRÉV

Od aresztowania Cioteczki Zsuzsy w wiosce panowała atmosfera nerwowego wyczekiwania. Dla wielu osób był to powód do ekscytacji. Uregulowanie rzeki przed półwieczem – to samo, które trzymało ryby z dala od sieci rybaków – trzymało także policję z dala od Nagyréva. Wymuszone koryto utworzyło niemalże pętlę wokół wsi, odcinając ją od sąsiadów z Niziny Węgierskiej, w efekcie czego obecnie tylko najstarsi mieszkańcy pamiętali poprzednią wizytę funkcjonariuszy. Nikt za to nie znał nikogo, kto by odsiedział wyrok w prawdziwym więzieniu. Wszyscy byli przyzwyczajeni do kar wymierzanych przez radę wsi, które sprowadzały się do paru batów przy pręgierzu czy nocy spędzonej w składziku klikona. Ale zawsze chodziło o drobne przewiny zasługujące na lekkie sankcje. Akuszerkę tymczasem oskarżono o przestępstwa, które znacznie wykraczały poza kompetencje lokalnego wymiaru sprawiedliwości.

Im dłużej Cioteczki Zsuzsy nie było, tym częściej ludzie mówili o niej tonem plotek i podejrzeń. Wyrwa, którą po sobie zostawiła, zapełniała się coraz szybciej wątpliwościami i spekulacjami. Niczym dziki bluszcz rozrastała się sieć przypuszczeń, której każde rozgałęzienie kończyło się nowymi pytaniami. Domysły wyrażone szeptem przez kolegów Sanyiego w dzień jego pogrzebu teraz znalazły się na ustach wszystkich.

Policja tknęła osobę nietykalną, czarownicę. Czy jej zbrodnia była tak wielka, by funkcjonariusze ryzykowali rzuconą przez nią klątwę? Czy chodziło tylko o martwe urodzenia, czy o coś więcej, o czym mieszkańcy Nagyréva nie zostali poinformowani? Może, zastanawiali się co poniektórzy w najczarniejszych chwilach, Cioteczka Zsuzsa rzuciła zaklęcie na miejscowe kobiety. Byli tacy, co powiadali, że to jedyne wytłumaczenie rosnącej liczby zgonów wśród zdrowych jak koń mężczyzn. Pogłoski zataczały coraz szersze kręgi, aż pewien człowiek,

który ostatnio zachorował, zażartował wisielczo, iż chce, aby na jego nagrobku znalazł się napis: TUTAJ SPOCZYWAM, PODCZAS GDY MOJA ŻONA ODPOCZYWA W DOMU.

Nikt nie zwracał uwagi na Annę Cser. Tymczasem ona nie mogła się otrząsnąć z przerażenia, odkąd aresztowano akuszerkę. Była pewna, że lada moment w drzwiach karczmy pojawią się policjanci, by i ją zabrać. Od dnia, w którym we wsi pokazali się funkcjonariusze, ręce nie przestawały jej drżeć. Cierpiała na horrendalne bóle głowy, które trwały całymi dniami. Jedzenie, które w siebie wmuszała niewielkimi porcjami, psuło się w niej i wylatywało w postaci luźnego stolca.

Syna i córkę wystawiała jako czujki. Ilekroć wracali do domu, przepytывała oboje, co i kogo widzieli. Często jej się zdawało, że zza płotu wyziera pióropusz policyjnego hełmu. Wpadała w panikę, która ustępowała dopiero wtedy, gdy Anna sobie uświadomiła, że to tylko zwisająca gałąź albo ptak przycupnięty na sztachecie. Mimo że szczerze nienawidziła i bała się akuszerki, wiedziała, że nie zazna spokoju, dopóki ta nie wróci do domu. Dopiero wtedy poczuje jaką taką pewność, że nie grozi jej niebezpieczeństwo.

Krewni Cioteczki Zsuzsy co tydzień odbywali długą podróż z Nagyréva, aby zobaczyć się z nią w dzień odwiedzin. Przywozili czyste ubrania i koszyki pełne jej ulubionego jedzenia: chleb prosto od piekarza, gulasz, zupę z kluskami, gęstą od ziemniaków i papryki. Wszystko przyrządzone tak, jak lubiła. Bochny i potrawy wykładali na stół, o który wystarał się strażnik, po czym stawali wokół ciasno i posilali się. Ignorowali karaluchy, które roiły się pod ich nogami, i strząsali z pieczywa te, które zawędrowały wyżej. Pośród dobrodziejstw znajdowała się zawsze fajka, którą Cioteczka Zsuzsa wyłuskiwała z koszyka i natychmiast zapalała. Odwiedziny bardzo podnosiły akuszerkę na duchu, lepiej po nich spała – przez dzień lub dwa.

Podczas tych wizyt rozmawiali z nią o wydarzeniach w Nagyrévie. Na początku Cioteczka Zsuzsa obawiała się, że policja przeszuka jej dom albo co gorsza, jej

podwórko, lecz funkcjonariusze nie wrócili do wsi od dnia jej aresztowania. Cotygodniowe rozmowy koncentrowały się więc głównie na zbliżającym się procesie. Najbliżsi złożyli grosz do grosza, by zapewnić jej jednego z najlepszych adwokatów w Szolnoku, którym był Gábor Kovács (zbieżność nazwisk przypadkowa).

Mecenas Kovács okazał się dobrym wyborem. Akuszerkę oskarżono o dokonanie dziewięciu aborcji na podstawie przedwczesnych martwych urodzeń. Mimo że wcześniej złożyła wyczerpujące zeznania, adwokat doradził jej zmianę strategii podczas procesu. Miała się mianowicie wszystkiego wyprzeć. Kovács wiedział, że prokurator nie ma żadnych twardych dowodów, i upatrywał największą szansę Cioteczki Zsuzsy w odwołaniu zeznań.

W dzień rozprawy akuszerka wstała wcześnie i włożyła czarną suknię z licznymi halkami pod spodem – wszystko wyprane, wykrochmalone i uprasowane na sztywno, tak że każdemu jej ruchowi towarzyszył głośny szelest. Trzewiki miała umyte do czysta i wypolerowane, a na głowę narzuciła chustkę, aby wyglądać jak porządna wieśniaczka.

Jej krewni przyjechali z Nagyréva minionego wieczora i zatrzymali się w hotelu Nemzeti przy dworcu kolejowym. W więzieniu stawili się skoro świt, przynosząc jej świeże ubranie, fajkę i mąkę do rozjaśnienia cery. Oraz butelkę gorzałki, którą podawali sobie z rąk do rąk, czekając w celi na zjawienie się strażnika. Cioteczka Zsuzsa wypła tylko łyczek.

Gdy wartownik wprowadził ją na salę sądową, mecenas Kovács siedział już przy ławie obrońcy. Widownia była w większości pusta, nie licząc krewnych akuszerki, paru świadków, którzy zajęli miejsca z przodu, oraz grupki żurnalistów trzymających się z tyłu. Adwokat wezwał kilkoro mieszkańców Nagyréva, aby świadczyli na korzyść oskarżonej – jego wybór padł na wieśniaków, których skutecznie wyleczyła swoimi okładami i mazidłami. Poinstruował ich, aby opowiedzieli, że Cioteczka Zsuzsa doglądała ich niedomagających zwierząt, a także zajmowała się żonami i dziećmi. Mieli też wspomnieć o hiszpance i o tym, że akuszerka nie szczędziła sił, ratując chorych przed śmiercią. Kovács pragnął

wykazać, że Cioteczka Zsuzsa jest niezastąpiona, a oskarżenia przeciwko niej są bezpodstawne.

W sądzie znaleźli się także obaj policjanci, kancelista Ébner, hrabia Molnár i doktor Szegedy. Akuszerka usiadła obok swego adwokata, plecami do publiczności. Wartownik nie odstępował jej ani na krok.

Wywołana z imienia i nazwiska, wstała. Kołyszącym się krokiem przedreptała do miejsca dla świadków, unosząc po drodze suknię, jakby była na zewnątrz i ryzykowała wdepnięcie w kałużę albo rynsztok. Wstąpiła na podwyższenie ostrożnie, uważając, aby nie przydepnąć rąbka sukni, którą na koniec poprawiła na sobie. Stała tam ze spuszczoną głową i z rękoma splecionymi na wysokości talii. Wyglądem przypominała nażartego kleszcza.

Mając po bokach dwóch asesorów, przewodniczący rozprawie sędzia odczytał zeznania Cioteczki Zsuzsy złożone w Nagyrévie. Obszerne notatki funkcjonariusza były nie lada gratką, toteż sędzia czytał je na głos z nieskrywaną satysfakcją, niepomny na to, że większość osób na sali była z nimi zaznajomiona.

Robił pauzy w odpowiednich miejscach dla podkreślenia tupetu akuszerki, jej przeniecierstwa, perwersji i prymitywizmu. Spisujący zeznania policjant wraz z atramentem przelał na papier uprzedzenia wobec Romki, które sędzia skwapliwie podchwycił. Ponieważ był to rękopis, sędzia musiał chwilami podstawiać kartkę pod światło, żeby odczytać uwagi wychodzące na margines. Co jakiś czas przerywał, aby napić się ze szklanki stojącej na blacie. Przeczytane kartki odkładał kolejno zapisaną stroną do dołu, tworząc koło siebie dość sporą i raczej niechlujną kupkę papieru. Wymacane przez wiele rąk stronicie już dawno straciły schludny wygląd.

Odczytywanie zeznań trwało dobre kilka minut, w czasie których wszyscy obecni wyteżali uwagę. Gdy wreszcie sędzia skończył, odłożył ostatnią kartkę z oślimi uszami na bok i podniósł spojrzenie na akuszerkę. Wpatrzył się w nią surowym wzrokiem.

– Co macie na to do powiedzenia? – zapytał ją.

Szeroko rozstawione stopy Cioteczki Zsuzsy opierały się o podłogę niczym dwa pale. Dłonie wciąż miała złożone przed sobą, a jej grube kciuki kręciły kółka na wysokości brzucha, jakby trzymała w palcach kołowrotek. Z samego rana wymruczała inkantację mającą zapewnić jej ochronę i teraz czuła się tak, jakby miała na sobie zbroję.

Choć od aresztowania upłynęło już kilka tygodni, Cioteczka Zsuzsa nadal czuła na ramionach pałacy uścisk rąk gadziów. Paznokcie wbijające się jej w ciało. Celnie wymierzane kopniaki. Wciąż słyszała ich przekleństwa i widziała nitki śliny wiszące im u ust, jakby to była piekielna rosa. Były to wspomnienia nie ofiary, lecz czarownicy, która nigdy nie zapomina uraz.

Przywoławszy je wszystkie, użyła ich jako żołnierzy walczących za jej sprawę, armię broniącą jej niewinności.

Mówiła prędko, chcąc jak najszybciej skorygować fakty. Jej głos nabrał mocy dzięki echu w przestronnym pomieszczeniu. Nie licząc hal dworcowych w Szolnoku i Budapeszcie, które Cioteczka Zsuzsa odwiedzała sporadycznie, sala sądowa okazała się największą izbą, w jakiej kiedykolwiek się znalazła, i właśnie ta okazałość przydała wagi jej słowom, co zdziwiło nawet ją samą.

Powiedziała sędziemu, że funkcjonariusze napełnili ją strachem. Bagnety i groźby były tak straszliwe, że słowa same popłynęły z jej ust. Brutalni policjanci zmusili ją do powiedzenia nieprawdy. Ta pośpieszna opowieść niemal pozbawiła ją tchu, przez co kończąc, czuła się bliska omdlenia.

Zstąpiła z podwyższenia niezdarnie i kołyszącym krokiem wróciła do ławy obrony, na którą ciężko klapnęła. Swoją putsi miała ukrytą między piersiami pod suknią, gdzie chowała ją przed wzrokiem postronnych. Miły ciężar sakiewki dodawał jej otuchy z każdym wzniesieniem i opadnięciem biustu.

Jako pierwszego na świadka powołano doktora Szegedyego. Kiedy przechodził obok niej, akuszerka zmierzyła go wzrokiem i wypowiedziała w duchu klątwę przeciw niemu.

Lekki przeciąg powiał od strony okna. Lodowate powietrze przenikało przez szpary w futrynie i dmuchało w Cioteczkę Zsuzsę, która siedząc na samym skraju ławki, gotowa była rozprawić się z wersją przedstawianą przez lekarza.

W swoim gabinecie w Cibakházie miał on grubą teczkę wypełnioną dokumentami i zapiskami na temat toczącej się sprawy, z czego praktycznie wszystko wykuł na pamięć, aspirując do precyzji na każdym polu. Na dociekliwe pytania sędziego odpowiadał z podaniem dat, godzin i miejsc. Scenę w domu wspólnotowym odmalował tak detalicznie, że nawet mniej utalentowany artysta byłby w stanie odtworzyć ją dowolną techniką.

Na każdy oczerniający ją szczegół Cioteczka Zsuzsa podrywała się z ławy.

– To nieprawda! Kłamie!

Ostre reprimendy z ust sędziego pchały ją z powrotem na ławę niczym mocny wiatr, ale przysiadła znów na samym brzeżku, aby w każdej chwili móc zerwać się ponownie.

Po doktorze Szegedym zeznawali dalsi świadkowie. Ich wypowiedzi były zwięzłe. Ébner powiedział tylko tyle, ile musiał. Nawet skrupulatny hrabia Molnár się nie rozgadywał. Zresztą mieszkał w Nagyrévie zbyt krótko, aby mieć wiele do powiedzenia o akuszerce. Wreszcie obie strony wygłosiły mowy kończące, po czym zarówno prokurator, jak i obrońca wrócili na swoje miejsca.

Trzej sędziowie pochylili ku sobie głowy, aby się naradzić. Z daleka wyglądali jak piramida sprawiedliwości. Na widowni rozległy się pokasywania i szuranie nogami. Żurnaliści skrobali w swoich notesach, a Cioteczka Zsuzsa siedziała zgarbiona, kręcąc kółka kciukami.

Werdykt zdziwił tylko nielicznych. Swymi zeznaniami w Nagyrévie akuszerka obciążyla się w takim stopniu, że jej winy nie dało się podważyć.

Rumieniec wypełził na policzki oskarżonej, gdy zdała sobie sprawę, co się właśnie stało. Rzuciła wściekłe spojrzenie adwokatowi. Mecenás Kovács już porządkował swoje papiery, szykując się do wyjścia. Kątem oka dostrzegła ruch wartownika i gdy się ku niemu zwróciła, zobaczyła, że mężczyzna sięga po pęta –

długi kawałek plecionej liny z małym stryczkiem na jednym końcu, dzięki któremu mocował ją u pasa.

Widząc to, zaczęła się przesuwać w głąb ławy, byle dalej od niego. Pomagała sobie przy tym pięściami i kolanami.

– A żebyś tak spłonął w piekle!

Wartownik chwycił jej ramię i szarpnął.

– Wszyscyście dranie i wszyscy spłoniecie w piekle!

Zaczęła wymachiwać wolną ręką, ale wartownik zdołał objąć jej przegub stryczkiem, który natychmiast zacisnął z całych sił, aż sapnęła głośno. Pociągnął za linę jak za smycz, żeby zmusić akuszerkę do powrotu na jego stronę. Cioteczka Zsuzsa wrzasnęła. Wygięła plecy w łuk. Zaczęła rzucać głową na wszystkie strony w ataku szału. Im bardziej opierała się pętom, tym mocniej się na niej zaciskały. Była znacznie słabsza niż kiedyś. Poczula, że ślizgiem przesuwa się po ławie ku swojemu oprawcy. Zaparła się stopami o posadzkę, nic to jednak nie dało. Moment później wyrznęła w bok ławki i wartownik niezwłocznie ją ucapił. Poczula na skórze lepką dłoń gadzia, jego zimne palce na swoich. Złapana niczym locha, zawyła.

Zwinęła się w kłębek. Z jedną ręką spętaną i wyciągniętą wysoko w górę, drugą waliła o ławkę. Potrzebna była pomoc kolejnego strażnika, aby ją podnieść i pociągnąć do wyjścia, krzyczącą i plującą przez całą drogę do ohydnej celi.

Nie pozostała w niej długo.

Mecenas Kovács złożył odwołanie, które sąd uznał. Kilka dni po rozprawie Cioteczka Zsuzsa wpłaciła sowitą kaucję i została zwolniona. Wkrótce wracała pociągiem do Nagyréva, gdzie w domu powitali ją bliźsi i dalsi krewni, którzy z tej okazji zorganizowali ponurą uroczystość. Kolejna rozprawa miała się odbyć dopiero za dłuższy czas.

Pierwsze dni w Nagyrévie akuszerka spędziła na wdrażaniu się do starej rutyny, której częścią były wizyty w karczmie i plotki w kręgu kobiet szyjących wieczorami. Nie miała jednak powodów do świętowania. Została przywrócona na

łono Penii, personifikacji biedy, która prześladowała ją od dzieciństwa. Nic dziwnego więc, że nastrój i myśli staruszki były skażone strachem, który ani na moment jej nie opuszczał. Na honorarium adwokata poszła fortuna. Kaucja pochłonęła resztę jej oszczędności, ale też pieniądze odłożone na czarną godzinę przez jej dzieci i siostrę. Puszka trzymana za piecem opustoszała, tak samo jak słoiki zakopane na podwórku. Cioteczka Zsuzsa rozdarła wszystkie powłoczki i halki. Została bez grosza.

Jakkolwiek tragiczna była jej sytuacja finansowa, najbardziej martwiły ją warunki zwolnienia. Na mocy wyroku straciła dożywotnią posadę. Nie pełniła już funkcji oficjalnej akuszerki w Nagyrévie, a to oznaczało dla niej wielki kłopot.

Dreńczyła ją niepewność, co będzie dalej. Na listopad zapowiedziano mianowanie jej następczyni, której będzie należał się też dom. Rada wsi pozwoliła Cioteczce Zsuzsie mieszkać pod jego dachem tylko do tego czasu.

Źle zniosła również inną decyzję podjętą przez radę wsi, dotyczącą z kolei doktora Szegedyego. Uchwalono bowiem, że na razie to lekarz będzie wykonywał obowiązki akuszera, choć nikt nie był pewien, jak ów miałby to robić, zważywszy na zimowe utrudnienia i liczne inne obowiązki, z powodu których większość czasu będzie spędzał poza Nagyrévem.

Stres związany z ostatnimi przejściami wyzwolił w Cioteczce Zsuzsie cechy, których nigdy wcześniej nie przejawiała. Potrafiła wyjść z domu w dobrym humorze, lecz najmniejsza przykrość – bezpański pies kroczący jej śladem, wiatr burzący jej włosy, zbyt kwaśne wino, nieporządek na stole – wytrącała ją z równowagi. Kobieta stawała raptownie i zbierała w ustach ślinę, by splunąć. Przeklinała. Tupała nogami. W miarę pustoszenia przestrzeni wokół zwijała dłonie w pięści i boksowała powietrze. Jednak te wybuchy były krótkotrwałe. Cioteczka Zsuzsa brała się w garść, zaprzęgała znów do pracy rozum, po czym ochłonawszy i przybrawszy pozory wieśniaczki jak każda inna, dreptała dalej.

W rzeczywistości nic nie odzwierciedliłoby burzy uczuć w jej duszy. Była chora ze zgryzoty. Pierwsza lepsza uzdrowicielka mogła zostać akuszerką w Nagyrévie lada dzień, a rychła nominacja stanowiła zagrożenie dla domu



rodzinnego Cioteczki Zsuzsy. Obawy, które towarzyszyły jej przez całe życie, zamieniły się w wilki wężące pod jej drzwiami. Straty były nieoszacowane. Mogła się tylko przyglądać, jak wpływy, które zdobyła ciężką pracą i które definiowały jej egzystencję, przeciekają przez palce. Miała przeciwko sobie potężne siły i wiedziała, że jedyną osobą, która może ją ocalić, jest jej rodzona córka.

W romskiej tradycji akuszerstwo przeskakiwało jedno pokolenie, przechodząc z babki na wnuczkę. Prawdą jednak było, że Cioteczka Zsuzsa dzieliła się całą swoją wiedzą ziołoleczniczą z córką, jak również że wtajemniczała ją w swój drugi, sekretny obszar działań. Polegała na Mari niemal tak, jak by polegała na własnej bliźniaczce, ale samo akuszerstwo zachowywała dla wnuczki, która na razie miała tylko jedenaście lat. Od pewnego czasu dziewczynka chodziła z babką po lesie, gdzie nabywała podstawową wiedzę o roślinach, między innymi pomagając zbierać zioła, zupełnie jak czyniła to Cioteczka Zsuzsa w dzieciństwie. Plan był taki, aby zacząć wdrażać córkę Mari do akuszerstwa, gdy zostanie nastolatką, dzięki czemu mogłaby przejąć schedę po babce z chwilą jej ustąpienia z funkcji. Nagle wszystko wzięło w łeb. Cioteczka Zsuzsa musiała zwrócić się do Mari, która ani nie miała umiejętności niezbędnych przy odbieraniu porodów, ani nie była przygotowana do nowej roli pod żadnym innym względem.

Doktor Szegedy czerpał satysfakcję z wyroku skazującego akuszerkę z Nagyréva, odkąd opuścił salę sądową. Werdykt rozbudził w nim poczucie misji bardziej, niż mógłby kiedykolwiek przypuszczać. Wszystkie jego wysiłki – od pracy śledczej w archiwach wioski po jawne świadectwo dane w sądzie – tylko go utwierdziło w przekonaniu, że powinien na dobre rozprawić się z zabobonami. Teraz miał jeszcze większą motywację, aby oduczyć wieśniaków wiary w magię i zaklęcia. W jego mniemaniu nadeszła pora, żeby zawierzyli nauce.

Tak się składało, że w Szolnoku planowano otwarcie szkoły i kliniki położniczej. Jednostka macierzysta znajdowała się w Nagyvarádie, mieście obecnie będącym pod rumuńskim zaborem. Doktor Szegedy liczył na to, że nowa uczelnia pomoże uwolnić mieszkańców Niziny Węgierskiej od oków romskich

praktyk stanowiących podstawę lokalnej medycyny i akuszerstwa. Instytut Położnictwa w Szolnoku zacznie kształcić położne z prawdziwego zdarzenia, pod okiem lekarzy położników, oczywiście mężczyzn. Zanim nawet instytut powstanie, nauka będzie się odbywała w tymczasowym lokum na terenie miejscowego szpitala.

Doktor Szegedy obiecał sobie, że dopóki ma pod opieką okoliczne wioski, w żadnej z nich odtąd nie będzie wakatu akuszerki. Co do Nagyréva jednak – nie sposób było oczekiwać, że do listopadowej nominacji instytut zdąży wypuścić choćby jedną w pełni wykwalifikowaną położną. Oznaczało to, że tymczasem trzeba będzie wybrać akuszerkę spośród mieszkanek wsi. Doktor Szegedy uparł się, że na kogokolwiek padnie wybór, osoba ta będzie musiała najpierw odbyć praktykę pod jego okiem. Nie wspomniał jednak o tym, że studia medyczne nie przygotowały go do roli położnika. W swoim zadufaniu uważał, że samo lekarskie doświadczenie kwalifikuje go do zajmowania się sprawami, które nazbyt długo pozostawały w gestii uzdrowicielek.

Jak dotąd Cioteczka Zsuzsa codziennie wyprawiała się w swój zwyczajowy obchód. Nawet doktor Szegedy bowiem nie mógł jej zabronić odwiedzania sąsiadów, a że nie było go na miejscu, to nie widział, iż w koszykach nosi ona swoje mikstury i mazidla. Jednak wielu wieśniaków traktowało ją ostatnio jak trędowatą, przechodząc na drugą stronę ulicy, gdy szła z naprzeciwka. Inni, nawet jeśli wbrew sobie, w dalszym ciągu korzystali z jej usług, a znajdowali się wśród nich nawet członkowie rady wsi, Ébnera nie wyłączając.

Niechęć, którą Cioteczka Zsuzsa poczuła do Ébnera w momencie jej aresztowania, zdążyła do tej pory wyparować. Zresztą także w stanie paniki, gdy była przesłuchiwana tamtego popołudnia w domu wspólnotowym, zauważyła, że kancelista najchętniej znalazłby się gdzie indziej. Podobne zachowanie przejawiał w sądzie, również odpowiadając na pytania sędziego. Właściwie nie dodał nic od siebie. Niewątpliwie zasepiony całą sytuacją, uczynił absolutne minimum, jakiego od niego wymagano.

Obecnie Cioteczka Zsuzsa chuchała i dmuchała na relacje, które łączyły ją zarówno z Ébnerem, jak i z członkami rady. Oferowała im darmową opiekę medyczną: masaże, specyfiki na ból głowy, kremy do stóp, smarowidła, afrodyzjaki, nalewki obniżające ryzyko apopleksji... dosłownie wszystko, mimo że nie było ją właściwie na to stać. Obdarowywała ich darmowym zbożem z pól synów i darmowym winem. Wróżyła ich żonom i córkom. Niestrudzenie forsowała kandydaturę Mari na swoją następczynię. Choć w Nagyrévie mieszkały uzdrowicielki mające lepsze kwalifikacje niż jej córka, dotychczasowa akuszerka nie pozwoliła, aby to okazało się przeszkodą.

Jedna z kobiet była poważną rywalką Mari. Aby się jej pozbyć, Cioteczka Zsuzsa zaczęła opracowywać specjalny plan.

Tymczasem względy Ébnera zdawały się popłacać. Członkowie rady wsi przekonywali się z powrotem do dawnej akuszerki. Jej romska dusza domagała się jednak czegoś więcej. Dlatego Cioteczka Zsuzsa wieczory spędzała przy kuchennym stole z wachlarzem swoich magicznych narzędzi, starając się poznać najlepszy sposób na zaradzenie kłopotom. Wróżyła sobie z dłoni. Wróżyła sobie z fusów. Umieściła ołowiany pręcik w tyglu, ten postawiła na ogniu i z kształtu przybranego przez kawałek metalu usiłowała się domyślić, jakie rozwiązanie problemu podpowiadają jej duchy. Interpretowała własne sny. Szukała znaków i omenów, które pomogłyby jej dopiąć swego. Z każdym dniem była coraz bardziej pewna, że Mari zastąpi ją w roli akuszerki.

Podczas gdy Cioteczka Zsuzsa siedziała w więzieniu, Mária ani razu nie wybrała się do Szolnoku, aby odwiedzić starą przyjaciółkę. W ogóle niewiele myśli poświęcała jej trudnemu położeniu, mimo że często mijała jej dom. Zawsze zwalniała kroku i zbliżała się do niego ostrożnie, z ciekawością i uwagą, jakby nieoczekiwanie dostała zagadkę do rozwiązania. Opierała się o krzywy płot i przykładła oko do szpary między sztachetami, żeby zajrzeć na podwórko. W blasku słońca lśniły pajęczyny. Ciemny popiół stwardniał na kamień w otwartym palenisku, którego nie używał nikt poza Cioteczką Zsuzsą. Zasłona

w oknie kuchennym była jak zwykle zaciągnięta. Mária tęskniła za przytulnym wnętrzem, pragnęła znowu usiąść przy stole przyjaciółki, dać sobie powróżyć z kart i fusów, wyłożonych przed nią niczym ofiara.

Zawsze źle reagowała na zimę. Gdy drogi spływały rzekami błota, wieś stawała się dla niej potrzaskiem. Zachmurzone niebo zazwyczaj zwieszało się nisko, ludzie chowali się po domach, zatraskując okiennice dla ochrony przed ziąbem i wilgocią. Pod bocznymi ścianami stały stosy drew i podpałki, z daleka przypominające palisady.

Márię roznosiło. Wierciła się i kręciła niespokojna jak małe dziecko, a mdła, senna atmosfera Nagyréva tylko jeszcze bardziej ją denerwowała. Nieobecność przyjaciółki uczyniła ten czas jeszcze bardziej nieznośnym. Trudno się dziwić, że gdy Cioteczka Zsuzsa wróciła do wsi, Mária powitała ją jak nadejście wiosny.

Tylko pilnowanie jej chaty podnosiło ją nieco na duchu. Własny dom nie niósł jej żadnej pociechy. Czuła się w nim znudzona i zirytowana jak wszędzie indziej. W gorsze dni miała wrażenie, że sama jest w więzieniu. Broniła się przed tym, otwierając okiennice na oścież. Uchyłała też drzwi frontowe, żeby zaprosić do środka świeże powietrze niczym gościa. Zapalała wszystkie lampy. Puszczą na fonografie płyty ulubionych romskich zespołów. Niski sufit i grube gliniane ściany zniekształcały dźwięk, jakby muzyka była obszerniejsza niż te wnętrza, Márii jednak to nie przeszkadzało. Nuciała do taktu. Znała te melodie równie dobrze, jakby je sama skomponowała.

Czasami pojawiał się Franklin, który mijał furtkę krokiem gospodarza. Wskutek nalegań Mihály'a zarówno Franklin, jak i jego siostra przeprowadzili się do dawnego domu Sanyiego, lecz Mihály i tak zwykle był w rozjazdach. Podróżował regularnie do Budapesztu i właśnie wtedy Franklin swobodnie przychodził i znikał.

Nie tylko Mária ucieszyła się z powrotu Cioteczki Zsuzsy. Pan Ambrúzs także wylewnie ją powitał, zupełnie jakby spełniły się jego modlitwy. W pewnym sensie tak właśnie było. Ostatnimi czasy zdrowie coraz częściej go zawodziło. W niektóre ranki budził się z uczuciem, że jego pierś przygniata cegła, a gdy nawet zdołał się

zwlec z łóżka, przejście od progu do stajni całkowicie odbierało mu dech. Odkąd Cioteczka Zsuzsa znalazła się w Szolnoku, pan Ambrúzs był pozbawiony swoich nalewek i nie miał wątpliwości co do tego, że nie wyszło mu to na dobre. Uważał, że to z tego powodu zaczął się gorzej czuć. Nie przyjmował do wiadomości, że w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat organizm może odmówić posłuszeństwa.

Cioteczka Zsuzsa dreptała drogą, balansując na przedramionach dwoma koszami niczym wypaczona Temida, która raz jeszcze wzięła w posiadanie wiejskie peryferia. W jednym koszyku niosła zachachmęczone towary – bądź te darowane jej bezpośrednio – w drugim natomiast ziołowe specyfiki, które własnoręcznie przyrządziła. Rozpoczął się sezon pracy w polu, toteż obowiązków miała w bród. Wieśniacy, jak się okazało, przymykali oczy na jej szemrane uczynki, jeżeli tylko potrafiła ulżyć ich cierpieniu. Jeśli nawet żywili co do niej jakieś podejrzenia, nie mogły one konkurować z odczuwanym przez nich bólem.

Dzień roboczy zaczęła wcześniej. Jako pierwszych odwiedziła tych wieśniaków, którym przepukliny i naderwane mięśnie nie pozwalały wyjść w pole – było to tuż po wschodzie słońca, gdyż za wszelką cenę starała się unikać południowego skwaru. Miała także umówione liczne wizyty na wieczór, już po tym, jak wozy ściągną do wsi.

Ledwie skręciła w ulicę Árpád, uderzył ją w nozdrza zapach kwitnących drzew świętojańskich, które rosły wokół rynku i co wiosnę przepęniały powietrze upojnym aromatem. Cioteczka Zsuzsa wciągnęła go głęboko do płuc. Zerwała parę kwiatów i umieściła je w koszykach. Lubiła rozkoszować się przyjemną wonią, kiedy szła. W ustach miała swoją fajkę, która tylko czekała na zapalenie.

Nie zaszła daleko, gdy w polu jej widzenia pojawiła się dorożka. Zaprzężone do niej konie stały przodem do domu wspólnotowego – wysokie i ciemne, ponure jak zakonnicy. Niemal nieruchome, wzdrygały się tylko, gdy opadała je chmara much, cisnąc się im do oczu i chrap.

Koła dorożki nosiły ślady luźnej ziemi z niziny. Tylko co twardsze grudki utknęły w zagłębieniach. Przykryte pyłem były również drzwiczki, które – jak

widziała Cioteczka Zsuzsa – otwarto wcześniej zamasyście i zatrzaśnięto, o czym świadczyły miejsca pozbawione drobinek.

Obeszła wolno dorożkę niczym pięściarz ring. Ciamkając niezapaloną fajkę, zastanawiała się, co zrobić. W końcu podeszła bliżej. Złapała się górnej krawędzi drzwiczek i podciągnęła, aż mogła zajrzeć do wnętrza. Ławka pokryta skórą, choć nie nowa, była dobrze utrzymana. Cioteczka Zsuzsa wypatrzyła jednak drobne pęknięcia, spowodowane zapewne przez palące słońce. Kabina dorożki przesycona była zapachem skóry i tytoniu. Pod przeciwległą burtą stała wciśnięta w kąt czarna torba lekarska doktora Szegedyego.

Cioteczka Zsuzsa sięgnęła ręką i wyjęła fajkę z ust. Zamknęła oczy. Przetoczyła językiem po zębach i podniebieniu. Brakowało jej trzonowców, toteż prześlizgnęła się także po dziąsłach, zbierając się w sobie. Robiła to tak długo, aż wyprodukowała większą ilość śliny. Gdy lepki płyn przetaczał się po jej ustach, czuła jego tabakowy smak. Wychyliła się jeszcze bardziej i przeistoczywszy się w burzę, lunęła jadownicie śliną na ławkę.

„Idź do diabła”, pomyślała przy tym, z ukontentowaniem przyglądając się, jak wydzielina spływa po skórze.

Nadmiar starła z brody wierzchem dłoni. Umieściła fajkę z powrotem w ustach i wycofała się z dorożki. Na koniec przyglądziła suknię i poprawiła koszyki na przedramionach. Odetchnęła powietrzem przesyconym zapachem kwiatów drzewa świętojańskiego, po czym ruszyła dalej ulicą.

## **NIEDZIELA, 22 MAJA 1921 ROKU**

Wczesnym popołudniem temperatura sięgnęła miłych dwudziestu czterech stopni i taka się utrzymała niemal do wieczora. Młodzież zajęta była szykowaniem się na tańce, które Cserowie wyprawiali co niedzielę w swojej karczmie. Anna z dziećmi zdążyła już przesunąć stoły pod ściany, robiąc miejsce dla tancerzy. Romska kapela miała zacząć przygrywać punktualnie o czwartej. Tymczasem w kościele pastor Tóth prawił kazanie do niemal pustych ławek, jak co tydzień. Tylko garstka

wieśniaków chodziła go słuchać, ponieważ zaledwie nieliczni mieli cierpliwość do jego gładzenia. Nad rzeką, gdzie bociany brodziły na moczarach i gdzie gęsiarki prowadziły gęsi, które podążały za kijkami z przyczepioną białą wstążką, bo tak je nauczono, obowiązywała inna wiara.

Do południa Cioteczka Zsuzsa pracowała w swoim ogrodzie, pielęgnując rośliny. Wypełniła grządki i ucięła kilka kwiatów, by zanieść je do domu i włożyć do ceramicznych czarek i szklanych słoików. Poustawiała naczynia wzdłuż parapetów, a jedno największe umieściła pośrodku blatu. Kalwiniści z Nagyréva rzadko tolerowali choćby pojedynczy płatek za swoim progiem.

– *Pstry dom, dom z choinką nie postoi długo* – mawiali.

Nie przejmowała się ich słowami. Jej dom tonął w kwiatkach. W niektóre dni było ich tak dużo jak na targu.

Zanim przyszła jej siostra, Cioteczka Zsuzsa zdążyła się doprowadzić do porządku po pracy w ogrodzie. Zrobiła sobie długą kąpiel z szorowaniem w dębowej balii, jak zawsze w niedzielę, po czym uczesała się w schludny koczek i włożyła świeżo wypraną suknię. Tak przygotowana, przejrzała się w małym ręcznym lusterku, które trzymała w sypialni. Przypudrowała jeszcze mąką okrągłą twarz, przez co w powietrzu przez dłuższą chwilę unosił się biały pył, świetnie widoczny w promieniach słońca. Polizała dwa palce i przyglądała wymykające się kosmyki. Przysunawszy nos do lusterka, zaczęła szukać nowych zmarszczek i plam wątrobowych, które by wyzierały spod warstwy mąki. Potem odsunęła od siebie rękę z lusterkiem, żeby zobaczyć się w całej krasie. Była okrągłutka jak dorodna śliwka, ale przynajmniej miała na sobie czyściutką, uprasowaną suknię. Fryzurze też nic nie mogła zarzucić – każdy włoszek leżał karnie na swoim miejscu. Odłożyła lusterko. Generalnie była zadowolona z tego, jak wygląda. Tego dnia obchodziła sześćdziesiąte urodziny.

W niedzielę przychodzili goście i Cioteczka Zsuzsa oczekiwała wizyty kilkorga kuzynostwa z Tiszakürtu, w tym Krisztiny Csordás, z okazji niewielkiej uroczystości. Huczniejszą ceremonię planowała w dniu imienin.

Krisztina była akuszerką w Tiszakürctie prawie tak samo długo jak Cioteczka Zsuzsa w Nagyrévie i stanowiła jej opokę, odkąd zaczęły się problemy z sądem, tyle że niewiele mogła pomóc. Bojąc się wysyłać listy i telegramy do więzienia, starała się zawsze przekazać liścik synowi Cioteczki Zsuzsy. Czekwała na niego na poczcie w swojej miejscowości i kiedy go zobaczyła, wciskała mu w dłoń nabazgraną wiadomość. Częściej jednak tylko szeptała, co ma przekazać uwięzionej matce. Obie zdawały sobie sprawę, że stąpają po kruchym lodzie. Doktor Szegedy sprawdził też archiwa w Tiszakürctie, a choć nic z tego nie wyniknęło, lepiej było uważać.

Goście zasiedzieli się do wieczora. Stół wyniesiono na zewnątrz i podano ulubione dania Cioteczki Zsuzsy. Wino i gorzalka lały się strumieniem. Kładąc się spać, jubilatka była nie tylko najedzona i podpita, ale też bardzo zadowolona.

Cioteczka Zsuzsa większość dnia spędziła poza domem na nogach. Ugotowała mydło. Zrobiła pranie na podwórku. Wywiesiła mokre rzeczy na stryszku. W ogrodzie do wyschnięcia rozłożyła świeżo utkane płótno, wybielone zaraz po tym, jak je splotła.

Nie dosłyszała otwierającej się furtki. Nie dostrzegła cienia młodego mężczyzny, który się za nią przyczaił z pistoletem w ręku.

Wiekowy kundel spał smacznie w stajni, gdzie poszukał ochłody. Stado ptaków ćwierkało w krzakach przy płocie. One także były bardzo zajęte przez większość dnia, latając do gniazda i z powrotem.

Stopy Cioteczce Zsuzsie spuchły i spoczęły się w trzewikach. Ubrudziła sobie buty zarówno na podbiciu, jak i na zelówce. Czowała piach nawet w palcach. Do tego bolały ją łokcie i kolana, a upał wgniatał ją w ziemię.

Odciągnęła materiał sukni na piersi, żeby się powachlować. W kieszeni fartucha miała starą szmatkę, której używała jako chusteczki, i teraz otarła nią sobie kark i czoło. Potem odłożyła szmatkę do kieszeni i wytarła dłonie o fartuch. Zawsze była wyczulona na prymarny porządek, dlatego gdy ptaki przestały ćwierkać, obejrzała się, by zobaczyć, w czym rzecz.



Rywalizującej z Mari miejscowej uzdrowicielki nikt nie widział od tygodni. Odkąd zaczęła stanowić zagrożenie dla jej pozycji – dla pozycji Mari – Cioteczka Zsuzsa postanowiła, że nie będzie przebierać w środkach. Szerzyły się plotki, że kobietę otruto i wrzucono do rzeki. Kiedy jednak jej dzieci poprosiły Ébnera, aby wszczął dochodzenie, kancelista odmówił. Co gorsza, wyśmiał je, gdy wskazały palcem na Cioteczkę Zsuzsę.

W pierwszej chwili niewiele dojrzała pod słońce, jej posesja bowiem skierowana była frontem na zachodnią stronę. Kątem oka widziała tylko to, co znajdowało się w cieniu: ganek i stertę drewna. Mogła także podziwiać z bliska grudki gleby, spomiędzy których wyrastały chwasty wijące się u jej stóp. Kawalek dalej było bardziej trawiasto, rosły tam też mlecze. Ilekroć trawa wystrzeliła zbyt wysoko, Cioteczka Zsuzsa pożyczła od pana Ambrúzsza krowę, żeby się napasła, albo ścinała źdźbła sierpem, który trzymała w stajni.

Na podwórku zrobiło się dziwnie cicho.

Najpierw zobaczyła jego trepy. Powiodła wzrokiem wyżej, aż objęła spojrzeniem całą sylwetkę. To wtedy rzucił się ku niej. Twarz miał wykrzywioną brzydkim grymasem. Jego oblicze było równie udręczone jak jego matki wtedy, gdy Cioteczka Zsuzsa widziała ją po raz ostatni. W przeciwieństwie do niej jednak wciąż miał w sobie siły, by zakrzyknąć:

– *Menj a fenébe!*

Pistolet wystrzelił. Cioteczka Zsuzsa zwała się na rozłożone przed chwilą płótno ciężko jak kłoda. Z lufy pomknęła druga kula, w okamgnieniu pokonując podwórko i zmierzając w kierunku staruszki.

Pies wybiegł ze stajni. Rzucił się do furtki ze szczekaniem. Zaczął zataczać przy niej coraz szersze kręgi, ani na moment nie przestając ujadać, wkrótce jednak stracił energię i zatrzymał się niepewnie. Poniuchał powietrze, w którym wciąż unosił się zapach prochu. Woń człowieka mu się wymknęła. Warknął jeszcze dla niepoznaki, po czym potruchtał do właścicielki.

Cioteczka Zsuzsa leżała na ziemi bez ruchu. Wyglądała jak rzeźba staruszki przewrócona na bok. Pies okrążył ją niespokojnie. Dotknął nosem jej nosa niczym detektyw badający ciało. Zwiesił długi ogon. Poczłapał do jej stóp, poniuchał, potem wrócił do głowy, gdzie wyczuł życie. Delikatnie poruszył ogonem. Cioteczka Zsuzsa podniosła rękę i poklepała wiernego przyjaciela.

– Nic mi nie jest, staruszk. Chyba we mnie nie trafił...

Jej synowie zorganizowali pościg. Z paroma kolegami przeczesali wieś, przepytując mieszkańców. Niedoszłego mordercę znaleźli przed zachodem słońca.

Po raz kolejny wezwano do Nagyréva policję.

## **ŚRODA, 21 WRZEŚNIA 1921 ROKU**

Lato na Nizinie Węgierskiej trwało aż do września, ale w miarę skracania się dnia wieśniacy coraz śpieszniej przygotowywali się do żniw. Kobiety zaczęły zbierać już winogrona. To był udany rok. Nie przyszła powódź, a stałe temperatury zapewniły obfite plony. Większość zbóż kupili ziemianie, reszta trafiła na targ w Kecskemécie i Szolnoku.

Cioteczkę Zsuzsę pochłaniały czynności zwykłe dla końcówki lata. Jej spizarka pękała w szwach od przetworów. W ogrodzie nie znalazłby się ani jeden chwast. Przy pomocy córki i wnuczki nagotowała mydła, ulepiła świece i zrobiła tyle sera, że wystarczy go pewnie aż do wiosny dzięki obfitości mleka otrzymanego od pana Ambrúza.

W południe jej kuchnia była skąpana w słońcu, które przeświecając przez firanki, obejmowało między innymi stół, przy którym siedziała. Cioteczka Zsuzsa dopiła resztkę kawy, po czym odstawiła filiżankę na blat i podniosła się z ławy. Troczki fartucha zdążyły się poluzować od długiego siedzenia, ponieważ skończyła już pracę na dzisiaj. Sięgnęła za plecy, aby je zawiązać.

Otworzyła drzwi i wyszła na ganek, gdzie musiała osłonić dłonią oczy przed rażącym blaskiem. Pokonawszy schodki, zacmokała na psa, który nadal skonany po

porannym spacerze w lesie z właścicielką leżał na ziemi jak długi. Ruszyła w stronę ulicy Árva, po drodze obserwując kury taplające się w wysychającej kałuży.

Wolnym krokiem podeszła do ogrodzenia Ambrúzsów i pchnęła furtkę ostrożnie, nie chcąc narobić hałasu. Rankiem słyszała, jak wszystkie krewne staruszka wychodziły w pole. Choć później też nasłuchiwała, nie mogła być pewna, czy któraś z nich nie wróciła, dlatego teraz na wszelki wypadek zawołała. Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, zawołała ponownie. Cisza. Otworzyła więc furtkę na oścież i podreptała ścieżką prowadzącą do domu.

Jakiś czas temu poznała sekret pana Ambrúzsa, ten mianowicie, że wysiada mu serce. Domyśliła się tego, badając jego puls, zaglądając mu w oczy, widząc, jaki ma kolor skóry i jaką fakturę włosów – z tych nielicznych, które wciąż rosły mu na głowie. Pielęgnowała go od miesięcy, cóż z tego jednak, skoro jej kataplazmy i kordiały przynosiły coraz słabsze efekty.

Otworzyła drzwi frontowe i rozejrzała się po wnętrzu. Ambrúzsowie także smażyli przetwory, co dało się poznać po wiszącym w powietrzu silnym zapachu owoców. Dom ten nie przestawał robić na niej wrażenia mimo upływu lat. Nic tutaj się nie starzało ani nie niszczało. Wszystko zdawało się wyjątkowe. Cała zastawa, w tym szklane i ceramiczne naczynia, pochodziła zapewne z Budapesztu, a może nawet z Wiednia i zajmowała eksponowane miejsce w etażerze. Cioteczka Zsuzsa przesunęła jedną z misek i sięgnęła po gorzałkę. Nalała sobie pół szklanki, po czym wychyliła jednym haustem. Odstawiana szklanka stuknęła o blat. Wzięła czystą i także napełniła ją alkoholem. Potem włożyła rękę do prawej kieszeni fartucha i odszukała fiolkę. Odwinąwszy ją z papieru, ostrożnie odmierzyła dwie łyżeczki roztworu do drugiej szklanki. Zamieszała łyżeczką, a potem jeszcze raz grubym palcem. Planowała pomóc staremu przyjacielowi.

Kilka godzin później, gdy dawno zdążyła wrócić do siebie, pan Ambrúzs już nie żył. Odszedł z tego świata co do dnia pięć lat po swoim wnuku Istvánie.

Rada wsi zebrała się w początkach listopada, uprzednio zaprosiwszy doktora Szegedyego na posiedzenie, które jak zwykle się przeciągnęło, ponieważ trzeba było omówić każdą sprawę i wszystko przegłosować: czy zainstalować dodatkową latarnię, po co szewcowi sąsiedni lokal i powiększenie warsztatu, cóż począć z wieśniakami skarżącymi się na podatki nakładane przez hrabiego Molnára, a także kto powinien zostać akuszerką po Cioteczce Zsuzsie. W tej ostatniej sprawie wybór padł na jej córkę.

Z punktu widzenia Cioteczki Zsuzsy – jej magia działała.

# STRATA SĘDZIEGO

*My, kobiety z Nagyréva, wszystkie dobrze wiedziałyśmy, czym zajmuje się Zsuzsanna Fazekas. Przywykłyśmy do jej uczynków tak samo jak do widoku stad gęsi wyprowadzanych co rano z wioski nad rzekę na popas.*

– Mária Szendi

## NAGYRÉV

Doktor Szegedy miał ręce całe we krwi. Ponieważ jednak okulary mu zaparowały od wilgoci panującej w izbie i własnego ciężkiego oddechu, a w dodatku nigdy nie były najczystsze, to gdy patrzył wprost przez idealnie okrągłe szkła, widział tylko przytłumioną czerwień dojrziałych śliw bądź rozlanego wina.

Krew kapała mu z dłoni i plamiła spodnie. Część zebrała się w zagłębieniach klepiska lub ciekła strumykami pod ścianę, omijając pęknięcia i wzgórki.

Chata Cserów powitała go lodowatym chłodem. Okna od wewnątrz pokryte były szadzią. Przez szparę pod drzwiami frontowymi wiatr nawiał śniegu, do którego uprzątanania tylko Anna miała cierpliwość. Podłoga pokryła się gołoledzią. W izbie hulały przeciągi. Atmosfera zrobiła się przyjemniejsza dopiero po rozpaleniu ognia.

Został wezwany jakiś czas wcześniej, gdy robił obchód po wiosce na drugim brzegu rzeki. W środku stycznia trakty stały się nieprzejezdne, ale że Cisa zamarzła, lekarz mógł ją pokonać pieszo i dotrzeć do Anny.

Na dworze zdążyło się ściemnić, zresztą w środku nie było wiele lepiej. Lampa naftowa dawała tylko mdłe światło. Anna nie czyściła jej od wczoraj i na wewnętrznych ściankach zebrała się sadza, która w dodatku tłumiała płomień, nie pozwalając mu wystrzelić. Doktor Szegedy musiał postawić swoją przenośną lampę nieopodal na podłodze. Jej słaby blask opromieniał go niby aureolą.

Dłuższy czas klęczał na klepisku, od czego rozboleły go kolana, a plecy złapał skurcz. Mimo że pojawił się pod dachem Cserów elegancki, dotąd poły koszuli zdążyły mu się wymusnąć zza paska. Buty, dzięki którym lekko pokonał skutą lodem powierzchnię rzeki, teraz były jakby pełne ciężkich kamieni. Brakowało mu tchu.

Anna leżała przed nim nieruchomo na klepisku. Prześcieradło, którym ją przykrył wiele godzin temu, było teraz miejscami zakrwawione, tak samo jak jej suknia. Ramiona trzymała wyciągnięte wzdłuż boków w żalostnej pozie poddania. Choć jej sztywność mogła świadczyć o czymś wręcz przeciwnym, nadal tliło się w niej życie.

Nic nie przygotowało doktora Szegedyego na to, z czym przyszło mu się zmierzyć. Bezradnie spoglądał na noworodka leżącego na szmacie u jego kolan. Dziecko miało czarną kędzierzawą czuprynkę przyklejoną do czaszki, ciało długie i chude, skórę pergaminową, miejscami przezroczyłą. Było martwe.

Na ile doktor Szegedy potrafił to ocenić, poród przebiegał prawidłowo do momentu, w którym z Anny zaczęła lać się krew. Żadna z lektur, z którymi się zapoznał w oczekiwaniu na ten dzień, nie zawierała rad na temat postępowania w razie krwotoku rodzącej.

Jeśli nie liczyć powiewów wiatru szarpiących okiennicami, w izbie panowała głucha cisza. Zima okazała się w tym roku ciężka, przez Nagyrév przeszło już kilka śnieżyc i zamieci. Wnętrze chaty Cserów było zimne i mokre przy drzwiach i oknach, za to cieplejsze i suchsze w głębi. Ogień w kominku pochłaniał z trzaskiem słomę i gałązki.

Doktor Szegedy słyszał lekkie kroki dzieci Anny po drugiej stronie drzwi, gdzie ta dwójka starała się sobą zająć w jedynej innej izbie domu. Lajosa nie było. U boku Anny klęczała też Mari.

Córka Cioteczki Zsuzsy trzymała w ręku jedną ze szmatek przyniesionych ze sobą w torbie, wykorzystywanych teraz do zbierania krwi.

Franklin złapał krawędź wrót do stajni i szarpnął mocno, po czym poruszył ręką w przód i w tył, aż usłyszał trzask pękającego lodu. Był tu już wcześniej rano, lecz mróz zdążył znowu zrobić swoje.

Szarpnął ponownie i z satysfakcją się przyglądał, jak tafla lodu łamie się i kruszy, kawałkami spadając na ziemię.

Nie pamiętał ostatniej takiej mroźnej zimy. Można było odnieść wrażenie, że ziemia przemarzła na wskroś, aż do jądra. W końcu udało mu się otworzyć wrota na oścież. Powitały go dźwięki wydawane przez inwentarz. Zwierzęta zawsze lubiły Franklina.

Oboje rodzeństwa zadomowiło się dobrze w chacie Sanyiego, tak samo zresztą jak w Nagyrévie. Do Marcelli uderzał miejscowy kawaler, którego zdawała się darzyć sympatią, a Franklina plotki łączyły z niejaką Piroską. To była wielka ulga dla niego. Mógł mieć bowiem pewność, że sąsiedzi nie zauważyli, jak często odwiedza go Mária i na jak długo zostaje.

W stajni wciąż było widać ślady po gospodarzu, za to żadnych po jego synu. Choć od śmierci starego Kovácsa minęło już pięć lat, jego mata nadal leżała tuż za drzwiami. Nadzarty przez korniki pień, który służył mu za ławę, stał pod ścianą, otoczony przez zydle jakby w oczekiwaniu na gości.

Na jednym krańcu mieściła się szopa na wóz, na drugim narzędziownia. Gdy Franklin nie używał narzędzi starego Kovácsa, trzymał je schludnie pozawieszane na kołkach lub poukładane na półkach. Duże przechowywał w wiekowym kredensie, a największe oparte o ściany.

Małeńkie okienko rozmiaru dłoni Franklin zapchał słomą. Każda uncja ciepła była na wagę złota.

Dwa wieprzki będące własnością Márii zajmowały długi chlewik. Franklin przestąpił niską ściankę i zeskoczył na słomę, która – choć świniaki zdążyły ją już rozwłóczyć i zdeptać – wciąż roztaczała przyjemny świeży zapach. Pod butami wydawała mu się miękka, jakby brodził w trawie.

Schylił się do świń. Przy tym ruchu poły jego kurty opadły ku podłożu. Była to zdobna czuha, której ciężar przygniatał go do ziemi. Kurta należała kiedyś do starego Kovácsa i przeszła w spadku na jego syna, młodego Sanyiego. Jak na chłopskie odzienie była przewspaniała i kosztowała niezły kawałek grosza – zwłaszcza ze względu na kosztowny haft. Ponieważ rękawy już dawno zostały zszyte i przerobione na kieszenie, Franklin – jak niemal wszyscy Węgrzy – nosił ją jak pelerynę.

Wyciągnął rękę spod jednej z pól. Poklepał bok najpierw mniejszego, potem większego wieprzka. Oba były tłuste. Bardzo tłuste. Złapał skórę tego większego w dwa palce i odciągnął. Co najmniej dwa centymetry słoniny. Poczul zadowolenie. Sezon bicia świń był w apogeum, a Franklin mógł być pewien, że wieprzki Márii pójdą za ładną sumkę.

\*\*\*

Kożuch Mihálya wisiał na kołku obok piecyka. Grube płatki śniegu, które do niego przyległy, prędko zniknęły w ciepłe ognia. Czapa była gruba i okrągła, nie stożkowata jak u zwykłego wieśniaka. Zza otoka wystawał papieros. Mihály zawsze trzymał tam choć jednego na czarną godzinę.

Na drugim kołku wisiała jego kamizela. Od długich lat noszenia wybrzuszyła się tu i ówdzie, dopasowując do coraz bardziej garbatego i otyłego ciała.

Kieszenie kamizeli były wypchane. Mihály nosił w nich karteluszek, pudełko zapalek i złoty zegarek z dewizką. Z miejsca, w którym stała, Mária widziała, jak łańcuszek pobłyskuje w świetle. Kamizela roztaczała zapach wszystkiego tego, czym kiedykolwiek pachniał Mihály, a więc gorzałki, tytoniu, trocin, koni, kadzidła i goździków.

Nie brakowało jej wewnętrznych kieszeni, w których Mihály zwykle przechowywał bilety i inne dokumenty podróży. W jedną wepchnął też scyzoryk i różne przyprawy – lubił być przygotowany na wypadek, gdyby zaproszono go



niespodziewanie na posiłek – tak że nic dziwnego, że gdy Mária odchyliła jeden bok, aromat uderzył w nią z całą mocą.

Nigdy nie została ograna przez żadnego mężczyznę. Tym razem jednak krążyły plotki.

Poklepała wszystkie kieszenie. Rozcięcia zdążyły się wyświechtać i naciągnąć od częstego używania. W środku też zebrała się masa brudu. Krzywiąc się ze wstrętem, Mária myszkowała w każdej kolejno, nie zwracając uwagi, że okruchy tytoniu i paprochy wchodzi jej pod paznokcie. Wymacała chłodny kształt pióra wiecznego. Kamyk na szczęście, podniesiony raz przez Mihály'a. Futerał na okulary.

List był złożony wpół i wsunięty równo z podszewką. Mihály miał go w rękach tak często – rozkładając, czytając, składając ponownie – że papier stał się cienki jak bawełna. Mária chwyciła go w dwa palce i wyciągnęła na wierzch.

Nastawiła uszu, aby sprawdzić, czy Mihály się nie zbliża. Paradoksalnie gruba warstwa śniegu, który spadł ostatnio, sprawiła, że dźwięki dolatujące z zewnątrz były wyraźniejsze i bardziej przenikliwe. Usłyszała, że jej mąż pozdrawia sąsiada przez płot, podnosząc skobel. Skrzypnęły zawiasy, wypuszczając na zewnątrz pochrząkiwanie i kwiki wieprzków Mihály'a.

Kartka była najbardziej przetarta w miejscu zgięcia. Rozprostowała ją delikatnie, wygładzając papier.

List napisano w Budapeszcie. Kaligrafia była nienaganna. Literom nie brakowało brzuszków ani zawijasów, pochylały się też lekko na stronie, każde oddzielone równym odstępem, jak tancerze pod okiem choreografa. Wszystko, od nagłówka z datą do podpisu, świadczyło, że został skreślony ręką kobiety. Wyrazy skakały Márii przed oczami, choć starała się zapanować nad drżeniem rąk.

Mihály był teraz w drewni. Strzepywał z drew osiadły na nich śnieg. Wkrótce szuranie ustąpiło stęknęciom, gdy nabierał w ramiona kolejne polana. Serce Márii zaczęło bić szybciej. Musiała się śpieszyć.

Na ganku było kilka skrzypiących desek, które moment później zapowiedziały nadejście Mihálya. Wkrótce rozległ się tupot jego buciorów, gdy próbował się pozbyć śniegu z podeszew.

Mária zaszeleściła kartką, zdającą się w jej ręku zgoła piórkiem zdolnym ulecieć w każdej chwili. Usłyszała zgrzyt zasuw.

Złożyła prędko list i wsunęła go gładko w kieszeń kamizeli Mihálya.

W domu rozszedł się zapach dymu drzewnego i mrozu, wniesiony z podwórka. Mária przyglądała się, jak jej mąż składa polana w wyplatany koszu stojącym obok piecyka. Roztarł zaczerwienione i spierzchnięte dłonie. Pochylając się, umieścił je na wprost otwartych drzwiczek, zza których buchało ciepło.

„Jak on śmiał?!”

Niespotykane mrozy dosłownie odcięły Nagyrév od świata. Praktycznie nikt nie wyprawiał się nigdzie dalej, jeśli nie miał czegoś niezwykle pilnego do załatwienia. Sporo osób wystraszyły wiadomości wykrzykiwane przez klikona – o grasujących wokół innych wiosek głodnych wilkach, które musieli odstrzeliwać żołnierze. Młodzi mężczyźni tworzyli własne oddziały i również wałęsali się po lesie.

Surowe warunki zmusiły do siedzenia w domu także Cioteczkę Zsuzsę. Nie mając wiele do roboty, wynajdowała sobie zajęcia. Uzupełniła zapas mikstur, warząc różne napary. Znalazła dla nich miejsce na półce, zrobiwszy tam wcześniej porządek.

Gdy nie zajmowała się swoimi eliksirami, oddawała się liczeniu. Zawsze miała smykałkę do liczb. W kredensie trzymała tabliczkę do pisania i kawałek węgla drzewnego, których używała do notowania kwot. W cieplejszych miesiącach wykorzystywała do tego miękką ziemię, przesiadując z siostrą w ogrodzie. W ten sposób pomagała sobie zapamiętać, kto jest jej ile winien.

Miesiące, odkąd została zwolniona z aresztu, okazały się lepsze, niż pierwotnie sądziła. Narzuciła sobie oszczędność, dzięki której bieda nie dała się jej we znaki aż tak, jak by mogła. Poza tym przycisnęła dawnych dłużników. Cioteczka Zsuzsa zawsze wiedziała, że kluczowe osoby w wiosce warto leczyć i wspierać na kredyt.

Teraz jednak musiała spieniężyć stare wierzytelności. Nad głową wisały jej rachunki adwokata do zapłacenia, z pewnością nie ostatnie. W końcu ściągnęła zaległości ze wszystkich oprócz Mihálya, który nigdy nie zapłacił za kilka worków zboża dostarczonych mu przez jej synów.

Gdy wreszcie nadeszła wiosna, pogoda długo nie mogła się ustabilizować. W jeden dzień było piętnaście stopni, w drugi poniżej zera. Wiały silne, porywiste wiatry, które wyrywały drzewa z korzeniami i łamały nawet najgrubsze konary. Skłonni do przesądów wieśniacy odbierali to jako zły omen.

Cioteczka Zsuzsa siedziała w karczmie od późnego ranka, praktycznie nie ruszając się ze swojego miejsca, co każdego srodze by kosztowało. Ją rozboleł krzyż, zdrętwiały jej nogi i kark.

Wyjęła z ust fajkę, którą cmokała od pewnego czasu, i wypuściła kłęb dymu nosem, co upodobiło ją do rozwścieczonego opasłego byka. Siny obłok otaczał ją przez chwilę, zanim rozwiął się nad jej głową.

Tabakę pozyskiwała od jednego z hodowców uprawiających tytoń w gospodarstwie miejscowego ziemianina. Mężczyzna ten zwykle sprzedawał nadwyżkę na targu, ale Cioteczka Zsuzsa barterowała z nim osobiście – w zamian za okazałe woreczki przekazując mu przyrządzone specjalnie dla niego mikstury.

Wraziła czubek palca do komina fajki i przez chwilę ugniatała ciepłą tabakę, dopóki całkiem jej nie zagasiła. Odchyłona na oparcie ławy, zaczęła przesuwając rękę po zmiętym materiale sukni na udach w poszukiwaniu kieszeni fartucha. Gdy znalazła lewą, wsunęła do środka fajkę i przyklepała ją otwartą dłonią.

Potem jednym haustem dopiła resztę stojącej przed nią gorzałki. Odczekała, aż palenie alkoholu w gardle ustąpiło, i odepchnęła się od siedziska, aby wstać. Stękała, podnosząc się.

Karczma była niemal pusta. Na stole obok walały się brudne miski po zupie i dzbany po winie. Przy nieco dalszym trwała gra w karty, do której to dołączali nowi gracze, to starzy się z niej wykruszali.

– *Musicie uregulować rachunek.*

Cioteczka Zsuzsa okręciła się na pięcie.

Przez większość przedpołudnia obserwowała Annę, jak napełnia szklanki i dzbany oraz przeciera kontuar starą, cuchnącą ścierką. Karczmarka chwilami zamierała w bezruchu i wpatrywała się w płamę na blacie, jakby spodziewała się wyczytać z niej odpowiedź na dręczące ją pytanie.

Jedyne światło wpadało przez wąskie okno, pod którym zwykł był przesiadywać Sanyi. W środku czuło się głównie zastarzały dym, ale chwilami dało się wychwycić ulotną nutę przyrządzanej w kuchni potrawy.

Anna zbliżyła się do Cioteczki Zsuzsy niepewnie jak strachliwy ptaszek. Stopy chwiały jej się w butach obstalowanych dla kogoś od niej potężniejszego. Idąc, szurała podszwami po trocinach, a zatrzymała się dobry metr od staruszki.

– *Moglibyście zapłacić?*

Nad kontuarem wisiała makatka z wyhaftowanym napisem: PŁACIMY SWOJE RACHUNKI, PŁAĆCIE WIĘC SWOJE. Pojawiła się już po wojnie.

Cioteczka Zsuzsa zadarła głowę. Okrążyła usta językiem, zbierając nim wszystko, czego mogłaby się pozbyć. Zgięła się lekko i splunęła na podłogę. Później odwróciła się z powrotem do ławy, by zabrać swoje koszyki. Znajomy ciężar na przedramionach ją uspokoił.

Ból w krzyżach przybrał na sile, odkąd się podniosła. Kolana, które kurowała wywarem z traganka, nie przestawały jej puchnąć. Przez moment bała się, że straci równowagę. Podreptała jednak do drzwi. Nie oglądając się za siebie, odchrząknęła do Anny:

– *Dobry Panbócek zapłaci!*

## **SZOLNOK**

Od minionej wiosny uwierała prokuratora Kronberga świadomość, że ktoś jeszcze z Nagyréva oczekuje w areszcie na rozprawę. Nieraz się zdarzało, że jakiś mieszkaniec okolicznych terenów trafiał do więzienia w Szolnoku, lecz to, że na

przestrzeni kilku miesięcy pojawiły się aż dwie takie osoby z tej samej miejscowości, było raczej niecodzienne.

Mężczyzna podtrzymywał swoje zeznania, odkąd został pojmany i sprowadzony przez policję. Twierdził, że sam poszukał sprawiedliwości, gdy nikt nie chciał jej zapewnić. W swoim mniemaniu stracił matkę z rąk Cioteczki Zsuzsy i jako syn miał obowiązek ją pomścić.

W oczach Kronberga samowwający stróż prawa był przestępcą jak każdy inny. Tacy ludzie szli po trupach do celu, i to często dosłownie. Zwykle jego wokanda roiła się od przypadków zbrodni „oko za oko, ząb za ząb”. Na szczęście miał wtedy ułatwione zadanie. Każdy, kto wywierał zemstę i był przekonany o swojej racji, sam prosił się o wyrok skazujący. Także sprawa tego konkretnego człowieka szybko została zamknięta. Co do oskarżeń rzucanych pod adresem byłej akuszerki z Nagyréva sędzia niewiele mógł zrobić. Rzekomo zamordowana kobieta nie odnalazła się – ani żywa, ani martwa. Dopóki rada wsi nie wystąpi do prokuratury o wszczęcie dochodzenia – którego nie sposób było wszcząć, nie mając zwłok ofiary – ręce Kronberga pozostawały związane.

## **NAGYRÉV**

W porze siewu ulice wioski nie były tak zatłoczone jak w innym czasie. Nie licząc paru starszych wieśniaków, którzy dostarczali kanki z mlekiem i worki z paszą, poskrzypując osiami wozów ciągnionych przez woły, prawie nie widziało się innych pojazdów. Dzięki temu Cioteczka Zsuzsa miała dobry widok na ulicę Árpád, kiedy stała przed karczmą. Dlatego też bez trudu wypatrzyła Márię. Tym bardziej że przyjaciółka gorączkowo do niej machała.

Staruszka czym prędzej przekuśtykała na drugą stronę i obie razem ruszyły w górę Árva. Stanowiły kuriozalną parę. Mária drobiła filigranowymi stopami, ledwie dotrzymując kroku toczącej się rażno byłej akuszerce. Po drodze dołączyło do nich kilka bezdomnych kotów. Kręciły im się pod nogami, robiąc ósemki, po czym wystrzelały do przodu, by zaczekać na nie pod nieodległym drzewem.

Cioteczka Zsuzsa cieszyła się na takie zabawy z kotami. Zwierzaki te lubiły przechadzać się po jej płocie i obserwować, jak pracuje w ogrodzie. Spoglądała teraz ponad swoimi koszykami i cmokała zachęcająco.

Delikatny deszczyk sprawił, że w powietrzu unosiła się woń świeżej trawy i wilgotnej gleby. Cioteczka Zsuzsa wzięła głęboki oddech, rozkoszując się tym zapachem. Nauczyła się doceniać każdy dobry dzień, ponieważ ostatnimi czasy pogoda rzadko była tak przyjemna.

Część dachów pokrytych strzechą wieńczyły ogromne bocianie gniazda. Pyszniły się tam od lat; tylko gdy bociany odlatywały na południe, wypełniały się liśćmi i wodą, która szybko zamarzała z nadejściem zimy.

Po powrocie bociany spędzały pierwsze dni w Nagyrévie na pracach remontowych. Głównie usuwały śmieci i pleśń, która zdążyła się rozrosnąć pod ich nieobecność. Ostatnia, surowa zima doprowadziła wiele gniazd do niemal kompletnej ruiny. Odpadły całe fragmenty ścian ściśle utkanych z gałązek, szmatek i przede wszystkim trzcin – zniszczone przez marznącą wodę i szaleńcze wiatry. Bociany udawały się parami nad rzekę, by z szuwarów znosić nowe łodyżki, wiele jednak wyskubywało je ze strzechy tuż pod sobą. Co sprytniejsze zaciskały ostre dzioby na uschłych roślinach i ciągnęły z całych sił aż do ich uwolnienia. Mieszkańcy często słyszeli świst długiego źdźbła podkradanego prosto z dachu.

Ulicą niosło się klekotanie, które wieśniacy zwykli kojarzyć z początkiem wiosny. Gdy jednak obie kobiety zbliżały się do krzyżówki, przy której stał dom Cioteczki Zsuzsy, uwagę tej ostatniej zwrócił odgłos zamiatania.

Furtka prowadząca na posesję Petry stała otworem, co umożliwiała wejście na podwórko. Krzewy były równo przycięte, drwa idealnie ułożone pod okapem, pieńki służące za zydle ustawione w karnym rzędzie. Nawet ścieżka wiodąca na ganek wyglądała jak od linijki, bez jednego wystającego źdźbła, co było przecież normą. Mimo że zabrakło starego pana Ambrúza, podwórko wydawało się doskonale utrzymane.

Cioteczka Zsuzsa zlustrowała Petrę, która na ganku machała wiechą tataraku. Przyglądała się, jak młodsza kobieta, drepcząc powoli, lecz pewnie, wtyka miotłę w kąty i szpary, żeby wygarnąć najdrobniejsze nasionka i ziarenka.

Pochyliwszy się w stronę Márii, wyciągnęła przed siebie rękę i pokazała na sąsiadkę, przy którym to ruchu koszyk niebezpiecznie się zachybotał, grożąc wysypaniem zawartości do rowu. Cioteczka Zsuzsa niemal dotknęła policzkiem twarzy przyjaciółki.

*– Jest mi winna! – syknęła. – Jeszcze będzie musiała zapłacić!*

Znalazszy się w kuchni, Cioteczka Zsuzsa skierowała się prosto do kredensu.

Kredens stał w tym samym miejscu, gdy wprowadziła się ponad dwadzieścia lat temu. Od tamtej pory zdążyła zagrabić jego górę drobiazgami otrzymanymi w prezencie. Niżej trzymała sitko do tabaki, obok którego leżały nożyczki do cięcia tytoniu. Na tę samą półkę trafiła gęsia kostka, której dorobiła się w zeszłoroczny Dzień Świętego Marcina i która służyła jej za barometr. Powierzchnia kości ciemniała na pogorszenie pogody.

Wysunęła boczną szufladkę i wyjęła z niej karty. Miała je po mężu, a nie różniły się one niczym od talii synów, którzy nosili swoje zawsze przy sobie, na wypadek gdyby nadarzyła się okazja do gry. Cioteczka Zsuzsa zabrała talię i pudełko zapalek, po czym podeszła do stołu i upuściła obie rzeczy na blat przed Márią.

Następnie zajęła miejsce naprzeciwko. Gdy siadała, wszystko, co miała na sobie – gruba halka pod spodem, suknia w środku i fartuch na wierzchu – skotłowało się w kłęb tkaniny, który ujarzmiła paroma ruchami dłoni, zupełnie jakby gładziła psa.

Spojrzała na Márię, bawiącą się kolejno tasiemką gorsetu, węzłem chustki, mankietem rękawa. Były to oznaki pobudzenia, które Cioteczka Zsuzsa często obserwowała u przyjaciółki.

Przyglądała się, jak Mária sięga ręką do gardła i muska je raz po raz. Robiła tak zawsze, ilekroć była zdenerwowana i chciała coś powiedzieć. W krótkim czasie,

który spędziła przy stole w kuchni Cioteczki Zsuzsy, uczyniła to tyle razy, że na jej szyi pojawił się czerwony wykwit.

– *Wszystko przez jego dziwkarstwo!*

Cioteczka Zsuzsa nie zareagowała. Odchyliła się do tyłu, dotknęła kieszeni fartucha i wymacała fajkę.

– *Nie przeżyję trzeciego rozwodu!*

Była akuszerka wyciągnęła fajkę, obejmując jej główkę pulchną dłonią. Fachowo pomacała tabakę gestem rolnika sprawdzającego glebę. Z wierzchu wciąż była wilgotna, ale spód się zbrylił. Tę część zawsze zostawiała dla Ébnera, który bardziej niż palić, lubił żuć.

Ugniotła tabakę w kominie i zapaliła zapałką, po czym głęboko się zaciągnęła. Następnie sięgnęła po talię. Karty były sterane, pogięte na brzegach i nie tylko, tak że miały fakturę świńskiej skóry. Przesiąknęły zapachem szuflady, starego drewna i kadzidla; często pocierała nimi suknię niby perfumą. Jedną z nut aromatu był ledwie wyczuwalny lep na muchy. Przełożyła talię, zaczęła ją tasować. Po krótkiej chwili przerwy potasowała karty ponownie i dopiero wtedy wyłożyła je wachlarzem przed przyjaciółką.

Mária podniosła na nią spojrzenie.

Czasami Cioteczka Zsuzsa trzymała fajkę w kąciku ust, aby móc mówić przy paleniu, którą to sztukę posiadała jeszcze w młodości. Główka pozostawała wówczas poza jej polem widzenia i poruszała się z każdą wypowiedzianą frazą. Teraz również ją wyjaśniać, co widzi, dla podkreślenia dźgając palcem kolejne karty.

Mária nie kwestionowała jej słów. Mária nigdy nie kwestionowała wróżb ani planów Cioteczki Zsuzsy. Potrzebowała jednak zapewnień. Przyjaciółka miała je na podorędziu:

– *Skoro nikt nic nie zauważył wtedy, nie zauważy niczego obecnie.*

Kiedy Mária wychodziła, zdążył nastać popołudniowy chłód. Poprawiła więc na głowie chustkę i opatuliła się szczelniej połami. Minęła szybkim, lecz ostrożnym



krokiem starego psa Cioteczki Zsuzsy, po czym opuściła posesję.

Furtka Ambrúzsów nadal była otwarta. Mária rzuciła okiem w głąb podwórka, oceniając je pożądanym spojrzeniem przyjaciółki. Petra stała na ganku. W chuście na głowie i w płaszczu, jakby spędziła tam więcej czasu. Na widok przechodzącej ulicą Márii przebiegła ścieżką do furtki i zatrzymała się dopiero przed rowem.

– *Co Cioteczka Zsuzsa powiedziała ci wcześniej?*

Mária obejrzała się na dom przyjaciółki, a później popatrzyła na Petrę. Nachyliła się do przodu i gestem poleciła Petrze zrobić to samo. Ich głowy spotkały się nad rowem, wystarczająco blisko, aby jedna mogła usłyszeć szept drugiej. Mária powtórzyła słowa Cioteczki Zsuzsy o egzekwowaniu długu.

Petra się zatchnęła. Odstąpiła krok w tył.

– *Ta kobieta odebrała mi wszystko!* – krzyknęła. – *I jeszcze jej mało!*

W ciągu paru dni od wróżby Cioteczka Zsuzsa i Mária opracowały zarówno plan, jak i harmonogram płatności. Mária zgodziła się zapłacić dziewięć tysięcy koron gotówką. Dla większości wieśniaków była to niewyobrażalna suma. Część tej kwoty miała pokryć zaległą zapłatę za zboże, które Mihály kupił od jej synów, nigdy się z nimi nie rozliczając – Cioteczka Zsuzsa nie puszczała takich rzeczy w niepamięć. Zwłaszcza że upominała się o uregulowanie rachunku, a on za każdym razem zapewniał, że zdobędzie pieniądze na następny miesiąc i jeszcze następny, i kolejny, ale oczywiście były to obietnice bez pokrycia. Ilekroć ją spotykał przypadkiem, uchylał kapelusza i mówił: „Już niedługo” albo: „Doceniam waszą cierpliwość”, po czym wyjeżdżał do Budapesztu bądź ukrywał się w chacie myśliwskiej jednego z przyjaciół. Tymczasem Cioteczka Zsuzsa nie lubiła, gdy ktoś robił z niej głupią.

Największe zadowolenie przyniosła jej druga część umowy, mianowicie przejęcie chaty Sanyiego. Od dwóch lat Mária ją zapewniała, że przekaze jej dom syna niebawem, lecz zawsze znajdowała jakiś powód, by przedłużyć dzierżawę o kolejny rok czy sezon. Teraz nareszcie z tym koniec – Cioteczka Zsuzsa miała przejąć upragnioną posesję.

\*\*\*

W domu wspólnotowym Mihály lubił przesiadywać w „sali kanapowej”, niewielkim pomieszczeniu sąsiadującym bezpośrednio z główną izbą, gdzie zbierali się także gracze w karty i entuzjaści szachów. Pomieszczenie pełne było wszelakiego rodzaju sof ustawionych wokół niskich ław. Na jego ścianach wisały portrety węgierskich bohaterów narodowych. Pośrodku sufitu zainstalowano lampę naftową, umocowaną na drucie przyczepionym do belki stropowej.

Tym razem Mihály czytał tygodnik, którego grzbiet wciąż był ujęty w rattanową ramkę. Nachylił się właśnie nad czasopismem, przerzucił stronę i pięścią wygładził na tylnej okładce. Potem ujął kieliszek dwoma grubymi palcami i ustabilizował jego nóżkę. W domu pijał wino stołowe, wytwarzane z winogron z jego własnej winnicy, ale ono nadawało się przede wszystkim do spłukiwania jedzenia. Tutaj optował za słodkimi tokajami, które sączył powoli, delektując się każdym łykiem.

Niemal codziennie towarzyszył mu w tym ceremoniale jego przyjaciel József Süle, którego większość znała jako Sędziego. Mihály i Sędzia dorastali razem, razem uprawiali ziemię i razem polowali. Obaj odgrywali w radzie wsi rolę sędziego grodzkiego (przy czym Sędzia nadal nim był). Sanyi ukradł trzy kurczaki nie komu innemu jak Sędziemu, który pozostawał najbliższym powiernikiem Mihálya.

Ich przyjaźń cementowała się przez lata rozmów prowadzonych przy lekturze i winie.

- Odwiedziłem Márię Szendi w Budapeszcie...
- Mária przyjedzie jutro pociągiem...
- Wieczorem natknąłem się w domu na parobka...

Poszczególne drobiazgi składały się na coraz pełniejszy obraz, aż w końcu obu mężczyznom zaczęło się wydawać, że zawsze wiedzieli o sobie wszystko.

Jednak temat zeszłorocznego ślubu Mihálya z Márią rzadko wypływał w tych konwersacjach.

Żaden z nich dwóch nie miał inklinacji do retrospekcji ani nurzania się w żalu. Mihály pogodził się ze swoją sytuacją, lecz pozostawszy w duchu kawalerem, nie przestał sprawdzać, na ile może sobie pozwolić.

Sięgnął ręką do kieszeni kamizeli i wyciągnął list. Do tej pory przetarcie na zgięciu zamieniło się w perforację, a brzegi były tak nadwreżone, iż papier niemal rozpadał mu się w rękach, gdy go dotykał. Uniósł kartkę do nosa i powąchał. Potem rozprostował ją i wygładził dłonią, nieświadom, że palce Márii niedawno zrobiły to samo.

Poznając Márię, Mihály od razu wiedział, że ta kobieta jest dla niego pułapką. Od tamtej pory chodził po świecie niczym dzikie zwierzę schwytane w potrzask. Pogarda, którą zaczął do niej czuć, nieco zmniejszyła jej władzę nad nim, ale nadal czuł się nie do końca panem samego siebie. Coś wciąż go do niej ciągnęło.

Kobieta z Budapesztu była wdową. Mihály spotykał się z nią od tygodni. „Kocham cię – pisała. – Pobierzmy się”.

Pomachał listem przed nosem przyjaciela, drocząc się z nim żartobliwie. Była to obecnie jego ulubiona pamiątka z Budapesztu, nosił ją niczym laur zwycięzcy.

Jak wiele razy wcześniej na przestrzeni lat, Sędzia odtrącił rękę z listem.

– *Bawisz się z kobietami jak kot z myszą.*

Ilekroć do Cioteczki Zsuzsy przychodził list albo telegram, jej syn odkładał go na bok i po zakończeniu codziennej trasy przynosił do domu matki, po czym zostawał, aby jej go odczytać. Pewnego wiosennego dnia przyniósł ze sobą dwa powiadomienia, oba wysłane z sądu w Szolnoku. Pierwsze z nich informowało, że mężczyzna, który chciał ją zastrzelić, został skazany. Młodzieniec walczył o to, aby zarzuty oddalono, lecz sąd uznał go za winnego. Cioteczkę Zsuzsę bardzo ucieszyła ta wiadomość – do tego stopnia, że miała zamiar ją roznieść po wsi, zanim klikon zdąży wszystko roztrąbić.

Drugie zawiadomienie dotyczyło jej własnej sprawy. W związku ze złożonym odwołaniem miała się stawić następnego stycznia w sądzie w Budapeszcie, który jako wyższa instancja rozpatrzy jej apelację. Choć został prawie rok na

odprawienie koniecznych romskich rytuałów, Cioteczka Zsuzsa zabrała się do tego bezzwłocznie.

W tygodniach, które nastąpiły po urodzeniu martwego dziecka przez Annę Cser, doktor Szegedy niemal nie wracał do tego wydarzenia. Zamienił tylko parę słów z ojcem i obaj uznali, że krwotok był nieunikniony, aczkolwiek żaden z nich nie miał pojęcia, co mogło go spowodować. Żaden nie był doświadczonym położnikiem, a doktor Szegedy senior właściwie nigdy nie przyjmował porodu osobiście.

Nim zaczął zaglądać do butelki coraz częściej, staruszek był gorliwym propagatorem zdrowia publicznego w regionie. Zasiadał w radzie, która postawiła sobie za cel doprowadzenie do budowy szpitala w Szolnoku. Zabierał głos podczas spotkań z mieszkańcami, przekonując, że ubodzy i podeszli wiekiem nie mają się do kogo zwrócić w chorobie, jeśli nie liczyć jego osoby – dostępnej raz w tygodniu i za cały gabinet mającej czarną lekarską torbę. Właśnie do tego szpitala doktor Szegedy junior – w stosunkowo krótkim czasie, odkąd zastąpił ojca – czasem wysyłał swoich pacjentów. Kierowanie tam nagłych przypadków miało się z celem, gdyż mało kto przeżyłby długą i niekomfortową podróż. Jednak osoby cierpiące na choroby przewlekłe, takie jak gruźlica, zawsze mogły liczyć na skierowanie.

Doktor Szegedy junior ani myślał zasiadać w radzie mającej powstać w Szolnoku kliniki położniczej, aczkolwiek trzeba też przyznać, że nikt mu tego nie zaproponował. Sprawa Cioteczki Zsuzsy przydała mu skrzydeł – od tej pory uważał, że jego miejsce nie jest w żadnej radzie, lecz po wsiach, gdzie powinien patrzeć na ręce akuszerkom.

Niepozorny potrzaszcz siedział na swojej grzędce, pozwalając, by wietrzyk mierzwił mu pióra. W pewnym momencie zaterkotał po swojemu i uniósł się w powietrze, z cienkimi jak koci wąs nóżkami zwisłymi niczym dwie luźne nitki,

po czym wylądował zgrabnie w suchej trawie. Wykonał kilka skoków, rozpędzając kurczętą, i znów poderwał się do lotu, tym razem w stronę pobliskiego krzaka.

Mihály słuchał ptasich treli cały ranek. Ich kwilenie, ćwierkanie i świergotanie dobiegało zza nieszczelnych szyb okna sypialni od bladego świtu.

Często obserwował, jak ptak budują gniazda na jego posesji. Robiły to w żywopłotach, na orzechu włoskim, na śliwach, a jednego roku nawet jakaś parka uwiła sobie gniazdko w stajni. Zdarzało mu się widzieć wilgę z kępką końskiego włosa w dziobie, szykującą się do złożenia jajek, albo przedstawiciela innego gatunku, jak zbiera kawałki siana. Ostatnimi czasy jednak Mihály w ogóle nie wychodził na zewnątrz. Mógł więc teraz tylko przymknąć oczy i wyobrażać sobie swoich skrzydlatych przyjaciół podczas kąpieli przy studni.

Głównie nasłuchiwał Márii. Jej drobne kroki przypominały mu tupanie myszy w korytarzu. Zwykle wydawała polecenia Marcelli, robiąc to głosem, który niegdyś uważał za czarujący. Nie widywał jej prawie wcale, gdy pokonywał jedną ze swoich stałych tras: z sypialni do wygodki albo z sypialni na ganek. Zwłaszcza popołudniami siadał obok drzwi frontowych, aby przyjmować znajomych, którzy przyszli go odwiedzić. Z tego samego miejsca obserwował Franklina pomagającego przy chudobie.

Ledwie Marcella otworzyła drzwi izby, do środka wdarła się woń gulaszu. Aromat spowił Mihály, który poprawił się na łóżku, opierając się o wezglowie. Niezdarnie wygładził na sobie kołdrę, która poskręcała się, gdy spał. Spod oka patrzył, jak Marcella stawia tacę z posiłkiem na szafce nocnej.

Od jakiegoś czasu widywał głównie ją. To ona przynosiła mu jedzenie i ona prała jego garderobę oraz pościel. Marcella wstawiała do niego w nocy i Marcella opróżniała po nim nocnik.

Mihály obrzucił zastawę spojrzeniem. Miska z gulaszem była niemal pełna, ale apetyt mu nie dopisywał. Jak zwykle obok stała szklanka z gorzałką. Nie miał ochoty ani na jedno, ani na drugie, lecz jak mu się zdawało, gorzałka pomagała na

żołądek. Przyłożył więc szklanę do ust i pociągnął łyk. Od pewnego czasu czuł, że smak alkoholu jest jakiś inny, nie taki jak kiedyś, gdy sam pędził bimber.

Może była to kwestia choroby, ale i tak z ciekawości zapytał Marcelłę, czy gorzałka aby pochodzi z jego zapasów.

– Cioteczka Zsuzsa przygotowuje posiłki. Mária nalewa alkohol.

Mihály powoli odstawił szklanę na tacę. Wgapił się w nią. Zajrzał do miski. Zapach papryki i czosnku nadal unosił się znad gorącego gulaszu.

Pochylił głowę.

Milczał, gdy elementy układanki wskakiwały na swoje miejsce.

Nagle wszystko miało sens.

– *Te dwie kurwy dosypują mi czegoś do jedzenia!*

\*\*\*

Pewne sprawy nie uszły uwagi Sędziego, gdy odwiedzał Kardosa. Odkąd jego przyjaciela powaliła słabość, Sędzia ani razu nie widział, żeby Mária weszła do izby, w której leżał jej mąż. W większości przypadków nie było jej w domu, a gdy nawet była, zastawał ją w najdziwniejszych miejscach. W odległym kącie ogrodu pielila rachityczny krzak na wykończeniu. W stajni układała narzędzia, które bynajmniej tego nie potrzebowały. W kuchni robiła porządki, mimo że nie było bałaganu. Zdumiewająca pracowitość jak na kogoś, kto zawsze stronił od nużących zajęć.

Sędzia od zawsze uważał ją za przedziwne stworzenie. Gdy była małą dziewczynką, uganiała się po wsi jak strzyga. Zachowywała się jak żywe srebro. Ledwie nauczyła się raczkować, spełzała z frontowych schodków i czarowała cały Nagyrév urokiem i sprytem. W miarę dorastania jednak opanowywał ją coraz większy niepokój, a z czasem można było zobaczyć, jakimi metodami zdobywa przedmioty i ludzi, na których jej zależało. Głównie była na bakier z prawdą i zastawiała pułapki.

Z Mihályem podzielił się swoimi spostrzeżeniami tylko w części. Miał ograniczony wpływ na przyjaciela. Zresztą nie zdołałby otworzyć oczu żadnemu mężczyźnie będącemu zakochanym tak jak Mihály. Lecz obecnie zachowanie Márii poważnie martwiło Sędziego. Jaka kobieta odchodzi od łoża boleści męża?

Kiedy Cioteczka Zsuzsa usłyszała, co Mihály powiedział Marcelli, na gwałt zaczęła ratować sytuację. Musiała działać szybko. Nadeszła pora na jej następny ruch, zanim znów ktoś odwiedzi Mihályę.

W pierwszej kolejności pognęła do swojej spiżarki. Za zapasem fiolek trzymała papierową tytkę, a w niej małe białe pigułki. Były okrągłe jak guziki i nie większe od szczypty, a zachowała je przez te wszystkie lata właśnie na taką okazję. Leczyła nimi bezsenność Istvána Joljarta, zaopatrując się w nie pierw w apteczkę podczas jednej z nielicznych wypraw do miasta. Teraz dziękowała sobie w duchu za swoją zapobiegliwość. Sięgnęła za fiolki i złapała tytkę. Wysypała kilka pigułek na dłoń. Złapała jedną i zgmiotła między palcem wskazującym i kciukiem, ale na darmo. Pigułka ani się nie rozpekła, ani się nie skruszyła. Cioteczkę Zsuzsę ucieszyła jej ewidentna moc. Schowała do kieszeni tę, którą miała w palcach, i jeszcze jedną, po czym resztę odłożyła do tytki. Na razie dwie wystarczą.

Marcella dała się łatwo przekonać, że Mihály musi zażyć pigułki. Odkąd pojawiła się w Nagyrévie, traktowała go jak ojca. Często mu się zwierzała. Opowiadała mu o Transylwanii, w której nigdy nie był, i wypytywała o kawalera, który smalił do niej cholewki. Na osobności rozważała to, co od niego usłyszała, jakby każde jego słowo było mądrością na wagę złota.

Tak więc zrobiłaby wszystko, aby ulżyć mu w cierpieniu. Dowiedziawszy się od Cioteczki Zsuzsy, że małe białe pigułki uczynią go spokojniejszym, była chętna do pomocy. A nawet gotowa okłamać go, byle je zażył. Sądziła, że jego wyrzekania („te kurwy”, krzyczał) to efekt choroby. „Dopadło go delirium”, myślała. Przeraziła się, gdy odmówił dalszego jedzenia i picia, nawet z własnej flaszki. Marcella wierzyła Cioteczce Zsuzsie. Sama dorastała pod opieką akuszerki i ufała ich metodom. Dlatego kiedy pokazała Mihályowi pigułki na otwartej dłoni, a on zapytał, skąd je ma, powiedziała, że sama kupiła je u aptekarza.

Sędzia trzymał chusteczkę przy twarzy. Brał krótkie, płytkie oddechy, by nie czuć smrodu. W większości wiejskich domów okna się nie otwierały, co odpowiadało ich mieszkańcom, którzy uważali, że przeciąg to krzyż Pański i przyczyna wszelakich chorób. Czuli się bezpieczniej w szczelnych izbach, ale Sędzia w tej chwili wiele by dał, żeby choć uchylić okno w sypialni przyjaciela i wpuścić nieco świeżego powietrza.

W końcu odjął chusteczkę od twarzy i zacisnął ją w dłoni. Dotknął czoła Mihálya, by otrzeć je z potu.

Potem usiadł ostrożnie na brzegu łóżka. Sięgnął do dłoni przyjaciela i poklepał ją krzepiącym gestem. W izbie było ciemno, zatem rozejrzał się wokół w poszukiwaniu lampy. Zza drzwi dolatywało nucenie Márii. Jej piskliwy głos załamał się, gdy chciała wyciągnąć jeszcze wyższą nutę. Sędzia ponownie się zastanowił: „Jaka kobieta...?”. Pożegnawszy się z przyjacielem na ten dzień, udał się prosto do domu wspólnotowego, aby umówić wizytę doktora Szegedyego u Mihálya.

Jak się miało okazać, było już na to za późno.

## **PIĄTEK, 7 KWIETNIA 1922 ROKU**

Niebo było szare i ponure. Od co najmniej dwóch dni nikt w Nagyrévie nie widział słońca. Temperatura sięgnęła raz dziesięciu stopni, po czym znów spadła raptownie. W powietrzu utrzymywała się uporczywa mgła, która spowijała wszystko wilgotnym oparem. Nawet oddychanie przychodziło ludziom z trudem.

Sędzia obejmował dłońmi kufelek z winem. Naczynie było niewielkie, pasujące w sam raz do jego dłoni, zwłaszcza gdy przewlekł kciuk przez ucho. Palce miał wciąż brudne od kopania w ziemi, przez co w nozdrza uderzał go żyzny zapach, ilekroć podnosił kufel do ust.

Na podwórzu roiło się od żałobników, z których części nawet nie znał. Sam Sędzia stanął z dala od kapeli. Mária wynajęła trio Henrika Miskolczyego, który grał w karczmie co niedzielę. Melodia przeszywała uszy.



Przesuwał się coraz bardziej za plecami innych mężczyzn, aż znalazł się przy furcie. Sfora psów znalazła schronienie pod drzewem po drugiej stronie ulicy. Były to te same zwierzęta, które Sędzia widział podążające za orszakiem żalobnym Mihálya. Wcześniej zakradły się nawet na posesję, kiedy trumnę ładowano na karawan. Podniecone zamieszaniem, ujadły jak głupie, a przestały dopiero wtedy, gdy kondukt ruszył. Truchtały, ścichły nagle, aż do rynku, gdzie zawróciły i pobiegly nazad. Teraz widział, jak odpoczywają. Rzucił spojrzenie w górę ulicy Árpád. Dom wspólnotowy świecił pustkami. Poczta była nieczynna. Ani jeden sklep, ani jeden warsztat nie otworzył tego dnia swoich podwoi. O ile Sędzia dobrze pamiętał, był to pierwszy raz, gdy wszystko pozostało zamknięte z okazji pogrzebu.

Zobaczył też długi ciąg furmanek i bryczek sięgający aż domu wspólnotowego, a nawet dalej. Pomiedzy nimi stały przywiązane do drzew i słupków pojedyncze muły. Wracając z cmentarza, przyjrzał się burtom wozów, żeby sprawdzić tabliczki, i z nich się domyślił, że ludzie zjechali z całej okolicy.

Na cmentarzu był dwukrotnie. Pierwszy raz o świcie, gdy z grupą przyjaciół Mihálya poszedł wykopać grób. Ledwie zdążył się przebrać przed pogrzebem, który Mária umówiła na przedpołudnie, aby więcej czasu zostało na stypę.

Teraz, na podwórzu, czuł się nieswojo. Nie potrafił sobie znaleźć miejsca. Zjawiwszy się na posesji, chciał się udać do stajni, gdzie jak sądził, zbiorą się przyjaciele zmarłego, ale wrota blokowała kapela. Sędzia w życiu nie słyszał, żeby na stypie przygrywała muzyka, wkrótce jednak miał się przekonać, że wdowa lekko potraktowała również inne zwyczaje.

Ciaśniej oplótł palcami kufelek. Zdążył się nauczyć, jak radzić sobie w tym tłumie, od którego zatykało go w piersi. Uniósł powoli rękę i utworzywszy krótki tunel między ciałami żalobników, przytknął naczynie do ust, żeby upić kolejny łyk.

Domyślał się, że gospodyni przebywa tam, gdzie tłum rozstępuje się i faluje.

Obserwował, jak Mária zmierza wolno, lecz wytrwale w stronę kapeli. Tuż przed muzykantami była wolna przestrzeń, głośna tak, że nikt nie odważył się tam

stanąć. Wdowa po Mihályu ewidentnie kierowała się właśnie w tę stronę. Powietrze wibrowało od dźwięków instrumentów, Mária czuła to całym ciałem. Ramiona miała spuszczone wzdłuż boków, dłońmi ułożonymi na płask dotykała jedwabnej sukni. Palcami lekko stukała do rytmu na udzie. Wcześniej dała Henrikowi listę swoich ulubionych piosenek i wyglądało na to, że kapela gra jedną po drugiej. Sunąc przed siebie, w pewnym momencie uniosła ręce nad głowę i zaczęła kołysać biodrami do taktu. Jej ramiona przypominały peryskopy wystające znad cizby żałobników. Wiele osób mylnie odczytało to jako znak, że wyda jakieś oświadczenie albo złoży deklarację, i obracali się w jej stronę.

Mária przepchnęła się przez ostatnie rzędy. Teraz machała już rękami mocniej, kreśląc spory łuk nad głową. Zaczęła klaskać. Najpierw powoli, potem szybciej. Wkrótce dołączył do niej Franklin. We dwoje wili się i wirowali, z twarzami zaczerwienionymi od gorzałki i wina, które wypili. Para kochanków tańcząca na polanie, otoczona lasem zszokowanych widzów.

O zmierzchu temperatura jeszcze się obniżyła. Niebo ściemniało do granatu, a w srebrzystej poświacie widać było tylko sylwetki tych gości, którzy wytrwali do tak późna. Stoły z jedzeniem dawno uprzątnięto, resztki z misek zlano do jednego garnka. Większość prac porządkowych wykonała Marcella z pomocą krewnych Cioteczki Zsuzsy. Potrawy na stypę przygotowała Anna Cser z pomocą swojej sąsiadki, pani Kiss.

Jeśli w Nagyrévie była osoba, którą Anna mogła nazywać swoją przyjaciółką, to tylko Rózsa Kiss. Starsza od niej o co najmniej dwadzieścia lat, doradzała jej w kwestiach zarówno prywatnych, jak i dotyczących karczmy. Zresztą to właśnie ona dostarczała karczmarce większość produktów. Warzyła w swojej kuchni potrawki i donosiła w ogromnych, parujących garnkach. W zamian Anna dzieliła się z Rózsą zarobkami. Tego dnia o poranku Rózsa pomogła Annie ładować stoły, które trzeba było przewieźć z karczmy na podwórze Kardosów przed rozpoczęciem stypy.

Wniesienie ich z powrotem do karczmy przekraczało siły Anny, która poczuła się bardzo zmęczona. Zaraz po obudzeniu ogarnęło ją uczucie znużenia, które wraz z upływem godzin zaczęło przypominać letarg. Coś dosłownie wysysało z niej energię.

Doświadczenie podpowiadało jej, co to takiego.

Złapała krawędź stołu i uniosła swój koniec. Drobne ramiona zadrżały od wysiłku. Różsa była wciąż krzepka, przez co Anna miała wrażenie, jakby poderwała z ziemi i ją, przenosząc niczym balon nad drogą i odstawiając z hukiem w mrocznej i pustej izbie. Dopiero wtedy Anna rozluźniła palce dotąd zaciśnięte na blacie i obejrzała ślad, który drewno pozostawiło na jej dłoni.

„Może to dziecko przeżyje – pomyślała. – A może nie”.

Obojętność w obliczu jej położenia była smutna wyłącznie dla niej samej.

Gdy Cioteczka Zsuzsa w końcu dotarła do domu tego wieczora i położyła się do łóżka, była tak podekscytowana, że długo nie mogła zasnąć. Rzuciła się w pościeli. To przykrywała się razem z głową, to znów całkiem się odkrywała. Spulchniała poduszkę pięścią – najpierw z jednej, potem z drugiej strony, niezdolna znaleźć wygodnej pozycji. Przez cały czas mamrotała pod nosem przekleństwa.

Podeszła do Márii, kiedy muzykanci chowali swoje instrumenty, a ostatni goście rozchodzili się do domów, i wzięła ją na bok, by szeptem jej przypomnieć o umowie, którą między sobą uzgodniły. W kieszeni miała dokumenty sporządzone z myślą o sfinalizowaniu przekazania jej chaty Sanyiego na własność.

Mária zbyła ją wzruszeniem ramion. Pokręciła głową i otwarcie odmówiła podpisania czegokolwiek. Dla Cioteczki Zsuzsy oznaczało to zakończenie przyjaźni – w miejscu dawnej przyjaciółki od serca nagle stała obca kobieta.

Poprzysięgła sobie, że więcej się do niej nie odezwie. Dotrzymała tej obietnicy przez wiele lat.

Klikon pochylił się nad swoim bębniem. Odstawił przenośną lampę na ziemię obok siebie i ponownie się wyprostował. Wyjął pałeczki z pokrowca, który trzymał

zawsze zatknięty za pasem. Rozwinął zwój.

Odczytywał powoli każde obwieszczenie: kto kogo poślubi, kto ma co do sprzedania, jak również nowiny z hrabstwa i stolicy. Zakończył dziwną informacją, która nadeszła drutem telegraficznym. Mianowicie w pewnym miasteczku na Nizinie Węgierskiej ludzie doświadczyli tajemniczego deszczu pajaków. Niebo zasnuła masa czarnych, włochatych ośmionogich stworzeń, które spadały na dachy, ganki, dorożki, kapelusze i chustki, a nawet dziecięce głowy.

Niektórzy dopatrywali się w tym zwiastuna końca świata, każda Romka jednak wiedziała, że pajak to szczęśliwy omen. Cioteczka Zsuzsa zrozumiała, że czeka ją wiele dobrego.

\*\*\*

Krisztina Csabai odprowadziła konia do boksu. Drobiąc kroczyki i zbliżając się do stajni, wpatrywała się we własne bosc nogi, odnotowując wszystkie zadrapania i kawałki słomy przyczepione do zaschniętego błota między palcami. Jej prawa stopa spuchła, nabierając sinej barwy, a w biodrze odezwał się ból, którego nie czuła, kładąc się spać minionego wieczora. Gdyby mogła się przejrzeć w lustro, zobaczyłaby, że czoło ma pokryte kropelkami krwi, a na policzku nosi wciąż słaby ślad łańcucha. Ledwie widziała na oczy, które zwęziły się jej w szparki wskutek opuchlizny pod spodem.

Zamknęła drzwiczki boksu, po czym przez chwilę opierała się głową o koński łeb, bezwiednie gładząc sierść zwierzęcia samymi opuszkami. Zaraz pod skórą czuła wystające kości. Oporządzając konia, czasami do niego nuciła, myślała bowiem, że to go uspokaja, tego ranka jednak była wyjątkowo cicha. Szukała schronienia, które zapewniło jej masywne ciało i miarowy oddech wiernego zwierzęcia.

Zamierzała pojechać do Cioteczki Zsuzsy i nawet zaczęła zaprzęgać konia do wozu, ale okazało się to dla niej zbyt trudne. Uporała się jakoś z założeniem uprzęży, robiąc wszystko wolno tak, jak pozwalały jej nadwerężone mięśnie, lecz

potem – gdy zabrała się do unoszenia ciężkiego dyszla – niespodziewanie poczuła przeszywający ból. Krzyknęła głośno i upuściła dyszel. Momentalnie zrozumiała, że czeka ją wędrówka pieszo do Cioteczki Zsuzsy.

Ilekróć spuchnięta stopa dotykała ziemi, Krisztina się krzywiła. Z początku próbowała stawiać długie kroki, wspierając się głównie na zdrowej nodze i przerzucając drugą najdalej, jak umiała, w ten sposób mając nadzieję pokonać większy odcinek w krótszym czasie. Ale gwałtowny ruch i pęd powietrza wywoływał jeszcze gorszy ból stopy. Okazało się, że musi drobić, jeśli chce wytrzymać taki kawał drogi.

Choć było wciąż wcześniej rano, słońce przygrzewało już bardzo mocno. Pociągnęła za niechlujny węzeł chustki, który obcierał ją pod brodą, i szarpnęła też jej górę, ściągając w ogóle z głowy, aby otrzeć sobie twarz. Co rusz dotykała tętniącej brwi. Jej fartuch roztaczał woń siana, a nieczłudzko brudna czarna suknia kleiła się do spoconego ciała. Cały dół był wymięty od nocy spędzonej na stogu.

Wydarzenia ostatniego wieczoru wracały do niej falami na podobieństwo wstrząsów elektrycznych. W którymś momencie przebudziła się przemarznięta, niepewna, gdzie jest. Usiłowała zwinąć się w kłębek dla zyskania ciepła, ale powstrzymał ją przed tym nagły ból, który odezwał się w wielu miejscach naraz. Był przeszywający jak dźgnięcie noża, na co mogła tylko znieruchomieć w obronie przed dalszym cierpieniem. Po pewnym czasie ostrożnie się rozprostowała, uważając, aby nie przysporzyć sobie bólu, aż w końcu zdołała się spod niego wyzwolić niemal zupełnie.

Zdawszy sobie sprawę z zapachu wilgoci i zwierząt, zrozumiała, że jest nie w domu, lecz w obejściu. Podniosła się ze stogu siana, na którym straciła przytomność, i na czworakach przepęzła w stronę stajni, prąc przed siebie po omacku i dwakroć po drodze zaplątując się we własną suknię. Ziemia była lodowata, od czego zdrętwiały jej dłonie. Pulsujący ból w stopie nie ustępował ani na chwilę. Na tyłach boksu leżała derka. Rozłożyła ją i narzuciła sobie na ramiona, po czym przywarła plecami do drewnianej ścianki. Ukojenie przynosiły jej odgłosy

śpiących zwierząt. Z czasem zaczęła się odprężyć. Gdy poczuła się bardziej rozluźniona, wróciła pamięcią do minionego popołudnia...

\*\*\*

Krisztina uprzątnęła w oborze stare legowisko i wyniosła je na zewnątrz. Podłoże było grzaskie, chciała więc jak najszybciej rozrzucić świeżą słomę, żeby przestać się zapadać po kostki. Dokładając siana, mówiła do cielaka, który podszedł do niej, żeby go podrapała za uszami.

Cios spadł na nią jak grom z jasnego nieba. Mężowski buciór trafił ją w skroń, aż zadźwięczało jej w uchu. Chwyciła się przegrody, lecz jednocześnie nadeszło drugie uderzenie, tym razem w brzuch. Puściła krawędź przegrody i upadła. Cielak zaczął muczeć. Tymczasem mąż Krisztiny zachwiał się, ale zaraz odzyskał równowagę. Schylił się do niej, złapał jej włosy w garść i szarpnął w górę, aby jej twarz znalazła się na wysokości jego twarzy.

Wolną ręką wymacał jeden z krowich łańcuchów wiszących na przegrodzie. Wyprostował się bardziej i rozstawił szerzej nogi. Łańcuch miał jakieś pięć metrów, tak że Gyula zwinął go jak linę i zaczął wymachiwać końcem nad głową swojej ofiary. Metalowe ogniwa dźwięczały i świszczwały w powietrzu. Nagle kilka z nich zetknęło się kolejno z jej twarzą, barkami, plecami. Gdy puścił jej włosy, poleciała na ziemię z impetem.

Cofnął się. Rozczapierzył dłoń, wypuszczając z niej łańcuch, który spadł z gruchotem. Tam, gdzie metal odciął dopływ krwi, ręka była blada, obok zaś mocno czerwona. Gyula roztarł bolące miejsce. Krisztina leżała na ziemi pomiędzy przegrodą i cielakiem, którego muczenie przeszło do tej pory w chruczenie. Gyula ukucnął. Potem klapnął na siedzenie i przeczesując palcami źdźbła słomy, jął się przyglądać pobitej żonie.

Wreszcie wstał i uniósł jedną nogę na wysokość kolana, żeby obejrzeć podeszwę buta. Krisztina zobaczyła, że jego oblicze znów ciemnieje. Nim zdążyła

zareagować, opuścił na nią stopę, celując tym razem w jej kostkę. Usłyszała chrupnięcie, które zagłuszył jej krzyk.

\*\*\*

Dotarcie do chaty Cioteczki Zsuzsy zajęło jej większość ranka. Wiedząc, że lepiej zachodzić od tyłu, obesła budynek i zapukała.

Otworzywszy drzwi, Cioteczka Zsuzsa w pierwszej chwili pomyślała, że ma przed sobą jakąś drżącą staruchę albo może romską żebraczkę, lecz zaraz zobaczyła, iż włosy wymykające się spod chustki nie są wcale siwe, a cera wydaje się zbyt jasna jak na Romkę. Oboje oczu kobieta miała podpuchniętych, a odzienie brudne i podarte. Cuchnęła. Wyglądało też na to, że ma złamaną nogę w kostce.

– Nazywam się Krisztina. Moja sąsiadka mówiła, że powinnam szukać u was pomocy.

# POŚPIESZNE CHRZCINY

*Gniew Roma jest jak wiatr. Wzmaga się i słabnie.*

– stare romskie przysłowie

## **BUDAPESZT**

Cioteczka Zsuzsa wyszła spod portyku sądu prosto w porywisty wiatr, który momentalnie owionął ją kęsającym chłodem. Popychał ją i szarpał niczym łobuz, aż musiała się podeprzeć o najbliższą kolumnę. Śnieg, który rano pokrywał trotuar, zdążył zniknąć zdmuchnięty, lecz oblodzone kamienne stopnie nadal były niebezpiecznie śliskie.

Mimo że żywioł źle się z nią obchodził, szczyrzyła się do siebie pod nosem. Odniosła zwycięstwo. Jakimś cudem, kierując się logiką gadzia, sędzia oczyścił ją ze wszystkich zarzutów.

Każdy, kto śledził jej proces, musiał być zdumiony tą nagłą zmianą passy. Zeznania, które złożyła przed policjantami, były niczym postawienie pieczęci. Nieodwracalne. Opisała swoje przestępcze uczynki z najdrobniejszymi detalami. A potem, gdy na rozprawie w Szolnoku zaprzeczyła własnym słowom, nikt jej nie uwierzył. Jak więc to możliwe, że sąd apelacyjny oddalił oskarżenie? Czyżby dano wiarę jej wersji historii? Przedłożono jej słowa nad to, co mówili policjanci? A może raczej to jej adwokat wybronił ją, uciekając się do jakiejś sztuczki prawnej albo przyłapując drugą stronę na błędzie? Cioteczka Zsuzsa nie dbała o to. Dla niej liczyło się wyłącznie odzyskanie dobrego imienia i wolności. Przed wszystkim jednak znów ogarnęło ją niezachwiane poczucie dobrze spełnianego obowiązku.

Bulwar przed nią tętnił życiem. Ogłuszający hałas przejeżdżających automobili i dorożek ranił jej uszy do tego stopnia, że musiała je zakryć rękami. Adwokat



Cioteczki Zsuzsy był gdzieś tam w dole, pośród tego całego zamieszania, i przytrzymując melonik, wsiadał właśnie do dorożki.

## **CZWARTEK, 18 STYCZNIA 1923 ROKU**

Słomiana mata służąca Annie do spania leżała rozwinięta pod ścianą. Karczmarka używała jej od lat. Przez ten czas boki jakby spuchły, prute i zszywane od nowa, żeby utrzymać wypełnienie w kupie, lecz ileś źdźbeł i tak się wymknęło i teraz otaczały ją niczym palisada.

Anna była pogrążona w głębokim śnie, mglistym i odległym, ale od czasu do czasu budziła się, mrugała oczami na widok światła dziennego, po czym znowu zapadała się w głęboką studnię nieświadomości.

Minął wieczór, minęła noc i większa część dnia. Izbę doszorowano, całą krew wytarto szmatami i ścierkami. Jutowy worek, na którym rodziła, także przesiąkł krwią – i został spalony lub wyrzucony, tego Anna nie wiedziała.

Nocą pojawił się Lajos, nie słuchając poleceń, by trzymać się z daleka. Ani jego odór, ani rumor, który powodował, wpadając na sprzęty, nie wybudził na dobre Anny. Odzyskała może przytomność na moment, po czym natychmiast wróciła do swojej studni.

Rankiem dzieci wyszły z domu. Córka udała się do szkoły. Anna rzadko ją tam wysyłała zimą, ponieważ buty dziewczynki były pełne dziur, a droga do klasy długa i zimna. Tym razem to Mari, która czuwała przy rodzącej przez prawie całą noc, by później wrócić nad ranem, wyekspediowała ją w pożyczonej parze obuwia. Syn Anny, w wieku trzynastu lat za duży na pobieranie nauk, pomagał Rózsie w kuchni. Rózsa także doglądała położnicy w nocy, a o świcie przyszła otworzyć karczmę.

Zza okna napływały miłe dla ucha dźwięki. Stukanie końskich i wolicz kopyt, brzdęk kanek z mlekiem, dzwonienie dzwonków przy wozach. Każdy melodyjny odgłos dolatujący z zewnątrz był jednak kontrapunktowany ciężkim stąpieniem Mari. Jej buty łupały o klepisko, ilekroć postawiła na nim nogę. Chodziła tak, jakby

przy każdym kroku gasiła ogień. Ktoś postronny rozpoznałby w jej zachowaniu odzwierciedlenie Cioteczki Zsuzsy, która również tupiała niespokojnie, gdy się namyślała.

Zresztą Mari była podobna do swojej matki – jak i do ciotki Lídi – także pod wieloma innymi względami. Patrząc z daleka lub z tyłu, Anna nie była w stanie rozpoznać, która jest która. Czasami myślała, że na rynku spotka Cioteczkę Zsuzsę, podczas gdy odwracająca się kobieta okazywała się Lídią. Bądź Mari, wychodząca właśnie z poczty, okazywała się Cioteczką Zsuzsą. Wszystkie trzy miały taką samą sylwetkę, takie same usta, ten sam głos, ten sam zwyczaj kręcenia kółek kciukami, wreszcie ten sam drepczący krok. Ilekroć Anna wychodziła z domu lub z tawerny, groziło jej potrójne ryzyko, że spotka Cioteczkę Zsuzsę.

Tajemnicą poliszynela było, że Cioteczka Zsuzsa asystuje Mari przy porodach, mimo że doktor Szegedy stanowczo jej tego zakazał. Mari zdążyła odbyć praktykę u niego i otrzymała lekarską zgodę na samodzielne przyjmowanie porodów, ale niemal w każdym przypadku towarzyszyła jej Cioteczka Zsuzsa. I w niemal każdym przypadku – wielu powiedziałyby, że zawsze – to Cioteczka Zsuzsa przyjmowała dziecko na świat przy asyście swojej córki. Dlatego gdy minionego wieczora pojawiła się sama Mari, Anna była zachwycona ponad miarę.

Teraz utrzymała się na powierzchni przytomności tylko przez parę minut, po czym znów została wciągnięta w głąb studni. Czuła się odcinana kawałek po kawałku, włókienko po włókienku od otaczających ją dźwięków i widoków. Musiała walczyć z ciężącymi jej powiekami, aby zobaczyć jeszcze jeden obraz. Wzrok skupiała na Mari. Nowa akuszerka była ubrana w starą, lecz schludną suknię, która mimo upływu lat nie straciła nic z intensywności pierwotnej barwy. Ponieważ biodra młodej kobiety nabierały tuszy, suknia lekko się marszczyła w miejscach, gdzie była przewiązana troczkami fartucha. Mocno ściągnięta z tyłu chustka skutecznie zasłaniała jej włosy, odgarnięte wysoko z czoła. Węzełek na karku podskakiwał miarowo z każdym krokiem Mari. Anna przyglądała mu się właśnie. Choć akuszerka stała plecami do niej, udało jej się wypatrzeć wiszące

i kołyszące się na boki czerwone stópki nowo narodzonego syna. Podkurczywszy paluszki, kopął nimi powietrze. Z jego gardła dobywało się zawodzenie.

Anna wybrała już matkę chrzestną dla niego. Życie na uboczu nie dawało jej wielu okazji do zawierania przyjaźni. Zażyłość, która połączyła ją z Rózszą, wynikała głównie z sąsiedztwa, a wywiązana między nimi bliskość wzięła się z tego, że Rózsa wiedziała, co Lajos robi żonie, i często opatrywała jej obrażenia.

Pani Köteles była jednak bliższa wiekiem Annie, a przede wszystkim – wyznawała katolicyzm. Mieszkała na drugim krańcu ulicy Árpád, niemal na obrzeżach wioski. Kilka tygodni temu Anna wysłała do niej pieszko syna z pytaniem, czy nie zostałaby matką chrzestną jej następnego dziecka. Pani Köteles się zgodziła. Anna teraz pomyślała, że będzie musiała znów posłać do niej chłopca w ciągu najbliższych paru dni. Chrzcziny trzeba było zaplanować. O martwo urodzonym dziecku sprzed roku, tym, którego poród odbierał doktor Szegedy, praktycznie nikomu nie mówiła. Zawsze była dyskretna, gdy chodziło o te z jej dzieci, które nie przeżyły.

Cioteczka Zsuzsa wsiadła w pierwszy pociąg do domu, jaki złapała. Wcześniej, podczas pobytu w Budapeszcie, zatrzymała się u kuzynki. Część rodziny Csordásów mieszkała w stolicy, tak że przy okazji wizyt tam mogła korzystać z gościnności.

Późnym popołudniem była już w Tiszaföldvárze. Nie licząc walizki, miała ze sobą jeden wiklinowy koszyk, w którym wiozła prowiant na drogę. Znalazły się w nim również smaczne kąski dla najbliższych przyrządzone przez kuzynkę.

Wysiadła na peron w zapadającym zmierzchu. Tutaj też kąsał ją wiatr – szczególnie że na całych Węgrzech najsilniejsze podmuchy wiały właśnie w tej okolicy. Cioteczka Zsuzsa jednak czuła się pewnie na własnym terenie, z dala od zgiełku dużego miasta. Opuściła głowę i niczym szarżujący byk ruszyła pod wiatr.

Porywy szarpały jej chustą i przenikały ażurowy koszyk na wylot, niczym złodziej porywając aromaty, którymi rozkoszowała się przez ostatnie godziny. Chciała wziąć głęboki oddech, aby napełnić płuca zapachem domu, lecz

nieustępliwy wiatr jej to uniemożliwił. Przytuliła koszyk mocniej do ciała. Złapała róg chusty i opatuliła się ciasniej. Pod spodem, na biuście, czuła niewielki ciężar swojej sakiewki, ciepło putsi na skórze.

Zaaferowana walką z wichurą, potraktowała lekkie pchnięcie jak atak. Gdy rozwarła powieki, zobaczyła wnuczkę, która w podekscytowaniu rzuciła się w jej stronę i oplotła ją ramionami w grubej talii. Mała Lídia wtuliła twarz w pierś babki i zaczęła opowiadać o wszystkim, co wydarzyło się podczas kilkudniowej nieobecności Cioteczki Zsuzsy w Nagyrévie. O miksturze, którą pies dostał w chorobie, o gałęziach, które złamane spadły na podwórze, o sprzeczkach wieśniaków z hrabią Molnárem, który chciał podwyższyć podatki. W młodym umyśle szalał nieustanny wicher, niewiele się różniący od tego wiejącego na Nizinie Węgierskiej, przez co Lídia myliła duże sprawy z małymi.

– *Pani Cser urodziła wczoraj dziecko. Chłopca. Da mu na imię István.*

Zanim doktor Szegedy wsiadł do pociągu w Budapeszcie, nagły wstrząs, którego doznał w chwili ogłoszenia werdyktu, zdążył przejść w głęboką rozpacz. Sąd apelacyjny potrzebował aż półtora roku, by w ogóle zająć się sprawą. W tym czasie doktor Szegedy przekopywał się przez archiwa reszty wsi. Wyrok skazujący, jaki by zapadł w sądzie wyższej instancji, byłby dla niego zachętą do dalszych działań. Na podstawie precedensu mógłby wszcząć dochodzenie przeciwko każdej akuszerce pod swoim nadzorem, w tym przeciwko Krisztinie Csordás z Tizsakürtu. Oczyszczenie Cioteczki Zsuzsy z zarzutów wytrąciło mu broń z ręki.

Jej odwołanie się od wyroku sądu w Szolnoku spotkało się w Budapeszcie ze zrozumieniem głównie dzięki temu, że wyparła się swoich zeznań złożonych w obliczu funkcjonariuszy policji. Doktor Szegedy do ostatniej chwili był pewien, że sąd apelacyjny podtrzyma decyzję sądu niższej instancji. Dlatego też uniewinnienie Cioteczki Zsuzsy okazało się dla niego takim szokiem.

Był środek tygodnia, zima trwała w najlepsze, nic dziwnego więc, że pociąg był niemal pusty. Przez brudną, oszronioną szybę nie dało się wiele zobaczyć, doktor Szegedy jednak dobrze wiedział, jaki krajobraz mija. Nizina Węgierska w styczniu

nie stanowiła ciekawego widoku. Ot, pustkowie, poznaczone miejscami przez zbiorowiska czarnych kropek, w których można się było domyślać kruków.

Ławka była twarda i strasznie niewygodna. Doktor Szegedy siedział na niej zgarbiony – nie mógłby dobitniej pokazać, że czuje się pokonany. Na lepszych odcinkach trasy wagon kołysał się miarowo w rytm stukotu kół. Na zakrętach i gorszych partiach torów telepał się niemiłosiernie. Nie mając wyjścia, doktor Szegedy poddał się humorom pociągu. Niczym szmaciana lalka pozwalał, by pęd składu robił z nim, co chce. Nie zwracał uwagi nawet na to, że szarpnięcia lokomotywy odzywiają się echem w jego ciele.

Przymknąwszy oczy, przeniósł się z powrotem na salę sądową. W czasie dłużącej mu się podróży zdołał przywołać w pamięci każde słowo, które tam padło, i każdy obraz, który tam zobaczył. Lekarskim okiem doszukiwał się szczeliny, przeoczonego słabego punktu, który doprowadził do katastrofalnego w skutkach załamania zainicjowanej przez niego sprawy.

Po południu odgłosy dolatujące z karczmy przybrały na sile. Anna słyszała chrobot nóg stołów i ław przesuwanych po podłodze, a także gardłowe, przesiąknięte winem śmiechy klientów.

Blask wpadający z zewnątrz był zimny i ostry, spowijał jej izbę bezlitosnymi metalicznymi promieniami. Były jednak fragmenty, których Anna nie widziała. Usiłowała wypełnić mroczne miejsca kształtami; wpatrywała się w jeden punkt uporczywie, aż pamięć jej podpowiadała element wyposażenia: nadpękniętą doniczkę zabraną z matczynego domu po ślubie, rozchwierutany zydeł, którego jej córka nadal używała jako krzesła. W stanie, w jakim była, pomieszczenie zdawało jej się obce i nieprzewidywalne. Musiała po nim stąpać ostrożnie w zamglonych myślach.

Wspomnienie porodu również jej się wymykało. W jego miejscu była bezkształtna czerni: pole o północy. Zaczęła się przedzierać w jego stronę.

Co Mari do niej powiedziała?

Ostrożnie, z delikatnością zarezerwowaną tylko dla jej dzieci, Anna podparła się na łokciach. Lekko zmieniła pozycję i oparła się głową o zimną ścianę. Natychmiast poczuła, jak przenika ją lodowaty chłód. Opatuliła się szczelniej kocem, okrywając kościste ciało ciaśniej, aby zatrzymać tę odrobinę ciepła, którą wytworzyła.

– Chcecie, żebym...

Wystarczyło, że zamknęła oczy, i wiedziała nawet, gdzie Mari stała w tamtym momencie. Jej buty uderzały głośno o klepisko, jakby wystukując wciąż tę samą wiadomość. Śmierdziały potem i mokrą skórą, i chyba jeszcze końskim łajnem. Ilekroć akuszerka przeszła obok, Anna wychwytywała mdlącą nutę.

– Chcecie, żebym coś...

Usłyszała głosiki dzieci. Śpiewały. Często tak robiły, wracając ze szkoły. Teraz też jakaś piosenka dolatywała od strony drogi. Gdy robiło się ciepło, jej córka lubiła nucić przy rowie, gdzie bawiła się w plecenie ździebeł trawy i lulanie lalki z kukurydzianych łupin i sznurka.

– Chcecie, żebym coś z nim...

Czasami jej córka przyprowadzała koleżankę, która ciągnęła za sobą jagniątko na sznurku obwiązany wokół szyi niczym smycz. Obie dziewczynki siadały wtedy na spłachetku trawy, czesały owieczkę paluszkami i śpiewały jej.

– Chcecie, żebym coś z nim zrobiła? Znam pewien sposób, ten sam, dzięki któremu mama pomogła waszej Justynie.

Nagle wszystko jej się przypomniało. Mroki pamięci przeniknął blask przerażenia.

Od niemal siedmiu lat Anna dźwigała tamten grzech, który dołączył do masy jej innych grzechów. Długo po śmierci Justyny męczyły ją wyrzuty sumienia i strach tak wielki, że ledwie była w stanie funkcjonować. Oszołomienie i dezorientacja sprawiały, że jej ból pozostawał wiecznie jakby poza jej zasięgiem. Czuła się jeszcze bardziej odrealniona niż przedtem. Troska o duszę – nie tylko o duszyczkę Justyny, lecz także o własną – nie dawała jej spokoju.

Gdy w Nagyrévie pojawili się policjanci, martwiła się bez końca, lecz nikt nie przyszedł jej przesłuchać i przynajmniej w tym aspekcie jej obawy zmaląły. Przez cały ten czas Anna wierzyła, że to, co stało się z Justíną, było sekretem znanym tylko dwu grzesznicom. Nigdy nie sądziła, że Cioteczka Zsuzsa mogła zdradzić swojej córce tajemnicę tamtej nocy.

Mały István urodził się punktualnie o północy. Dzwony rozdzwoniły się akurat wtedy, gdy wyślizgnął się prosto w podstawione dłonie Mari. Jego śladem trysnęła z niej krew niczym zły omen. Worek jutowy nie zdołał wchłonąć wszystkiej czerwonej cieczy, w której nieomal pływała. Krwawiła prawie tak obficie jak poprzednio, przez co miała problem z utrzymaniem przytomności. Zaczęła wpadać w swoją studnię, kiedy Mari zadała jej pytanie. Dotarło do niej jakby z opóźnieniem, niesione leniwą rzeką, minęło ją w pewnym oddaleniu i pozwoliło nieść się prądowi dalej.

Piersi miała pełne i tkliwe. Roniły mleko w brudną suknię.

Jakiej odpowiedzi udzieliła?

\*\*\*

Krisztina Csabai biegła po swojej ścieżce niemal zgięta w pół. Na plecach czuła ponaglącą dłoń syna, który w wieku szesnastu lat był już tak wysoki i silny jak jego ojciec. Teraz ją popychał, żeby biegła szybciej. Drugą ręką trzymał swoją dziesięcioletnią siostrę, która ledwie za nimi nadążała.

Mąż Krisztiny stał w progu domu i wrzeszczał za uciekającą przed nim rodziną.

– Pozabijam was wszystkich!

Krisztina nawet się nie obejrzała ani nie zwolniła kroku. Cała trójka pędziła na złamanie karku.

– *Pozabijam was, a potem zabiję sam siebie!*

Pan Csabai trzasnął drzwiami, co przypominało wystrzał z karabinu. Po sekundzie otworzył je z powrotem i poprawił raz jeszcze.

Tymczasem Krisztina z dziećmi już wybiegała za furtkę. Chłopak pociągnął za sobą siostrę, aż dziewczynka poszybowała nad rowem i znalazła się znów na nogach na ulicy. Ich matka mknęła dalej w rozczłapanych butach. Twarz miała świeżo opuchniętą.

W pewnym momencie spostrzegła u płotu sąsiada, Jánosa Taryego, który w milczeniu zapraszał ich do siebie. Wszyscy troje skręcili niezgrabnie w jego stronę, minęli furtkę i wpadli do budynku. Tu będą bezpieczni. Przynajmniej tej nocy.

Od śmierci Mihálya minęło dziewięć miesięcy. W tym czasie życie Márii niewiele się zmieniło. Nadal mieszkała w tym samym domu, który z nim dzieliła, choć teraz była właścicielką. Odziedziczyła nie tylko tę posesję, ale też wszystkie ziemie, które posiadał.

Teraz to ona była posiadaczką ziemską, co dawało jej poczucie, że wreszcie zyskała władzę, na jakiej zawsze jej zależało, ale której nigdy nie dostała. Ani wtedy, gdy wróciła do Nagyréva, żeby zamieszkać z Mihályem, ani nawet wtedy, gdy za niego wyszła. Najbardziej ją cieszyło, że została właścicielką chaty Sanyiego. Nigdy nie zamierzała jej sprzedać Cioteczce Zsuzsie, nie tak naprawdę. Teraz zaś sprawiało jej niebotyczną satysfakcję, gdy mogła obok tej posesji przejechać – ze świadomością, że to, co kiedyś należało do Kovácsów, obecnie należy do niej. Jedyna zmiana, jaką wdrożyła, polegała na tym, że przeprowadziła dzierżawców z chaty Sanyiego do siebie.

Po raz pierwszy w życiu nikogo nie potrzebowała.

A już na pewno nie potrzebowała Cioteczki Zsuzsy. Grzebiąc Mihálya, była przekonana, że grzebie ostatni swój kłopot. Raz jeszcze wymazała ze swego życia to, co jej nie pasowało, i zabrała się do kolorowania konturów, które dopiero zaczynały się przed nią rysować. Niepotrzebna jej były wróżby jakiejś akuszerki. Nie widziała przed sobą żadnych problemów.

**PIĄTEK, 19 STYCZNIA 1923 ROKU**



Latarnia dawała tylko mdłe światło w górze ulicy. Niski rząd zabudowań nieopodal, posępny nawet za dnia, w sztucznym blasku przypominał szary głaz z padającymi na niego cieniami nagich gałęzi.

Annę otaczał krąg słabej jasności. Nie było czasu na czyszczenie przenośnej lampy, przez co teraz płomyk ledwie pełgał. Ogień chybotał na samym czubku długiego knota, rzucając tycki bladożółty kwiat na ziemię u stóp karczmarki. Wokół niej unosiła się woń nafty. Wichura z poprzedniego dnia zdążyła ucichnąć, zastąpiona przez przyprawiający o ciarki bezruch.

Ciepło biło od idącej z nią Rózsy. Najbliższa sąsiadka była mniej więcej wzrostu Anny, lecz bardziej przysadzista. Jej obecność tuż obok okazała się niezwykle krzepiąca, tym bardziej że splotła z Anną ramiona, dodając jej sił, aby trzymała się prosto.

Rózsa niosła lampę, a Anna niemowlę. Dziecko było w powijakach, z kawałeczkiem sznurka obwiązany wokół dużego palca u nogi dla odstraszenia diabła. Anna sięgnęła po ten środek, ponieważ sytuacja była krytyczna. Dla pewności okryła je jeszcze kocykiem.

Sama szła ubrana w kurtę Lajosa. Była znacznie solidniejsza i cieplejsza niż jej płaszcz, lecz przeniknięta na wskroś zapachami potu i gorzałki. To przypominało jej, że Lajos nadal gdzieś się czai.

Karczmę powierzyła na resztę wieczoru kilku zaufanym klientom. Na Lajosa – po tym, jak sprowadził Rózse – nie miała co więcej liczyć. Nawet gdyby był wystarczająco trzeźwy, żeby dotrzeć do domu pani Köteles, ta ostatnia nie zdążyłaby zrobić wszystkiego tego, co musiała zrobić. Mieszkała za daleko. Szczęśliwie Rózsa zgodziła się zostać matką chrzestną chłopca. Rozchodziło się przecież o ratowanie jego duszy.

Wcześniej Rózsa udała się na poszukiwania pastora Tótha. Zwykle widziano go rankiem z dubeltówką przewieszoną przez ramię, jak wyprawia się do lasu, tupiąc butami na podwójnej podeszwie. Podobnie jak Ébner, był zapalonym myśliwym,

który często spędzał całe dnie na łowach i wracał dopiero po zmroku. Było dobrze po obiedzie, gdy Rózsa w końcu go znalazła.

Teraz obydwie, Anna i Rózsa, kierowały się pośpiesznie w stronę kościoła, mijając po drodze nocnego strażnika i grupkę młodych kawalerów, chłopców w wieku szesnastu-, siedemnastu lat, wyprawiających się dokądś w sobie tylko znanym celu. Wszystko wskazywało na to, że z dzbanem gorzałki i papierosami zmierzają nad rzekę. Idąc, śpiewali, a ich głosy niosły się melodyjnie aż do rynku.

Anna tuliła niemowlę do piersi. Sprawdzała, czy oddycha.

W kościele panował nieprzyjemny chłód. Masywne kamienie, z których wzniesiono ściany, oddawały przejmującą wilgoć prosto w zatęchłe powietrze. Świątynia nigdy nie zaznała ciepła – ani od piecyka, ani od słońca; ziab w niej zagościł na dobre i nie zamierzał zniknąć.

Przedśionek był nieoświetlony, tak że Anna mogła cokolwiek zobaczyć tylko dzięki lampie niesionej przez jej towarzyszkę. Wzdłuż muru ciągnęły się meandrujące linie mysich bobków. W jednym z kątów spoczywał wzgórek kurzu, którego nie dosięgła miotła.

Ołtarz rozjaśniały świece. Wydobywały też z mroku pastora, który na nie czekał. W pierwszej ławce ktoś siedział. Anna wiedziała, że czasem duchownemu towarzyszy jego żona. Sama nie zapraszała nikogo na ten nocny chrzest, który miał ocalić duszę jej syna przed wiecznym pobytym w czyśćcu. Wystarczyło, że Justinę spotkał ten los. Z nieodłączną Rózszą u boku Anna ruszyła nawą najszybciej, jak umiała.

Nie licząc może ślubów i świąt, kościół stał głównie pusty. Wzniesiono go ponad półtora wieku wcześniej, zanim nawet Nagyrév otrzymał nazwę. Budowlę pokrywała strzecha i gdyby nie jej centralne usadowienie na wiejskim rynku, byłaby łatwa do pomylenia ze zwykłą chatą. Dopiero osiemdziesiąt lat później podwyższono ją i dołożono do niej wieżę, dzięki czemu zaczęła wyglądać na prawdziwą kalwińską świątynię. W oczach Anny była równie stara jak świat.

Karczmarka czuła się w jej wnętrzu jak w grobowcu, które to wrażenie potęgował zapach stęchlizny unoszący się ze śpiewników leżących na ławkach.

Świece przed ołtarzem były cienkie, lecz dawały dość światła. Z każdym krokiem Anna widziała pastora lepiej. (Czasu zabrakło na sprowadzenie zarówno pani Köteles, jak i księdza). Brzuch wyraźnie rysował mu się pod togą. Niewielki stół, zza którego Tóth prawił zazwyczaj kazania, teraz był nakryty obrusem jak do kolacji. Zarówno pod stołem, jak i w oknie za nim liczne pokolenia pajaków uplotły sieci, obecnie podświetlone przez blask płomieni.

Anna zerknęła na pierwszą ławkę, gdzie siedział nieproszony gość. Kobieta miała głowę owiniętą robioną na drutach chustą, której rogi opadały na oba ramiona okryte czarnym płaszczem. Gdy pochyliła się do przodu, karczmarka zobaczyła na jej plecach odcisnięte oparcie ławki.

W Cibakházie był sierociniec prowadzony przez siostry zakonne i Anna zastanowiła się, czy przypadkiem ktoś nie wysłał jednej z nich do niej. Nigdy nie słyszała, żeby jakaś zakonnica pojawiła się w Nagyrévie. Ksiądz przyjeżdżał dwa razy na miesiąc, pod warunkiem że pogoda pozwoliła, ale generalnie stanowił rzadki widok we wsi, zwłaszcza dla dzieci, które łąziły za nim i wyśmiewały jego sutannę, kiedy zamiatał połami zakurzoną drogę. Żadne z nich w życiu nie widziało siostry zakonnej, tak samo zresztą – Anna była o tym przekonana – jak reszta kalwińskich mieszkańców Nagyréva.

Przypatrzyła się kobiecie uważniej. Cud pojawienia się zakonnicy podczas tego sekretnego rytuału wystarczył Annie, by rozgorzała w niej nadzieja. Modliła się, przez ponad dobę się modliła o to, aby jej syn nie umarł od tego, co córka Cioteczki Zsuzsy położyła mu na wargach i na języku. Błagała Boga, aby pozwolił jej wychować tego chłopca – darowanego przez Niego chłopca, dla którego jej piersi wypełniły się mlekiem, mlekiem, jakiego Najwyższy odmówił Justynie. Nie dała zgody na zakończenie życia syna – co do tego nie miała wątpliwości. To znaczy prawie ich nie miała.

Lecz nie była to zakonnica. Anna teraz to widziała. Świdrując wzrokiem nieznaną, dopatrzyła się drobnego gestu, być może kręcenia kółek kciukami, i to

on przekreślił jej nadzieje na cud. Anna pokonała ostatnie kilka kroków dzielące ją od ołtarza, czując na sobie złe oko Cioteczki Zsuzsy.

Mocniej przytuliła swoje umierające dziecko. Była pewna, że już znalazło się w uścisku szatana.

Cioteczka Zsuzsa została w kościele, żeby pomóc pastorowi Tóthowi posprzątać, a następnie udała się do karczmy, gdzie była umówiona z córką. Mari, odkąd przejęła obowiązki akuszerki, również zaczęła odwiedzać karczmę Cserów. Obecnie były już w wiosce dwie kobiety, które miały odwagę przestąpić próg tego przybytku.

Matka i córka piły przez ponad godzinę, po części świętując sukces Cioteczki Zsuzsy w Budapeszcie. Była akuszerka obecnie sądziła, że zwycięstwo w sądzie miała zagwarantowane od samego początku, i czuła z tego powodu wielką lekkość bytu. O północy, gdy podwoje karczmy miały się zamknąć, Cioteczka Zsuzsa zajrzała za kontuar i wzięła sobie butelkę gorzałki, aby zanieść ją ze sobą do domu. Ponieważ nie miała przy sobie koszyków, co rzadko jej się zdarzało, wsunęła flaszkę za pazuchę, po czym wyszła z Mari na zewnątrz.

Idąc wzdłuż ulicy Árva, dostrzegły, że u starego Henrika Tótha pali się światło. Henrik był bednarzem, który mieszkał po sąsiedzku od prawie ćwierć wieku. Dziś jego furtka była uchylona. Cioteczka Zsuzsa zajrzała w głąb posesji. Z warsztatu bednarskiego bił blask ognia.

Na podwórzu rozlegały się głosy – szmer rozmów typowy dla wieczornego spotkania paru osób chcących napić się przed snem. Cioteczka Zsuzsa i Mari ruszyły w ich kierunku. Ta pierwsza lubiła Henrika, a poza tym nie chciało jej się jeszcze spać. Wypite wino wprawiło ją w zabawowy nastrój, tak że chętnie wychyliłaby kolejną szklaneczkę.

Śmiejąc się, podeszła do warsztatu, nieporuszona tym – a może tylko tego nieświadoma – że towarzystwo umilkło na jej widok. Wieść o jej powrocie ze stolicy zdążyła się już rozejść i zaczęły krążyć plotki o tym, co właściwie wydarzyło się w sądzie. Tocząca się u bednarza rozmowa w dużej mierze dotyczyła

spekulacji na temat jej czarnoksięskich zdolności. Niektórzy byli przekonani, że oddalenie zarzutów zawdzięczała uprawianiu magii.

Kiedy Cioteczka Zsuzsa stanęła w progu, ze środka owionęło ją ciepło, podczas gdy plecy miała wciąż na zimnie. Warsztat był obszerny, może dwa razy większy od stajni, a przy tym dobrze oświetlony dzięki otwartemu palenisku. Żelazna klatka, na której bednarz wyginał klepki, stała za nim pod ścianą. Równy rząd klepek leżał na podłodze nieopodal. Narzędzia wisiały na ścianach, tak samo jak antałki. Większe beczki ustawiono na tyłach warsztatu, ale dwie albo trzy z nich zostały wykorzystane jako stoły. Kilku gości Henrika siedziało właśnie przy nich. Podłogę zaścielały świeże dębowe trociny.

Obie kobiety zbliżyły się do ognia. Starsza z nich powitała ciepło na twarzy z przyjemnością. Wino zdążyło już zaróżowić jej policzki, ale teraz gorąc dopełnił dzieła, malując jej na licach wiśniowe plamy.

– *Gdzie to się podziwialiście o tak późnej godzinie?* – zapytał ją Henrik.

Cioteczka Zsuzsa zdmuchnęła płomyk przenośnej lampy i odstawiła ją u swoich stóp. Dłonie miała zgrabiące z zimna. Roztarła je najpierw, potem wystawiła do ognia.

– *A byliśmy tam, gdzie podają dobre wino* – odparła.

Na prowizorycznym blacie stał otwarty dzban z gorzałką, który ewidentnie zaliczył już parę kolejek. Otaczały go brudne szklanki, pozostawione przez tych gości, którzy rozeszli się do domów. Cioteczka Zsuzsa zezowała w stronę dzbana.

– *Czyli gdzie?* – dopytywał Henrik.

– *A w karczmie Cserów.*

Henrik nalał gorzałki do jednej ze szklanek i podał ją starszej kobiecie.

Cioteczka Zsuzsa wychyliła do dna. Wybuchnęła śmiechem. Pokażna doza alkoholu uczyniła ją jeszcze bardziej rozluźnioną, weselszą. Skrzyżowała spojrzenia z Mari. Matka i córka były ubrane niemal jednakowo. Na głowach miały ciemne chusty, a poza tym samodzielne płaszcze przewiązane w pasie i toporne buciory. Wyglądały identycznie, jak aktorka i dublerka.

Sekret, który jej ciążył w głębi duszy, znalazł nagle ujście na zewnątrz. Załaskotał ją w język, dając znać, by otworzyła usta i wypuściła go.

– *Mały István zrobił testament.*

– *Tak? A u kogo?* – zainteresował się Henrik po chwili.

Cioteczka Zsuzsa odstawiła szklanę na odwróconą do góry dnem beczkę. Potarła dłonie i przyłożyła je sobie do policzków, aby poczuć bijące z nich ciepło.

Nachyliła się ku Henrikowi.

– *U mnie.*

Klikon sięgnął w ciemnościach po zapałki. Osłonił ręką płomyk, chroniąc go przed podmuchami ciągnącymi od nieszczelnych drzwi frontowych, i wsunął palce z zapaloną zapałką do klosza lampy, przytrzymując w środku, dopóki knot się nie zajął.

Nie przeszkadzało mu obskurne wnętrze jego starej chaty. Wprowadzając się, na jednej ze ścian zawiesił wystrzępiony dywanik i od tamtej pory nie poświęcał mu więcej uwagi. Nie zauważył więc, jak blaknie z upływem lat ani że strzępi się coraz bardziej, ani tym bardziej że pokrywa się warstwą kurzu. Najważniejsze, że działał piecyk. Łóżko klikona, ustawione w izdebce tuż obok kuchni, było tak naprawdę skrzyniastą pryczą, dość wysoką, aby spełniała swoje zadanie, z położonym na wierzchu grubym słomianym materacem. Choć mieszkał tu od ponad dwunastu lat, nic jeszcze nie zmienił w zastanym wystroju.

Sypiał w butach na nogach. W co zimniejsze noce nie zdejmował nawet czapki.

Teraz sięgnął po płaszcz wiszący na kołku u drzwi i włożył go na siebie. Schylił się po swój bęben, przełożył pasy przez ramiona i przytroczył instrument w talii. Złapawszy lampę, wyszedł na zewnątrz, prosto w mrok.

Gdy skręcił w ulicę Árpád, podbiegły do niego bezpańskie psy. Uderzył w bęben pałeczkami, aby je odstraszyć. Kierował się do domu wspólnotowego, gdzie czekały na niego nowe wpisy do ogłoszenia. Przeniósł je na zwój i wrócił na ulicę. Szedł w stronę rynku, kołysząc lampą, która rzucała upiorne cienie. Ponieważ jej uchwyt był zardzewiały, skrzypiał przy każdym ruchu.

Mijając odzianego w pelerynę nocnego strażnika, zauważył, że co rusz popija z flaszki, którą trzyma za pazuchą. Klikon wiedział, że strażnik ma tam również bochenek chleba, nieraz bowiem był świadkiem, jak odrywa od niego duże kawałki i pośpiesznie zjada.

Gdy dotarł na rynek, zobaczył, że w wielu oknach pali się już światło. Słońce wprawdzie miało wstać dopiero za dwie godziny, ale początek dnia powszedniego nie mógł czekać.

Rozwinął zwój. Widniało na nim kilka ogłoszeń, przeszedł jednak od razu do ostatniego:

– Uwaga, uwaga! Po dwóch latach spędzonych w więzieniu w Szolnoku niedoszły zabójca pani Fazekas wraca do Nagyréva.

O wschodzie słońca zmarł mały István.

## **KONIEC WRZEŚNIA 1923 ROKU**

Krisztina Csabai otworzyła drzwi sypialni. Nie spała tu od tygodni. Jej miejsce w izbie zajął jej syn – pojedyncze łóżko chłopaka stało naprzeciwko łóżka ojca. Obaj dłuższy czas chorowali na dyzenterię.

Krisztina minęła śpiącego syna i zbliżyła się do Gyuli, który także spał. Przy okazji ostatniej wizyty doktor Szegedy zaordynował obydwóm kodeinę, aby zmniejszyć ich przykre dolegliwości.

Odrażający kwaśny smród wodnistej biegunki mieszał się w powietrzu z wonią octu, którym Krisztina szczerze potraktowała ściany i podłogi.

Teraz patrzyła na męża. Choć z powodu gorączki i bólu spał niespokojnie, nie widziała go tak rozluźnionego od lat. W jej oczach wrócił Gyula, którego знаła przed wojną. Jej ukochany, dobry i spolegliwy mężczyzna.

Trafił na włoski front. Musiał pokonywać obludzone szczyty Alp, pełzać na czworakach po wąskich skalnych półkach. Przed sobą i za sobą miał towarzyszy broni, wszystkich w jednym szeregu. Wcisnął się w szczeliny i jaskinie, skąd

strzelał do wroga, świadom, że ostrzał może spowodować lawinę. On wykańczał wrogów, wybuchy wykańczały góry – taki był układ w tej toczącej się w pionie wojnie, w której był zmuszony brać udział. Tam właśnie, na polu walki, zrodził się w nim gniew.

Krisztina potrząsnęła mężem, aby go obudzić. Pomogła mu się umościć wysoko na poduszkach i wcisnęła w jego dłoń szklanę z wodą, którą przygotowała w kuchni. Cioteczka Zsuzsa stwierdziła, że to idealny moment na podanie jej roztworu. Choroba często stanowiła zasłonę dymną dla działań akuszerki. Zamaskowana przez wcześniejsze objawy trucizna miała pozostać niewykryta.

Także przez doktora Szegedyego.

## **PIĄTEK, 5 PAŹDZIERNIKA 1923 ROKU**

Czarna chustka Krisztiny była przesiąknięta wodą na wskroś, a sprawę dodatkowo pogarszał mokry od deszczu węzeł pod brodą, który ocierał delikatną skórę. Pasemka włosów kleiły się kobiecie do czoła. Krople wody ciekły jej po twarzy, w butach chlupotało. Musiała szaleńczo mrugać, by cokolwiek zobaczyć.

Stała przed wygodką, oburącz trzymając przed sobą nocnik. Woń rozmokłej ziemi pomagała stłumić odór dolatujący od krwistych ekskrementów i wymiocin z naczynia. Odwróciła nocnik do góry dnem i wylała zawartość wprost pod nogi. Jako ostatnie zniknęły w małym wirze ślady śluzu zabarwione na różowo od krwi.

Drzwi wygodki zamknęły się za nią, gdy się odwróciła w stronę domu. Mlaszcząc podszwami butów w wilgotnej ziemi, przyśpieszyła kroku w połowie podwórka. Nocne powietrze, zwykle przesycone powarkiwaniem walczących kundli, pohukiwaniem sów, wyciem szakali, szczekaniem lisów i kocimi miaukami, emanowało ciszą, w której słyhać było tylko szum ulewy. Gęste chmury zasnuły niebo, ukrywając przed ludzkim wzrokiem deszcz meteorów. Ziemia mknęła swoją kosmiczną ścieżką wśród pyłu zostawionego przez jakąś kometę – co wieśniacy odebrali jako ostrzeżenie przed nadciągającymi kłopotami.



Rankiem mąż Krisztiny Csabai już nie żył.

## OSIEM ZAPŁAKANYCH SIEROT

*Gdy byłam małą ciekawską dziewczynką, zapytałam o to i rodzice mi odpowiedzieli, że po śmierci mojego pradziadka nikt nie wszczął dochodzenia. Nie było śledztwa, ponieważ wszyscy wiedzieli, że moja matka nigdy by tego nie zrobiła.*

– Lídia Kukovecz,  
cioteczna wnuczka Cioteczki Zsuzsy

W letnie popołudnia Cioteczka Zsuzsa i Lídia łuskały kukurydzę na ganku tej drugiej, odkąd zabrakło pana Ambrúzsza. Przez pewien czas dochowywały tradycji i przyłączały się do wdowy po nim, lecz w miarę upływu czasu staruszka coraz bardziej wycofywała się z życia wsi, aż w końcu, gdy umarła w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku, obydwie siostry postanowiły przenieść się z tym zajęciem do domu jednej z nich.

Chata Lídi nie różniła się wiele od siedziby akuszerki, tyle że mieściła liczne kolekcje. Porcelanowe filiżanki, srebrne łyżeczki, ozdobne talerze. Były to skarby, które gospodyni odziedziczyła po swojej teściowej, zakupiła od handlarza starociami bądź też przywiozła z Budapesztu w charakterze pamiątek. Do tego utrzymywała wewnątrz w skrupulatnej czystości. Ścierała kurze ze stołu i z szafek, ledwie zobaczyła jeden pyłek. Jeśli zdarzyło się, że jakiś przedmiot zmienił miejsce, czym prędzej przywracała go tam, gdzie jej zdaniem powinien się znajdować. Mimo to w środku czuło się zawsze delikatny zapach łą, który jej mąż wnosił ze sobą co wieczór. Bálint był dobrze po sześćdziesiątce, lecz nadal pracował w polu z synami.

Mimo że Lídia nie pamiętała o niej przez lata, pod kamieniem węgielnym schludnej bielonej chaty znajdowała się butelka, którą Bálint umieścił tam podczas budowy. Wetknięty do środka karteluszek informował o dacie budowy, podawał też imię właściciela, ceny popularnych produktów, takich jak cukier czy tytoń, oraz

wymieniał najważniejsze wydarzenia, które zaszły około roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego, kiedy Lídia Oláh i Bálint Sebestyén – gadzio – byli świeżo po ślubie. Ta kapsuła czasu niczym bursztyn zachowała przeszłość w stanie niezmiennym, tyle że nie w morzu, a pod ziemią.

Ganek Lídi i był równie nieskazitelny jak reszta domu. Zamiatała go kilka razy na dzień, wytrwale pozbywając się pyłu nawianego z podwórza, gdzie ptactwo dziobami przemieniało ziarnka w drobnusieńki miął. Długa, niska ława ciągnęła się po lewej od drzwi wejściowych, pod suszącą się papryką rozwieszoną na wstążkach.

Przy ławie stał duży kosz z kukurydzą, a obok niego nieco mniejszy, do którego kobiety wrzucały obrane kolby. Jeszcze inny kosz zapełniał się łupinami mającymi trafić do wygodki. Pośrodku pysznił się spory dzban z czerwonym winem.

Cioteczka Zsuzsa siedziała na ławie z podołkiem pełnym kolb, roztaczając wokół siebie woń tabaki. W pewnym momencie sięgnęła po dzban, uniosła go niczym baryłkę i przechyliwszy, chlusnęła winem do szklanki, którą wcześniej postawiła obok siebie na ławie. Zadowolona podała dzban siostrze. Wyciągnęła z ust fajkę, czemu towarzyszyło cmoknięcie, jakby coś odkorkowywała, po czym pociągnęła ze szklanki solidny łyk.

Od czasu do czasu wodziła szacującym spojrzeniem po podwórku. Ogród był niemal tak ładny jak jej. Na środku stała studnia. Wszędzie rosły kwiaty. Obaj synowie Lídi i, gdy byli młodszy, zrywali je sobie i wkładali za otok, wybierając się na randkę. Synowie Cioteczki Zsuzsy robili to samo z kwiatami z jej ogrodu. Ogrodzenie porastał gęsty bluszcz, wzbraniający widoku przechodniom. Nic nie rosło tylko tam, gdzie była furka, teraz stojąca otworem, dzięki czemu obydwie kobiety mogły patrzeć na dom Rozsy Kalóz naprzeciwko.

Rozsa była na ustach wszystkich od miesięcy. Cioteczce Zsuzsie to odpowiadało, ponieważ nareszcie ludzie przestali się interesować nią samą – oczyszczenie z zarzutów przez budapesztański sąd zrodziło liczne plotki i spekulacje na jej temat. Wieśniacy uznali bowiem, że wyrok sądu apelacyjnego zapadł taki, a nie inny tylko dzięki czarom. Dostali wręcz dowód, że jej magia

działa. I choć dystansowali się od niej już od pewnego czasu, wielu z nich nadal korzystało z jej mikstur, gdy ból dał im się zanadto we znaki. W ogóle prawda była taka, że na każdego mężczyznę, który przechodził na widok Cioteczki Zsuzsy na drugą stronę ulicy, przypadała co najmniej jedna kobieta ukradkiem pukająca w jej okno. Tak powiększał się kobiecy krąg wtajemniczonych.

Uwagi mieszkańców Nagyréva nie uszło także zerwanie stosunków pomiędzy Cioteczką Zsuzsą a Márią Szendi. Na swój widok syczały i przeklinały, robiąc nierzadko przedstawienie, które gromadziło sporo gapiów. To, że kiedyś miała słabość do Márii, przynosiło obecnie Cioteczce Zsuzsie wstyd. Chciała jak najprędzej zapomnieć o tej znajomości – i tu swoją rolę zyskiwała Rozsa, stanowiła dystrakcję.

Samobójstwo popełnione przez pana Kalóza w minione lato – powiesił się na belce stropowej we własnym domu – kazało wszystkim przyjrzeć się Rozsie baczniej. Dotychczas nie budziła ona większego zainteresowania ludzi. Przyszła na świat w Budapeszcie i już samo to kazało sąsiadom traktować ją z niejaką podejrzliwością. W Nagyrévie nie brakowało osób urodzonych gdzie indziej, wszystkie jednak pochodziły z okolicznych miejscowości, takich jak Tizsakürt, Cibakháza czy Tiszaföldvár. Rodziny znały się zatem, a przynajmniej miały możliwość dowiedzieć się czegoś o sobie wzajemnie. Ale o rodzinie Rozsy nikt nic nie wiedział. Nikt nie miał pojęcia, czy można jej ufać. Mówiła inaczej. Nosiła się inaczej. Ale że pan Kalóz był mieszkańcem Nagyréva z dziada pradziada, nauczyli się ją tolerować.

Z początku, zaraz po śmierci pana Kalóza, otrzymała od wsi wielkie wsparcie. Sąsiedzi pomogli jej pochować męża, gotowali dla niej i pomagali w sprzątaniu. Zarazem czas żałoby stał się okazją do bliższego poznania Rozsy i w następnych tygodniach i miesiącach ludzie zaczęli dochodzić do wniosku, że pan Kalóz odebrał sobie życie z powodu żony. Brakowało im tylko dowodu. Wkrótce go dostali: jedyny syn tej pary, Dezső, zaciągnął się do armii wkrótce po makabrycznej śmierci ojca.

„Jak to możliwe – pytał ten i ów – że syn opuszcza matkę pogrążoną w żałobie? Coś takiego musi świadczyć o jej winie!”

Zaczęły krążyć plotki o licznych romansach Rozsy. Każdy szept na jej temat przysparzał wronom dreszczyku emocji, który budził w nich ochotę na więcej. Podczas gdy mieszkańcy ucztowali na obieranych z mięsa kościach pogłosek, Rozsa doprowadziła do małego trzęsienia ziemi. Nieoczekiwanie poślubiła Károlyego Holybę, wdowca z Cibakházy, podczas naprędce zorganizowanej ceremonii niemal równo rok po tym, jak znalazła pierwszego męża martwego. Znajomość państwa młodych trwała zaledwie dwa tygodnie.

Károly nie był postacią specjalnie znaną w Nagyrévie, ale prawie każdy słyszał o nim jedno: mianowicie że ma sam na wychowaniu ośmioro dzieci. „Co rok – prorok”, mawiali mieszkańcy Nagyréva, mając na myśli jego świętej pamięci żonę. Najmłodsze dziecko tej pary żyło niecały rok, gdy kobieta zmarła. Było to cztery lata wcześniej, obecnie więc dzieciak miał niemal pięć lat. Najstarszy skończył już szesnasty rok życia. Cały przychówek mieszkał wraz z ojcem w Cibakházie na kawałku ziemi liczącym ładne trzy i pół akra.

Każdy, kto znał Károlyego, rozpoznawał go z daleka, co wynikało z jeszcze jednego niefortunnego powodu – otóż urodził się ze szpotawą stopą. Miał ją wygiętą do tego stopnia, że miękka różowa podeszwa nigdy nie stykała się z podłożem. Poruszał się więc nierówno zrywami niczym ranne, lecz wciąż energiczne zwierzę. Z kolei skóra na krawędzi stopy, o którą się opierał, była gruba jak rzemień. Niestety skomplikowany układ kości stopy ucierpiał na tym znacznie na przestrzeni lat, przyczyniając się do potwornego bólu. Dlatego – i w związku z dolegliwościami żołądkowymi, na które cierpiał – Károly regularnie korzystał z pomocy swego przyjaciela, doktora Szegedyego, który znał go całe życie.

Károly był kaleką, mierzył się z ciągłym bólem, a w dodatku miał czeredę dzieci. „Jak przekonał Rozsę, by go poślubiła?” – to pytanie zadawało sobie wielu mieszkańców Nagyréva.

Cioteczkę Zsuzsę interesowało także inne nowe stadło. Po ośmiu latach wdowieństwa i opieki nad dziadkami zmarłego męża Petra Joljart postanowiła

wyść powtórnie za mąż. Wraz ze śmiercią pani Ambrúzs odziedziczyła po starszych państwu posiadłość, z czego jej córka jeszcze w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku otrzymała w spadku po samym panu Ambrúzsowi dwadzieścia akrów ziemi. Nowy mąż Petry, pan Vargha pochodzący z Nagyréva i lubiany wśród miejscowych, wprowadził się do nich obu zaraz po ślubie.

Niedługo po weselu pan Vargha kupił sobie rower. Jeździł nim po całej wiosce i często zostawiał go przed furtką, żeby wszyscy mogli podziwiać elegancki dwukołowy pojazd. Był w Nagyrévie drugim właścicielem bicyklu, lecz Cioteczce Zsuzsie nie podobało się jego chwalipięctwo. W ogóle nigdy nie miała najlepszego zdania o panu Vardze.

Schludny domek Rozsy lśnił od niedawnego bielenia, pnącza porastające ogrodzenie były wciąż równiutko przycięte, a wewnątrz chaty uporządkowane. Przeprowadzając się do Cibakházy, jego właścicielka zabrała ze sobą niewiele, ot, tobolek niesiony oburącz. Porzuciła swój dom w Nagyrévie niemal tak samo szybko, jak jej mąż ziemski padół. Można było odnieść wrażenie, że donikąd się nie ruszała.

Zza frontowego okna domu Károlyego wypatrzyła długi drewniany stół, zasłany wyszczerbionymi mniej lub bardziej miskami z ziemniakami lub soczewicą. Wysłużone talerze także miały szczyrby, a przez jeden czy dwa z góry na dół biegły pęknięcia. Nic nie było tu takie jak w jej wyobrażeniach – rozczarowanie widokiem stołu powtórzyło się później, gdy weszła do środka – toteż zdarzały się chwile, gdy poważnie się zastanawiała, czy aby nie popełniła błędu.

Wytrzymała niemal trzydzieści dni pod dachem Károlyego, co oznaczało tyle samo kolacji przy zatłoczonym stole z ośmiorgiem dzieci, z których najmłodsze miało oczy podpuchnięte od ciągłego płaczu (od pojawienia się Rozsy nie umilkło ani na moment).

Podwórze cuchnęło spleśniałym sianem i obrokiem. Za domem stały przybudówki, do których prowadziły wydeptane ścieżynki: układ praktycznych,

jeśli nawet niewydajnych żył. Goły poza tym plac przed domem pstrzyły rachityczne drzewka owocowe. Tu i ówdzie na ziemi leżały spadłe, gnijące czereśnie. Posesja Károlyego okazała się mniej imponująca, niż to przedstawiał. Składała się z kilku mniejszych działek połączonych w jedną, przez co pełna była uskoków. Rozsa odnosiła wrażenie, że zza każdego przerośniętego żywopłotu i każdego brudnego okna wyziera na nią umorusane dziecko. No i był jeszcze Károly. Kuśtykając, chodził za Rozsą krok w krok. Kręcił się wokół niej jak pies z kulawą nogą. Pełen nadziei, robił do niej maślane oczy. Każdy jego niezgrabny krok napawał ją odrazą, była jednak pewna, że w tym całym nieszczęściu znajdzie odrobinę szczęścia.

Liczba dzieci z początku jej nie przerażała, ponieważ Károly obiecywał, że odeśle je do krewnych. Ale tak jak podkoloryzował gospodarstwo – roztaczając przed nią wizję posiadłości, na której miejscu zastała bidę z nędzą – tak samo przesadził w sprawie planów wobec swoich dzieci.

Rozsa знаła się na posiadłościach. Miała zaledwie dziesięć lat, gdy rodzice wysłali ją z Budapesztu, żeby służyła u pewnych państwa. Ukończywszy osiemnasty rok życia, zrezygnowała z posady i wyszła za Gábora Kalóza.

Posiadłości były ogrodzone kamiennym murem, za którym rozciągały się rozległe zielone trawniki. Rozsa pamiętała wyniosłe drzewa z gałęziami rozpostartymi na boki niczym skrzydła drapieżcy, zdolnymi zapewnić cień sporej grupce bawiących się dzieci. Pamiętała też ciężką bramę z kutego żelaza, wystarczająco szeroką, aby zmieścił się w niej automobil pana domu czy czwórka albo nawet szóstka koni ciągnących wspaniały powóz.

W pierwszych dniach służby często gubiła się na ogromnym terenie. Idąc do kuchni, kończyła w gabinecie lub w salonie. Albo zamiast do pokoju dziecięcego trafiała pod drzwi sypialni państwa. Zarazem napawało ją to obawą i intrygowało.

Jej wspomnienia nie były naznaczone nostalgią. Z dala od domu rodzinnego musiała szybko przywyknąć do wymogów nowego życia, które przerażało ją swoim pędem. Już wspinając się po stopniach prowadzących do bocznego wejścia w dziewczęcej sukieneczynie i lakierkach, rozumiała, że państwo będą jej

mocodawcami, nie rodzicami zastępczymi. W osobach ich dzieci miała zyskać swoich zwierzchników. Przez pewien czas była jak sokół, który przysiadłszy wysoko, obserwuje czujnie krajobraz. Choć jej dzieciństwo odchodziło do przeszłości, sprzedane za nieco grosza, nie poddała się strachowi. W zmianie swojej sytuacji dostrzegła okazję. Ciepło zamiast zimna. Sytość zamiast głodu. Odzienie zamiast łańców. Znajomość manier i dykcji zamiast ignorancji. Z czasem, dzięki sokolemu wzrokowi, stała się mistrzem w dostrzeganiu okazji.

## SZOLNOK

Prokurator Kronberg stanął u podnóża schodów sądu. W powietrzu unosił się pył, który osiadał na prowizorycznej ścieżce i flankujących ją ciosanych bryłach kamienia, sięgających aż ulicy. Kronberg obrzucił spojrzeniem bałagan.

Na początku wiosny rada miejska uchwaliła niemały budżet z myślą o renowacji sądu i więzienia. Fundusze miały pochodzić z Ligi Narodów, która zatwierdziła pożyczki na odbudowę powojenną. Plany były dwojakie. Po pierwsze, zamienić instytucje miejscami, tak aby to sąd wychodził bezpośrednio na ruchliwą i znaczącą ulicę Gorovego. Po drugie, powiększyć więzienie, żeby mogło pomieścić nawet siedemdziesięciu pensjonariuszy naraz. Druga część planu zdawała się Kronbergowi absurdem. Prokurator nie rozumiał, po co stosunkowo niewielkiemu miastu jak Szolnok tak gigantyczne więzienie.

„Boże dopomóż nam wszystkim – myślał – w razie gdyby kiedykolwiek było pełne”.

Fundusze jednak zamrożono. Ot, biurokracja. Wydatki sądu przekroczyły ustalone granice, przez co ledwie starczało pieniędzy na prowadzenie bieżących rozpraw. Tymczasem na zewnątrz od tygodni nikt nie ruszał stosów kamieni.

Upręże wisały na bocznej ścianie stajni. Rozsa zdjęła jedną z kołka. Zaczęła rozsypywać płataninę sprzączek i pasków, kolejno upuszczając je na ziemię. Dotarłszy w końcu do ogłowia, zamarła nagle z oporządzeniem ciężącym jej



w dłoniach niby kotwica. Skóra i metal były zimne w dotyku, aż przeszedł ją dreszcz.

– Przestań być tak okrutna dla dzieci! – błagał ją Károly.

Pod nogami miała grubą warstwę słomy. Część źdźbeł dostała się do jej chodaków, mokrych od rosy. Czuła, jak ostre fragmenty kłują ją nawet przez pończochy.

– Robisz im siniaki!

Zbliżyła się ostrożnie do boksu, witając się cichym „dzień dobry”. Choć lampa oświetlała stajnię tylko częściowo, i to mdłym blaskiem, Rozsa знаła swojego konia na tyle dobrze, że mogła go zobaczyć oczami wyobraźni. Widziała więc każdą jego długą, podwiniętą rzęsę i każdą wypukłą żyłkę na pysku. Przyłożyła dłoń do końskiego boku i pogładziła sierść lekko palcami.

Później przeczesała ją całą dłonią. Prawiła do końskiego ucha czułe słówka. Ogier zwiesił łeb. Umieściła wędzidło w jego pysku i zacisnęła nachrapnik, po czym dopasowała pasek podgardlany.

„...bez dzieci byłoby łatwo z mężczyzną takim jak Károly...”

Rozsa odczekała, aż Károly wyruszył w pole. Nie zabrała ze sobą nic poza tobołkiem, z którym przyjechała do Cibakházy.

„...zapalka rzucona w pościel... upadek z drabiny...”

Nałożyła chomąto i sprawdziła popręg. Umocowała nabiedrznik. Potem schyliła się, przewlekła paukszę przez ogon i przypięła ją.

„Do diabła z nim”.

Przebiegła do wozu, rąbkiem długiej sukni zamiatając słomę. Znów się pochyliła, złapała za dyszle i przeciągnęła wóz, zatrzymując go tuż za ogierem. Podniosła z ziemi postronki i doczepiła je spinką do chomąta. Przy odrobinie szczęścia będzie w domu przed śniadaniem.

Miała serdecznie dość Károlyego.

Lato w Nagyrévie upłynęło spokojnie. Szewc uderzał młotkiem w kopyto miarowo jak dzieciół w pień, naprawiając dziecięce trzewiki przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego. Hodowcy arbużów zbijali krocie – targi w Szolnoku i Kecskemécie pełne były ich owoców. Choć zwykle połowa zbiorów ulegała zniszczeniu podczas transportu wyboistymi drogami, w tym sezonie nie miało to znaczenia. Arbuży obrodziły tak obficie, że zostawało ich na sprzedaż co niemiara.

Orszak artystów i wędrownych handlarzy przeszedł już przez wioskę, nie wyłączając pana Goldmanna, który co roku pojawiał się z częściowo nakrytym wozem, gdzie trzymał wielką walizę pełną dużych wyrobów i liczne worki z pomniejszych rzeczami, takimi jak igły do szycia, szpulki z nićmi i przyprawy, jakich darmo szukać na miejscowym targu. Stanąwszy przy końcu ulicy, ściągał walizę na ziemię, by pociągnąć ją za sobą. Drobnicę przewieszał sobie przez ramię i chodził tak od drzwi do drzwi.

– *Co pan tam dla nas dzisiaj ma, panie Goldmann?* – pytały go wieśniaczki.

Otwierał skrzynię przy leżącej na podwórku kłodzie albo w stajni, jeśli akurat padało, i zaczynał zachwalać.

Zanim odjechał, odwiedzał zawsze kowala, by sprawdził mu – i ewentualnie naprawił – koła wozu. Wystarczyło, że pan Goldmann przestąpił próg kuźni, a kaskady iskier lecących spod młota gasły. Rzemieślnik zostawiał przęsło bramy albo podkowę, którymi się zajmował, i wdawał się w pogawędkę z handlarzem. Pan Goldmann nieodmiennie przywoził wieści z innych miast i miasteczek: kto umarł, kto wziął ślub, kto upolował największego bązanta... Później kowal roznosił nowiny po Nagyrévie jak ptaki nasiona po błoniach. Co lato klikon miał w nim konkurenta, jeśli chodziło o dostarczanie informacji mieszkańcom.

A jednak o tym, że nadchodzi zmiana w radzie wsi, ludzie dowiedzieli się nie z szeptu kowala, lecz z okrzyków klikona. Ponieważ zwolniła się posada dzwonnika i na razie nie było nikogo, kto by zastąpił dotychczasowego w tej roli, obowiązek wypisywania aktów zgonu miał wziąć na siebie doktor Szegedy.

Nowy dzwonnik miał zostać wybrany podczas listopadowego zebrania rady.

Cioteczka Zsuzsa już wiedziała, kto powinien objąć tę funkcję.

Rozsa wyniosła grube szklane słoje ze spiżarni i postawiła je na stole, z którego wcześniej zdjęła obrus oraz – żeby zrobić miejsce – przesunęła dzbanek na sam skraj. Słoje były stare, poznaczone delikatnymi, płytkimi rysami, a ich blask zdążył przygasnąć na przestrzeni lat. Mimo to słońce wpadające przez okienko nad stołem zdołało przedostać się do środka przez ich niemal mleczne ścianki.

Na ławie stał kosz ze świeżo umyтыми i obranymi owocami. Śliwki. Morele. Wiśnie. Część zebrana w jej własnym ogrodzie, a część prosto z dzikich drzew rosnących na terenie wioski. Rozsa spędziła większość ranka na zdejmowaniu z nich skórki. Do tej pory miała zabarwione sokiem dłonie, a miejscami także nosiła ślady skaleczeń, tam gdzie zacięła się nożem.

Od powrotu do Nagyréva nie zawracała sobie głowy Károlyem. Nie należała do osób, które rozpamiętują przeszłość, a i w przyszłość wybiegała tylko na tyle, na ile to było konieczne. Nadmiar myślenia o tym, co było, i o tym, co będzie, jakoś jej nie służył.

Pierwszy dzień w domu spędziła na doprowadzeniu wszystkiego do porządku. Rozpakowała swój tobołek. Zlustrowała zapasy. Otworzyła okiennice. Pozamiatała.

Zaszło do niej parę sąsiadek – raczej z ciekawości niż do pomocy. Pojawiła się Lída, z którą Rozsa była na przyjacielskiej stopie pomimo dzielącej ich różnicy wieku (Lída była od niej starsza o dwadzieścia sześć lat). Najbardziej połączyło je chyba zdrowe spojrzenie na Nagyrév, które wynikało z tego, że obie pochodziły skądinąd. Poza tym miały podobne usposobienie, aczkolwiek Lidię cechowała większa nerwowość. Była niespokojna, zupełnie jak siostra kręciła kółka kciukami i podrygiwała nogą. Dla odmiany Rozsa uważała, że potrafi zachować zimną krew w niemal każdej sytuacji i że jest raczej powściągliwa.

Pod względem aparycji Rozsa nie wyróżniała się ani na korzyść, ani na niekorzyść. Nie była gruba, ale nie brakowało na niej ciała. Miała długie, lecz wiotkie włosy. Długi nos pasował do jej pociągłej twarzy, a zacięte pod nim w wąską kreskę wargi nie raziły jakoś specjalnie. Rzadko się uśmiechała, a gdy już

jej się to zdarzyło, bardzo szybko przybierała z powrotem poważną minę. Nie krępowwała się patrzeć prosto na człowieka – czy raczej: przez niego, jakby był szybą.

Pochylona nad słojami, usłyszała ciche dzwonięcie. Był to znajomy odgłos zapowiadający pojawienie się wozu. Ktoś jechał po jej ulicy. Dźwięk z każdą chwilą stawał się bardziej natarczywy.

Niektórzy goście ogłaszali swoje przybycie, ledwie skręcili za róg, a czasami nawet przed tym. Byli nawet tacy, którzy nie przestawali dzwonić długo po tym, jak już stanęli przy płocie. Zanim hałaśliwy woźnica zatrzymał się pod domem Rozsy, dzwonięcie osiągnęło historyczny ton. Stukot końskich kopyt ustał, tak samo jak skrzypienie kół. Dzwonek było słychać jeszcze chwilę potem.

Rozsa często zostawiała furtkę otwartą, bywało, że nie domykała też drzwi frontowych. Dzięki tym dwóm wąskim szczelinom mogła teraz wyrzeć na drogę.

Wóz wyładowano po brzegi. Były na nim głównie drewniane skrzynie powiązane luźno sznurem. Masa rzeczy zawiniętych w koce sięgała burt, niemal wylewając się za nie. Stos innych przedmiotów leżał na drewnianej ławce obok woźnicy. Narzędzia rolnicze wciąż nosiły ślady użytkowania w postaci grudek ziemi przyczepionych do metalowych części. Pośród góry swojego dobytku siedział niczym mysz Károly.

Rozsa przyglądała mu się, gdy zsiadał z wozu. Najpierw przesunął się na skraj ławki, potem przerzucił zdrową nogę na zewnątrz, uważając, aby nie zawalić chybotliwego stosu. Po chwili już siedział okrakiem na burcie, już przerzucał drugą nogę na zewnątrz. Moment później zeskoczył ostrożnie na ziemię, lądując na zdrowej stopie. Skrzywił się przy tym z bólu. Nieszpotawa stopa latami musiała przyjmować podwójny ciężar, nic dziwnego więc, że w końcu się osłabiła. Kości w niej Károly miał równie nadwerężone jak u dziewięćdziesięciolatka. Zachwiał się, ale zaraz odzyskał równowagę, wyprostował się na tyle, na ile zdołał, i ruszył ścieżką w stronę budynku.

Rozsa widziała malujący się na jego twarzy wysiłek, z jakim pokonywał stopnie prowadzące na ganek. Każdy krok musiał być dla niego katorgą. W końcu Károly przekroczył próg, cały pokryty drobnym szarym ılem, który unosił się z traktu wiodącego z Cibakházy. Na czole, z którego odsunął nieco kapelusz, rysowała się ciemniejsza linia, jego oblicze dodatkowo szpeciły brudne mazy. Grube spodnie miał wymięte, pod pachami rozlewały mu się ciemne plamy. Stamtąd, gdzie stała, Rozsa czuła wyraźnie zapach jego potu. Jego i konia, nie licząc woni wyprawionej skóry i siana, którą wiecznie roztaczał niby perfumę. Smród ten stanowił afront dla jej kuchni, przesyconej słodkim owocowym aromatem.

Z wyjątkiem żalosego majątku, który ze sobą przywiózł, Károly wyprzedał wszystko, co posiadał. Swoj dom. Swoją winnicę. Swoje gospodarstwo. Cokolwiek miał, zamienił na pieniądze.

Dzieci oddał pod opiekę obcych. Kilkoro starszych trafiło do sierocińca w Cibakházie.

– Nie mogę bez ciebie żyć.

Jeden z sąsiadów Rozsy trzymał kozy, które codziennie prowadzał nad Cisę, żeby je wypasać nieopodal miejsca, do którego przybijał prom. Słyszała je teraz, jak becżą zdenerwowane na widok piętrzącego się wozu Károlyego, który stanął na ich drodze.

Károly wyciągnął do niej rękę. Coś, co uważała za niemożliwe, właśnie się wydarzyło. Uwolnił się od dzieci, przypełził do niej jak robak, z kieszeniami pełnymi pieniędzy.

Rozsa oprowadziła go po reszcie domu.

Czasami Lídia dotrzymywała siostrze towarzystwa, gdy ta wyprawiała się do lasu, gdzie dzikie kaczki lubiły znosić jaja. Ilekroć szła z Cioteczką Zsuzsą, wbijała wzrok w ściółkę, wypatrując kępek mchu, garstek patyków czy stert liści, których kaczki używały do ukrywania gniazd. Obie kobiety zakasywały wysoko suknie, aby nie przegapić pod nogami węża prześlizgującego się po ścieżce. Gdy Lídia

sposobem taki kamuflaż, rozgarniała czy to mech, czy patyki, czy liście czubkiem trzewika. Schylała się, wybierała w swoim mniemaniu najlepsze jajko i delikatnie wkładała je do kieszeni fartucha. W domu zamierzała je podłożyć swoim kurom, żeby któraś kwoka wysiedziała je jak swoje. Gdy podkradek wyrósł na tyle, że był zdolny do latania, Lídia podcinała mu skrzydła. Gdy wyrósł na tyle, że nadawał się do zjedzenia, ukręcała mu głowę.

Kiedy tak szły przez las tylko we dwie, siostry miały okazję do szczerej rozmowy.

Ostatnimi czasy tematem najczęściej była Rozsa. Cioteczka Zsuzsa wiedziała, że Rozsa wróciła do Nagyréva. Wiedziała też, że Károly podążył jej śladem.

– Czemu wciąż zawraca sobie nim głowę? – była ciekawa.

Doktor Szegedy dołączał rano do orszaku chłopskich furmanek. Po tym, jak wieśniacy skręcali na pola, jego konie same odnajdowały dalszą drogę do miejscowości, które miał kolejno odwiedzić. Nie musiał nawet specjalnie używać lejcy. Wcześniej tylko słyszał opowieści o mężczyznach, którzy pijani, chorzy albo wycieńczeni wdrapali się na wóz i zasnąwszy, pozwolili, by ich pociągowe muły zawiozły ich same do domu. Doktor Szegedy w trakcie tych długich porannych podróży miał za to wiele czasu na rozważania. Często wtedy błądził myślami u bram swoich trosk.

Ostatnio szczególnie martwił go Károly. Od zawsze uważał, że przyjaciel nie najlepiej znosi spadające na niego trudy życia. Istotnie, Károly mógł wymienić całą litanię żalów – zaczynając od urodzenia się ze szpotawą stopą, a kończąc na większych i mniejszych nieszczęściach, które go spotkały od tamtej pory. Doktor Szegedy nieraz słyszał, jak Károly skarży się na swój los, wynikający niewątpliwie z potężnej klątwy Turana, którą nałożono na królestwo węgierskie niemal tysiąc lat wcześniej – przynajmniej w swoim własnym mniemaniu Károlyego dotknęła ona najbardziej ze wszystkich Węgrów.

Oczywiście doktor Szegedy wiedział, że to wrażliwość Károlyego uczyniła go tak podatnym na wichry życia. Ale choć Károly wyrzekał na niedole, równie

gorliwie radował się przejawami dobrej fortuny. Największą dumą napawało go potomstwo. Ignorował obelgi kierowane przez współmieszkańców pod adresem jego dużej rodziny i czerpał pociechę z dzieci. Zawsze był kochającym i czułym ojcem, przez co doktorowi Szegedyemu tym trudniej było pojąć, jak Károly mógł opuścić swoich potomków, gdy wciąż go potrzebowali. Zupełnie jakby znalazł się pod wpływem uroku. Dzieci Károlyego były przekonane, że to Rozsa rzuciła go na ich ojca.

Para najstarszych córek Károlyego zjawiała się u doktora Szegedyego, aby mu powiedzieć, że ojciec postradał zmysły i że musiały wynająć adwokata, przy którego pomocy złożyły wniosek o ubezwłasnowolnienie Károlyego i skierowanie go do zakładu dla obłąkanych, co było jedynym sposobem na odzyskanie choć części rozprzedanego majątku, z prawa należnego dzieciom. Károly pozbył się domu, w którym mieszkały, i ziemi, która ich żywiła, a wszystkie zdobyte w ten sposób pieniądze przekazał nowo poślubionej żonie, którą ledwie znał. Uznanie Károlyego za niespełna rozumu było jedyną nadzieją dla jego potomków. Doktor Szegedy wiedział o tym i także chętnie by powitał dzień, w którym majątkości przyjaciela zostałyby wyrwane z chciwych rąk Rozsy. Ci młodzi ludzie mieli szansę przeżyć bez ojca, lecz nie bez ojcowizny.

\*\*\*

Ganek Lídii okazał się sanktuarium dla Rozsy w dniach bezpośrednio po tym, jak Károly się do niej wprowadził. Ponieważ jej nowo poślubiony mąż nie miał już ziemi, którą mógłby uprawiać, ani dzieci, którymi mógłby się zajmować, a w Nagyrévie znał co najwyżej parę osób, i to niezbyt blisko, większość czasu spędzał na snuciu się z miejsca w miejsce – a to w domu, a to w obojętności – przez co tylko plątał się Rozsie pod nogami. Wiedząc, że nie pójdzie za nią do sąsiadki, mogła czuć się tam jako tako bezpiecznie.

Czasami zabierała ze sobą robótkę i wtedy obie kobiety, pochylając głowy nad haftem, roztrząsały położenie młodszej z nich. Siedziały pod okapem ganku, gdzie

składowano drewno na opał, każda na własnej kłodzie, i zawzięcie stawiały ściegi. Zarówno Rozsa, jak i Lída miała drewnianą skrzynię pełną haftów wykonanych przez lata. Ich varroty przedstawiały skomplikowane barwne wzory wplecione w kremową tkaninę, która zdążyła się postarzeć z biegiem czasu.

– *Po prostu go wykończ* – powiedziała Lída w któreś popołudnie.

Rozsa była sprawną hafciarką. Czasami stosowała haft krzyżykowy, a czasami łańcuszkowy. Sztukę tę posiadała po okiem matki i babki jeszcze w Budapeszcie, po czym doskonaliła, znalazłszy się na służbie w podmiejskiej posiadłości.

– *Idź do Cioteczki Zsuzsy. Ona cię poratuje.*

Rozsa wkłuła igłę w tkaninę. Pochyliła się nad robótką jeszcze bardziej. Przeciągnęła kordonek na drugą stronę, naprężając nić z całych sił.

## **NIEDZIELA, 5 PAŹDZIERNIKA 1924 ROKU**

Rozsa czuła, że słońce rozgrzewa jej policzki. Choć było dopiero po dziesiątej, w powietrzu czuło się ciepło nietypowe dla jesieni. W domu wspólnotowym panował miły chłód, lecz zdążyła już załatwić, co miała do załatwienia, i teraz znów stała na zewnątrz, gdzie się prażyła. Popatrzyła na swoje drewniane chodaki. Całe były pokryte iłem nawianym z niewyłożonej kamieniem drogi.

W pewnym momencie podniosła wzrok na rynek przed sobą. Zobaczyła grupkę wron stojących wokół studni w czarnych sukniach, przez co wyglądały jak rozłożony nad cembrowiną parasol. Dolatywały ją odgłosy rozmów. Jak zwykle, nawet przy niedzieli, więcej ludzi stało pod kościołem, aniżeli modliło się w środku.

Wszędzie były drewniane cebry. Większość mieszkańców miała własne studnie na podwórku przed domem, wrony przychodziły więc tutaj głównie na plotki. Nieliczne jednak dźwigały wodę do domu jak niegdyś. Rozsa zauważyła, że jedną z nich jest Anna Cser. Anna przyprowadzała ze sobą od pewnego czasu córkę, która odkąd skończyła dziesięć lat, była w stanie udźwignąć dwa wiadra. Mała



wypasała także gęsi, podobnie jak córka Petry. Obie dziewczynki wraz ze zgrają innych dzieci opiekowały się ptactwem ziemian, którzy następnie sprzedawali utuczone ptaki do drobiarni Schneidera w Kecskeméce. Często można było zobaczyć, jak rozgęgane stadko gęsi kroczy za kijkiem z przyczepioną białą wstążką w stronę starorzecza, gdzie rosła najsoczystsza trawa.

Rozsa co do joty wypełniła instrukcje Cioteczki Zsuzsy. Pierwsza doza, którą podała Károlyemu, doprowadziła go do choroby, nie nazbyt poważnej jednak. W sam raz takiej, aby potrzebna była wizyta doktora Szegedyego, lecz nie dość silnej, aby wzbudzić jego podejrzenia.

Cioteczka Zsuzsa wbiła to do głowy Rozsie dobitnie, ponieważ od śmierci Mihálya stała się ostrożniejsza. Ludzie we wsi dotąd szeptali, że Mária nawet nie wezwała lekarza do męża.

Teraz Rozsa umówiła drugą wizytę, także zgodnie z wytycznymi Cioteczki Zsuzsy. Ledwie przekroczyła próg domu wspólnotowego, klikon sięgnął po terminarz. W Nagyrévie rozeszła się wieść o chorobie pana Holyby.

Przez cały tydzień Károly skarżył się na bóle. Przesiadywał na ławeczce wyniesionej dla niego przed furtkę, gdzie zagadywał przechodniów, prosząc, aby się do niego dosiedli. Twierdził, że umiera. Co poniektórym wyznawał, że w końcu zawiódł go żołądek. Rozsa domyślała się, że będzie tak mówił. Nie miała jednak pojęcia, co jeszcze przyjdzie mu do głowy powiedzieć.

Przy okazji pierwszej wizyty doktor Szegedy odnotował, że pacjent *wygląda na wyczerpanego*. Zaordynował Károlyemu kodeinę na kaszel oraz na trapiące go mdłości, a także polecił pić wodę Mira, stosowaną zwłaszcza w problemach trawiennych. Przed wyjściem zrobił jeszcze Károlyemu ciepły okład na pierś, co miało dodatkowo zmniejszyć uporczywy kaszel i ułatwić oddychanie. Mimo tych wszystkich zabiegów stan Károlyego prawie się nie zmienił w tygodniu dzielącym obie wizyty.

Rozsa wkroczyła na rynek, krzywiąc nos przed unoszącym się wciąż w powietrzu świńskim smrodem. Wcześniej musiał tędy przechodzić pasterz

prowadzący swoje stado. W kuźni panowała cisza przez wzgląd na szacunek dla Kościoła. Rozsa zbliżyła się do Lídi – jedna wrona dołączająca do drugiej, by ucztować na wspólnie zadziobanym truchle.

– *Coś się zmieniło?* – zapytała ją Lídia.

Umowa z Cioteczką Zsuzsą była standardowa: połowa należności płatna z góry, połowa do uregulowania po około sześciu miesiącach. Lídia jako pośredniczka miała zarobić ładną sumkę.

– *Niewiele* – odparła Rozsa.

Słyszała okrzyki dzieci bawiących się za kościołem. Na równym terenie, zwłaszcza nad rzeką, gdzie rozciągały się nieużytki, chłopcy organizowali turnieje gry w kręgle. Na jednym końcu wbijali w ziemię kijki, które następnie przewracali piłką toczoną z drugiego krańca. Teraz ich wrzaski dolatywały zza świątyni, ale też skądś dalej.

– *Upichcę coś dla niego* – obiecała Lídia.

W Nagyrévie najprzyjemniejsze ze wszystkich były chyba ostatnie niedziele przed dożynkami. Młodszy wieśniacy, którzy latem spali pod gołym niebem na swoich poletkach, teraz wracali do domów i niedziele spędzali na uderzaniu w konkury do upatrzonych dziewcząt. Niedziela była także dniem, w którym młode mężatki składały wizyty swoim rodzicom. Jeśli pogoda dopisywała, całymi rodzinami szło się na spacer – albo nad rzekę, albo w górę i w dół Árpád. Tego konkretnego ciepłego jesiennego dnia wieś buzowała życiem.

W południe Lídia wyszła z domu i udała się na drugą stronę ulicy, do Rozsy. Żeliwny kociołek trzymała oburącz przed sobą, co rusz poprawiając palce na cienkich uchwytach, które wpijały jej się w ciało. Garnek był ciężki, ale na szczęście pokrywka szczelnie przylegała do dolnej części. Lídia maszerowała różnym krokiem, rozpędzając na boki koty, które zbiegły się zwabione aromatem. Uważała, by nie uрониć ani kropelki, na wypadek gdyby któreś zwierzę zapragnęło zlizać sos z ziemi – co zrozumiałe, razem z roztworem Cioteczki Zsuzsy. Kto

z sąsiadów ją obserwowali, tego nie wiedziała, miała jednak nadzieję, że zanieśenie kaczki potrawki sąsiadowi w porze obiadu przejdzie niezauważone.

Znalazłszy się na ganku, Lídia uwolniła jedną rękę, żeby zastukać w szybę. Rozsa pokazała się najpierw za oknem, a potem stanęła w drzwiach niczym strażnik u progu.

– *Nakarm tym męża.*

W niedzielne popołudnia Henrik Miskolczy zwykle wychodził z domu o trzeciej, niosąc swoje skrzypki. Miał na sobie białą koszulę i czerwoną kurtę oraz czarny kapelusz z okrągłym rondem upodabniającym nakrycie głowy do spodka. Wraz ze swoją kapelą przygrywał do tańców, na które młodzi schodzili się do karczmy Cserów. Choć otwierała ona swoje podwoje dopiero o czwartej, Miskolczy lubił przyjść wcześniej, żeby rozgrzać palce i gardło.

Właśnie miał przekroczyć próg swojej chaty, gdy został wezwany do domu Rozsy Kalóz – jeszcze nie przywykł, by myśleć o niej jako o Rozsie Holybie. Kobieta przyszła po niego osobiście, mówiąc, że Károly bardzo chce posłuchać muzyki.

Izba Károlyego przypominała rupieciarnię. Pełno tam było jego doczesnych dóbr, które stały i leżały pod wszystkimi ścianami, pozostawiając tylko wąski przesmyk wiodący od drzwi do łóżka. Zaduch przyprawiał o mdłości. Z okna rozciągał się widok na ogród za domem, gdzie Rozsa doglądała roślin.

Miskolczy przyłożył skrzypki do brody. Dotyk instrumentu nie różnił się w jego odczuciu od dotyku żony. Przyłożył palce jednej ręki do strun. Opuszki miał stwardniałe, porośnięte grubą warstwą szarobiałego naskórka kryjącego odciski, których się nabawił już w dzieciństwie, gdy uczył się grać.

Károly domagał się smutnych melodii i Miskolczy grał jedną po drugiej. W pewnym momencie słuchacz zawtórował śpiewem. Głos miał słaby i drżący, ale zdaniem Miskolczego na swój sposób piękny – dlatego grajek obniżył ton, aby Károly mógł słyszeć samego siebie.

**CIBAKHÁZA,**

**WTOREK, 7 PAŹDZIERNIKA 1924 ROKU**

Doktor Szegedy odstawił lampę na swoje biurko i wyciągnął dłonie nad klosz, aby je ogrzać. Przez noc jego gabinet zdążył się mocno wyziębić. W środku hulały przeciągi, które mogło przegnać tylko ciepło piecyka, on jednak nie zawracał sobie głowy rozpalaniem ognia w te ranki, w które wybierał się do mieszkańców okolicznych wiosek, ani tym bardziej tak wczesną jesienią. Pozostawało mu więc opatulić się szczelniej płaszczem.

Odchylił ebonitową rączkę torby lekarskiej i rozpiął klamrę. Torba służyła mu od kilku lat, była bardzo wytrzymała, ale nosiła już pierwsze oznaki zużycia w postaci choćby popękanej miejscami skóry. Ostatnio dodatkowo wysłużyła się podczas wizyt domowych, kiedy to była wystawiona na działanie brudu i kurzu, którego drobiny wżarły się pod lakier, matując dotąd błyszczącą powierzchnię. Po rozchyleniu boków dobieły się z wnętrza silne zapachy rozmaitych medykamentów.

Torba ważyła parę kilo, tyle co w przypadku wędrownego handlarza. Gdy doktor Szegedy ją podnosił albo odstawiał, rozlegało się brzęczenie szkła o metal i drewno w ciasnej przestrzeni. Otwarta odsłaniała małą aptekę. Były tam fiolki z opiatami, jodyna, spirytus do dezynfekcji, kwas chlorogenowy w postaci proszku, różnorakie maści... Szpatułki trzymał oddzielnie, tak samo jak naczynka, do których pobierał mocz i inne wydzieliny. Na wierzchu znajdowały się bandaże z bawełny i gazy, a także co większe narzędzia, w tym te, których używał najczęściej, a więc drewniany stetoskop i trąbka do osłuchiwania. Nożyczki i pęsety miały swoje miejsce w kieszeni z boku, w przeciwnej spoczywały kleszcze położnicze. Luzem walało się pióro wieczne i kajet, a gdy sięgnął dłonią na samo dno, mógł wymacać scyzoryk oraz butelkę gorzałki.

Wysoka przeszklona szafka z lekami stała w jego gabinecie pod ścianą naprzeciwko biurka. Z czasem uzupełnianie codziennych zapasów zaczęło mu iść szybciej niż w pierwszych dniach po przejęciu praktyki po ojcu. Przestał już się trząść nad każdą kroplą czy łyżeczką danego specyfiku, jak robił to w początkach

kariery, albowiem kontrolę nad całym procesem wzięła rutyna, która pozwalała mu nieomylnie szacować brakujące ilości.

Otworzywszy drzwiczki szafki, poczuł silną woń eteru i spirytusu do dezynfekcji, lecz zamiast od razu sięgnąć do środka, zamarł, słysząc, że mimo wczesnej pory za oknem rozlega się stukot podków na bruku. Doktor Szegedy wiedział, że od pojawienia się pierwszej furmanki dzieli go co najmniej godzina. Nie mógł jednak wyrzeć na ulicę, ponieważ okiennice były wciąż zamknięte. Ostatecznie uznał, że to tylko jakiś przypadkowy przejeżdżający wóz.

W mdłym blasku lampy widział jedynie kontury medykamentów, za którymi po kątach chowały się pająki. Zwykle trzymały się krawędzi półek, gdzie mogły wieść życie niemal niezauważone. Rozpierzchły się teraz, gdy lekarz poświecił sobie lampą i zaczął wyjmować poszczególne specyfiki.

Stukot podków ucichł.

Przez moment panowała cisza, którą przerwało dopiero dzwonięcie uprząży. Po nim rozległy się szelesty i parskanie.

Doktor Szegedy trzymał akurat w ręku butelkę z grubego brązowego szkła. Odkorkował ją i powąchał miksturę, zupełnie jak jego ojciec kiedyś. Pewnym ruchem przelał nieco do mniejszej buteleczki, nie roniąc przy tym ani kropli. Lubił myśleć o sobie, że nie brakuje mu zwinności.

Zaklekotała klamka. Doktor Szegedy podniósł wzrok. Zobaczył, że drzwi otwierają się ze skrzypnięciem i że w progu staje jakaś postać w chuście na głowie i z szyją opatuloną jej rogami, tak że widać było tylko mały otwór. Kobieta patrzyła przez niego niczym przez portal. Gdyby nie charakterystyczny sztywny chód, doktor Szegedy mógłby jej nie poznać. Rozsa trzymała przed sobą obrocznik, który na jego oczach zaczęła otwierać, by sięgnąć do środka.

Odkąd zaczął praktykować, zdarzało się, że jakiś pacjent przyjeżdżał do Cibakházy, zamiast czekać tydzień, aż lekarz wybierze się do niego z wizytą. Siedząc w swoim gabinecie za biurkiem, przez okno widywał, jak pod budynek zajężdża furmanka, z której następnie zsiada jakiś wieśniak, często wspomagany

przez przyjaciela albo żonę. Było to zwykle po zmroku, kiedy już zakończył pracę. Tymczasem dziś słońce jeszcze nawet dobrze nie wstało, a on i tak miał być w Nagyrévie. Jaka pilna sprawa skłoniła Rozsę do wstania w środku nocy, żeby się z nim zobaczyć?

Przetrzęsała wytrwale worek, czegoś w nim szukając, aż wreszcie wyjęła kartkę i podała ją doktorowi Szegedyemu.

– *Potrzebuję pańskiego podpisu.*

Doktor Szegedy wyrwał jej papier z dłoni. Włożył okulary i zbliżył rękę do lampy. Dobrze znał ten formularz. W tych wioskach, w których nie było na stałe lekarza – a więc także w Nagyrévie – trzymano je zwykle w domu wspólnotowym z księgami, ewentualnie pieczę nad nimi miał dzwonnik. W Cibakházie to on trzymał wszystko zamknięte w swoim gabinecie.

Zlustrował Rozsę wzrokiem. Miała spuszczone oczy. Obroczniak trzymała przed sobą niczym tarczę. Nagle zrozumiał, skąd ta jej nagła obecność tutaj. Károly Holyba zmarł.

A że w Nagyrévie powstał wakat po dzwonniku, rada wsi postanowiła, że tymczasem – dopóki stanowisko to nie zostanie ponownie obsadzone – nie kto inny jak doktor Szegedy będzie podpisywał akty zgonu.

Dlaczego jednak Rozsa podróżowała nocą, aby zdobyć jego podpis na akcie zgonu, skoro i tak miał zawitać do wsi tego dnia?

Otworzył swoją torbę. Włożył do niej formularz i zapiął klamrę. Nie miał pojęcia, czemu Rozsa tak się fatygowała, ale nie zamierzał niczego podpisywać, dopóki nie obejrzy ciała.

Gdyby nie to, że orszak furmanek miał właśnie ruszyć, Rozsa pognałaby z powrotem do Nagyréva na złamanie karku, aby dotrzeć tam przed lekarzem. W życiu nie była tak zdenerwowana. Tak się jednak składało, że wieśniacy właśnie wyprawiali się w pole, a jej odmowa zabrania się z nimi z pewnością zwróciłaby uwagę. Krótko mówiąc, czekała ją wspólna podróż z doktorem Szegedym – prawdopodobnie wóz w wóz. Nagle szczerze pożałowała przyjazdu do Cibakházy.

Dotarło do niej, że powinna była zostać w domu i poczekać, aż medyk pojawi się we wsi. Tymczasem osiągnęła tylko tyle, że doktor Szegedy nabrał podejrzeń. Ale wykonywała ściśle polecenia Cioteczki Zsuzsy, która zapewniała ją, że lekarz nie przyjedzie tego dnia do Nagyréva, ponieważ od paru dni zbierało się na pierwszy porządy tej jesieni deszcz, a doktor Szegedy był znany z tego, iż nie ryzykował ugrzęźnięcia po drodze czy też na miejscu bez możliwości powrotu w rozsądnym czasie.

„Jak widać, Cioteczka Zsuzsa nie jest wszechwiedząca”, pomyślała Rozsa teraz, zamartwiając się, co się stanie, gdy oboje znajdą się w Nagyrévie.

Cioteczka Zsuzsa uspokajała swoje klientki słowami, że *żaden lekarz nigdy się nie zorientuje*, co doprowadziło do śmierci osoby potraktowanej jej roztworem, choć sama doskonale wiedziała, że to kłamstwo. Szereg oznak wziętych razem pod uwagę przez dociekliwego medyka mógł doprowadzić do odkrycia prawdy. Cioteczka Zsuzsa po prostu zakładała, że nikt poza nią nie będzie miał dostępu do zwłok. Dotychczas to ona zawsze dyktowała dzwonnikowi, jaką przyczynę śmierci ma zanotować – i bez znaczenia było, kto umarł i jak. Niestety odkąd w Nagyrévie zabrakło dzwonnika, z jej punktu widzenia sprawy znacznie się skomplikowały.

Świadoma, że doktor Szegedy stanowi realne zagrożenie, zgodziła się pomóc Rozsie – chyba wciąż na fali uniesienia, które ją ogarnęło po wyroku uniewinniającym wydanym przez budapesztański sąd. Niestety tak się pechowo złożyło, że Károly zmarł w poniedziałkowy wieczór. Cioteczka Zsuzsa była przekonana, że gdyby się to zdarzyło w dowolny inny dzień tygodnia, nieboszczyk zostałby pochowany, zanim doktor Szegedy miałby szansę pojawić się w Nagyrévie. Splot okoliczności by sprawił, że medyk musiałby podpisać akt zgonu bez oględzin zwłok. A tak o niepotrzebny pośpiech oskarżyła zarówno swoją siostrę, jak i świeżą wdowę.

Zanim Rozsa i doktor Szegedy dotarli do Nagyréva, niebo zasnuło się ciężkimi, sinymi chmurami. Było tak ciemno, jakby słońce postanowiło w ogóle nie wstawać tego dnia. W mijanych domach wciąż paliły się lampy. Doktor Szegedy zwolnił,

zbliżając się do chaty Rozsy, i w końcu zatrzymał konia. Wysiadł, zabrał swoją torbę, a Rozsa – chcąc nie chcąc – podążyła za nim.

Znalazłszy się w środku, lekarz zdjął płaszcz i kapelusz, po czym z dłońmi wciąż wilgotnymi od porannego powietrza przeszedł do izby, w której Károly spędził ostatnie tygodnie życia. W pomieszczeniu było lodowato. Unosił się tam też nadal intensywny odór biegunki i wymiotów. Medyk postawił torbę na klepisku, zanim zbliżył się do leżącego na łóżku martwego przyjaciela. Zwłoki nie zostały dotąd umyte ani w żaden inny sposób przygotowane do pogrzebu. Na przodzie koszuli zmarłego widoczne były jeszcze ślady niedawnych torsji. Doktor Szegedy przyciągnął Károlyego do siebie, uniósł powalaną płócienną koszulę i przyjrzał się skórze pod spodem. Inspekcji poddał zarówno klatkę piersiową, jak i plecy. Później ostrożnie przywrócił ciało do pozycji leżącej, poprawiając na nim zadartą koszulę.

Zwłoki nosiły ślady zawału serca. Ale dlaczego?

Rozpadał się deszcz. Nadszedł znacznie wcześniej, niż się spodziewano.

Niewielka kałuża powstała w przedsionku do domu wspólnotowego, gdzie ludzie tupali nogami, aby pozbyć się z podeszew wody, która cienkimi strużkami spływała w zagłębienie posadzki. Kawalek dalej kilkoro mieszkańców Nagyréva otaczało klikona. Lekarz nie pojawił się u nich na umówionych porannych wizytach domowych i każdy chciał sprawdzić, jaka jest tego przyczyna.

Nagle za ich plecami wyrósł doktor Szegedy i rzucając oschle słowa przeprosin, zaczął się przepychać do klikona, który chciał mu podać terminarz, medyk jednak zbył go machnięciem ręki. Gdy się nachylił, krople deszczu spłynęły z jego płaszcza i zabębniły o blat.

Klikon również zdążył się wychylić w jego stronę.

– Sprowadź Ébnera. I policję – szepnął mu na ucho doktor Szegedy.

Deszcz rozmył drogi, przez co policja pojawiła się dopiero nazajutrz. Doktor Szegedy musiał spędzić noc w Nagyrévie, w gościnie u jednego z członków rady



wsi.

W tym czasie lotem błyskawicy rozniosła się wśród mieszkańców wieść, że Károly Holyba został zamordowany.

## **ŚRODA, 8 PAŹDZIERNIKA 1924 ROKU**

Oberwanie chmury trwało do rana. Rowy zamieniły się w rwące rzeki, Cisa wystąpiła z brzegów i zaczęła przypominać morze. Przemoczone, zziębnięte psy pochowały się gdzie mogły w czasie opadów i dopiero wtedy, gdy woda przestała lecieć z nieba, wystawiły nosy spod krzaków i okapów, by poszukać jedzenia. Ulica Árpád była jednym wielkim bagniskiem. Ulewa narobiła dziur w strzechach, zmuszając wieśniaków do wspięcia się na drabiny i rozpoczęcia napraw. Od pokoleń krążyły opowieści o kotach i kunach, które łażąc po dachach, wpadały przez takie dziury do środka i zdumione lądowały na klepisku. Mając na uwadze to, jak również potop w swoich domach, wieśniacy uwijali się jak w ukropie.

W momencie pojawienia się policjantów Nagyrév aż huczał. Ludzie, z konieczności zamknięci w czterech ścianach, rozprawiali nie tylko o Károlym, ale też o zmarłych wcześniej mężczyznach.

Dwaj funkcjonariusze, János Bartók i János Fricska, mogliby być braćmi: byli tego samego wzrostu, nosili bujne, lecz schludne wąsy – szatynowe jak ich włosy, wreszcie obaj mieli około trzydziestu lat. Obydwóm też u pasa wisały bagnety. Rozgościli się w składziku klikona, jak to miało miejsce już wcześniej, przed czterema laty, przy okazji przesłuchania ówczesnej akuszerki. Towarzyszył im doktor Szegedy. Wezwano hrabiego Molnára, aby miał kto poświadczyć składane zeznania. W tym samym celu stawił się także Ébner.

Do złożenia zeznań wezwano kilkoro wieśniaków. Kręcili się niespokojnie po głównej izbie, zupełnie jak koniarze przed wyścigiem, paląc i strzepując popiół w zagłębienia dłoni. Pomędzy nimi znaleźli się też ciekawscy, którzy starali się czegoś dowiedzieć, ale klikon wyprosił ich na zewnątrz, gdzie zbili się w gromadkę, nie odstępując wejścia. Niektórzy bezczelnie zaglądali w okna.

Policjanci zamierzali przesłuchać sąsiadów Rozsy, czyli osoby, które widywały Károlyego, odkąd zamieszkał w Nagyrévie. Te same, które dosiadały się do niego na ławeczce przed furtką.

Trumniarz przysiadł się do Károlyego dzień przed jego śmiercią. Usłyszał, że gospodarz właśnie zjadł nieco zupy, która mu nie smakowała, przez co zaczął się martwić, czy żona przypadkiem nie chce go otruć. Károly powiedział też trumniarzowi, że woli skrócić swoje cierpienia, dlatego zje pudełko zapalek, ponieważ w jego mniemaniu siarka była zabójcza.

Henrik Miskolczy zeznał, że Rozsa ściągnęła go, by zagrał Károlyemu na skrzypkach. Od siebie dodał, że chory wyglądał na bardzo słabego i że głównie chciał słuchać smętnych węgierskich melodii.

– *Powiedział mi, że niebawem umrze* – przypomniał sobie Miskolczy na koniec.

Wezwano także Lídię. Spora część wieśniaków zeznała, że Lídia spędzała z Rozsą wiele czasu w dniach poprzedzających śmierć Károlyego, dlatego policjanci wzięli ją w obroty.

Gdy przyszła kolej na Rozsę, zastygła w nieruchomej pozie niczym posąg. Nie zdjęła nawet czarnej chusty z głowy. Dłonie miała złożone na podołku jak do modlitwy. Prycza, na której siedziała, trzęsła się za każdym razem, gdy któryś z policjantów w nią kopnął. Towarzyszył temu delikatny prąd, który biegł w górę jej kręgosłupa. Ilekroć pochyłali się nad nią, czuła na twarzy ich ciepły oddech. Widziała z bliska długie, nastroszone wąsy. Cuchnęli zastarzałym tytoniem. Kiedy krzyczeli, zaciskała powieki. Byli tak głośni, że jej zdaniem wszystko było słychać nawet na rynku, a może dalej, na nieoznakowanym cmentarzyku, na błoniach i nad rzeką.

– *Czy zabiłaś swojego męża?!*

Rozsa wpatrywała się w swoje dłonie. Ponieważ rano włożyła halkę ze względu na ochłodzenie, jej ręce ginęły teraz w fałdach sukni. Czuła narastający strach. Zatechły składzik zdawał się jej więzieniem, z którego nie ma ucieczki.

– *Czy jesteś morderczynią?!*

Rozsa milczała, odporna na wrzaski i kopniaki. Oczami duszy widziała, jak ulatuje z ciasnej izdebki klikona coraz wyżej i wyżej, hen na szczytową gałąź poza ich zasięgiem.

– Ty suko! Mów, czy zabiłaś swojego męża!

Ponieważ nie uzyskali od niej żadnej odpowiedzi, pomaszerowali do jej domu, gdzie przetrząsnęli wszystko w poszukiwaniu arszeniku, potażu czy innej trucizny. Nie znaleźli jednak niczego poza tym, co ich własne matki trzymały w kuchni, a sól, ocet ani papryka nie zabiły jeszcze nikogo.

Ébner laską trącił drzwi swojego gabinetu, aby je otworzyć. Szurając nogami, podszedł do biurka i opadł na fotel. Z każdym rokiem poruszał się z większym trudem. Obecnie był już po sześćdziesiątce i kolana oraz plecy odmawiały mu posłuszeństwa, czasem odzywając się silnym bólem, gdy ich zdaniem pozwolił sobie na zbyt wiele. Odchylił się na oparcie fotela na tyle, by wysunąć szufladę na wysokości sterczącego brzucha, i sięgnął po ukrytą w niej gorzałkę. Po spędzeniu w składziku klikona całego popołudnia był spocony jak świnia i równie rozczochrany, gdyż rano nie zdążył nawet się uczesać.

Odgłosy dochodzące z zewnątrz świadczyły o tym, że policjanci szykują się do odjazdu. Dochodzenie zakończyło się równie raptownie, jak się zaczęło. Funkcjonariusze zastali na miejscu jednego lekarza i grupkę wieśniaków pełnych podejrzeń. Odkręcając butelkę, Ébner postanowił, że w drodze do domu sam zajrzy do trumniarza, gdzie ciało Károlyego trafiło z braku lepszego miejsca.

„Niech rzemieślnik wykonuje swoją pracę”, pomyślał i upił solidny łyk, rozkoszując się uczuciem ciepła, które wolniutko rozlało się po jego gardle.

Ostatnim, co klikon zrobił przed zostawieniem domu wspólnotowego na noc, było zamknięcie i zabezpieczenie okiennic. Nadciągały kolejne deszcze i wiatry.

Zegar w środku miarowo odmierzał czas, tykając. Para myszy zabrała się do obgryzania nogi stołowej i krawędzi drzwi frontowych, którą zmiękczyła

przeciekająca woda, dzięki czemu łatwiej było przeżuwać drewno. Poza tym wewnątrz panowała cisza i bezruch.

W pewnym momencie przy drzwiach coś zastukało. Zaszurały czyjeś nogi. Rozległo się parę uderzeń i puknięć. Pod obgryzioną przez myszy dolną krawędzią była szczelina, przez którą latem wciskał się łą, a zimą śnieg, i właśnie przez tę szczelinę, cienką niemal jak włos, ktoś teraz wsunął niepodpisaną wiadomość. Przeciąg porwał karteluszek i zakręcił nim parę razy.

POLICJA POWINNA SIĘ PRZYJRZEĆ NIE TYLKO PANI HOLYBIE, ALE TEŻ  
PANI TAKÁCS, PANI BEKE, PANI FARKAS, PANI FÖLDVÁRY, PANI  
KARDOS, PANI KISS, PANI CSABAI...

Nocny strażnik wytrzymał na deszczu tyle, ile mógł. Pelerynę miał przemokniętą na wskroś. Stał w kompletnych ciemnościach, gdyż knot nie chciał się palić z powodu wilgoci. W końcu więc zabrał się i poszedł do stajni znajomego, żeby się ogrzać i wysuszyć.

Zanim jednak zszedł z posterunku, dokonał obchodu bocznych uliczek wokół ulicy Árpád. Po drodze minął numer pierwszy przy Árva, gdzie zobaczył światła w każdym oknie.

Akuszerka ani jej matka nie spały tej nocy.

## **CZWARTEK, 9 PAŹDZIERNIKA 1924 ROKU**

Doktor Szegedy opuścił Nagyrév minionego wieczora z uczuciem niepokoju, które nie przeszło mu do rana. Nie był pewien, czy policjanci wykonali swoją pracę należycie. Uważał, że przesłuchanie Rozsy tylko odbębnił, nie mógł jednak zwalić całej winy na nich, ponieważ sam też zadał kilka pytań. Podczas śledztwa dotyczącego aborcji przeprowadzanych przez akuszerkę dysponował licznymi dowodami na poparcie swoich zarzutów, tymczasem teraz właściwie nie miał nawet punktu zaczepienia. Zeznania świadków – mimo że ich zebranie zajęło niemal cały dzień – w większości okazały się tylko pogłoskami. Niezbędne było

coś więcej niż podejrzenia, plotki i ośmioro porzuconych – a obecnie też osieroconych – dzieci, aby wykazać, że Károly został zamordowany. Doktor Szegedy potrzebował dowodów z miejsca zbrodni.

Pogrzeb Károlyego odbył się wczesnym popołudniem, zaraz po przewiezieniu zwłok do Cibakházy. Żałobnicy tonęli po kostki w błocie, wędrując w długim kondukcie, którego niemałą część stanowiła ósemka zapłakanych dzieci zmarłego, odprowadzających go na miejsce wiecznego spoczynku. Najmłodsze z rodzeństwa wyło niekontrolowanie. Rozsa, jako jedyna spadkobierczyni Károlyego, szła tuż za karawanem.

Po ceremonii doktor Szegedy wrócił do swego gabinetu, by napisać list do komendanta policji w Szolnoku, Henrika Sándora. Poprosił w nim, aby zwłoki Károlyego Holyby ekshumowano i poddano autopsji, gdyż okoliczności jego śmierci wydają się podejrzané. Nadał list tego samego dnia tuż przed zamknięciem urzędu pocztowego. Wysłał również kopie, jak wymagała procedura, na komisariat w Tizsaküracie oraz do kancelarii Nagyréva zarządzanej przez Ébnera.

Czekało go trzytygodniowe oczekiwanie na odpowiedź.

Cioteczka Zsuzsa zapadła wreszcie w sen o świcie, lecz nawet wtedy nie zaznała spokoju. Budziła się często, każdorazowo z takim przestraczeniem, że serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Czując ból za mostkiem, stukała się w niego pięścią, jakby chciała się czegoś stamtąd pozbyć.

Koniec końców jej przerażenie zaczęło maleć – jeśli nawet nie z innego powodu, to dlatego, że ciągła obawa wydrenowała ją ze wszystkich sił. Cały miniony dzień spędziła skulona przy kuchennym oknie, sprawdzając, czy policja po nią idzie. Wieczorem nerwowo przemierzała dom, od jednej do drugiej izby i tak w kółko. Po południu zjawił się jej syn, aby donieść, że funkcjonariusze Bartók i Fricska wrócili do Tizsakürtu, co jednak nie sprawiło, że przestała się bać. Zawsze przecież mogli po nią wrócić. Dopiero gdy wstał kolejny dzień, zobaczyła, że we wsi się uspokoiło, i nareszcie sama też odetchnęła z ulgą. Pewną rolę odegrała

z pewnością ziołowa nalewka znana ze swych wyciszających właściwości. Cioteczka Zsuzsa odmierzyła sobie solidną dozę i wypła duszkiem.

Gdy jej prywatna burza minęła, uświadomiła sobie, że ostatnie wydarzenia przesądziły jedno: trzeba było przedsięwziąć określone kroki w stosunku do doktora Szegedyego.

\*\*\*

Jesienią winnice na Nizinie Węgierskiej porażały spokojem. Lekki wiatr budził szelest liści, pomiędzy winoroślami uganiały się rozkicane króliki. Błogostan kończył się z chwilą nadejścia pory zbiorów. Wieśniacy zawsze zrywali winogrona wspólnymi siłami, a wieczorem robili sobie ucztę na wolnym powietrzu. Dzieci recytowały wierszyki, wznoszono toasty, lała się gorzałka, po czym wszyscy się rozchodzili do domów, by wrócić znów nazajutrz rano i zająć się następną winnicą. Był to jeden z tych zwyczajów, które ludzie kultywowali z przyjemnością, ponieważ wiązał się z dużymi ilościami jedzenia i małą ilością pracy. Zarazem oferował ostatnią okazję ucztowania na zewnątrz przed nadejściem chłodnej pory roku.

W trakcie tegorocznego winobrania z myśli wielu mieszkańców Nagyréva nie schodziło śledztwo w sprawie morderstwa, aż pod koniec października nadeszły oficjalne wieści z Szolnoku. Urzędujący w domu wspólnotowym Ébner starał się zachować bezstronność w całej tej sytuacji. Zamieszanie tylko niepotrzebnie wzburzyło wieśniaków – dowody ograniczały się bowiem do garstki anonimowych liścików, które zaadresowane do niego wsuwane były ostatnio przez szparę pod drzwiami. Zbierał wszystkie i odkładał do teczki, którą trzymał w szufladzie swojego biurka. Bał się wyrzucić karteczki do śmieci, bo wtedy mógłby je znaleźć klikon.

Ébner wiedział, że jeśli sąd wyda zgodę na sekcję zwłok, wzburzenie mieszkańców Nagyréva tylko się wzmoże. Ludzie pomyślą, że każda śmierć – nieważne, w jakim wieku był denat ani na co chorował – jest podejrzana.

Okoliczności zgonu Károlyego przyniosły wystarczające kłopoty i Ébner zamierzał położyć im kres. Na ogół bawiła go łatwość, z jaką ci prości ludzie rozdmuchują trywialne sprawy do rozmiarów problemu. Na przestrzeni lat otrzymał niezliczone anonimowe liściki, w których padały oskarżenia o zbrodnie takie jak kradzież kanek z mlekiem czy drew, a od czasu do czasu również o wandalizm, ale co zrozumiałe, poruszenie towarzyszące dochodzeniu w sprawie rzekomego morderstwa okazało się znacznie silniejsze niż w tamtych przypadkach. Ébnerowi nie było to w smak. I właśnie dlatego odpowiedź, która nadeszła od komendanta policji w Szolnoku, tak go ucieszyła. Miało nie być żadnej autopsji.

Odpowiedzi udzielił komendant policji, ale stał za nią prezes sądu, który dał swemu podwładnemu do zrozumienia, że żadnego śledztwa być nie może i nie będzie ze względu na ograniczone fundusze. Obiecana przez Ligę Narodów pożyczka, na którą czekał sąd, miała dopiero się zmaterializować. Przebudowa była wciąż wstrzymana, a zarówno sąd, jak i prokuratura, która by nadzorowała dochodzenie w sprawie morderstwa, musiały się liczyć z każdym groszem.

## **POCZĄTEK LISTOPADA 1924 ROKU**

Daniel stał za fotelem cyrulika. W palcach trzymał papierosa, z którego koniuszka ulatywała smużka dymu, tyleż słaba, ile posępna. Gdy przyłożył go ponownie do ust i zaciągnął się, koniec się rozjarzył.

Zmierzch spowił wąski i długi lokal w półmroku pełnym cieni, tak że wszystko wydawało się albo czarne, albo szare. W wiszącym przed nim lustrze Daniel widział niewyraźnie resztę pomieszczenia. Pędzel z końskiego włosia leżał w porcelanowej miseczce. Olejki i mydła do golenia stały na zaśniedziałej srebrnej tacy obok nożyczek i cążek. Brzytwa tkwiła bezpiecznie zatknięta w skórzany futerał. Pojemniczki z pomadą i buteleczki z tonikiem do wąsów ciągnęły się rządkiem na półce za jego plecami.

Ze swojego miejsca widział też okno, z którego rozciągał się widok na ulicę. Szyba była pokryta odciskami dłoni, których nie zdążył jeszcze zetrzeć, oraz

zaciekami pozostawionymi przez ostatni deszcz. Zmierzch powoli przechodził w czerń nocy, ale w dalszym ciągu był w stanie wyróżnić sylwetkę kobiety, która od zawsze napawała go strachem. Jej postać malała z każdym chybotającym się krokiem, gdy oddała się ulicą Árpád. W zakładzie nadal unosiła się słodka woń tabaki z jej fajki.

Jej magia go przerażała.

Raz jeszcze przyjrzał się swojemu odbiciu. Obserwował, jak przykłada znowu papierosa do ust. Wydmuchnął dym, pozwalając, aby zasnuł go na chwilę. Gdy się rozwiął, zerknął na swoje odbicie uważniej. Był szary na twarzy. Tak wygląda ktoś, kto odczuwa wielki lęk. Patrzył na nowego dzwonnika.



## PARCIE NAPRZÓD

*To była fabryka śmierci.*

– Jack MacCormac,  
„New York Times”

Cioteczka Zsuzsa włożyła rano kilka halek, wiedząc, jakiemu chładowi będzie musiała stawić czoło w ciągu dnia. Razem wzięte, dawały więcej ciepła niż pierzyna, tak że było jej zdecydowanie za gorąco, kiedy krzątała się po domu, szykując się do podróży. Chleb upiekła jeszcze w nocy i teraz wciąż czuła jego zapach w kuchni, gdy człapiąc, podeszła do kredensu, by z szuflady wyjąć arkusz szarego papieru. Owinęła nim bochenek dwukrotnie, po czym umieściła w jedynym ze swoich koszyków, przesuwając pod samą ściankę, żeby zrobić miejsce dla pozostałych rzeczy, które chciała zabrać. Dołożyła do koszyka kolejno dzemy, które usmażyła na wiosnę, karmelki przyrządzane razem z córką, makowiec... Ze spiżarki wzięła kilka fiolek ze swoim roztworem, który naszykowała ostatnio. Owinęła każdą fiolkę szarym papierem i ostrożnie wsunęła do koszyka, uważając, by się nie przewróciły. Potem narzuciła na siebie płaszcz, wciskając grube ramiona w rękawy, i przewiązała się paskiem. Koszyk – w tę podróż zabierała tylko ten jeden – zawiesiła sobie na przedramieniu i wyszła na zewnątrz. Poczuvszy lodowaty porywisty wiatr, była zadowolona z tylu warstw odzieży na sobie.

W obronie przed podmuchami musiała trzymać głowę nisko opuszczoną. Utkwiła więc wzrok w starych czarnych trzewikach, chcąc jak najrzadziej stąpać po gołoledzi. Starła się wybierać tylko pewne miejsca, ale i tak podniosła spojrzenie dopiero wtedy, gdy dotarła na ulicę Árpád. O tej porze karczma była wciąż ciemna i głucha. Teren przed nią wyglądał na wyjątkowo opustoszały. Nawet wiejskie kundły, które zwykle się tam kręciły, licząc na smaczny kąsek, pochowały się w cieplejszych miejscach.

Skręciła w stronę domu Márii. Pewna, że nikt jej nie obserwuje, obejrzała dokładnie budynek z daleka. Przez ponad dwa lata, które minęły od śmierci Mihálya, ani razu nie odezwała się do dawnej przyjaciółki – nawet wtedy, gdy rozeszła się dziwna wieść, że Franklin i Marcella przyjęli nazwisko Szendi, po tym jak Mária oficjalnie adoptowała oboje.

Cioteczka Zsuzsa zakradła się bliżej ogrodzenia. Przegniłe sztachety niedawno wymieniono, tak że czuło się wciąż zapach świeżego drewna. Przytknęła twarz do płotu i spojrzała jednym okiem przez szparę, lustrując całe obejście. Nowa dachówka. Praktycznie nowa stajnia z zupełnie nowymi wrotami. Najbardziej ze wszystkiego jednak ubodło Cioteczkę Zsuzsę, że jednokonna bryczka zniknęła, zastąpiona przez zdobny dwukonny powóz, który w razie potrzeby można było zaadaptować na sanie. Cioteczka Zsuzsa aż się zatrzęsała. Odepchnęła się od płotu i splunęła na niego, mamrocząc klątwę pod nosem. Następnie podreptała na drugą stronę ulicy. Jej plwocina miała pozostać przymarznięta do sztachety aż do pierwszej odwilży.

Kiedy doczłapała na pocztę, zastała syna na zewnątrz przy wozie pocztowym. Oczekała, aż chwycił worek z korespondencją i wrzucił go za niską burłę. Naczelnik poczty roznosił listy w samym Nagyrévie, podczas gdy jej syn dostarczał pisma mieszkańcom okolicznych wsi i osad. Gdy worek znalazł się już na swoim miejscu, na wóz zaczęła włązić Cioteczka Zsuzsa. Ze stęknieniem zadarła jedną nogę i postawiła ją na deskach, złapała się burty oburącz i podciągnęła, szybko przekładając drugą nogę. Po chwili już siedziała na oszronionej ławce. Sapiąc głośno, zaczęła się mościć, aż znalazła najwygodniejszą pozycję. Koszyk objęła ramionami. Poprawiła jeszcze na sobie płaszcz, ciągnąc poły to w tę, to we w tę, aż wreszcie zacisnęła mocniej pas, co świadczyło, że jest gotowa do drogi. Stopy rozstawiła szeroko na deskach, nie zważając na słomę, którą były zasłane. Właściwie się cieszyła, że jej stare kości zyskają kolejną warstwę ochronną, od której powinno być jej cieplej.

Jej syn wskoczył zwinnie na wóz, zajmując miejsce obok niej. Schylił się po pled i rozłożył go na kolanach matki i swoich. W ciągu nocy na wełnie wyrosły

kryształki lodu i teraz lśniły w promieniach wstającego słońca.

Cioteczka Zsuzsa włożyła rękę do koszyka i poklepała zawartość. Wiozła ze sobą więcej arszeniku niż kiedykolwiek. Nigdy jeszcze nie wyszła na ulicę z taką ilością.

Jej syn ujął lejce. Koń posłusznie skręcił na środek drogi i stępa ruszył w górę ulicy Árpád. Kierowali się do Tiszakürtu, gdzie mieszkała kuzynka Cioteczki Zsuzsy. Pora była zacząć działać na szerszą skalę, a Krisztina Csordás zaliczała się do osób, którym Cioteczka Zsuzsa mogła zaufać. W końcu łączyły je więzy krwi.

CZĘŚĆ DRUGA

DOCHODZENIE (1929)

# SEKRET PANA ÉBNERA

**WIEDEŃ,  
STYCZEŃ 1929 ROKU**

Lokal Café Louvre mieścił się zaledwie kilka metrów od poczty i nowo założonego Radia Austria i stanowił miejsce spotkań żurnalistów. Reporterzy tworzyli swoje teksty przy stolikach, po czym pędzili na drugą stronę ulicy, by nadać je w porę telegrafem lub telefonicznie, ponieważ czekali na nie już ich wydawcy. Kawiarnia odgrywała więc rolę biura prasowego dla korespondentów zagranicznych, którzy nawet przeszkolili Gustava będącego *maître d'hôtel* do roli gońca. Gustav pilnował, aby w lokalu nigdy nie zabrakło najnowszych wydań gazet, dbał o to, aby za ladą z przekąskami zawsze była ryza papieru, jak również atrament i ołówki. Wiadomości z ostatniej chwili trafiały bezpośrednio do niego, omijając pokój redakcji informacyjnej, który znajdował się w budynku poczty.

Jack MacCormac i jego żona Molly przyjechali do Wiednia na początku roku z Londynu, gdzie Jack był poprzednio korespondentem „New York Timesa”. Macierzysta gazeta uczyniła go teraz szefem wiedeńskiej placówki. Podległe mu terytorium było rozległe, obejmowało bowiem Czechosłowację, Rumunię, Bułgarię, Królestwo Serbów, Chorwatów i Słoweńców oraz Węgry. MacCormac orientował się nieźle w polityce i powojennej sytuacji tych krajów, niewiele jednak wiedział o tym, co dzieje się poza ich stolicami. „Z życia wzięte” historie dostawały się na łamy „New York Timesa” tylko sporadycznie, jak na przykład ta o konkursie skakania na skakance w nieznanym nikomu poza tym wiosce czy inna, o rzadkim zjawisku atmosferycznym gdzieś na głębokiej prowincji. Wszystkie one pochodziły od wolnych strzelców. Od zakończenia wielkiej wojny i wprowadzenia autokratycznego reżimu tyle się działo w samym Budapeszcie – i zasadniczo w związku z odbudową kraju – że każda lokalna wiadomość przegrywała już na

starcie. Praktycznie nie było tematów, które by skłoniły MacCormaca do opuszczenia stolicy.

## NAGYRÉV

Hrabia Molnár otworzył szufladę, szarpiąc za uchwyt i telepiąc całym biurkiem, aż wreszcie się wysunęła spod blatu z przeraźliwym skrzypieniem drewna trącego o drewno. Gdy pochylił się nad nią, aby bacznie zlustrować jej wnętrze, w nozdrza uderzył go zapach starych papierów, od którego zakręciło go w nosie. Teczki upchnięto w taki sposób, że wiele się ponaddzierało, uwalniając po bokach luźne kartki. Kilka dokumentów w ogóle wypadło spomiędzy okładek i dostało się na sam tył, tak że Molnár znowu musiał użyć siły, aby je stamtąd wydobyć.

Metodycznie robił porządki po Ébnerze. Drewniana tacka leżąca na biurku pełna była nieaktualnych notatek, katalogów, biuletynów, rozkładów jazdy pociągów... jednym słowem groch z kapustą. Niewielka skrzynia stojąca w rogu izby, która powinna była zawierać przedmioty cenne dla mieszkańców Nagyréva, w rzeczywistości skrywała wiekowe trofea myśliwskie Ébnera. Hrabia przeglądał wszystko skrupulatnie i systematyzował, aż na koniec zostały mu szuflady.

Ébner zmarł nagle pod koniec października (jego żona podążyła za nim do grobu niewiele później), a już w listopadzie rada wsi zdecydowała, że powierzy obowiązki kancelisty hrabiemu Molnárovi. Sporo osób zdążyło pożałować tej decyzji. O ile bowiem Ébner traktował mieszkańców jak swoje zabawki, o tyle hrabia widział w nich armię wymagającą surowej musztry. W ciągu paru godzin od objęcia nowego stanowiska chodził ulicami z kajetem, odnotowując każde wykroczenie, jakie zauważył – i nieważne, że chodziło o nieprzywiązanego muła czy puszczone luzem owieczkę. Żaden drobiazg mu nie umknął, nikt nie pozostał bez kary. Kiedy nie śledził poczynań wieśniaków, na swój sumienny, biurokratyczny sposób zasypywał władze hrabstwa listami, w których donosił o wszelkich przewinach ciężących na sędziach gromadzkich.

Mianowanie na stanowisko stało się oficjalne dziewiątego stycznia i wtedy też hrabia Molnár postanowił, że zaprowadzi porządek w swoim nowym gabinecie w domu wspólnotowym.

Przez większość ranka przeglądał dokumenty. Gdy za oknem poszarzało, zapalił lampę, aby niczego nie uronić. Do południa uporał się ze znaczną częścią papierów i teraz spoglądał na kosz wypełniony nimi niemal po brzegi. Westchnąwszy, sięgnął po następną teczkę. Kiedy ją otworzył, niby stado moli wyleciała z niej masa liścików, która rozłożyła się wokół niego wachlarzem. Pozbierał je i wszystkie przeczytał, mrużąc z wysiłku oczy. Już w trakcie lektury zrozumiał, że ma przed sobą wyjaśnienie zagadki wielu ostatnich zgonów w Nagyrévie.

Sięgnął po maszynę do pisania. Wsuwając na wałek czystą kartkę, miał nadzieję, że władze hrabstwa nie zignorują choć tego listu.

## TWÓJ ANONIM (PONOWNIE)

**NAGYRÉV,  
KWIECIEŃ 1929 ROKU**

Hrabia Molnár miał od siebie do domu wspólnotowego tylko kawałek drogi, który jednak – gdy wracał do pracy po przerwie obiadowej – zawsze pokonywał w szybkim tempie.

Nie zwalniał kroku nawet w ładne dni, gdy wszystkich w Nagyrévie ogarniało popołudniowe rozleniwienie. Nie był skory do chłonięcia miłej atmosfery. Ponieważ większość mieszkańców zostawiała furtki zapraszająco uchylone albo wręcz otwarte, aby sąsiedzi mogli ich odwiedzać, hrabia Molnár mógłby – gdyby zwolnił – zajrzeć tu i ówdzie. Zobaczyłby wtedy na przykład staruszkę splatającą warkocz małej dziewczynce albo parę siedzącą na stopniach ganku i wspierającą głowy wzajemnie o siebie. Hrabia jednak nie chciał niczego spowalniać. Działał jak maszyna, nie jak człowiek. Postrzegał się jako trybik większego urządzenia.

Wnętrze domu wspólnotowego zawsze lśniło, podłogi zamiatano w nim dwa razy dziennie i myto raz w tygodniu, dzięki czemu teraz leżąca na posadzce kartka rzucała się w oczy jak biała łódź na szarym morzu. Natychmiast też przykuła wzrok Molnára.

Hrabia schylił się po nią. Zobaczył, że jest złożona we czworo. Rozprostował powoli papier, który zaszeleścił mu w dłoniach, przerywając idealną ciszę.

Charakter pisma był czytelny. Nie dało się określić, czy wyszedł spod ręki kobiety czy mężczyzny. A co z wykształceniem? Możliwe, że autorem był ktoś, kto skończył trzy klasy. Molnár pobiegł spojrzeniem do dołu strony, lecz nie znalazł tam podpisu. Poczuł mieszaninę gniewu i podniecenia.



Zasiadłszy za biurkiem, położył wiadomość przed sobą. Wygładził kartkę rozpostartą dłonią, po czym złapał za sam róg i uniósł do światła, jakby był detektywem, który szuka odcisków palców. Przeczytał treść ponownie, tym razem jeszcze uważniej.

„Dlaczego właśnie teraz?”, zastanowił się.

Był to pierwszy anonim dotyczący tak ważnej sprawy, który pojawił się na jego warcie. Przed nim Ébner otrzymał ich całe stosy.

Hrabia sięgnął po teczkę swego poprzednika. Trzymając w jednej ręce nowy list, przeglądał drugą stare. Szukał identycznej kaligrafii, względnie składni, lecz im dalej w las, tym większy gniew go ogarniał – powiadomił komendanta policji o anonimach, które znalazł w pierwszym dniu pracy, a mimo to nikt się z nim nie skontaktował, o wszczęciu śledztwa nawet nie wspominając. A tu proszę, znowu zaczęły się pojawiać.

Molnár wziął czystą kartkę ze stosu leżących na biurku, wkręcił ją w wałek maszyny do pisania, po czym zaczął stukać w klawisze.

*Adresat: Komendant Policji, Henrik Sándor.*

*Jako że moja wcześniejsza korespondencja dotycząca wieloletnich podejrzeń odnośnie do wcześniejszych zgonów pozostała bez Pańskiej odpowiedzi, może zainteresuje Pana ten oto najnowszy anonim, który dostałem dzisiaj...*

# PIERWSZY DZIEŃ MAJA

## MAJ 1929 ROKU

Cioteczka Zsuzsa przytupywała do rytmu, a nawet lekko kręciła biodrami i delikatnie strzelając palcami, w zachwycie zataczała łuki ramieniem.

Muzyka i przygrzewające słońce zadziały na nią jak balsam, zwłaszcza że miała za sobą wyczerpującą podróż. Teraz, w posiadłości Jurenaków, dzięki namiastce tańca mogła choć odrobinę rozluźnić spięte mięśnie.

Zawsze była muzykalna. Lubiła kupować za grosze u wędrownych handlarzy kartki ze śpiewnika i uczyć wnuki piosenek znanych jej jeszcze z dzieciństwa. Nawet wtedy miała ucho wyczulone na dźwięki skrzypiec i ilekroć gdzieś się odezwały, biegła razem z innymi dziećmi, żeby posłuchać. Już jako mała dziewczynka starała się śpiewać głośniej niż inni, w dorosłości zaś – lepiej niż inni. Do tej pory pamiętała wyjątkowe melodie, które na skrzypcach wygrywał jej ojciec i które rozpoznałaby na końcu świata. Nieważne, gdzie był w obejściu, zawsze go znajdowała po nutach.

Będąc dzieckiem, przyjeżdżała na obchody pierwszomajowe rozśpiewana w towarzystwie masy innych śniadych romskich dzieci, na rozchwierutanej furmance, której woźnicą był jej ojciec albo wuj – obowiązkowo z futerałem na skrzypce u stóp.

Dziedzic Jurenák hodował świnie i nosił wielki jak cebula zegarek z dewizką, która zwieszała się z jego kieszonki niczym ozdoba. Posiadłość, w której urzędował, była jedną z największych w okolicy Nagyréva, a on sam był właścicielem najwspanialszych powozów, jakie Cioteczka Zsuzsa kiedykolwiek widziała. Wypożyczał je, zawsze w komplecie z czwórką albo szóstką białych koni, przy okazji balów odbywających się w Szolnoku, oferując także woźniców w cylindrach i frakach. Raz do roku organizował obchody pierwszomajowe. Wokół

jego wspaniałej rodowej siedziby roilo się wtedy od romskich grajków i magików, sprzedawców waty cukrowej i bazarzy, a Cioteczka Zsuzsa co roku nie mogła się doczekać tej okazji.

Tym razem także wyczekiwała zabawy jak kania dżdzu. Pragnęła otrząsnąć się nareszcie z uczucia samotności, które zawładnęło jej życiem. Jakiś czas temu straciła swego starego psiego ulubieńca, ale serce wciąż jej krwawiło. Ilekroć mijiała palenisko, wyobrażała go sobie leżącego przy nim. Ilekroć królik przebiegł po jej podwórku, widziała, jak duch wiernego przyjaciela zrywa się i rzuca w pogoń za gryzoniem. Zdarzało się nawet, że nadal słyszała jego powolny, miarowy oddech, który był jej zdaniem najbardziej uspokajającym dźwiękiem na świecie. Często też wracała pamięcią do pierwszych chwil jego długiej agonii; do tamtego upadku, do tamtych konwulsji. Opadła wtedy na klęczki i częściowo wciągnęła go sobie na kolana, tyle przynajmniej, ile mogła.

Mniej więcej w tym samym czasie Mari wyprowadziła się z domu, żeby zamieszkać z pewnym wieśniakiem, którego chata stała w odległości krótkiego spaceru od chaty Cioteczki Zsuzsy – według rady wsi będącej, technicznie biorąc, chatą Mari. Wnuczęta w dalszym ciągu pojawiały się u niej, za nic mając formalną zmianę adresu. Równie często jadały u niej śniadania, jak spały w swoich starych łózkach. Nawet Mari była częstym gościem pod dachem matki, ale Cioteczka Zsuzsa mimo to czuła się samotna.

Teraz rozejrzała się wokół w poszukiwaniu przyjaciół z dawnych lat. Tego typu obchody były ulubioną przez Romów okazją do spotkań. Niektóre rodziny odwiedzały każdy wiosenny jarmark, zjeżdżając się z tak odległych rejonów jak Transylwania i Czechosłowacja. W oczach Cioteczki Zsuzsy byli to nie tylko jej znajomi, ale też klienci – i właśnie dlatego starała się być zawsze obecna podczas takich imprez.

## „POLICJA TU JEST!”

**TISZAKÜRT,**

**PIERWSZY TYDZIEŃ CZERWCA 1929 ROKU**

Antal Bartal otworzył szerokie drzwi komisariatu policji i wpuszczając do środka powiew wiatru, pośpiesznie przekroczył próg, by zaraz się zatrzymać dla złapania oddechu. Drzwi, które właśnie zatrzasnęły się za nim z hukiem, nie były wcale ciężkie – nawet małe dziecko zdołałoby je pchnąć, gdyby użyło obu rączy. Antal był jednak tak słaby, że najmniejszy wysiłek go wyczerpywał.

Komisariat mieścił się w niskim budynku ze spadzistym dachem zwieńczonym kopułką na podobieństwo męskiego kapelusza. Położony zaś był tuż przy rynku, naprzeciwko gabinetu doktora Szegedyego, który przyjmował tu – podobnie jak w Nagyrévie – tylko raz w tygodniu. Antal zaś, choć mijał komisariat niemal codziennie, tak rzadko miał na nim coś do załatwienia, że był w stanie przywołać w pamięci każdą z dotychczasowych wizyt. Od ostatniej praktycznie nic się nie zmieniło. Sprzęty nadal roztaczały ten sam zastarzały, stęchły zapach. Pomalowane ciemną bejcą, nosiły te same ślady zarysowań i wgnieceń i pokrywała je tak samo gruba warstwa kurzu.

Pomieszczenie, choć skromnie umeblowane, i tak wydawało się zagracone. Funkcjonariusze zasiadali przy okazałych biurkach ustawionych tak, że razem stanowiły jakby blanki obronne. Antal ruszył w ich stronę na miękkich nogach. Szedł najszybciej, jak umiał, nie chcąc jednak ryzykować, że serce wyskoczy mu z piersi. Jak dotąd nigdy nie przeżył czegoś równie dramatycznego i pilno mu było podzielić się z kimś szczegółami.

Bartók i Fricska, od lat oddelegowani na placówkę w Tizsaküracie, oryginalnie pochodzili z Tiszaföldváru. Mieli patrolować ulice, pieszo i konno, gdyby zaszła taka potrzeba, lecz najczęściej można ich było znaleźć na komisariacie, gdzie

zajmowali się robotą papierkową, wertowali katalogi myśliwskie bądź przeglądali gazety, każdy obowiązkowo z zapalonym papierosem w palcach. Niezbyt rozmowni, głównie milczeli, jeśli nie liczyć rzucanych z rzadka uwag i dowcipów, którymi starali się zabić nudę. Kiedy akurat nic nie czytali, siedzieli z dłońmi zatkniętymi pod pachami i wyprostowanymi nogami wspartymi o blat. Była to – wypracowywana przez nich latami – poza podejrzliwego gliniarza, której nie zmienili nawet wtedy, gdy pojawił się Antal.

Obaj policjanci znali starego nauczyciela, który grał też na organach i śpiewał w kościelnym chórze, dopóki nie zrezygnował z obu posad kilka lat wstecz. Antal nigdy nie sprawiał żadnych problemów, choć jego rumiane policzki i fioletowe żyłki na nosie świadczyły, że nie lubi wylewać za kołnierz.

Teraz Antal – na podobieństwo zestresowanej myszy – w paru susach pokonał odległość dzielącą go od funkcjonariuszy i zatrzymał się raptownie tuż przed ich biurkami.

Dyszał ciężko. Jego brzuch niczym piłka to się nadymał, to flaczał w rytm głębokich, nerwowych oddechów. Serce waliło mu jak młot. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wcześniej czuł się tak wyczerpany, tak słaby. Pusty jak butelki, które znajdował rano obok łóżka. Ciągnął resztkami sił, które zachował na ten właśnie moment.

– Eszter Szabó próbowała mnie zabić!

Wypowiedziawszy te słowa, natychmiast poczuł rozczarowanie, jak blade wypadły. Komisariat był ciasny i tłumił dźwięki, co innego gdyby Antal rzucił swoje wyznanie w jakiejś większej przestrzeni, na przykład w kościele.

To, czego doświadczył, wciąż nie mieściło mu się w głowie, ale postarał się opowiedzieć wszystko po kolei policjantom. Zaczął od drogi powrotnej do domu spacerkiem dołączyć wcześniej.

Późnym popołudniem mijał właśnie posesję Eszter Szabó, gdy zawołała do niego z ganku. Antal większość dnia spędził na picciu. Zaczął w swojej ulubionej karczmie, później poszedł do jednego kumpla, stamtąd przeniósł się do drugiego,

wrócił do karczmy i na koniec wyruszył do domu. Odkąd przestał pracować, jego dni stały się dłuższe i bardziej samotne, niż mógłby przypuszczać. Godziny od świtu do zmierzchu jawiły mu się pustką do wypełnienia – wypełniał je zatem winem, swoim najulubieńszym trunkiem.

Śpiewne wołanie Eszter go zaskoczyło. Ostatnimi czasy miał z nią bardzo niewiele do czynienia. Uczył ją, gdy była małą dziewczynką, sześć- albo siedmioletnią, ale teraz miała już dwadzieścia osiem lat, męża i dwoje malutkich dzieci. Rzucił okiem za furtkę, chwając się niebezpiecznie nad rowem. Eszter zachęciła go gestem, aby zaszedł.

*– Zapytała mnie, czy nie chciałbym się z nią napić wina, ale powiedziałem, że muszę iść do domu.*

Ale Eszter podniosła szklanę, mówiąc, że już mu naląa.

Wróciwszy do siebie, resztę popołudnia spędził spokojnie, zjadł kolację z żoną i wcześniej położył się spać. Obudził go potworny ból. W żołądku mu się kotłowało, ciało miał całe rozpalone. Zerwał się z łóżka i wybiegł na zewnątrz.

Na ganku nabrał powietrza głęboko do płuc. Miarowe oddychanie miało mu przynieść ulgę, nie zdążył jednak zaczerpnąć ponownie tchu, gdyż musiał biegiem udać się do wygodki. Pędził na oślep przez podwórko, krzywiąc się, ilekroć kłująca gałązka zraniła go w bosą stopę.

Słyszał dolatujące z oddali odgłosy lelków. W pewnym momencie potknął się na nierówności. Krety miały ostatnio używanie i co rusz pojawiały się ich kopczyki, wśród których nie sposób było nawigować po ciemku. W końcu Antalowi jakoś się udało dotrzeć do wygodki. Zaczął od razu wymiotować i długo nie przestawał, podczas gdy drzwi za nim huśtały się na zawiasach ze skrzypieniem.

Obudził tym żonę, która wybiegła sprawdzić, co się stało. Stojąc za jego plecami, dopytywała, co się dzieje. Wreszcie opuścił wygodkę cały popielaty i drżący, mierząc się z nieprzerwanym ostrym bólem brzucha, ale zdołał odpowiedzieć żonie:

– *Eszter Szabó* zaprosiła mnie na szklanekę wina, kiedy wracałem dzisiaj do domu, i musiałem się od niego pochorować.

Pani Bartal aż się cofnęła. Zakryła usta dłonią. Gdyby Antal mógł zobaczyć w ciemnościach jej oczy, dostrzegłby, że pojawiło się w nich przerażenie.

Podtrzymując się wzajemnie, oboje staruszkowie skierowali się w stronę domu pogrążonego w mroku. Żadne wcześniej nie pomyślało, żeby zabrać ze sobą lampę. A ciemności były absolutne – nie świeciła ani jedna gwiazda, w oknie zabrakło choćby dogasającego ogarka. Pozostało im więc szurać nogami po ziemi dla bezpieczeństwa. Gdy dotarli do ganku, Antal opadł na pierwszy stopień, żeby odpocząć. Pani Bartal objęła się ramionami w biuście, wciąż na stojąco, i poczęła się kiwać w przód i w tył.

„Boże, mój Boże, co też Eszter najlepszego uczyniła? – jęknęła w duchu. – Jak mogła się do tego posunąć?”

Przebiegła w myślach wąską ścieżką pamięci, by zebrać wspomnienia ostatnich tygodni.

„Mój mąż za dużo pije”.

„Nie podoba mi się, że Antal tyle pije”.

„Mam dość wiecznie pijanego Antala”.

Były to jej własne słowa. Czy powiedziała coś więcej?

Eszter i pani Bartal często szły razem wieczorami w chacie tej czy innej kumy, których towarzystwo stanowiło dla żony Antala wielką pociechę, odkąd zakończył pracę. Tylko kobietom mogła się wyzalić, ile butelek tygodniowo wypija jej mąż, jak ta liczba zwiększa się z tygodnia na tydzień i jak bardzo ona boi się jego powrotów do domu, wiedząc, że przyjdzie pijany w sztuk.

Nie ona jedna skarżyła się na męża. Wiele kobiet miało podobne problemy. Ale niecałe dwa tygodnie temu Eszter przyszła do niej. Czemu akurat wtedy, a nie kiedy indziej – tego pani Bartal nie wiedziała. Żaliła się przecież na pijaństwo Antala, odkąd zaczęły się spotykać przy szyciu, choć prawdą było, że ostatnimi czasy odzywała się częściej. Nadejście wiosny i to, że Antal nie potrafił mówić

o niczym innym, tylko o nowej partii gorzałki (za którą także przepadał), wyjątkowo działało jej na nerwy.

W każdym razie Eszter coś powiedziała. Pani Bartal nie była pewna, czy żartem, czy na poważnie. Nie wiedziała też, czy dziewczyna złożyła taką samą dziwną propozycję również innym mężatkom. Poczuli się tak wyprowadzona z równowagi słowami Eszter, że zrezygnowała na jakiś czas ze wspólnego szycia.

Zadygotała w ciemnościach. Objęła się ciasniej ramionami i zebrawszy się na odwagę, wyznała:

*– Poskarżyłam się Eszter na twoje picie. A ona mnie zapytała, po co w ogóle się z tobą męczę. – Głos jej drżał, tak samo jak delikatne fundamenty jej życia. – Twierdziła, że zna sposób na rozwiązanie mojego problemu.*

W początkach małżeństwa, gdy mieli jeszcze coś sobie do powiedzenia, często rozmawiali po ciemku, długo po zgaśnięciu lampy. Obecnie Antal musiał bardzo się wysilać, aby dostrzec zarys żony, która wypowiedziała słowa:

*– Poradziła mi, żebym cię otruła i miała raz na zawsze z głowy.*

Pani Bartal podprowadziła wóz i zapaliła lampy na jego burtach, zanim poszła po konia, żeby go zaprząć. W tym czasie Antal wgramolił się na tył i zaległ w rogu. W trakcie jazdy wystawiał głowę za burtę, ilekroć zbierało mu się na wymioty, a że nie był to rzadki przypadek, oznaczył w ten oryginalny sposób niemal całą drogę do Cibakházy.

Usłyszawszy, że ktoś się dobija do gabinetu, doktor Szegedy w ciągu paru sekund znalazł się przy drzwiach i otworzył je na oścież. Moment później już mył ręce wodą z dzbana, który zawsze trzymał na stole, i instruował przy tym panią Bartal, żeby usadziła Antala na metalowym zydlu pośrodku gabinetu. Gdy pacjent siedział, doktor Szegedy sprawnym ruchem zawiązał mu na szyi gumowy śliniak.

Potem podszedł do kredensu, gdzie w dolnej szafce trzymał przybory do płukania żołądka. Znajdowały się one w wymyślnej drewnianej skrzyneczce. Ostrożnie ją wydobyl i przeniósł na stół. Tam otworzył wieczko – z niejakim trudem, ponieważ niezwykle rzadko przeprowadzał ten akurat zabieg i zawiasy nie



były wyrobione. Wnętrze skrzyneczki było wyłożone intensywnie żółtym aksamitem.

Zaczął wyjmować ze środka poszczególne elementy. Przymocował dłuższą rurkę do dolnego kranika pompy, krótszą zaś do bocznego. Zamoczył końcówkę długiej rurki, która miała trafić do gardła Antala, w czystej wodzie przyniesionej mu przez panią Bartal. Dzięki nawilżeniu rurka miała łatwiej wślizgnąć się do gardła. Następnie doktor Szegedy umieścił w ustach Antala rozwieracz i zagryzak, po czym wsunął koniec rurki tak daleko, jak się dało, każąc w końcu Antalowi przełknąć. Tym sposobem rurka dostała się do gardła i dzięki dalszym przełknięciom posuwała się przełykiem w dół, aż dotarła do żołądka.

– A teraz – powiedział pacjentowi doktor Szegedy – niech pan głęboko oddycha przez nos.

Pompując, przyglądał się, jak wszystko, co Antal skonsumował minionego dnia i czego nie zdążył jeszcze zwymiotować, cofa się rurką i wypływa. Pani Bartal odsunęła się na bok i tylko przysłuchiwała się odgłosom towarzyszącym temu zabiegowi.

Gdy zbiornik napęknął się pienistą, przesyconą winem zawartością żołądka, lekarz opróżnił go do przygotowanego basenu. W gabinecie natychmiast rozszedł się przykry kwaśny zapach. Doktor Szegedy powtórzył zabieg jeszcze kilka razy, aż żołądek Antala niewątpliwie był całkowicie pusty.

Po powrocie do domu, wciąż w nocy, Antal położył się spać i ocknął się dopiero o wschodzie słońca, choć bynajmniej nie wstał wypoczęty. Policjanci słyszeli to w jego chropawym głosie, któremu daleko było do śpiewności chórzysty.

Gdy Bartók i Fricska wyprawili się w końcu do Eszter Szabó, było już dobrze po pierwszym śniadaniu. Drogą jechały furmanki ciągnięte przez muły i woły, wiozące kanki z mlekiem, siano, zboże, a nawet klatki z gęsiami. Zwłaszcza starsi wieśniacy rozwozili swoje produkty z rana, aby resztę dnia móc przeznaczyć na pielęgnowanie winorośli. Kobiety zazwyczaj jadły drugie śniadanie około

dziesiątej, razem z dziećmi, po tym jak zakończyły poranne prace w obejściu. Dlatego idący ulicą funkcjonariusze czuli zapach świeżo upieczonego chleba i gorącego wciąż smalcu. Krok za policjantami szedł klikon ze swoim bębniem.

Kiedy przybyli na miejsce, zastali furtkę uchyloną, tak samo zresztą jak drzwi frontowe, dzięki czemu z daleka mogli zajrzeć do środka niewielkiej chaty. Eszter była na podwórku. Odwrócona plecami do furtki, wołała dzieci, które najwyraźniej jeszcze nie wyszły na dwór. Klikon nie zdążył nawet sięgnąć po pałeczki, gdyż Bartók i Fricska już wpadli na podwórko i pochwycili gospodynię. Jeden z nich złapał ją za ręce, a drugi założył skórzane kajdanki na jej przeguby. Wszystko wydarzyło się bardzo szybko, tak że nie miała nawet czasu uciec ani choćby krzyknąć. Zanim się zorientowała, co się w ogóle dzieje, policjanci wlekli ją niczym ciężki konar z powrotem na ulicę, przez furtkę i ponad rowem. Eszter zdążyła tylko krzyknąć do dzieci, żeby jednak zostały w domu.

Parę kundli, wygrzewających się dotąd w promieniach przedpołudniowego słońca, zerwało się w pewnym momencie z ziemi i ruszyło w stronę funkcjonariuszy z wysoko uniesionymi łbami, szczekając zajadle. Klikon się odwrócił i zaczął bić je pałeczkami po pyskach, co zmusiło psy do zachowania bezpiecznego dystansu, ale nie osłabiło w żaden sposób ujadania. Kury pałętające się koło rowu rozpierzchły się w panice, schodząc wszystkim z drogi. Drozdy, do tej pory dokazujące w żywopłotach, cichły kolejno wzdłuż marszruty policjantów, w dalszym ciągu mocno trzymających pod ręce aresztowaną.

Wysoko stojące słońce sprawiło, że funkcjonariusze szybko się zgrzali i poczuli gryzienie wełnianych mundurów. Zwieńczone pióropuszem hełmy ześlizgnęły im się nisko na czoło zlane strumykami potu, tak samo jak kark.

Zeszli już z trawy i teraz kroczyli bitą drogą. W takie ładne dni jak ten wieśniacy zostawiali furtki otwarte, aby łatwiej było krążyć między posesjami, toteż niejeden zauważył już żandarmów i teraz gapił się na rozgrywającą się przed jego oczami scenę.

– *O Boże! O Boże! O Boże!*

Bartók obejrzał się za siebie. Rzucił spojrzenie Fricskowi, który skinął głową. Okrzyk doleciał z posesji, którą właśnie minęli.

– *Policja tu jest! Już po nas!*

Głos był cienki i przenikliwy. Przeciął powietrze niczym wystrzelony pocisk. Fricska zakrył dłonią usta Eszter, na wypadek gdyby przyszło jej do głowy odkrzyknąć. Czuł na palcach jej wilgotny oddech. Spocona ręka rozgrzała się od tego jeszcze bardziej.

Sfora psów idących w ślad za nimi stanęła nagle jak wryta i ewidentnie przestraszona kobiecym jazgotem, rozpierzchła się po krzakach. Bartók puścił Eszter i rzucił się ku ogrodzeniu. Pokonał rów, przytrzymując bagnet ręką, żeby nie wyslizgnął się zza pasa, po czym wymierzył kopniaka prosto w furtkę, otwierając ją na oścież. Impet był silniejszy, niż trzeba, więc bramka się odbiła, wprawiając w drżenie cały płot. Bartók znalazł się na posesji. Zobaczył panią Madarász w połowie drogi między furtką a gankiem. Drzwi frontowe stały otworem.

Bartók znał panią Madarász, tak samo jako Eszter Szabó, tylko z widzenia, ale zaraz po tym, jak został oddelegowany na komisariat w Tizsakürctie, postawił sobie za punkt honoru, że dowie się podstawowych rzeczy na temat każdego mieszkańca. I rzeczywiście poznał wszystkie imiona i nazwiska, imiona dzieci, powody animozji między sąsiadami. Teraz nie przypominał sobie, aby Madarászowie sprawiali kiedykolwiek jakieś kłopoty.

Pani Madarász miała grzywę gęstych ciemnych włosów ujarzmioną za pomocą cienkiej czarnej wstążki. Jej suknia była czysta i wyprasowana, ale wyglądała na sporo na nią za dużą.

Wyciągnęła uniesioną rękę w stronę nadbiegającego Bartóka.

– Nie dotykajcie mnie. Nie dotykajcie mnie. – Głos miała teraz niższy, posępny. – Wszystko wam powiem, tylko mnie nie dotykajcie.

Gdy cała piątka dotarła na komisariat, klikon poszedł sprowadzić dwóch sędziów gromadzkich, których obecność była wymagana podczas przesłuchań. Aczkolwiek nie mieli pewności, czym właściwie zawiniła pani Madarász. Wkrótce na

komisariacie nie było gdzie szpilki włożyć, ponieważ zjawił się jeszcze kancelista z domu wspólnotowego. Klikonowi zalecono pilnować pani Madarász w głównej izbie, kiedy funkcjonariusze będą przesłuchiwać Eszter Szabó w mniejszym pomieszczeniu. Tej trójce deptali po piętach sędziowie gromadzczy razem z kancelistą.

Sala przesłuchań była bardzo ciasna. W środku ledwie się zmieścił stół i parę krzeseł, każde z innej parafii, podarowanych komisariatowi przez dom wspólnotowy. Zgaszona lampa wisiała centralnie nad blatem.

Krzeseła odsunięto i na jedno z nich Bartók popchnął Eszter, żeby usiadła. Klapnęła niezgrabnie, jakby spadła z wysokiej półki i siedzisko zamortyzowało jej lot, po czym dyskretnie przybrała wygodniejszą pozycję. Złączyła stopy. Poprawiła na sobie suknię, uwalniając łydki ze skróconej tkaniny. Każdy jej ruch był oszczędny, prawie niezauważalny. Z doświadczenia wiedziała, że policji lepiej nie dawać żadnych powodów do gniewu.

Marsz z domu tutaj był dla niej pierwszą lekcją. Łydki nadal ją bolały w miejscach, w które zbierała kopniaki czubkami policyjnych buciorów za to, że nie potrafiła utrzymać tempa. Ramiona miała zdrętwiałe, odkąd funkcjonariusze je wykręcili tak mocno, że omal nie wyskoczyły jej ze stawów. Teraz obydwaj górowali nad nią. Eszter zwiesiła nisko głowę wyuczonym gestem sprytnej chłopki. Wyglądziwszy suknię na udach, złożyła na nich dłonie jak do modlitwy.

– Czego dosypałaś panu Bartalowi do wina?! – ryknął Bartók.

Eszter szarpnęła się do tyłu. Oparła się o szczeble krzeseła tak mocno, aż po kręgosłupie przeszedł jej prąd. Policjant przybliżył znów do niej twarz. Tym razem poczuła odrażający zapach jego oddechu.

– Czego dosypałaś panu Bartalowi do wina?!

Wzdrygnęła się, potem zgarbiła plecy, niemal składając głowę na kolanach. Informacja rzucona przez funkcjonariusza niczym kamyk mościła się właśnie w Eszter, zakotwiczając ją w nowej rzeczywistości. Aż do tej pory nie miała pojęcia, że powodem jej aresztowania był Antal Bartal.

– Czego dosypałaś panu Bartalowi do wina?!

Przyjrzała się swoim dłoniom. Pokrywała je sucha, pękająca skóra naznaczona siatką cienkich linii, w których zagłębieniach zebrał się brud od pracy w ogrodzie. Eszter wpatrywała się w paznokcie, pozadzierane i obgryzione.

– Mowa o tym pijacynie? A skąd mogę wiedzieć, co on wychłął? – Zaczęła rozsnuwać nitki tkaniny pod palcami. Później uszczypnęła fałdę i zaczęła ją wałkować. – Przecież ten stary głupiec wypije wszystko.

Bartók wykonał ruch ręką tak szybko, że niemal go przeoczyła. Zdażyła tylko zobaczyć mignięcie wełnianego rękawa tuż przed oczami, zanim jego pięść niczym topór spadła na blat. Rozległ się tak przeraźliwy, rozdzierający uszy dźwięk, że Eszter aż podskoczyła na krześle. Na dokładkę Fricska kopnął w jedną z nóg stołowych, aż się wszystko zatrzęsło.

– Czego dosypałaś panu Bartalowi do wina?!

\*\*\*

Oczekiwanie w głównej izbie nie uspokoiło pani Madarász ani trochę, a gdy zobaczyła, że z sali przesłuchań wysypują się tamci mężczyźni, aż ją zemdliło ze strachu. Od lat obawiała się nadejścia tego dnia.

Pani Madarász nie podniosła się, kiedy policjanci do niej podchodzili. Niebawem krąg dopełnili dwaj sędziowie gromadzczy i kancelista. Czuła się jak na leśnej polanie, otoczona przez wysokie drzewa. Z koniuszków trzymany przez nich papierosów unosiły się smużki dymu. Klikon został w izbie obok, aby pilnować Eszter Szabó.

W miarę zbliżania się południa słońce przygrzewało coraz mocniej. Ciepło, które pani Madarász wcześniej odbierała jako pokrzepiające, obecnie ją oblepiało i dusiło.

Podczas tych długich minut, które spędziła sam na sam z klikonem, nasłuchiwała się krzyków i innych odgłosów dobiegających z izby obok, oddalonej od niej o zaledwie kilka metrów.

Tymczasem Bartók pytał ją spokojnie:

– Proszę nam opowiedzieć, co wam wiadomo o Antalu Bartalu.

Właściwie dopiero przy tej okazji po raz pierwszy przyjrzała się lepiej policjantom. Dotąd zawsze widywała ich w trakcie patrolu, ale wtedy hełmy zasłaniały im twarz. Mając oblicze Bartóka tuż przed sobą, mogła się dokładnie przypatrzeć jego wąsom. Oczy miał błękitne jak węgierskie niebo.

– No więc... przez lata był u nas organistą.

Obaj funkcjonariusze naparli na nią. Miała takie wrażenie, jakby wyrosła przed nią ściana.

– Twierdziliście, że wszystko nam powiecie. Mówcie.

Pani Madarász nie była pewna, jak na to zareagować.

Zacisnęła mocno pięści, jakby istniało ryzyko, że jej sekret wyskoczy spomiędzy palców, gdy je rozluźni. Dłonie szybko jej spotniały. W gardle miała przeraźliwie sucho i tylko z najwyższym trudem powstrzymywała się przed kaszlem. Popatrzyła znowu na policjantów, później zaś na towarzyszących im mężczyzn.

– O panu Bartalu nic nie wiem. Chciałam mówić o moim mężu.

Ciepło ją obezwładniało. Ale mężczyźni, którzy przed chwilą byli tuż-tuż, nagle stali się odlegli i jakby mniejsi. Powstała dzięki temu przestrzeń chętnie przyjęła historię opowiadaną przez panią Madarász.

Była niezwykle drobniutka, wychodząc za mąż. Kostki miała jak kurczak, a ciało smukłe niczym driada. Nawet dziś nie była cięższa więcej niż pięć kilogramów, mimo że zdążyła urodzić dzieci, ale wtedy mąż mógł ją z łatwością nosić na plecach i nawet się nie zmachać. Była lekka jak puchowa poduszka.

Ich pierwsze miesiące razem przypominały sen. Gotowali dla siebie wzajemnie. Śpiewali na dwa głosy. Spacerowali co niedziela, trzymając się za ręce. Raz czy dwa zrobili sobie wycieczkę do Szolnoku i Kecskemétu. Pani Madarász pamiętała

to wszystko jak przez mgłę, ponieważ gdy wprowadził się do nich teść, jej życie zamieniło się w koszmar.

Przenosiny teścia miały ulżyć schorowanej matce męża, która nie dawała sobie rady z tym potworem. Mąż pani Madarász liczył, że okaże się ona godnym przeciwnikiem starca. Była drobna, ale silna, znacznie silniejsza od jego matki, która ani nie słyszała, ani nie mówiła.

Tymczasem z dnia na dzień starzec wyczyniał coraz gorsze rzeczy. Obląpiał ją od tyłu i brudnymi paluchami błędził w poszukiwaniu sutka. Chwytał garść jej włosów, żeby polizać ją w kark. Opowiadał jej, co by z nią najchętniej zrobił. Obnażał się przy niej.

Mąż zasugerował, by wróciła do domu rodzinnego, ona jednak ani myślała się zgodzić. Miałyby zrezygnować ze swojego życia? Nigdy!

*– Pewnego razu wróciłam od Eszter i powiedziałam mężowi, że zaoferowałam nam truciznę, dzięki której pozbędziemy się teścia, nie budząc niczyich podejrzeń.*

Mijały tygodnie, aż któregoś dnia starzec przydybał ją w stajni. Szturczał ją dopóty, dopóki nie poczuła za sobą ściany. Ześlizgnęła się po niej i skuliła. Rzucił się wtedy na nią i chciał zedrzeć z niej suknię, ale trzymała ją mocno, traktując jak tarczę. Prosta czarna suknia była jedyną przeszkodą stojącą na drodze gwałcicielowi. Gdyby jej zabrakło...

Za niemałą sumę pieniędzy i pięćdziesiąt strąków drzewa świętojańskiego mąż pani Madarász kupił od Eszter Szabó truciznę. Arsenik. Dodawał go ojcu do wszystkiego, od wina do gulaszu, aż starzec wyzionął ducha.

Słuchający jej mężczyźni milczeli. W izbie obok Eszter próbowała zagadywać klikona. Na zewnątrz rozmawiało parę osób.

*– Wiecie, skąd Eszter Szabó miała ten arsenik? – zapytał ją Bartók.*

*– Od akuszerki. Od Krisztiny Csordás.*

**NAGYRÉV**

Nowiny o aresztowaniu państwa Madarászów w Tiszakürctie bardzo szybko dotarły do Nagyréva. Zanim klikon zdążył ją rozgłosić, wszyscy już wiedzieli skądinąd. Zwłaszcza młodszy wieśniacy dobrze znali Józsefa Madarásza, jego pola, jego plony. Gdy się nie pokazał na roli, wieść prędko się rozeszła.

- Słyszeliście o Józsefie?
- Słyszałem, że żona go do tego namówiła.
- Co za historia z Józsefem i jego żoną!
- Winna jest jego żona. On tylko za nią oberwał.
- Znałem starego Madarásza, więc się nie dziwię.
- Nigdy bym nie pomyślał, że József się zdobędzie na coś takiego.
- Biedny József. W więzieniu w Szolnoku.

Cioteczka Zsuzsa starała się wywiedzieć jak najwięcej na temat sprawy Madarászów. Posyłała synów po gazety i kazała im szukać informacji o aresztowaniu. Notki prasowe były równie związane jak policyjne komunikaty, ale Cioteczce Zsuzsie to nie przeszkadzało. Wszystkiego pilnie słuchała. Niekiedy prosiła, żeby jakiś artykuł przeczytać jej ponownie. Szukała śladów.

Dzięki gadulstwu doktora Szegedyego, który nie umiał się powstrzymać przed zreferowaniem wydarzeń tamtej nocy i przygody z płukaniem żołądka Antala Bartala, lotem błyskawicy rozeszła się też wieść o zatrzymaniu Eszter Szabó. Krążyły jednak różne wersje historii na temat tego, co właściwie się stało. Jedni twierdzili, że stary organista to pijanica, który żłopie wino i gorzałkę całymi dniami, i jeśli nawet coś go zatręło, był to na pewno alkohol, a zresztą co by Eszter przyszło z jego śmierci? W ich mniemaniu dziewczyna nie odniosłaby żadnej korzyści, pomagając od lat męczącej się z nim żonie. Drudzy utrzymywali, że Eszter Szabó uśmierca kogo popadnie. Tak powstał rozdziew między dwoma obozami wśród mieszkańców.



## SPRAWA DLA KRONBERGA

**SZOLNOK,**

**DRUGI TYDZIEŃ CZERWCA 1929 ROKU**

Prokurator Kronberg zawsze spędzał przerwę obiadową w domu, a następnie po południu wracał do sądu zawsze z psem. Dandys, krzyżówka beagle'a i retrievera, dreptał u boku swojego pana z łbem zadartym do góry i ogonem machającym jak metronom.

Para ta szła wzdłuż ulicy Barossa, przecinała plac Kossutha i wychodziła prościutko na budynek sądu. Gdy Kronberg zatrzymywał się u podnóża schodów, u jego stóp wciąż wirował kurz, pstrząc drobinkami mankiety spodni. Ulicę wybrukowano lata temu, lecz nikt nie rozprawił się z brudem. Wystarczyło, że Dandys się otrzepał, a mialki pył osiadał na jego właścicielu, co było niewybaczalną zbrodnią w oczach każdego, tylko nie energicznego psiaka.

Kronberg się schylił i ostrożnie przełożył uchwyt koszyka przez głowę dandysa. Sięgnąwszy do kieszeni, wyjął liścik skreślony ręką jego żony, i zatknął go za obrozę. Następnie poklepał psa po boku, co było sygnałem, by rzucił się pędem po śladach, którymi przyszli. Przez moment prokurator patrzył za swoim ulubieńcem, gdy ten gnał przed siebie, wzbijając tumany kurzu i kołysząc koszykiem na obie strony. Dandys udawał się do rzeźnika, który odczyta liścik i zrealizuje zamówienie złożone w ten sposób. Przed wyjedzeniem z koszyka mięs, które sprzedawca tam nawkłada, powstrzymywała Dandysa wyłącznie perspektywa przysmaku, jaki czekał na niego w domu w nagrodę.

W gabinecie Kronberg zdjął marynarkę i odwiesił ją obok drzwi, później pozbył się kapelusza, który trafił na kołek przy marynarce. Przez duże okno do środka wpadało rażące poranne słońce, wydobywające z rozgrzanej skóry i rozgrzanego drewna charakterystyczne, miłe zapachy. Prokurator zajął miejsce za

swoim biurkiem, zasłanym dokumentami i teczkami, z których jedna dotyczyła niedawno mu przydzielonej sprawy morderstwa w Tiszakürctie.

W tej chwili towarzyszył mu jego przyjaciel Barnabás Szabó (zbieżność nazwisk przypadkowa), żurnalista znany w mieście szerzej pod przydomkiem Wydawca. Spotykali się co rano, kiedy to Barnabás czytał prokuratorowi na głos artykuły prasowe, wybierając je z wachlarza licznych tytułów lokalnych i krajowych. Słuchając, Kronberg siedział nieruchomo, z brodą wspartą na złączonych palcach, często przymykając przy tym oczy dla lepszego zobrazowania roztaczanych przed nim scen. Zdarzało się, że przerywał Barnabásowi niczym dyrygent za pomocą niewidzialnej batuty, i obaj wdawali się w dyskusję na poruszony temat. Kronberg miał zwyczaj kreślenia w powietrzu wykresów, słów i cyfr, na co później przez chwilę patrzyli, jakby były tam naprawdę.

Zaraz po tym, jak zlecono mu zajęcie się sprawą morderstwa w Tiszakürctie, prokurator zapytał przyjaciela, co ów wie o tej okolicy, a mógł on wiedzieć niemało, ponieważ – kiedy dopiero stawiał pierwsze kroki w zawodzie – pracował dla gazety regionalnej i znał masę faktów na temat miejscowości leżących w dolinie Cisy.

Teraz Kronberg rozparł się wygodniej w fotelu i otworzył akta sprawy. Teczka nie była gruba, lecz zawierała zadziwiająco dużo informacji. Do tej pory wieść o morderstwie popełnionym przez Madarászów zdążyła dotrzeć do uszu dziennikarzy po drugiej stronie Niziny Węgierskiej. Kronberga zawsze zniesmaczało, jak prędko roznoszą się wiadomości i jak daleko sięgają. Reporterzy byli nienasyceń jak szczury i chciwi jak królowie. Zrozumiał to bardzo wcześnie i nauczył się przeciągać zawsze jednego na swoją stronę. W Szolnoku jego wybranym człowiekiem był Barnabás.

Po przewiezieniu do Szolnoku państwo Madarászowie powtórzyli swoje zeznania, aczkolwiek uzupełnili je o szczegóły. Otóż powiedzieli, że matka Józsefa kilkakrotnie próbowała zaszkodzić mężowi, dosypując mu rdzy do zupy. Staruszka od niedawna nie żyła, nie mogła się więc bronić.

Na miejscu w Tizsakürctie policjanci nadal próbowali wydobyć zeznania z Eszter Szabó i Krisztiny Csordás, szczególnie te dotyczące ich udziału w sprawie Madarászów. Tymczasem stary pan Bartal zdołał dojść niemal całkiem do zdrowia.

Prokurator zamknął teczkę i odłożył ją na bok. Sięgnął po inny dokument czekający na rozpatrzenie. Była to notka od komendanta, do której doczepiono napisany odręcznie liścik.

Notka była krótka: „Załączony list został nam przekazany przez kancelistę z Nagyréva w kwietniu. Kancelista nie wie, kto jest jego autorem. Warte sprawdzenia? Tizsakürt nie leży daleko od Nagyréva”.

Kronberg obejrzał liścik ze wszystkich stron. Odniósł wrażenie, że patrzy na kobiecą kaligrafię:

*To tajemnica poliszynela w Nagyrévie. Zamieszanych jest wiele kobiet. Mężczyźni umierają, a władze nic w tej sprawie nie robią. Trucicielki działają nadal bezkarnie. Podejmuję ostatnią próbę. Jeśli nie odniesie skutku, nie ma na tym świecie sprawiedliwości.*

## „NAGYRÉV TO GNIAZDO SZERSZENI”

**NAGYRÉV,**

**SOBOTA, 29 CZERWCA 1929 ROKU**

Na rynek wylegli praktycznie wszyscy mieszkańcy wioski. Przygotowania do uczyły szły pełną parą. Minionego wieczora ściągnięto z karczmy wszystkie stoły, do których teraz dostawiano ławki i krzesła przyniesione z kościoła i najbliższych stojących domów.

Kowal użyczył ław roboczych, na których ułożono deski, by później stawiać na nich większość garnków, dzbanów i gąsiorów. Jedzenia było w bród – dość, żeby wykarmić całą wioskę przez letnie miesiące – a potrawy były wymyślniejsze niż codzienny gulasz, bo obejmowały wszelakie rodzaje mięsa: gęsinę (z gęsi utuczonych łącno przez miejscowe gęsiareczki), kaczyne, świninę, a poza nimi także przeróżne warzywa i owoce, szczególnie arbuzy, które pięknie obrodziły przy suchej pogodzie. Do tego każdy możliwy rodzaj pieczywa, w tym pięciokilogramowe chały, na deser zaś przewidziano ciasta i pierniki. W powietrzu snuły się rozmaite aromaty, mieszając się ze sobą. Cioteczka Zsuzsa poruszyła nosem, wężąc.

Wcisnęła się na ławkę obok córki. Puste koszyki, w których przyniosła kwiaty, odstawiła na ziemię. Jej bukiety ozdabiały teraz stoły, nie tylko ten, przy którym siedziała, ale także kilka innych. Patrzenie na nie sprawiało jej przyjemność. Tej wiosny zdołała wyhodować wyjątkowo imponujące okazy. Wstawione do wazonów robiły nawet lepsze wrażenie niż wtedy, gdy rosły u niej w ogrodzie.

Było jej niewygodnie w odświętnej sukni. Wyższy niż noszony na co dzień kołnierzyk, wyszywany w białe kwiaty na granacie tkaniny, co stanowiło typowy dla Niziny Węgierskiej dobór kolorów i wzorów, uwierał ją nieprzyjemnie. Połyskliwie niebieska suknia była rozkloszowana od pasa w dół, a do tego ujęta

w plisy, dzięki czemu rozkładała się jak wachlarz. Brakowało jej tylko kieszeni, w które Cioteczka Zsuzsa mogłaby włożyć ręce, nie godziło się bowiem w święto nosić fartucha. Stroju dopełniał biały czepek, pod którym schowała siwe włosy upięte w koczek. Siedząc, zsunęła trzewiki z palców, przez co jej stopy – zyskawszy przestrzeń – nagle obrzmiały.

Przed wyjściem z domu ukryła swoją fajkę w rękawie, tak że tylko główka wystawała po wewnętrznej stronie przegubu. Z jakiegoś powodu kojarzyła się jej z kapeluszem detektywa. Cioteczka Zsuzsa krzywiła się co rusz, ponieważ cybuch pił ją pod rękawem.

Pierwszy raz wystąpiła tak ubrana w dzień ślubu ze swoim mężem gadziem i od tamtej pory co roku przywdziewała tę samą suknię z okazji święta apostołów Piotra i Pawła.

Przed południem odbyła się uroczysta procesja, w której wszyscy wzięli udział. Pastor Tóth najpierw poprowadził orszak wokół kościoła, a później poświęcił korony i krzyże, ręcznie robione i zatknięte na drewnianych palikach. Teraz i paliki, i korony, i krzyże leżały gdzie bądź, porzucone, lecz gdy jakiś ciekawski kundel zaczynał je obwąchiwać, ktoś ze świętujących klaskał głośno w dłonie, aby go przepędzić.

Cioteczka Zsuzsa skosztowała wszystkich rodzajów mięs i niemal wszystkiego pieczywa. Wino i ciepło ją rozleniwiły, tak że gdy najedzona do rozpuku potoczyła spojrzeniem po pełnym wciąż stole, naszała ją myśl, że Ébner miałby używanie. Od jego śmierci minęło osiem miesięcy. Jego żona też już nie żyła, ale Cioteczce Zsuzsie nigdy nie było z nią po drodze.

Krewni dawnej akuszerki zajmowali niemal trzy stoły. Najbliżej siedziała Lídia z rodziną, do której zaliczała się także, choć tylko na kocią łapę, Rozsa Holyba. Dosłownie dni po tym, jak policja umorzyła śledztwo w sprawie podejrzanej śmierci Károlyego Holyby w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku, Rozsa wprowadziła się do syna Lídi. Wkrótce ci dwoje dochowali się dwójki dzieci.

Cioteczka Zsuzsa potrząsnęła rękawem, żeby wyjąć fajkę. Ponieważ nie paliła od rana, główka była całkiem wystygła. Głębiej utknęła kapciuch i teraz musiała pogmerać palcami w wąskim rękawie, aby też go wyciągnąć. Nabrała szczyptę tabaki i umieściła ją w kominie, po czym nachyliła się ku synowi. Nie miała już miejsca na zapalki, ale ufała, że on je przyniesie w kieszeni spodni pomiędzy innymi rzeczami. Faktycznie, pomógł jej zapalić fajkę, a ona pocmokała ustnik i zaciągnęła się głęboko.

Wydmuchnąwszy z płuc dym, przyglądała się przez siną mgłę dzieciom Rozsy. Młodsze jeszcze nie umiało chodzić, a starsze wciąż mieściło się pod blatem na stojąco. Jedno i drugie było mieszaniną cech rodziców. Cioteczka Zsuzsa widziała w nich nawet pewne podobieństwo do Lídi. Co do najstarszego syna Rozsy – nie pokazał się w Nagyrévie od śmierci ojca. Rozsa zaś nigdy nie mówiła o Dezső.

Znudzona gapieniem się na cioteczne wnuki, zaczęła się rozglądać po innych stołach, aż jej wzrok padł na Petrę. Przez całe przedpołudnie śledziła jej poczynania, jak to miała w zwyczaju, ilekroć nadarzyła się okazja. Teraz też obserwowała, jak Petra grzebie w talerzu i małymi łyżkami popija wino ze szklanki stojącej tuż przed nią. Cioteczka Zsuzsa zaciągnęła się dymem ponownie i tym razem wypuściła go przez nos.

Wcześniej w tłumie widziała Sędziego, lecz od tamtej pory zdążył gdzieś zniknąć. Wypatrzyła również Krisztinę Csabai, która z synem i córką zrobiła sobie piknik na trawie przed kościołem. Towarzyszyły im dzieci Cserów.

Co do Anny, wszędzie jej było pełno. Biegała tam i sam, zziajana jak mysz. Lajos natomiast tak się upił, że nie potrafił ustać na nogach. Cioteczka Zsuzsa pomyślała, że najlepiej by było, gdyby ktoś wsadził go na wóz i zawiózł do domu.

Trio Henrika Miskolczyego rozłożyło się ze swoimi instrumentami wokół studni jeszcze wtedy, gdy mieszkańcy brali udział w procesji. Muzykanci grali cicho przez parę godzin, po czym zrobili sobie przerwę, aby przyłączyć się do uczty. Miskolczy właśnie wstał, przeciągnął się i odchyliwszy barki do tyłu, uderzył się pięścią w mostek, żeby wydobyć z siebie beknięcie, zanim schylił się po skrzypki. Najadł się mięsa po uszy, a szczególnie mu smakowała gęsina, której

jak zwykle pochłonął za dużo. Przyłożył skrzypki do brody, beknął ponownie, po czym przechylił głowę, zabierając się do grania.

Drzwi domu wspólnotowego były zamknięte na głucho. W środku od rana siedział hrabia Molnár, który otworzył tylko Sędziemu i klikonowi, kiedy się pojawili, po czym od nowa zaryglował zasuwę. Klikon sprowadził Sędziego z uczty na rynku, poprosiwszy, żeby wymknął się z tłumu niepostrzeżenie.

Teraz Sędzia oddalił się od okna w ucieczce przed gorącym promieni słonecznych. Z miejsca, w którym stał, słabo słyszał odgłosy zabawy na zewnątrz. Zegar wiszący nad nim tykał posępnie, przepełniając go narastającą obawą.

\*\*\*

Miskolczy skinął na resztę grajków. Tupnął nogą raz i drugi, a przy trzecim razie przyłożył smyczek do strun, co poderwało ludzi do tańca.

Jego trio uprzyjemniało święto apostołów Piotra i Pawła co roku, a on sam zawsze wyczekiwał go z utęsknieniem. Rzadko miał okazję grać na wolnym powietrzu. Potańcówki odbywały się zwykle w karczmie Cserów, i to tylko w niedzielne popołudnia. A tutaj atmosfera była taka żywa, że przymknąwszy oczy, mógł sobie wyobrazić, że przygrywa większej liczbie osób niż w rzeczywistości.

Mária czekała właśnie na tę chwilę. Zerwała się z ławy, wygładziła niebieską spódnicę i poprawiła troczki pod brodą, upewniając się, że czepek jej nie spadnie. Pociągnęła za sobą Franklina. Strzepnęła okruchy z klap „syna”, potem jeszcze polizała palec, aby założyć mu za ucho krnąbrny lok.

Melodia była z początku powolna i Mária tylko się do niej kołysała, ale gdy rytm stał się szybszy, poczuła, jak krew zaczyna w niej szybciej krążyć. Kilka kobiet za nią złączyło ręce, by utworzyć kółko, ona jednak trzymała się swojego miejsca naprzeciwko grajków, zwrócona twarzą do Franklina. Melodia stawała się coraz skoczniejsza, a Mária wirowała prędzej i prędzej, pstrykając palcami nad głową i nie spuszczać oka z Franklina, który podskakiwał, przytupywał i klaskał w najbardziej szaleńczym czardaszu, jaki kiedykolwiek widziała.

Jak wielu innych Cioteczka Zsuzsa przyglądała się tańczącej Márii, aż sztywny czepek kłuł ją w kark, gdy zadzierała brodę, aby widzieć ponad głowami uczujących. W pewnym momencie wyjęła fajkę z ust. Spuściła głowę i splunęła na ziemię, mamrocząc klątwę pod adresem dawnej przyjaciółki. Potem wbiła wzrok we własny talerz, umieściła ustnik między wargami i mocno je zacisnęła.

Na czole Miskolczyego pojawiła się lśniąca warstewka potu, który zaczął się skraplać i padać mu na twarz. Dłonie także mu spotniały. Musiał mocniej złapać za chwytnię skrzypek, żeby mu się nie wyslizgnęły z rąk.

Muzyka ulatywała w powietrze i rozchodziła się szeroko. Czuł się nią wyzwolony. Była to jego ulubiona pora roku do grania. Tak się zapamiętał w tym, co robił, że zdał sobie sprawę z obecności klikona dopiero wtedy, gdy ten stanął metr od niego.

Klikon nakazał mu gestem ciszę. Miskolczy usłuchał. Skinął głową grajkom, żeby odłożyli instrumenty. Potem ustąpił ze swojego miejsca, pozwalając klikonowi stanąć przy pręgierzu.

Mający po jednej stronie Sędziego, a po drugiej Molnára klikon sięgnął po pałeczki i zaczął uderzać nimi o bęben. Ponieważ rzadko kiedy miał tak liczną widownię, poczuł lekkie mdłości na myśl, że patrzy na niego tyle par oczu.

Wybiwszy werble, odczekał moment i przyłożył dłoń do membrany, aby stłumić dźwięk.

Postąpił krok do przodu.

– Niniejszym ogłaszam, że w związku ze śmiercią Józsefa Madarásza seniora w naszej siostrzanej wsi wskazano troje dalszych podejrzanych. Są to mieszkańcy Tizsakürtu: Lőrinc Szabó i jego żona Eszter oraz tamtejsza akuszerka Krisztina Csordás. Dziś rano wszyscy zostali przewiezieni do więzienia w Szolnoku, gdzie dołączyli do już aresztowanych państwa Madarászów. – Umilkł, aby znów nabrać powietrza do płuc. – Krisztina Csordás oraz Lőrinc i Eszter Szabó zostali także oskarżeni o uśmiercenie Istvána Szabó z Nagyréva.

Tłum zamarł.



István Szabó, wuj Lórinca, zmarł w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku. Miał tylko pięćdziesiąt jeden lat i z pewnością nie spodziewał się, że kostucha przyjdzie po niego tak wcześnie.

Ktoś sapnął głośno z wrażenia, przełamując czar. Moment później rozległy się ciche okrzyki, rzucane tu i ówdzie „ojej!” oraz „o mój Boże!”.

Cioteczka Zsuzsa wypuściła fajkę z ust.

## TISZAKÜRT

Bartók sądził, że pierwsza pięknie staruszka. Od razu się zorientował, że z Eszter jest twarda sztuka, co do jej męża zaś... cóż, nie było warto zawracać sobie nim głowy. Robił wyłącznie to, co kazała mu żona. Potwornie się jej bał. Akuszerka jednak wydawała mu się nawet jeśli nie miękka, to z pewnością łatwiejsza do rozgryzienia.

Krisztina Csordás była stara, dobrze po sześćdziesiątce, a może miała już siódmy krzyżyk na karku. Chwilami sprawiała wrażenie chorej, zwłaszcza gdy łąpała się za serce i wolną ręką miętoszyła sobie dłoń zasłaniającą jedną pierś. Twierdziła, że ma słaby pęcherz, i bez przerwy chciała do toalety, aż policjant musiał ją zbesztać. Właściwie to wydarł się na staruchę.

– *Będiesz siedzieć we własnych szczyinach do Bożego Narodzenia!*

Nawet to nie skłoniło jej do płaczu. Nie uroniła ani jednej łzy.

Tak się zatem złożyło, że to Eszter pierwsza zaczęła mówić. Przyznała się do próby otrucia pana Bartala, jak również do tego, że państwo Madarászowie otrzymali truciznę od niej. Złamanie po tym jej męża było już bułką z masłem. Na koniec zeznania złożyła Krisztina.

Bartók i Fricska maglowali wszystkich troje tygodniami, lecz z marnym skutkiem. Przypominało im to wbijanie gwoźdźcia w twardą ścianę – trudzili się, mozolili, a tu nic. Aż wreszcie ściana się zawaliła i odsłoniła izbę po drugiej stronie. Nowe informacje były równie szokujące jak wcześniejsze przyznanie się

pani Madarász do zamordowania teścia. Bartók nigdy by nie podejrzewał Eszter i Lőrincza Szabó o zabicie Istvána Szabó, własnego wuja, lecz tak naprawdę największe wrażenie zrobiły na nim inne słowa, które padły w sali przesłuchań:

– *Nagyrév to gniazdo szerszeni.*

Cioteczka Zsuzsa obrzuciła wzrokiem podwórko, równocześnie wytyżając słuch, na wypadek gdyby rozległy się jakieś dziwne albo obce dźwięki. Siedziała na kłodzie, którą zwykle trzymała obok ganku. Teraz kłoda leżała przy palenisku, dokąd staruszka ją przeciągnęła, zostawiając w ziemi wryte ślady. Próbowwała je zatrzeć bosymi stopami, ale nie bardzo jej się to udało. Miejscami dalej widać było krechy.

Nie minęła jeszcze godzina, odkąd uciekła z rynku. Wciąż miała na sobie rozkloszowaną granatową suknię, tyle że całą zakurzoną i z brudnym rąbkiem, który przydepnęła kilkakrotnie, wracając w pośpiechu do domu. Znalazłszy się w kuchni, cisnęła czepek na stół. Spód jej brody znaczyła ciemniejsza kreska, tam gdzie uciskały ją do niedawna troczki.

Kłoda była teraz dokładnie tam, gdzie kiedyś wylegiwał się jej pies. Gdyby żył, kręciłby się wokół niej i skomlał, przestraszony jej zaaferowaniem. Zawsze był bardzo wrażliwy na jej nastroje.

O aresztowaniu kuzynki wiedziała niemal od pierwszego dnia. Od tamtej pory zachowywała się niczym kapitan statku spoglądający przez lunetę na odległą jednostkę. Ona też, nie mogąc zrobić nic innego, tylko obserwowała, co robi Krisztina Csordás.

Ogień w palenisku strzelał wysoko. Dał się łatwo rozpalić w suchym czerwcowym powietrzu.

U stóp Cioteczki Zsuzsy leżały arkusze lepu na muchy. Opróżniła szufladę kredensu ze wszystkich co do jednego i na dokładkę zlustrowała spiżarkę, pozbywając się z niej fiolek. Trzymała teraz na podolku zarówno lepy, jak i fiołki, w tym tę, którą codziennie nosiła w kieszeni fartucha.

Cioteczka Zsuzsa sięgnęła po jedną z fiolek i odkorkowała ją. Pochyliwszy się nad ogniskiem, chlusnęła zawartością w płomienie, po czym odsunęła się szybko,

by zbłękitniałe języki jej nie sięgnęły. Złapała rąbek brudnej sukni i wcisnęła go do pustej fiolki, po czym przetarła w obu kierunkach, aż szkło zaczęło piszczeć. Powtórzyła te czynności ze wszystkimi fiolkami, a potem cisnęła do ognia arkusze lepu.

Nie miała czasu odkopać fiolek zakopanych na podwórzu. Zamiast tego zabrała się do zakopywania tych, które przed chwilą opróżniła.

Rynek prędko opustoszał po tym, jak klikon przekazał najnowsze wieści. Grajkowie spakowali instrumenty i wymknęli się chyłkiem. Gospodynie pomyły garnki i naczynia i rozeszły się do domów. Wieśniacy odstawili na miejsce stoły, ławki i krzesła.

Zostały tylko kundle, mające teraz nieskrępowany dostęp do resztek jedzenia. Przepychając się, wylizały ziemię niemal do czysta, po czym wyłożyły się w cieniu pod kościołem, żeby z pełnymi brzuchami zapaść w leniwą drzemkę.

We wsi zapanował bezruch. Na Árpád nie uświadczyłoby się żywego ducha, gdyż wszystkie sklepy i tak były zamknięte ze względu na święto. Nagyrév był równie spokojny jak pejzaż wiejski, jeśli nie liczyć unoszącego się pyłu, który turlał się po jezdni, pchany coraz silniejszym wiatrem. Tylko zakład cyruliczny pozostał otwarty. Daniel przyjmował klientów w każdą środę i sobotę bez ochyby.

Dom wspólnotowy stał zamknięty przez cały dzień i nie zmieniło się to nawet w porze kolacji. Po oświadczeniu wygłoszonym przez klikona Sędzia jakby nigdy nic zabrał się z rynku i zniknął ponownie za drzwiami, nie nawiązawszy z żoną kontaktu wzrokowego ani nie zamieniwszy z nią słowa na temat tego, co się dzieje. Sam nie był pewien, co można by o tym wszystkim powiedzieć, nie miał też pojęcia, po co go właściwie wezwano – chyba tylko po to, żeby hrabia Molnár poczuł się bezpieczniej. Żaden z nich nie miał wiele do roboty poza wyczekiwaniem na telefon z komisariatu policji w Tiszakürctie bądź biura prokuratora w Szolnoku, gdyż to on właściwie rozdawał teraz karty.

Kiedy Sędziemu znudziło się siedzenie, wstawał. Kiedy znudziło mu się stanie, siadał. Nieskończone razy przemierzył główną izbę tam i nazad. Poruszał się

miętko i spokojnie w przeciwieństwie do hrabiego, który czuł się jak na patrolu. Sędzia nie znał człowieka bardziej nerwowego od Molnára. Ani też bardziej pedantycznego. Różnił się od Ébnera nie mniej niż żaba od słonia. Takie i podobne myśli często krążyły Sędziemu po głowie tego dnia. W końcu zawędrował do okna. Oparł się o parapet i wyjrzał przez szybę, szukając słońca. Stało wciąż wysoko na zachodnim niebie.

Pierwszym, co zwróciło uwagę Daniela, był psi jazgot na ulicy. Kundle rozszczękały się znieńacka i przez chwilę ujadały jak szalone, po czym równie nagle umilkły, by czmychnąć z podkulonymi ogonami ze środka jezdni. Cisza, która po tym nastąpiła, wydawała się jeszcze bardziej przejmująca.

Wkrótce Daniel poczuł, że podłoga drży mu pod stopami, wprawiona w ruch przez odległy tętent koni. Podbiegł do drzwi, nie bacząc na to, że wciąż trzyma mokry pędzel w dłoni. Zdążył zobaczyć, jak policjanci galopują po ulicy Árpád i wypadają za róg, na Árva, kierując się niechybnie do domu Cioteczki Zsuzsy.

Daniel wrócił do środka, mrugając powiekami, aby pozbyć się z oczu pyłu wznieconego przez końskie kopyta.

# KONIEC SEZONU OGÓRKOWEGO

**ŚRODA, 17 LIPCA 1929 ROKU**

Tego samego dnia, w którym odbyła się uczta z okazji święta apostołów Piotra i Pawła, wiceprezes sądu w Szolnoku na podstawie zeznań złożonych w Tizsakürctie zarządził wszczęcie dochodzenia zakrojonego na szerszą skalę. Pierwszą aresztowaną z Nagyréva była Cioteczka Zsuzsa, wskazana jako dostarczycielka arszeniku na potrzeby Krisztiny Csordás i Eszter Szabó. W ciągu dwóch tygodni, które upłynęły od aresztowania Cioteczki Zsuzsy w dzień świąteczny, Bartók i Fricsek wzięli w obroty dwanaście innych osób. Wszystkie były płci żeńskiej i prawie wszystkie pochodziły z Nagyréva.

Przez cały ten czas dwaj funkcjonariusze z Tizsakürtu byli zdani tylko na siebie. Prowadzili przesłuchania w domu wspólnotowym, tak jak przedtem w sprawie Károlyego Holyby i jeszcze wcześniej w sprawie Cioteczki Zsuzsy oskarżonej o dokonywanie aborcji. Teraz jednak Tiszaföldvár oddelegował cały oddział funkcjonariuszy, ogółem czternastu policjantów, wliczając w to Bartóka i Friczka. Wszyscy oni zjechali do Nagyréva, gdzie zostali zakwaterowani w posiadłościach miejscowej szlachty.

Bartók i Friczka jak dotąd nie poczynili wielkich postępów z aresztowanym tuzinem. Przesłuchiwali kobiety przez kilka godzin z rzędu, odsyłali je do domu, po czym wzywali ponownie kolejnego dnia. Na razie żadna do niczego się nie przyznała. Z obliczeń Bartóka wynikało, że liczba mężczyzn zmarłych w podejrzanych okolicznościach sięgnęła już piętnastu. Co dzień policja otrzymywała sygnały o następnych morderczyniach.

Ściągnięci policjanci przenieśli prowizoryczny komisariat z domu wspólnotowego do domu klikona. Od tej pory przesłuchania miały się odbywać na

okrągło. Klikon znów przeprowadził się do swojej izdebki w domu wspólnotowym, jak uczynił podczas epidemii hiszpanki w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku.

Ze wszystkich podejrzanych tylko Cioteczkę Zsuzsę przewieziono do Szolnoku na przesłuchanie. Wsadzono ją na łódź wiosłową w Nagyrévie i przed zmrokiem odebrano w porcie na rogatkach, skąd policjanci pieszo przeprowadzili ją przez całe miasto do budynku więzienia, gdzie już czekał na nią naczelnik.

Z ramienia prokuratury czuwał nad dochodzeniem Kronberg, który dokooptowawszy do pomocy dwóch śledczych, wysłał ich do Nagyréva.

Zebrano także ekipę techników kryminalnych potrzebnych przy ekshumacjach. Sekcje zwłok miał niebawem przeprowadzić *in situ* doktor Henrik Orsós, ordynator szpitala miejskiego, przy asyście kolegi, niejakiego doktora Izidora Kanitza, przy czym budzące wątpliwości próbki miały zostać skierowane do Narodowego Instytutu Chemii Sądowej w Budapeszcie.

Z kolei doktor Gábor Popp, jako właściciel prywatnego sanatorium w Szolnoku mogący się pochwalić doświadczeniem badawczym, został poproszony o porównanie wyników analiz chemicznych przekazanych przez instytut (oraz wyników autopsji) z zeznaniami podejrzanych dotyczącymi chorób, na które cierpieli zmarli mężczyźni. Na koniec wszystkie rezultaty miał przejrzeć niezależny ekspert z uniwersytetu w Peczu, wykładający tam doktor András Kelemen.

Najęto miejscowych grabarzy, którzy mieli rozkopać mogiły w Nagyrévie, Tizsakürcie, Tiszaföldvárze i Cibakházie.

Kronberg znajdował się pod presją. Pewni ludzie dopatrywali się zaniedbania sądu w sprawie Károlyego Holyby sprzed pięciu lat. Z uwagi na brak funduszy rozpatrzono wtedy negatywnie wnioski o autopsję. W uzasadnieniu napisano, że Holyba był poważnie chory, w związku z czym jego śmierć najprawdopodobniej nastąpiła z przyczyn naturalnych. Co by powiedzieli podatnicy, dowiedziawszy się, że sąd marnuje publiczne pieniądze na dociekanie, dlaczego umarł ktoś chory? Pięć lat temu finanse państwa były w opłakanym stanie. Kronberg doskonale pamiętał,

jaki wtedy panował chaos w sądzie. Wstrzymano prace renowacyjne. Nie było nawet środków na naprawienie tego, co zostało zniszczone w trakcie prac.

Tymczasem rzucono nowe światło na tamtą sprawę i powoli wszyscy zaczęli się zgadzać co do tego, że przy tamtej okazji została ona spaprana. Od nowa wymieniano korespondencję, zwoływano narady, pisano raporty. Decyzja o umorzeniu postępowania zapadła wtedy na poziomie komendy policji i to komendant znalazł się teraz pod ostrzałem, gdy wyszło na jaw, że wiosną zignorował ostrzeżenia hrabiego Molnára o kłopotach w Nagyrévie. Wszystko oczywiście skrupiło się na Kronbergu, od którego oczekiwano, że naprawi każdy błąd przełożonych.

Prokurator sięgnął po akta Holyby z tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku. Wydobył również akta Zsuzsy Fazekas z tysiąc dziewięćset dwudziestego roku. O ile w pierwszym przypadku to sąd czegoś nie dopatrzył, o tyle w drugim Cioteczka Zsuzsa wykazała się niesłychaną czujnością. Choć Kronberg urzędował wtedy w Szolnoku niecały rok, doskonale pamiętał tamtą sprawę. Areszt nałożony na kobietę nie zdarzał się bowiem tak często. A już prawie nigdy nie było tak, że niepiśmienna Romka ze wsi najmowała najlepszego adwokata w mieście. Uniewinnienie jej przez budapesztański sąd apelacyjny głęboko zawstydziło niższą instancję, która obecnie w świetle faktów miała tylko jeden cel: udowodnić winę Zsuzsie Fazekas i dopilnować, aby wyrok skazujący utrzymał się w mocy.

Kronberg przypomniał sobie, że dziewięć lat wcześniej ówczesną akuszerkę skazano wyłącznie na podstawie jej zeznań złożonych w obecności policji. Był pewien, że jeśli przymusi ją teraz do zeznań w obecności jego i pozostałych śledczych, znacznie trudniej jej będzie wyprzeć się swoich słów w sądzie. A zatem też sąd apelacyjny nie będzie miał podstaw, by podważyć wyrok pierwszej instancji. Dlatego właśnie kazał sprowadzić Cioteczkę Zsuzsę do Szolnoku.

Po wielu dniach przesłuchań ani on, ani inni śledczy nie wyciągnęli niczego z byłej akuszerki. Była twarda jak skała i Kronberg myślał sobie, że prędzej wycisnąłby krew z kamienia niż z niej – przyznanie się do winy. Ledwie co

mówiła, a gdy już się odezwała, prosiła o wodę albo o pozwolenie skorzystania z ubikacji. Poza tym nie puściła pary z gęby.

Kronberg wezwał do siebie Danielowitza, dowódcę oddziału stacjonującego w Nagyrévie. Poleciał, by w związku ze sprawą Holyby przesłuchać jeszcze raz jego ostatnią żonę oraz Lídię Sebestyén. Z myślą o Cioteczce Zsuzsie opracował sprytny plan, w którym główną rolę miał odegrać Bartók.

Barnabás Szabó większość popołudni spędzał w lokalu Café National, gdzie miał swój stały stolik. Znajdował się on na tyle blisko drzwi, że Barnabás dobrze widział, kto wchodzi do hotelu i kto z niego wychodzi, a przy tym też wystarczająco blisko okna, aby mógł obserwować ludzi na ulicy. Co do stolika, był mały i okrągły i miał marmurowy blat.

Kajet Barnabása pełen był luźnych kartek i wizytówek, które bez przerwy się wymykały. Nierzadko przy otwarciu sypały się na podłogę jak liście, przez co musiał rzucać się za nimi, aby ich nie pogubić. Na tych stronicach, które jeszcze się trzymały grzbietu, roiło się z kolei od notatek i szkiców, które robił, ilekroć pracował nad jakąś sprawą.

Teraz miał przed sobą stertę regionalnych i lokalnych gazet, które zabrał ze stojaka z prasą wystawionego przez kawiarnię z myślą o bywalcach. Poza tym na blacie stała filiżanka kawy i szklaneczka z wodą.

Barnabás zaciągał się dymem, cmokając lufkę, którą przytwierdził do papierosa. Spodnie miał wymięte. Koszula nie prezentowała się wiele lepiej. W ogóle ubranie na nim wisiało, taki był szczupły. Nieustannie przeczesywał palcami faliste brązowe włosy, rozburzając je coraz bardziej. Trudno było zgadnąć, gdzie spędził minioną noc albo gdzie spędzi następną. Ilekroć się gdzieś zasiedziało, zdarzało mu się sypiać na peronowych żeliwnych ławkach albo – chętniej – na użyczonej kanapie w salonie znajomego. W życiu mieszkał w tylu mieszkaniach, ile miał lat, a był trzydziestosiedmiolatkiem. Od czasu do czasu grubo po północy lądował w Café National, gdzie prosił, aby mu podano „kacówkę”, które to danie



skwapliwie doliczano mu do rachunku. *Maître d'hôtel* miał długą listę dłużników, lecz nazwisko Barnabása zajmowało zaszczytne pierwsze miejsce.

Sporadycznie korzystał z tylnego wejścia do lokalu, każdorazowo przecisnąwszy się przez tłumek amatorów niemego kina sterczących pod markizą. Tego lata grali akurat film z „Grubaskiem”, czyli Roscoe Arbuckle’em, i Barnabás parę razy widział stojące w kolejce do kasy dzieci Kronberga – prokurator miał dwóch synów – żeby zobaczyć film po raz drugi, trzeci i czwarty.

Barnabás obrzucił wzrokiem salę. Kilka grupek mężczyzn siedziało przy sąsiednich stolikach, pochłoniętych grą w domino albo taroka. Dwóch znajomych Barnabása grało w szachy. Odruchowo spojrzął na stół, przy którym ileś miesięcy wcześniej rozegrał partyjkę szachów z mistrzem świata, Amerykaninem Frankiem Marshalllem. W czytającej Biblię samotnej kobiecie w okularach rozpoznał hotelową sprzątaczkę, która musiała mieć akurat przerwę. Na zewnątrz członkowie romskiej kapeli krążyli niespokojnie po chodniku. Mieli występ dopiero wieczorem, ale zawsze zaczynali się zbierać już o trzeciej po południu.

Dziennikarze nazywali lato sezonem ogórkowym, ponieważ nie działo się nic godnego uwagi. Wielu z nich robiło sobie wtedy wakacje albo porzucało działania w terenie, aby oddać się pracy nad rozgrzebaną książką, czy też zamiast polować na sensacyjne wiadomości, pisali długie i kwieciste recenzje teatralne.

Barnabása absorbowowała sprawa morderstw na prowincji. Jak dotąd nie wybrał się do żadnej z wiosek, aby zbadać sytuację osobiście. Kronberg przetłumaczył mu, że nie ma tam nic do zobaczenia. Zresztą na razie żadna gazeta nie wykazała zainteresowania tematem. Ta, w której do niedawna był współwydawcą, została zamknięta przed prawie rokiem na podstawie – naciąganych zdaniem wielu – oskarżeń o oszustwa podatkowe. W okamgnieniu policja zajęła biurka i krzesła, skonfiskowała maszyny do pisania, narobiła bałaganu w teczkach. Obecne władze, na których czele stał były oficer marynarki admirał Horthy (zwany teraz regentem), regularnie zamykały różne gazety uznane za wrogie reżimowi.

Regionalne tytuły podjęły temat, ale Barnabás miał ambicje pisać dla stolicznych gazet. Niestety do tej pory żadna mu nie odpowiedziała.

## NAGYRÉV

Codziennie od święta apostołów Piotra i Pawła zaraz po przebudzeniu Sędzia szedł do domu wspólnotowego. Większość dnia spędzał w ciasnym składziku, robiąc za świadka podczas przesłuchań podejrzanych. Jeśli w ogóle stamtąd wychodził, to tylko po to, by w przedsionku pilnować kobiet, które były następne w kolejce, bądź służyć pomocą hrabiemu Molnárowi w coraz większej liczbie zadań, jakie mu przypadły w udziale w związku z dochodzeniem. Odkąd policja zaczęła prowadzić przesłuchania w chacie klikona, bywał i tam, i tu.

Dom klikona był jedynym działającym nerwem w poza tym sparaliżowanym ciele. Nagyrév praktycznie zamarł, jeśli nie liczyć śledztwa. Wprawdzie nie zamknięto poczty, ale monitorowano korespondencję. Dom wspólnotowy natomiast stał się centrum dowodzenia dla śledczych z Szolnoku. Kowalowi zlecono wykonanie metalowych trumien, jedynych, jakie się nadawały do przewiezienia zwłok do Budapesztu. Obrzeża wsi patrolowali funkcjonariusze mający zapobiec ucieczkom.

Atmosfera napięcia panująca w wiosce przypominała Sędziemu dni rumuńskiej okupacji, aczkolwiek tym razem nie było jasne, kto jest wrogiem, a kto nie.

Nocami, gdy Sędzia kładł się spać, często leżał jeszcze długo w łóżku, zastanawiając się, co by na to wszystko powiedział Mihály.

Gdy zapadł zmierzch, policjanci odeskortowali do domu kobietę o nazwisku Julianna Petyus, którą przez całe popołudnie i cały wieczór przesłuchiowano w chacie klikona. Pani Petyus owdowiała przed kilku laty i od tamtej pory wiodła spokojne życie wieśniaczki. Czyjś anonimowy list sprawił jednak, że obecnie stała się podejrzana w sprawie o zabójstwo swego męża. Funkcjonariusze odprowadzali ją wzrokiem, kiedy szła ścieżką w stronę budynku, i oddalili się dopiero wtedy, gdy kobieta zamknęła za sobą drzwi.

## ATMOSFERA WINY

**NAGYRÉV,  
CZWARTEK, 18 LIPCA 1929 ROKU,  
GODZINA 8.00 RANO**

Hrabia wyszedł z chaty klikona na ganek i zaczął się ostrożnie przechadzać po wypaczonych deskach, mocno nadwerężonych przez pogodę. Przez moment postął w cieniu spadzistego dachu, który także się zapadał i wydawał jęki, ilekroć trącił go wiatr albo jakiś ptak przysiadł na nim. Cały budynek zdawał się niezadowolony, jakby żałując, że nie jest ładniejszy.

Gdy do hrabi dołączył śledczy, obaj ruszyli w stronę domu wspólnotowego. Pan Fölbach był jednym z dwóch ludzi, których Kronberg przydzielił do tej sprawy, i od swego przybycia do Nagyréva rozumiał się z Molnárem doskonale.

Przed nimi biegło kilka psów. Stado najwyraźniej objęło w posiadanie tę okolicę. Hrabia wyprzedził je zaaferowany. Machał przy tym ręką, jakby chciał je nie tyle przegonić, ile w ogóle wymazać z widoku. Rzucił nawet naganę pod ich adresem, a że uczynił to głosem piskliwym ze zdenerwowania, kundle – zamiast się rozbiec – poczuły się bardziej ośmielone. Były zaledwie jednym z wielu elementów, które mierziły go na wsi.

W końcu skręcili w ulicę Árpád, gdzie echem niósł się nieustający klang młota kowalskiego. Od tygodni wrony nie zbierały się już na rynku, gdzie teraz hulał wiatr i pył. Kiedy byli już w górze ulicy – za pocztą, niedaleko celu – uświadomili sobie, że ktoś ich śledzi.

Pierwszy zauważył to Fölbach. Wyczuł czyjąś obecność i obejrzawszy się za siebie, zobaczył staruszkę, która powłócząc nogami w chodakach, szła kilka metrów za nimi. Widząc, że na nią patrzy, zatrzymała się jak wryta. Fölbach odwrócił się i kontynuował wędrówkę u boku hrabiego, rozmawiając o tym, że gdy

dotrą na miejsce, muszą sprawdzić, jak radzi sobie doktor Szegedy. Lekarz dobrowolnie podjął się przeglądanego aktów zgonu.

Obydwaj zbliżali się już do domu wspólnotowego, gdy naraz usłyszeli czy też zobaczyli coś, co kazało im się okręcić na pięcie. Staruszki już za nimi nie było. Chodnik świecił pustkami. Cała ulica była opustoszała, jeśli nie liczyć patrolujących ją funkcjonariuszy. Fölbach, odkąd się pojawił, prawie nie widywał wieśniaków. Zupełnie jakby oczyszczono z nich wieś. Wszyscy siedzieli albo na przesłuchaniu, albo po domach. Jako że jednak miał sokoli wzrok, wypatrzył czubek chodaka wystający zza drzewa świętojańskiego.

Podbiegł tam czym prędzej. Hrabia rzucił się za Fölbachem, lecz nim którykolwiek zdążył ją złapać, staruszka czmychnęła obok nich i wypadła na drogę. Fölbach dopadł ją tym razem bez trudu, ponieważ był szybszy w pełnych butach niż ona w chodakach. Zaciągnąwszy staruszkę na drugą stronę ulicy, postawił ją pod ścianą domu wspólnotowego. Przypatrujący się od chwili Molnár stał kawałek dalej z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- Dlaczego nas śledzicie?
- Macie coś na sumieniu?
- Chcecie się do czegoś przyznać?

Fölbach złapał staruszkę za bark i szarpnął, zsuwając rękę po jej ramieniu, aż ucałił ją za przegub. Moment później sięgnął do jej drugiego nadgarstka. Kobięcina była tak chuda, że swobodnie mógł trzymać obie jej ręce w jednej dłoni. Mimo to zacisnął mocno palce, aż staruszka stęknęła.

Hrabia usiłował nadażyć w myślach za wydarzeniami. Rozpoznawał tę kobietę, choć nie pamiętał jej nazwiska. Pani Pápai? Pani Simon? A może to jednak była nieznajoma. Wszystkie wyglądały tak samo w tych swoich czarnych sukniach i chustach, z pomarszczonymi od słońca twarzami.

Wtem zza rogu wyłonił się policjant. Molnár uniósł rękę i wykrzyknął:

- *Aresztujcie tę kobietę! Sądźmy, że i ona kogoś otruła!*

## NA PODDASZU

**NAGYRÉV,  
CZWARTEK, 18 LIPCA 1929 ROKU,  
GODZINA 10.00 RANO**

Dwaj funkcjonariusze, którzy minionego wieczora odprowadzili panią Petyus do domu, udali się następnie na swoją kwaterę. Jak dotąd żadnej z kobiet nie zatrzymano na noc. Policjanci pracowali na dwie dwunastogodzinne zmiany, zatem obowiązkiem tej samej dwójki było doprowadzenie pani Petyus na ciąg dalszy przesłuchania.

Przekroczyli właśnie rów i zatrzęśli furtkę. Na posesji chrumkał świniak, jeden z tych, które pani Petyus co roku tuczyła, żeby potem zarznąć zimą.

Nie doczekawszy się żadnej reakcji, zatrzęśli furtkę ponownie. Jeden z policjantów przyłożył oko do szpary między sztachetami, chcąc zajrzeć za płot. Drzwi frontowe były zamknięte, na podwórzu kręciły się rozgdakane kury.

Funkcjonariusze otworzyli sobie furtkę sami, po czym ruszyli ścieżką, klucząc między kurczętami, które wpadały im pod nogi. Pchnęli drzwi frontowe i wpadli za nie, wpuszczając do środka kilka namolnych kur. Sprawdzili szybko kuchnię, spiżarnię i główną izbę.

– Julianno Petyus! Pokażcie się! Gdzie jesteście? Pokażcie się, ale zaraz!

Jeden z policjantów udał się do sypialni. Odrzucił kołdrę z łóżka, otworzył na oścież szafę. Podał inspekcji każdy kąt ciasnej izby.

W kuchni stała drabina wiodąca na poddasze. Jeden stanął u jej podnóża, a drugi wspiał się po wąskich szczeblach. Wystawiwszy głowę ponad strop, w pierwszej chwili zobaczył kilka stojących wokół dużych koszy. Wypełniała je soczewica i fasola. Mężczyzna wyobraził sobie, jak gospodyni zagląda tu, by

nabrać garść ziaren, po czym wraca na dół i gotuje je na piecu. Tysiące razy widział, jak to samo robi jego matka i babka.

Nawet tutaj słyszał chrumkanie wieprzka. Powiódł spojrzeniem po belkach stropowych. Z najbliższej zwieszała się świńska tusza. Była tak ogromna, że niemal przesłoniła policjantowi widok na linę obok, gdzie na stryczku dyndało ciało pani Petyus. Twarz miała białą jak kreda, wargi sine. Na brodzie widać było zaschniętą plwocinę, która wydostała się z otwartych ust w całości wypełnionych poczerniałym językiem. Otwarte oczy zastygły w wyrazie przerażenia.

– Znalazłem ją! – zawołał do kolegi czekającego na dole.

Odpiął bagnet od pasa i zwinnym ruchem przeciął grubą linę. Ciało pani Petyus zważyło się na podłogę z głuchym hukiem.

## SPRYTNA PUŁAPKA

**SZOLNOK,  
CZWARTEK, 18 LIPCA 1929 ROKU,  
POPOŁUDNIE**

Ledwie minęło południe, rozpadał się deszcz. Do czasu, gdy Cioteczka Zsuzsa opuściła więzienie, zdążył się przemienić w ulewę. Staruszka ostrożnie schodziła po śliskich stopniach. Głowę miała opuszczoną dla ochrony przed sieczącymi kroplami, a wspierała się na ramieniu syna. Czekają na nią kilkunastu krewnych. Teraz podążali za nią niczym w kondukcje. Wszyscy razem udali się na dworzec.

Czas spędzony w więzieniu okazał się dla niej powtórny koszmarem. Tak jak poprzednio cierpiała na bezsenność. Tak jak poprzednio łączyły po niej karaluchy, zapewne potomkowie tamtych, które nękały ją przy ówczesnym aresztowaniu, równie obrzydliwi jak ich przodkowie. Od przebywania w samotności dopadło ją delirium. Ściany na nią napierały ze wszystkich stron, dręczyły ją mściwe duchy – jej jedyne towarzystwo przez wiele dni z rzędu. Gdy tylko przestąpiła próg celi, poprzysięgła sobie i tym, którzy stali w zasięgu jej głosu, że nigdy, przenigdy nie trafi tu ponownie.

W pociągu sparaliżował ją strach innego rodzaju. Również znajomy i wywołujący poważny niepokój. Kaucję ustalono w wysokości tysiąca pengö, co było znaczną kwotą. Hrabia Molnár potrzebował czterech miesięcy, by zarobić tyle pieniędzy, a był najlepiej zarabiającym urzędnikiem w Nagyrévie. Samo zdobycie tej sumy nie stanowiło dla Cioteczki Zsuzsy problemu. Wystarczyło, że opróżni w tym celu jeden albo dwa zakopane słoiki z monetami, znów bowiem miała ich w ogrodzie co najmniej kilkanaście. Nie narzekała też na brak banknotów wszytych w rąbki halek i powłóczki. Gotówkę na czarną godzinę trzymała także za piecem, a nawet na stryszku. W ciągu tych paru lat od procesu odbiła się znów od dna. Nie

spoczęła na laurach, dużo pracowała i miała klientów aż pod austriacką granicą. Zdawała sobie jednak sprawę, że prawnik – zapewne znów mecenas Kovács – oskubie ją z ostatniego grosza.

Przed paniką uratował ją plan, który już zaczął kiełkować w jej głowie.

Bartók wsunął dłonie w rękawy i złapawszy kołnierzyk, strzepnął tył koszuli, aby ułożyła się dobrze na plecach. Materiał był lekki i chłodny w dotyku. Spowijał go niczym jedwabna chmurka. Tak się przyzwyczaił do noszenia munduru, z którym się nie rozstawał, odkąd wybuchła ta sprawa, że zdążył zapomnieć, jakie to uczucie nosić zwykłe rzeczy.

Zapiął guziki koszuli i wciągnął spodnie. One także wydawały mu się lekkie. Jedna i druga część garderoby dobrze na nim leżała – zadziwiająco dobrze, gdy wziąć pod uwagę, w jakim pośpiechu je zorganizował. Nie zabrał ze sobą żadnych cywilnych ubrań, tylko mundur i nocny strój, w którym sypiał. Te rzeczy pożyczył mu jeden z członków rady wsi.

\*\*\*

Prom ze stacji kolejowej w Tiszaföldvárze odpływał nieregularnie z powodu deszczu, tak że gdy Cioteczka Zsuzsa w końcu postawiła nogę w Nagyrévie, była przemoknięta do suchej nitki. Mimo to czuła zadowolenie. Lecąca z nieba woda zmyła z niej odór więzienia, do którego postanowiła już nigdy nie wrócić.

W towarzystwie otaczających ją krewnych wspięła się po szerokim, grząskim nasypie. Cały brzeg rzeki i rozciągające się za nim błonia tonęły w błocie. Cioteczka Zsuzsa starała się, jak mogła, by nie dać się pochłonać tej brei. Zygzakowała zaciekle, maszerując w stronę drogi.

Stanąwszy na ulicy Sándárok, wyprostowała się i zatupała trzewikami. Tryskające z podeszew błoto ochlapało dół jej sukni, ale nie zważała na to. Ruszyła przed siebie, za róg i ku rynkowi, nie poświęcając ani jednego spojrzenia chacie klikona.



Wewnątrz własnego domu rozlało się po niej ciepło. Ilekroć musiała wyjechać na dłużej, wracała zawsze przepełniona nostalgią za tym miejscem. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. To tutaj czuła się najbezpieczniej. Tutaj przyrządzała swoje nalewki. Smażyła dzemy. Nuciała piosenki. Hodowała kwiaty. Dom nigdy jej nie zawiódł, toteż z głębokim westchnieniem ulgi klapnęła na ławę, by zzuć przemoczone trzewiki.

Reszty ubrań pozbyła się w sypialni. Włożyła czystą suknię i wgramoliła się pod puchową kołdrę. Odszukała putsy i wymamrotała kilka inkantacji, zanim – kompletnie wyczerpana – zapadła w popołudniową drzemkę.

Poza koszulą i spodniami Bartók pożyczył od członka rady wsi także lekki letni płaszcz. Teraz trzymał go nad głową, aby chronić się przed deszczem.

Od ponad godziny stał pod orzechem włoskim naprzeciwko chaty byłej akuszerki. Wiedział, do którego pociągu wsiadła. Z chaty klikona obserwował ją, gdy zsiadała z promu i wspinała się na nasyp. Idąc jej śladem, skręcił w ulicę Árpád, zachowując bezpieczny dystans. Miał pewność, że skierowała się prosto do swojego domu. Nie przypuszczał jednak, że przyjdzie mu tak długo czekać, aż wyłoni się ponownie na zewnątrz.

Bombardowały go orzechy strącane przez deszcz i wiatr. Mknęły ku ziemi z wielką siłą, tak że musiał się powstrzymać przed okrzykami bólu, gdy trafiały go to tu, to tam.

Orzech był wysoki, rozłożysty, ale brakowało na nim choć jednej niskiej gałęzi, na której Bartók mógłby przysiąść, dlatego oparł się tylko plecami o pień, krzyżując ramiona na piersi. Głowa co jakiś czas mu opadała, po czym budził się ze wzdrygnięciem. Trudno mu było zachować przytomność. Pogodzony z okolicznościami, słuchał szumu deszczu, który działał na niego usypiająco. Aby mu się nie poddać, Bartók odtwarzał w myślach wydarzenia tego ranka. Odhaczał kolejne punkty na liście. Nerwowe poszukiwanie cywilnego ubrania. Oczekiwanie na przyplnięcie promu. Przyśpieszone bicie serca na widok Cioteczki Zsuzsy... Nigdy nikogo nie śledził w ten sposób, był więc z początku podekscytowany

zadaniem, lecz nuda wyczekiwania odarła to przedsięwzięcie z dreszczyku podniecenia. Bartók chciał to już mieć za sobą.

Sięgnął do kieszeni i wyjął zegarek. Przetarł kciukiem szkiełko, by pozbyć się pary, a gdy już sprawdził godzinę i podniósł wzrok, zobaczył, że z posesji pod numerem pierwszym przy ulicy Árva ktoś wychodzi. Schował zegarek do kieszeni i zmrużył oczy. Była ubrana w gruby płaszcz, zapewne jedyny, jaki posiadała, i tak jak on trzymała go nad głową. Na przedramieniu zawiesiła sobie koszyk. Kronberg najwyraźniej miał rację. Stara czarownica mimo wszystko ich nie zawiedzie.

Policjant przyglądał się, jak była akuszerka drepcze ulicą, mija kilka domów, po czym wchodzi na posesję pani Pápai. Wiedział, do kogo należy ten teren, gdyż wcześniej dwukrotnie przepytywał panią Pápai. Zaczął szukać wzrokiem kryjówki przed jej furtką, ale żadnej nie znalazł. Podbiegł więc kawałek i schował się w rowie, czego natychmiast pożałował. Przypominało to kąpiel błotną ze ślimakami.

Ze swojego miejsca usłyszał, jak Cioteczka Zsuzsa puka do okna. Bartók był niemal pewien, że pani Pápai jest w środku. Wszystkie mieszkanki Nagyréva siedziały po domach, bojąc się wyjść na zewnątrz. Mimo to nikt nie otwierał drzwi. Policjant mógł się tylko przysłuchiwać coraz bardziej natarczywemu pukaniu w szybę.

– Wiem, że tam jesteś! Otwieraj!

Rozległo się jeszcze parę stuknięć w szybę, po czym Bartók usłyszał skrzypnięcie furtki. Skulił się w rowie i nabrał powietrza do płuc. Jeśli będzie musiał, da nurka pod powierzchnię.

Furtka zatrzaskała się z hukiem, który wprawił w drżenie cały płot. Nawet przyczajony w rowie policjant to odczuł. Wyciągnął lekko głowę i wyjrzał. Jego oczy znajdowały się na poziomie trzewików akuszerki. Z tak bliska doskonale widział pojedyncze źdźbła trawy przyczepione do obcasów i grudki błota dookoła. Z pozycji węża patrzył, jak Cioteczka Zsuzsa drepcze do następnego domu i sama

otwiera sobie furtkę. Mieszkała tam pani Győző. Z tej odległości policjant nie mógł wiele usłyszeć, ale doleciało go energicznie pukanie do okna.

Przemoknięta na wskroś staruszka dreptała ulica za ulicą, pukając do kolejnych okien, a Bartók skradał się za nią niezauważony. Nie spodziewał się, że Cioteczka Zsuzsa spróbuje odwiedzić aż tyle domów. Usiłował je wszystkie spamiętać, aby móc do nich wrócić – na podwórku jednego rosły petunie, drugi miał ułamaną sztachetę, był też taki z bocianim gniazdem na dachu i ten porośnięty krzakami róż... Cała masa domów. Bartók pożałował, że nie ma kajetu i pióra, dzięki którym mógłby robić notatki. W każdym razie nikt nie otwierał akuszerce.

Gdy skończyła przemierzać płataninę bocznych uliczek, wróciła na ulicę Árva. Szła teraz szybciej niż wcześniej, omal nie pogubiła nóg, a koszyk kiwał jej się wściekle na przedramieniu. Każde stąpienie powodowało fontannę brudnej wody, która ją ochlapywała. Policjant musiał przyśpieszyć, aby nadążyć za staruszką, pędził od drzewa do drzewa i od krzaka do krzaka, aż się przekonał, że Cioteczka Zsuzsa bynajmniej nie wraca do siebie. Minęła własny dom, nie poświęcając mu żadnej uwagi, i skręciła w Árpád.

Bartók dopadł zakrętu i wyhamowując na krzyżówce, rozejrzał się to w prawo, to w lewo. Ciężko dyszał. Był cały mokry. Powiódł spojrzeniem w stronę karczmy. Ulica wydawała się pusta, ale po sekundzie wypatrzył oddalającą się postać w grubym płaszczu naciągniętym na głowę. Choć Cioteczka Zsuzsa zdążyła pokonać ładny kawałek drogi, policjant dogonił ją niepostrzeżenie, ani na moment nie zaprzestając obserwacji. Gdy kobieta zniknęła za furtką posesji pod numerem sześćdziesiątym piątym przy ulicy Árpád, zaczął się obok płotu.

Cioteczka Zsuzsa zostawiła sobie dom Márii na koniec po części dlatego, że zamierzała po wszystkim rozsiąść się w karczmie (żeby zmanifestować swoją obecność, jeśli już nic innego), a po części z tego powodu, że odwiedzając przyjaciółkę, chciała mieć przy sobie wszystkie zebrane pieniądze.

W swoim mniemaniu nie żebrała, tylko odbierała to, co jej się należało. Za każdym oknem, w które zapukała, była jej dłużniczka, kobieta coś jej winna za dotrzymaną tajemnicę, za zażegnany kryzys, za popełniony uczynek. Pomogła im,

kiedy tego potrzebowały – nieważne, czy o to prosiły, czy nie; nieważne, czy o tym wiedziały, czy nie – a teraz to ona była w potrzebie.

Tylko że przychodziła z pustymi rękami. Słoiki, które zamierzała wypełnić monetami, wały się puste na dnie jej koszyka. Każde odrzucenie w kolejnym progu odczuwała coraz silniej i w tej chwili aż się gotowała z emocji.

Wyciągnęła rękę i głośno zastukała w okno Márii.

– Mária, otwieraj, ale to już!

Roztarła kostki, na których miała pozdzieraną skórę. Praktycznie wszystkie jej stawy, łącznie z kolanami i kostkami, były obrzmiałe od artretyzmu. W więzieniu nie mogła stosować swoich maści ani nalewek, toteż obecnie ból był obezwładniający.

Zapukała w szybę drugi raz.

– Mário Szendi, mówię do ciebie! Otwieraj!

Odczekała kilka uderzeń serca, po czym zeszła z ganku, człapiąc jak stary niedźwiedź, i podreptała na podwórko. Tu i ówdzie rosło pojedyncze źdźbło trawy, ale głównie było widać gołą ziemię z paroma wgłębieniami, w których kury urządzały sobie kąpiele piaskowe.

Zajrzała za węgiew. Wzdłuż bocznej ściany domu stał dobudowany boks na luksusowy dwukonny powóz, który Mária sobie kupiła po śmierci Mihálya. Cioteczka Zsuzsa nigdy nie widziała tego pojazdu z bliska, ale chcąc nie chcąc, nasłuchiwała się o nim od wielu osób. Ludzie przez kilka tygodni nie mówili o niczym innym. Teraz drzwi boksu były zamknięte, co musiało oznaczać, że powóz jest w środku. Czyli Mária także była w domu. Dawna przyjaciółka Cioteczki Zsuzsy jako chyba jedyna kobieta w całym Nagyrévie nie bała się chodzić po ulicach pełnych policji, lecz i ona ostatnio więcej się ukrywała, niż pokazywała.

Staruszka zawróciła i ponownie wspięła się na ganek. Zabębniła znów w okno. Schyliła się i zajrzała do środka przez szybę, ale zobaczyła tylko własne odbicie, zniekształcone przez krople deszczu spływające po gładkiej szklanej powierzchni.

Wyprostowała się i rozejrzała dokoła. Niebo, ciemne od rana, zaczęło się przejaśniać. Ulewny deszcz przeszedł w mżawkę.

– Mária, otwieraj!

Akuszerka ujęła się pod łokcie i zakołysała na piętach. Zastanawiała się, co dalej.

Zebrała się w sobie jak byk przed szarżą. Wciągnęła głowę w ramiona i uderzyła obcasem trzewika w deskę pod nogami tak mocno, aż usłyszała trzask. Z satysfakcją patrzyła, jak powstała cienka linia pęknięcia rozgałęzia się na boki, tworząc skomplikowany wzór. Cioteczka Zsuzsa postanowiła, że zniszczy cały ganek Márii, jeśli będzie musiała.

Drzwi uchyliły się na włos. W szczelinie pokazała się twarz Márii. Kobieta trzymała mocno za klamkę, na wypadek gdyby jednak przyszło jej zatrzasać intruzce drzwi przed nosem.

– Co tutaj robisz? Idź sobie w tej chwili!

Była akuszerka odstąpiła chwiejnie o krok. Nic tego dnia nie przebiegało po jej myśli. Zignorowały ją wszystkie sąsiadki. Nieomal zdarła sobie gardło, nawołując MARIĘ, a ta pojawiła się w najmniej spodziewanym momencie.

Wziąwszy się w garść, Cioteczka Zsuzsa zrobiła parę kroków naprzód.

– *Daj mi pięćdziesiąt pengö!*

Ledwie wypowiedziała te słowa, pożałowała, że nie wymieniła większej kwoty. Sto pengö. Albo – jeszcze lepiej – sto pięćdziesiąt.

– *Ani mi się śni! Na co ci w ogóle tyle pieniędzy?*

Mária wystawiła głowę nieco bardziej, żeby rozejrzeć się po podwórku. Wkrótce znów wbiła oczy w dawną nieprzyjaciółkę.

– *Nie mam powodu ci pomagać* – dodała. – *Nie jesteś mi do niczego potrzebna.*

Znienacka zrobił się oblepiający gorąc. Słońce prażyło przez wodną mgiełkę unoszącą się w powietrzu. Cioteczka Zsuzsa zaczęła się pocić pod licznymi warstwami wilgotnej odzieży, przez którą jeszcze przed momentem było jej zimno. Do tej pory zdążyła odrzucić płaszcz z ramion, ale zdjęta nagłą paniką, upuściła

koszyk i jęła się szarpać z rękawami płaszcza, które jednak przyłgnęły do rękawów jej sukni i nie dawały się zsunąć. Pluła i przeklinała, dopóki sobie z nim nie poradziła i nie rzuciła go na ziemię. Wymierzyła mu kilka kopniaków, wiedząc, że przelała się czara goryczy. Boksowała powietrze. Tupiała nogami.

– *Daj mi te pieniądze, Mário! Natychmiast! Jeśli mi ich nie dasz, sprawię, że Nagyrév zadrży w posadach i wszyscy ucierpią!*

Mária cofnęła głowę i zatrzasnęła drzwi. Huk by tak ogromny, że nawet Bartók się skrzywił.

Cioteczka Zsuzsa opuściła ganek. Wypadła przez furtkę, zatraskując ją za sobą. Zerknęła tęsknie w stronę karczmy. Była zbyt zmęczona, zbyt wyczerpana na wizytę tam. Najbardziej ze wszystkich miejsc pragnęła znaleźć się w domu.

Bartók zatrzymał się w domu wspólnotowym, żeby zdać hrabiemu Molnárovi raport ze wszystkiego, czego był świadkiem, po czym wrócił na swoją kwaterę. Musiał się przebrać w mundur, aby ruszyć z klikonem na obchód wsi.

Hrabia, nie zwlekając, zatelefonował do prokuratora, aby donieść mu o wynikach obserwacji prowadzonej przez policję w Nagyrévie.

# CZUWANIE

**CZWARTEK, 18 LIPCA 1929 ROKU,  
WIECZÓR**

Na dłoni Cioteczki Zsuzsy lśniły drobinki rdzy. Przecinała ją też głęboka czerwona pręga. Druciany uchwyt lampy zawsze pozostawiał na jej ręce taki ślad, zwłaszcza gdy zaciskała palce tak mocno jak teraz. Rozczapierzyła obie dłonie, żeby im się przyjrzeć. Lampa kołysała się przewieszona przez nadgarstek i poskrzypywała cicho z każdym ruchem. A ilekroć drgnęła – poruszona czy to wiatrem, czy drżącą ręką – unosił się z niej rdzawy pył i osiadał wszędzie.

Od wielu godzin słyszała, jak klikon wywołuje nazwiska kolejnych wieśniaczek.

Dobiegło ją wycie rodzonej siostry wleczonej ulicą. Gdy wyjrzała przez szparę w płocie, zobaczyła, jak Lídia opiera się szarpiącym ją policjantom. Słyszała i widziała Rozsę. Później przeszła na czworakach na tyły domu, gdzie ukrywała się przez następne godziny.

Uzmysłowiła sobie zawsze jej znaną prawdę. Z tej sytuacji nie było wyjścia. Wioskę otoczono. Rogatek pilnowali nocni strażnicy i nie tylko oni. Ucieczka w las oznaczała noc spędzoną w towarzystwie szakali. Policja zastawiła pułapkę. Cioteczka Zsuzsa, jako królowa pszczół, została pozbawiona swoich robotnic. Kiedy funkcjonariusze przyjdą po nią? Oczekiwanie było dla niej katorgą, mimo że doskonale zdawała sobie sprawę z zasad gry, która się toczyła.

Gdy przyjdą, będzie gotowa. Zapaliła lampę drżącymi rękami i podreptała na drogę, by stanąć na straży własnego losu.

Przez całą noc krążyła między ulicami Zöld i Árva, wypatrując policjantów, którzy o dziwo nigdy się nie pojawili.

# GĘSIARKI I OTWARTE GROBY

## TRZY TYGODNIE PÓŹNIEJ...

### BUDAPESZT

MacCormac tygodniami jeździł po Węgrzech z zaprzyjaźnionym korespondentem zagranicznym M.W. „Mikiem” Fodorem, rodowitym Węgrem, którego siostrę Erzsébet uczynił w Budapeszcie swoją asystentką. Dziewczyna pracowała w rodzinnej gazecie, mówiła płynnie po angielsku i miała liczne kontakty.

Jedną z pierwszych obserwacji, jakie MacCormac poczynił na Węgrzech, było to, że węgierscy reporterzy działają podobnie jak ich austriaccy koledzy. Niektórzy urzędowali w redakcji informacyjnej i na poczcie, ale większość sytuowała się w kawiarniach, gdzie współpracowała z pomocnym *maître d’hôtel*, takim jak Gustaw z Café Louvre w Wiedniu. Tyle że w Budapeszcie lokal nosił nazwę Café New York. Inna różnica między stolicą Austrii i Węgier była taka, że ta druga bynajmniej nie stanowiła ośrodka dziennikarstwa międzynarodowego. Żurnaliści spoza kawiarni, w większości zresztą wolni strzelcy, pracowali głównie dla miejscowych gazet. Sprawa Nagyréva stała się jednak tak głośna, że do Budapesztu ściągnęli reporterzy z całego świata i obecnie kręcili się po Café New York, jakby to była giełda papierów wartościowych.

Łatwiej im było relacjonować tę sprawę z Budapesztu. Czy też raczej: relacjonowanie tej sprawy z Nagyréva było praktycznie niemożliwe. Podróż tam zabierała prawie cały dzień, a artykuły stamtąd można było przesyłać wyłącznie pocztą, przy czym przeciętny list szedł do Ameryki kilka tygodni. Urząd pocztowy w Nagyrévie zwyczajnie nie był wyposażony w odpowiedni sprzęt. Zresztą wszystkie miejskie placówki kontaktowały się najpierw telefonicznie z Paryżem, skąd drogą telegraficzną lub telefoniczną wiadomości trafiały do Stanów Zjednoczonych. Sieć telefoniczna w Nagyrévie pozostawiała dużo do życzenia –



połączenia były zbyt słabej jakości, by w ogóle mogła być mowa o rozmowie międzynarodowej.

W Nagyrévie nie było ani hoteli, ani restauracji (zarówno karczma Cserów, jak i ta druga, konkurująca z nią, od pewnego czasu stały zamknięte). Nie było tam również możliwości druku. Koniec końców korespondenci zagraniczni, których obowiązki rzuciły na Węgry, mogli działać wyłącznie w stolicy.

MacCormac miał szczęście, że dokooptował Erzsébet do swojego zespołu. Dziewczyna miała za zadanie wypatrywać dalszych wieści z Nagyréva i Tiszakürtu, po tym jak pierwsze nowiny opublikowane przez gazetę z Kunszentmártonu ujrzały światło dzienne w początkach lipca. Jej rola okazała się jednak bardzo niewdzięczna, gdyż wiadomości było tyle, co kot napłakał.

Ta posucha na froncie informacyjnym nie wzięła się znikąd, MacCormac był tego pewien. Ktoś kontrolował przepływ informacji. Lecz w końcu tama puściła i od jakiegoś czasu nie dało się przewidzieć, jaki kierunek ta sprawa obierze nazajutrz. Zaczęły się samobójstwa, ucieczki, profanacje grobów, kradzieże trumien... Policjanci nie tyle zatrzymywali podejrzanych, ile – mogło się zdawać – porywali ich. Grabarze znajdowali fiołki z arsenikiem ukryte w trumnach rzekomych ofiar.

Szerokim strumieniem płynęły także anonimy, w których sąsiedzi oskarżali sąsiadów o morderstwa. Zaciśnięte zwykle usta wieśniaków z Niziny Węgierskiej niespodziewanie uległy otwarciu i reporterzy ledwie nadążali z notowaniem ich słów. Z ostatniego podsumowania: dokonano ponad trzydziestu aresztowań. Ogółem pięćdziesięcioro podejrzanych przetrzymywano w zamknięciu w chacie klikona w Nagyrévie oraz w więzieniu w Szolnoku.

MacCormac zdawał sobie sprawę, że znajduje się w lepszym położeniu niż jego wiedeńscy koledzy. Miał pełen dostęp do zaplecza „Pesti Napló”, lokalnej gazety w posiadaniu rodziny Fodora – rodziny dobrze umocowanej w Szolnoku, z licznymi koneksjami. Była to niewątpliwa przewaga i MacCormac nie omieszkał jej wykorzystać.

Miejscowi dziennikarze uczynili z Kronberga bóstwo.

„Węgierska prasa nigdy nie pisała tyle o żadnym prokuratorze ani żadnego nie darzyła tak wielkim szacunkiem – stwierdził reporter na łamach budapesztańskiej gazety »Kis Hírlap«. – Dla samego Kronberga procesy sądowe okazały się zwieńczeniem sukcesu, nagrodą raczej niż sprawdzianem, po intensywnej pracy”.

Pomimo wszystko tylko Barnabás miał bezpośredni dostęp do Kronberga, a zatem też dostęp do sprawy. Pozostali żurnaliści dostawali od prokuratora to, co chciał im dać. Przynajmniej do tej pory przepływ informacji był ściśle kontrolowany. Zmieniło się to wraz z napływem do Budapesztu zagranicznych korespondentów. Stali się oni solą w oku Kronberga, który zrozumiał, że regent Horthy ma go teraz pod lupą.

## **NAGYRÉV**

Sterna lin leżała na ziemi w cieniu starej taczki. Niektóre były mocno postrzępione na końcach i niezdarnie splecione na powrót niezgrabnymi palcami grabarza. Druga sterna została rzucona nieopodal. Cały cmentarz był zasłany linami. Ilekroć któryś z grabarzy – bo było ich teraz więcej – podnosił taką linę, w powietrze wzbijał się tuman drobnego, ziemistego pyłu.

Lekki wiatr na szczęście rozwiewał odór zgnilizny. Ziemię zaścieniały zbutwiałe kawałki sosny. Ekshumowano niemal czterdzieści trumien, z których część spędziła pod ziemią ponad dekadę. Kiedy grabarze podważali ich wieka, rozlegało się zawsze ciche pyknięcie zamaskowane trzaskiem rozpadającego się drewna.

W lakierkach na nogach, z mankietami spodni sięgającymi sznurowania Kronberg poruszał się ostrożnie w labiryncie dołów i wyciągniętych na powierzchnię trumien, starannie przy tym unikając zwojów lin – a kiedy trzeba, także niskich gałęzi i stert pordzewiałych narzędzi. Musiał mieć oczy dookoła głowy, ponieważ grabarze wymachiwali łopatami na wszystkie strony i zrzucali ziemię gdzie popadnie.

W pewnym momencie wyprostował się, przykładając jedną rękę do krzyża, a drugą do czoła, aby osłonić się przed rażącym blaskiem i lepiej widzieć.

Powiódł spojrzeniem po armii grabarzy uwijających się między grobami. Byli to w większości miejscowi. Za ekshumacje oferowano dobre pieniądze i każdy mężczyzna bez stałej pracy połąsił się na nie. Bosi, z podwiniętymi do kolan nogawkami spodni i w kapeluszach z szerokim rondem na głowach, przywodzili Kronbergowi na myśl chodzące strachy na wróble. Od wielu dni wspólnymi siłami wydobywali spod ziemi ojców i dziadków, wujów i kuzynów. Pokrzykiwali przy tym do siebie w dialekcie, którego prokurator ni w ząb nie rozumiał. Ich słowa przelatywały mimo niego niczym piłki. Mieli również w zwyczaju porzucać narzędzia tam, gdzie stali. Kronberg bardzo szybko nauczył się rozpoznawać świst upadającego szpadla. Kręcili się wokół doktora Orsósa, jakby czymś normalnym na cmentarzu była obecność lekarza w białym kitlu, pochylającego się nad misą pełną ludzkich organów.

Doktor Orsós rozstawił swoje stanowisko tuż obok chaty grabarza, która z tej odległości wydawała się białą plamą i była tak ciasna, że w środku zdołał się pomieścić tylko jeden z lekarzy. Podczas gdy doktor Kanitz przeprowadzał testy Reinscha wewnątrz chaty, jego kolega robił to samo na zewnątrz.

Test Reinscha był stosunkowo prostym badaniem, które polegało na tym, że kawałek czystej folii miedzianej umieszczano w podgrzanym roztworze kwasu razem z próbką danego organu. Jeśli miedź nabrała czarnej albo choćby szarej barwy, było to dowodem, że narząd może zawierać arszenik. Podejrzane próbki wysyłano następnie do instytutu w Budapeszcie, gdzie przeprowadzano zdecydowanie czulszy test Marsha.

Wkrótce kilka przypadków podważono, w tym zmarłych rok wcześniej w podobnym czasie Ébnera i męża Cioteczki Zsuzsy. Ani jedno, ani drugie zwłoki nie nosiły śladów arszeniku, tak samo zresztą jak zwłoki Kovácsa seniora, którego śmierć nastąpiła niedługo po powrocie Márii do Nagyréva, i zmarłego nieco później Kovácsa juniora.

Doktor Orsós nabrał wątpliwości z chwilą otwarcia trumny tego ostatniego. Arsenik miał to do siebie, że konserwował ciało. Lekarz musiał sprawdzić datę na boku trumny, aby się upewnić, że faktycznie ma do czynienia z człowiekiem martwym od dziesięciu lat. Potem zabrał się do obszernego opisu, w którym Kronberg dostrzegł potencjał na dobrą książkę.

*Zwłoki zmumifikowały się w takim stopniu, że stanowią dalej całość, sztywną i wyschniętą. Skórę zmarłego, zwłaszcza na twarzy, głowie i górnej części klatki piersiowej, pokrywa gruba warstwa żółto-złoto-brązowo-białej pleśni. Po lewej stronie zachowała się nawet powieka. Włosy są dość gęste, długie, koloru szarozółtego. Mięśnie szyi i narządy wewnętrzne zachowane idealnie, te pierwsze wciąż szarobrązowe. Głowa lekka, ważąca niecały kilogram. Skóra na czaszce jakby wyprawiona, z widocznymi wszystkimi warstwami. Mięśnie skroni wyschłe i bladobrązowe. [...] Mózg cofnięty na tył czaszki, obleziony długimi na 8–9 milimetrów i szerokimi na milimetr, wyposażonymi w krótkie skrzydła brązowymi owadami roztaczającymi ohydny kwaśny zapach. [...] Skóra na piersi i brzuchu barwy skóry z boczku. Podspodnia warstwa tłuszczu jest żółtawa, o stęchłej woni. [...] Można zobaczyć, że serce ma średnią wielkość, a jego kształt i położenie są rozpoznawalne, barwa zaś bladoczerwono-brązowa. Da się wciąż wyróżnić komory. [...] Pobrano 100 gramów tkanki serca i umieszczono w próbówce nr III.*

Obaj lekarze stwierdzili podobny stan zwłok w przypadku Mihályja Kardosa. Próbki z tych dwóch ciał przesłano już do budapesztańskiego instytutu.

Wbudowane w ścianę chaty było długie, wąskie, cienko przeszklone okno, które przetrwało niejedną wichurę i niejedną burzę. Zwierzęta dziobały i drapały, aż w szybie powstały rysy. Obecnie jednak wyrosła przy oknie grupka wieśniaków, którzy z rozdziawionymi ustami gapili się na doktora Kanitza. Prokurator był pewien, że zjechali się z sąsiednich wsi, gdyż wchodząc na cmentarz, widział przy bramie kilka wozów z tabliczkami wskazującymi na osadę Abony i kilka innych miejsc w okolicy Nagyréva. Doktor Kanitz unosił fragmenty szczątków w stronę okna, aby lepiej je widzieć, lecz trzymał w powietrzu odrobinę dłużej, niż było to konieczne.

W pewnym momencie Kronberg usłyszał szelest za sobą, wydawany jakby przez pełznącego węża, a może przez kicającego królika czy wiewiórkę. Spojrzał pod nogi. Ziemia była piaszczysta, upstrzona kamykami. Większość znaczników na cmentarzu była drewniana, niektóre tylko zrobiono z kamienia, jak ten, który miał tuż obok siebie. Gdy się pochylił, wypatrzył kobietę ubraną całą na czarno, klęczącą przy nagrobku. Dla oparcia trzymała się jego krawędzi obręcz i wyzierała ostrożnie, ciekawa, co takiego robi doktor Orsós.

Prokurator usłyszał kolejny szelest. Obrócił się energicznie, ale słońce zbyt go raziło, aby zauważył białe wstążki na tle nieba. Za to gęsi, które ujrzał, skojarzyły mu się natychmiast z obłoczkami spadłymi na ziemię.

Gęsiarki ściągnęły ze starorzecza, które okazało się zbyt błotniste do wypasania ich podopiecznych. Kluczyły teraz między grobami, dzierżąc kijki z powiewającymi białymi wstążkami, za którymi podążały karnie gąsiątka, przystające tu i ówdzie, aby skubnąć nieco trawy.

# STARUSZEK CSER

## PIĄTEK, 9 SIERPNIĄ 1929 ROKU

Lajos się przewrócił. Leżał twarzą do ziemi, podczas gdy kury dziobały wokół niego. Przy upadku nałykał się trochę ziemi.

Jakoś przetoczył się na plecy, ale nie zdołał wstać. Przetoczył się więc z powrotem na brzuch. Zaczął macać na oślep za czymś, czego mógłby użyć jako podpory. Nie do końca wiedział, gdzie właściwie jest. Na swoim podwórku? Za furtką?

Wsparł się na dłoniach i złapał pobliskiego krzaka. Przed karczmą rósł rząd krzewów i to pomogło mu odzyskać orientację. Zaczął przekładać ręce, jakby wchodził po drabinie, i tak mniej więcej doszedł do pozycji wyprostowanej. Puścił gałęzie. W głowie mu się kręciło od wypitej gorzałki. Niemal wpadł twarzą w krzaki, ale w ostatniej chwili wygiął się do tyłu, machając ramionami jak wiatrak dla zachowania równowagi, która nagle stała się dla niego czymś nieosiągalnym. Zanim jednak znowu zaczął brać powietrze z byka, stanął pewniej na nogach i w tej samej chwili przypomniał sobie, dokąd idzie i dlaczego jest zły.

Przez większość lata udawało mu się trzymać z daleka od całej tej policyjnej sprawy prowadzonej w chacie klikona. Nie było go w domu, gdy funkcjonariusze kilkakrotnie przychodzili, by zabrać jego żonę na przesłuchanie, i tylko ze słyszenia wiedział, że ich sąsiadka Rózsa też była przesłuchiwana. Nie zastanawiał się wiele, czego od obu w ogóle chciano. Ledwie zwracał uwagę na wystrojonych w garnitury mężczyzn z Szolnoku, od których roіło się ostatnio we wsi. Nie przeszkadzało mu nawet, że w wyniku śledztwa ucierpiał jego karczmiąny interes. Chaos panujący w Nagyrévie w żaden sposób nie wpłynął na częstotliwość jego bytności w karczmie. Cokolwiek działo się wokół niego, działo się poza nim, a on tylko siedział na tyłku z flaszką w dłoni.

„Ta wstrętna suka!”, wychynęła nagle z tumanu w jego głowie wyraźniejsza myśl.

Im szybciej szedł, tym pewniej poruszał nogami, w końcu więc zaczął truchtać po ulicy Árpád, zataczając się na rosnące wzdłuż niej drzewa świętojańskie i odbijając się od ich pni z powrotem na jezdnię, co upodabniało go do wirującego bączka. Nowina była niczym ponaglający go bat, który kazał mu odnaleźć Annę.

Nieco wcześniej drzwi karczmy otworzyły się z hukiem. Niespodziewana jasność zalała wnętrze, kłując go w oczy. Był sam – od tygodni nie zajrzał żaden klient – odwrócił się więc, żeby zobaczyć, kto przyszedł.

W progu ciemniejszą plamą odcinała się sylwetka jednego z jego sąsiadów. Był to mężczyzna, którego Lajos znał od dzieciństwa.

– Lajos, słyszałeś? Anna właśnie się przyznała, że zamordowała twojego ojca.

# WYZNANIE

## **SOBOTA, 10 SIERPNIĄ 1929 ROKU**

Do kuchni klikona wciśnięto dwie ławy, na których teraz siedziało dziesięć wron. Wszystkie były zwrócone plecami do sypialni, gdzie odbywały się przesłuchania, twarzami zaś do poźółkłej ściany. Przed nimi zostało akurat tyle miejsca, żeby zmieścili się – ledwo – policjanci. Dalsze ławy ustawiano przed chatą. Liczba podejrzanych przybierała niczym przypływ.

Mária Szendi siedziała obok Anny Cser, po drugiej stronie mając Krisztinę Csabai. Rózsa Kiss zajmowała miejsce na krańcu ławy, a Mari Fazekas stykała się ramieniem z Anną, tak że wyglądały, jakby ktoś je zszył razem. Grube udo Mari napierało na chudą nogę Anny. Ilekroć Mari zrobiła wdech, była niczym pęczniejący balon, co tylko dodatkowo rozplaszczało Annę, aż przypominała pchłę.

Choć Annie było bardzo niewygodnie, nie wzruszała jej obecność córki czarownicy tuż obok.

W kuchni było jedno brudne okno, przez które do środka wlewał się słoneczny blask, przepełniając izbę swoją wspaniałością. Wyblakły stary dywan w równie jak kuchnia ciasnej głównej izbie odzyskał w świetle nieco życia, a te nieliczne przedmioty, które klikon posiadał – na przykład wędka czy ceramika – wydawały się dzięki muskającym je promieniom prawie ładne. Rządek czarnych sukien przypominał szereg wysypanych ciemnych nasion, gotowych do zasadzenia. Ostre słońce raziło Annie oczy, z których zwłaszcza jedno było tak opuchnięte, że wyglądało, jakby ktoś zszył powieki igłą i nicią. Od brwi, która wydawała się aż fioletowa, biegła w dół czerwona krecha, rozlewająca się plamą poniżej nasady nosa i sięgająca kości policzkowej po tej samej stronie.

Nie minął nawet dzień od tego, jak Lajos ją tak urządził. Wpadł przez otwarte drzwi chaty i wyrznął ją w twarz, zanim policjanci zdążyli go schwycić i wyrzucić



przed dom. Oko nadal było mocne tkliwe. Jakikolwiek gwałtowniejszy ruch, a nawet zwykłe spuszczenie głowy przyprawiało ją o tętniący ból.

Anna nie przyznała się do zamordowania teścia. Wyznała natomiast, że nie powstrzymała Rozsy przed jego zamordowaniem.

Starzec srał gdzie popadnie. Gówno leciało prosto na podłogę w postaci nieuformowanego stolca i rozlewało się u jego stóp, a on na domiar złego wdeptywał w nie i roznosił po całym domu. Annie pozostawało wszystko sprzątać, już po tym, jak doprowadziła do porządku teścia. Szczął także na wszystkie strony i również musiała myć jego i podłogę. Do tego stary Cser był ślepy. Czasami zastawała go sterczącego w kącie, jakby ktoś go tam zapędził. Gdy na świat przyszedł jej syn, nieustannie się bała, że staruch zrobi mu krzywdę. Niechący oczywiście. Potrąci go albo na niego naleje czy coś w tym stylu. Lajos spał tam, gdzie padł, ale teść miał posłanie w głównej izbie, którą zajmowała ona z dzieckiem. Po jakimś czasie przestała sypiać. Była na nogach całą noc, doglądając teścia albo niemowlęcia. Zaczęła niknąć w oczach.

Rozsa zasugerowała, że powinna coś z tym zrobić, Annie jednak brakowało odwagi.

– *Mąż by mnie zatłukł na śmierć* – powtarzała sąsiadce.

Ale nie oponowała, gdy Rozsa dodała arszeniku do gulaszu staruszka. Teść Anny zmarł trzy tygodnie przed drugimi urodzinami jej syna.

I nikt by nie wiedział, jaki los naprawdę spotkał starego Csera, gdyby nie błędne założenia przyjęte zarówno przez Rozsę, jak i funkcjonariuszy. Policjanci sprowadzili Rozsę, myśląc, że będzie umiała coś powiedzieć na temat śmierci kolejnych dzieci Anny. Ale ledwie zaczęli ją przesłuchiwać, zaczęła mówić o starym Cserze.

Policjanci nieustannie mieli z tym do czynienia. Wieśniaczki przyznawały się do zbrodni, o których nikt nawet nie wiedział, że zostały popełnione. Równie często wdowy błagały, by ekshumować ich mężów, co miało udowodnić –

każdemu, kto by się mógł zastanawiać – że dany mężczyzna zmarł z przyczyn naturalnych.

Ława była twarda jak w kościele i siedzenie na niej godzinami wywoływało u Anny przejmujący ból w kościach.

Kobiety zaczęto odprowadzać na noc do drugiej karczmy, tej stojącej na skraju wsi. W obszernym budynku znalazło się miejsce zarówno dla kwaterujących tam policjantów, jak i podejrzanych. Zwykle lokal rzadko się zapełniał, a najczęściej stał pusty. Czasami zatrzymywali się tam wędrowni handlarze, gdy naprawdę nie było nikogo, kto chciałby ich przenocować pod swoim dachem, zazwyczaj jednak z niecierzącej się popularnością karczmy korzystali myśliwi, kiedy przybywali do którejś z okolicznych posiadłości większą grupą. Wrony zajęły jedną izbę. Spały na słomianych matach, przykryte kocami. Rano na wszystkich czekało śniadanie przygotowane przez żonę karczmarza.

Minęło południe, gdy Annę wezwano ponownie do sypialni klikona. Na ganku kręcili się wieśniacy, którzy przynieśli posiłek dla zatrzymanych krewnych. Tłoczyli się pod drzwiami frontowymi z garnkami i miskami, próbując zajrzeć do środka ponad ramieniem członka rady wsi, który pełnił straż w wejściu. Przechodząc, Anna wyczuła zapach soczewicy i gulaszu z baraniną. Nagle jej myśli pobiegły ku dzieciom. Ogarnęła ją obawa, że mogą tam gdzieś być, na zewnątrz, i że zobaczą, jak wychodzi.

Wszedłszy do sypialni, Anna prędko zrozumiała, że policjanci nie są już zainteresowani sprawą jej teścia. Dowiedzieli się dość, by oskarżyć Rozsę o morderstwo, a ją o współudział. Tym razem wypytywali ją o jej kolejne dzieci.

Powiedziała im więc.

Powiedziała o córeczce z różanymi usteczkami i o synku urodzonym o północy. O pustych piersiach i pustej spiżarni. O swym pośpiechu, by zdążyć ochrzcić syna, ratując go przed wiecznym czyścem, na który skazała jego zmarłą siostrę. Powiedziała funkcjonariuszom o pytaniu zadanym jej przez akuszerkę i o truciźnie podanej noworodkowi. Powiedziała również o pytaniu zadanym siedem lat później

przez córkę akuszerki. Powiedziała o krwotokach i o dzieciach, które rodziły się w pół żywe i umierały same z siebie, bez niczyjej pomocy. Powiedziała, że nigdy nie wierzyła, aby udało jej się oszukać Boga.

Opowiadała to wszystko niemal na jednym tchu. Nie uroniła ani łzy. Skończywszy mówić, opuściła sypialnię i wróciła na swoje miejsce na ławie.

Ułożyła stopy równo obok siebie. Trzewiki miała o rozmiar za duże, lecz przez gorąc i brak ruchu spuchły jej nogi i nagle buty okazały się na nią jak ulał. Zgarbiła się. Wsunęła palec pod węzeł chustki, żeby go poluzować. Splotła dłonie na podołku i w tym samym momencie poczuła, że chwyta ją za nie Mari.

O ile wcześniej siedziała tylko wciśnięta w jej bok, o tyle teraz nie miała nawet czym oddychać. Przysadzista sylwetka Mari była niczym niezawiązany worek w luźnej przestrzeni, w związku z czym Anna musiała jeszcze się skurczyć, by nie zostać całkiem zgnieciona.

Choć ręce Mari były rozgrzane jak piec, Anna się wzdrygnęła.

Mari osłoniła jej drobne jak u dziecka dłonie piramidką ułożoną ze swoich palców. Potem uniosła obie pary rąk do swojej piersi. Wyciągnęła szyję, żeby ponad głową Anny lepiej widzieć funkcjonariuszy zgromadzonych w głównej izbie. Dostrzegła, że są zajęci jedzeniem przyniesionym z ganku. Nachyliła się w stronę Anny i przyłożyła wargi do jej ucha.

– *Gospodyni* – szepnęła. – *Zaklinam was na to, co przenajświętsze, cofnijcie wasze zeznania.*

Mari z łatwością się domyśliła, co wyznała Anna. Nikt nie musiał jej o tym informować. Widziała to po zachowaniu policjantów. Zanim zwabiły ich zapachy potraw, na zmianę pilnowali kobiet. Przechadzali się wąskim przejściem między podejrzanymi a ścianą, kopiąc je bezceremonialnie po nogach. Schyleni, trącali je w ramiona. Przykładali twarze do ich twarzy.

– Suka.

– Dziwka.

– Mam nadzieję, że zeszczalaś się pod siebie.

– Już widzę ten sznur, na którym cię powieszą.

Krążąc za wronami, dźgali je czubkiem bagnetu w plecy, na tyle lekko, by nie rozedrzeć sukni.

Kiedy jednak któraś złożyła zeznania, odtąd ją ignorowali, omijali niczym gnijący owoc. Mari zauważała, że od chwili, w której Anna opuściła pokój przesłuchań, żaden funkcjonariusz nawet na nią nie spojrzał.

– *Proszę, powiedzmy obie, że to była moja matka.*

Anna się zagotowała. Poczowała wściekłość, jakiej nie czuła jeszcze nigdy w życiu. Wyrwała dłonie z uścisku Mari. Odsunęła gwałtownie głowę i zamknęła zdrowe oko, jakby spuszczać zasłonę na rozgrywającą się scenę.

Mari szepnęła do niej:

– *Nie jesteśmy wrogami. Zawsze byliśmy w dobrych stosunkach.*

– *Zostaw mnie w spokoju!* – odkrzyknęła Anna.

Policjanci w głównej izbie zaczęli się bezwstydnie objadać potrawami, które były przeznaczone dla podejrzanych. Obecni członkowie rady wsi próbowali przekładać część jedzenia do misek z myślą o głodnych kobietach. Później pozwolono im skorzystać z wygodki, ale na razie nikt nie zwracał na nie najmniejszej uwagi.

Mari zgarbiła się nad własnymi kolanami. Wcisnęła rękę w cholewkę trzewika i gmerała dwoma palcami tak długo, aż znalazła swoją kostkę i ukrytą obok niej brzytwę. Włożyła ją tam tego samego dnia, gdy funkcjonariusze zabrali jej matkę. Brzytwa należała kiedyś do jej byłego męża. Na ostrzu miała napis w gotyku, uchwyt zrobiony z poszarzałej kości. Salwując się ucieczką, Daniel zostawił kilka przyborów cyrulicznych, które ona później przechowywała latami.

Pstryknęła palcami, uwalniając ostrze.

– *Nigdy się nie przyznam. Nawet przed Bogiem.*

Jednym szybkim ruchem przejechała ostrzem po wnętrzu swojego przegubu.

# RATUNEK I ROZWIĄZANIE

## NIEDZIELA, 11 SIERPANIA 1929 ROKU

Kronberg przeszedł z cmentarza na brzeg rzeki w butach uszytych z myślą o chodzeniu po miejskich ulicach, po bruku albo przynajmniej po ubitej, równej ziemi. W Nagyrévie panowała dzikość. Gdy prokurator schodził świeżo wzruszoną cmentarną ziemią i błotnistymi błoniami, lakierki miał utytłane jak urwis. Ale to półtora kilometra, które dzieliło oba miejsca, okazało się dla niego zbawienne. Cmentarna ziemia była z tylu różnych ponurych przyczyn nieczysta, że nie potrafił się uwolnić od niej myśli. Badane morderstwa niezwykle mu ciążyły.

Pomijając jednak jego buty i nastrój, wyglądał na człowieka, który właśnie zsiadł z pokładu parowca, by rozpocząć kanikułę. Marynarka leżała mu schludnie na ramionach, a muszka pod szyją. Temperatura sięgała trzydziestu stopni, tak że musiał od czasu do czasu zdejmować kapelusz, by chusteczką wyjętą z kieszeni spodni otrzeć spocone czoło. Bryza wiejąca od rzeki też pomagała mu się nieco ochłodzić.

Zsunął się lekko z nasypu w stronę łodzi wiosłowej zacumowanej przy brzegu. Była pomalowana na ciemny brąz kory drzewnej, lecz lata wysługi sprawiły, że stała się w wielu miejscach jaśniejsza. Gdzieniegdzie wręcz szara. Na burcie, nakreślony białymi dużymi literami, biegł napis: POLICJA. Farba i tu odłaziła, kruszyła się i zwijała, zwłaszcza u góry każdej litery.

Prokurator przysłuchiwał się miarowemu pluskaniu łodzi na uwięzi, obserwując zarazem, jak pada na nią coraz rozleglejszy cień holownika przybijającego do przystani. Nieco wyżej na rzece znajdował się bowiem pomost, przy którym cumowały większe jednostki, takie jak prom przewożący bryczki i furmanki czy łódź używana przez drobiarnię Schneidera z Kecskemétu. Nawet z tej odległości jednak Kronberg słyszał nerwowe nawoływania majtków.

W trawie opodal brzegu leżała rozleniwiona suka karmiąca szczenięta. Ciepło i spokój pomogły jej się odprężyć. Ulubieniec prokuratora, Dandys, przepadał za wylegiwaniem się w słońcu za domem i teraz pojawił się niezawodnie w myślach Kronberga. Kawałek dalej w dole rzeki dwaj chłopcy łowili ryby z głazu sterczącego nad wodą. Ich sylwetki odcinały się atramentową czernią w jaskrawym świetle, przez co można było odnieść wrażenie, że są postaciami w teatrzyku cieni. Jeszcze dalej ciągnęły się moczary, na których polowały czarne bociany, hen natomiast – nieopodal Segedynu – znajdował się Wiedźmi Wąwóz, nazwany tak dla uczczenia pamięci akuszerki Anny i kilkunastu innych kobiet, które oskarżono o czary i spalono na stosie w lipcu tysiąc siedemset dwudziestego dziewiątego roku, czyli dokładnie dwa stulecia wcześniej.

Usłyszawszy za sobą szelest, Kronberg się odwrócił, by spojrzeć. Dlatego tutaj przyszedł.

Podczas swoich wizyt w Nagyrévie w ogóle nie zaglądał do chaty klikona. Przesłuchania zostawił śledczym i członkom rady wsi, oraz oczywiście policjantom i ich dowódcy. Wezwano go jednak na tę posępną paradę. Nawet nie przypuszczał, że dzięki temu w jego głowie zakiełkuje pewien ważny pomysł.

Przyglądał się orszakowi ubranych na czarno kobiet, które maszerowały od chaty klikona w stronę błoni. Wszystkie one miały brodę wbitą w pierś, a dłonie splecione przed sobą. Były równie ciche jak zakonnice; gdyby nie świst materiału, z którego uszyto ich suknie, można by nie zwrócić na nie uwagi.

Wśród dziesięciu idących rozpoznawał pięć: Krisztinę Csabai, Rózsę Kiss, Annę Cser, Márię Szendi i Mari Fazekas. Ta ostatnia miała przewiązany nadgarstek, który trzymała tak, że z łatwością go zobaczył. Obrzucił Mari bacznym spojrzeniem, doszukując się w niej podobieństw z matką. Na pewno miała ten sam waleczny wyraz twarzy.

Zszedł im z drogi. W oddali ujrzał dwóch majtków z holownika.

Ani Krisztina, oskarżona o współudział w morderstwie swego męża dokonanym w tysiąc dwudziestym trzecim roku, ani Mari, której zarzucano

przeprowadzenie licznych aborcji oraz dzieciobójstwo, nie złożyły zeznań. Krisztina żarliwie wypierała się winy. Mari udzielała wymijających odpowiedzi. Mária Szendi przyznała się do zabicia męża i jedyne go syna – nie miała innego wyjścia, musiała. W zwłokach jednego i drugiego mężczyzny znaleziono wystarczająco dużo arszeniku do pozbawienia życia dziesięciu ludzi. Patrząc na nią teraz, Kronberg szukał w jej twarzy wyrzutów sumienia.

Funkcjonariusz podbiegł do łodzi, aby przyciągnąć ją do brzegu, po czym przytrzymał ją jeszcze, dopóki nie wsiadły wszystkie kobiety. Jako że wiele z nich nigdy nie płynęło taką łodzią, poczuły przestraszonym kołysaniem. Prokurator widział, jak czepiają się siebie wzajemnie albo desek, na których siedzą. Wreszcie na pokład weszli dwaj policjanci, którzy zajęli swoje miejsca: jeden na dziobie, a drugi na rufie. Odepchnęli się wiosłami od brzegu, po czym obrali kurs na Szolnok. Był to pierwszy z wielu podobnych transportów z chaty klikona do więzienia. Podróż Cisą zabierała kilka godzin. Kronberg poczuł rozczarowanie na myśl, że Zsuzsa Fazekas nigdy się w nią nie uda.

\*\*\*

Prokurator się odwrócił, żeby wspiąć się na nasyp. Łódź policji zniknęła już z pola widzenia, a poza tym coraz bliższe stawały się głosy majtków. Słyszał ich przekomarzania, lecz – podobnie jak to było w przypadku grabarzy na cmentarzu – nie rozumiał wiele z tego, co mówią, ponieważ akcent mieli ciężki i obcy dla jego ucha. Kronberg przyśpieszył kroku. Czekają go wiele spraw do załatwienia w domu wspólnotowym, między innymi wysłuchanie raportu Molnára. Inspekcja aktów zgonu, przeprowadzona przez hrabiego i doktora Szegedyego, ujawniła jeszcze kilka podejrzanych przypadków. Była też kwestia postępów śledztwa w pozostałych wioskach. Ekshumacje odbywały się bowiem również w Cibakházie i Tiszaföldvárze. W tej pierwszej miejscowości aresztowano cztery kolejne osoby. Prokurator zdążył już wysłać do gubernatora Almásyego list z prośbą, aby wyraził zgodę na przyjrzenie się wszystkim podejrzany m zgonom z ostatnich dwóch dekad.

Głosy majtków ścichły nagle. Młodzicy zmienili ton na bardziej czuły i wabiący, podszyty jednak groźbą. Kronberg obejrzał się za siebie w tej samej chwili, w której otoczyli sukę.

Leżała wciąż na boku, karmiąc szczenięta. Uniosła lekko łeb i warknęła na intruzów. „Nie podchodźcie bliżej”.

Nie posłuchali. Zacieśnili krąg wokół niej. Suka warknęła głośniejszym, tym razem pokazując zęby. Zachwyceni jej reakcją majtkowie wybuchnęli śmiechem. Jeden z nich zaczął poszczekiwać i wyć. Inny ukucnął, szczerząc własne połamane i poplamione zębiska.

Suka podniosła się bardziej, wydając z gardła przeciągły warkot. Ten, który kucnął, zerwał się na równe nogi. Cofnął się, ale nie na długo, gdyż nie należał do mężczyzn, którzy ustępują zwierzęciu. Zamachnął się i wymierzył suce kopniaka w żebra.

Poderwała się gwałtownie, strząsając z siebie szczenięta, które rozbiegły się we wszystkie strony w poszukiwaniu kryjówki. Jeden nieszczęśnik trafił prosto pod buty rozwścieczonego majtka.

Mężczyzna kopnął także jego. Rozległo się nieprzyjemne dla ucha plaśnięcie. Szczeniak, nawet nie pisnąwszy, poszybował nad nasypem w stronę rzeki. Następnym, co Kronberg usłyszał, był plusk ciała wpadającego do wody. Szczenię poszło na dno jak kamień. Majtkowie zahuczeli śmiechem.

Suka pognęła ku rzece. Prokurator nigdy jeszcze nie widział psa, który biegłby tak szybko. Zdawała się przebierać łapami szybciej, niż były w stanie ją nieść. Wskoczyła do wody i zanurkowała.

Kronberg rzucił się za nią, w biegu zdejmując marynarkę. Wysoka trawa nie ułatwiała mu zadania. Teren był nierówny, prokurator musiał uważać, by nie wpaść w żaden dołek ani nie potknąć się o kamień. Nogi miał ciężkie i niezdarne, niechętnie nadać mu prędkość, jakiej potrzebował. Gdy w końcu stanął na brzegu, zobaczył, że suka wystawia łeb spod powierzchni. Zrobił krok w tył, aby nie dać się ochlapać, kiedy zaczęła kręcić energicznie łbem, pozbywając się wody



z gęstego futra. Dopiero wtedy Kronberg zauważył, że w pysku trzyma szczenię. Wiło się w uścisku jej szczęk. Przyglądał się, jak suka płynie do brzegu. Wgramoliła się na nasyp i delikatnie położyła szczeniaka na trawie. Zaczęła wylizywać drżące, przerażone stworzenie.

Prokurator opadł na piach. Upuścił marynarkę na uda. Wciąż miał urywany oddech, a jego serce waliło jak szalone. Opuścił głowę na kolana.

„Jaka matka morduje własnego syna?”

# LUDNOŚĆ WRZE, PROKURATOR KNUJE

**SOBOTA, 24 SIERPNIĄ 1929 ROKU**

Sprawa stała się głośna na całe Węgry. Nie było kawiarni, kościoła, rynku ani salonu, w których ludzie nie rozważaliby uczynków morderczyń. Ze stojaków z prasą epatowały skandalizujące nagłówki, takie jak ten z pierwszej strony „Kunszentmártoni Hírlap”: ZAPRASZAMY DO NAGYRÉVA, OSADY ŚMIERCI. Sprzedawcy gazet dźwigali codziennie nie jedną, lecz dwie torby z prasą.

Nastał raj dla dziennikarzy. Nawet „Szolnoki Újság”, zamknięta na prawie rok przez reżim Horthyego, nagle mogła znów publikować. Tematem zainteresowały się takie tuzy literatury jak Zsigmond Móricz czy Lajos Kassák. Jak na razie Móricz przeprowadził drobiazgowo badania, przepytał wiele osób, lecz prawie nic nie napisał. Kassák z kolei nie zagłębił się zbyt w sprawę, ale na lewo i prawo szafował swoją opinią, która właściwie była zbieżna z tym, co myśleli wszyscy Węgrzy z klasy średniej.

„Kobieta pozostanie kobietą bez względu na wszystko – pisał. – Potrzebuje nie tylko chleba, ale też pięknych strojów, by przyciągać uwagę mężczyzn do jej nieodpartej seksualności. Każda kobieta, nawet ta żyjąca w największej biedzie, pragnie podboju. Kobiety stanowią własne prawa [...], które obowiązują tylko w ich kręgu. Zwykle są ograniczone i nie mają poczucia odpowiedzialności. Z drugiej strony bywają apodyktyczne, gdyż chcą mieć wszystko, co im się zamarzy. Te, które należą do towarzystwa, w pewnym stopniu są ponad to, lecz mieszkanki [doliny Cisy] pozostały na niskim poziomie rozwoju i gdybyśmy mieli oceniać ich uczynki z punktu widzenia przepisów obowiązujących szerzej w społeczeństwie, śmiało moglibyśmy je nazwać zezwierzęconymi”.

Węgierskie akuszerki jednak broniły się przed takim ich sportretowaniem. „Kis Hírlap” na swoich łamach zamieścił list otwarty grupy kobiet wykonujących ten zawód, oburzonych, że przypuszcza się ataki na ich profesję w kontekście skandalu w Nagyrévie.

„Akuszerstwo nie jest – argumentowały – żadną prymitywną praktyką, jak przedstawiają to reporterzy. To powołanie i element nowoczesności na prowincji, zapewniający kobietom opiekę na najwyższym poziomie oraz leczenie wszystkich ludzi metodami, z którymi jak dotąd lekarze nie mogą konkurować”.

MacCormac odnosił wrażenie, że nagle przeniósł się do czasów średniowiecza. W Wiedniu i na Bałkanach tropił faszystów i komunistów, tymczasem na Węgrzech przyszło mu się zajmować trucicielkami, które najwyraźniej przywróciły stare tradycje. Przypomniały mu one o pewnej arystokratycznej hiszpańsko-włoskiej rodzinie z renesansu, która stosując między innymi arszenik, pozbywała się każdego, kto stanął zawadą. Wysnuł z tego taki wniosek, że kobiety z Niziny Węgierskiej to biedne, niepiśmienne, zacofane wersje Borgiów, co z kolei uczyniło je w jego oczach równie interesującymi jak bałkańscy szpiedzy czy rumuńscy książęta domagający się jego uwagi.

Ostatnio prowadził z Mikiem Fodorem długie rozmowy na temat tego, jak to możliwe, że u ludzi zamieszkujących miejsce tak sielskie i tchnące prostotą rozwinęły się tak bardzo mordercze skłonności. Urodzony w Budapeszcie, lecz mający swoje korzenie na prowincji Fodor dobrze wiedział, że krnąbrna akuszerka jest w stanie narobić zamętu we wsi. Nie omieszkał się podzielić z przyjacielem opowieściami, których nasłuchał się w okresie dorastania, a które głosiły, że wcześniejsze pokolenia wioskowych akuszerok potrafiły „odrzynać całe gałęzie z drzew genealogicznych”, zwłaszcza gdy uważały je za już uschłe. MacCormac, dostrzegając w oku Fodora błysk towarzyszący szerzeniu pogłosek, nie był pewny, czy Węgier sam wierzy w te historie, czy tylko je przywołuje ku jego rozrywce.

Lecz co do jednego dziennikarz nie miał wątpliwości: oto na jego warcie odkryto największy chyba morderczy krąg w dziejach.

## SZOLNOK

Elegancko ubrany mężczyzna trzymał srebrną tacę na rozwartej dłoni obleczonej w rękawiczkę. Taca była osłonięta ogromną, również srebrną pokrywką w kształcie kopyły zakończonej filigranowym uchwytem, w sam raz dużym, by zmieścić się w niego jeden palec. W wypolerowanym na wysoki połysk srebrze niczym w lustrze odbijała się czerń jego smokingu.

Mężczyzna ów stał w przyćmionym świetle westybulu. Za sobą miał stoły, przy których zasiadali arystokraci spowici dymem cygar i fajek oraz dumą z własnych słów. *Maître d'hôtel* otworzył drzwi kasyna, za które wyślizgnął się kelner. W holu zamrugał kilkakrotnie, porażony jasnym blaskiem dnia, po czym zgrabnie się poruszając, zszedł po wyłożonych czerwonym chodnikiem schodach na kurz i żwir ulicy Gorovego.

Narzucony mu w ostatnich dniach nowy obowiązek powoli zaczynał mu ciążyć. Większą część placu Kossutha nakrywało płócienne zadaszenie, pod którym stały dziesiątki budek i straganów, wylewających się spod osłony na niezajęte miejsca przy ulicy i trotuarze. W mieście odbywały się największe międzynarodowe targi, na które kupcy ściągali z całego kontynentu, nie wyłączając Aten, Sarajewa, Sofii i Monachium. Niektórzy przybyli nawet z Londynu.

Na cele targów odcięto kordonem całą dzielnicę pierwszą, a także część drugiej i trzeciej. Kramy stały wciśnięte po przejściach i wewnętrznych dziedzińcach, nie tylko na otwartych placach. Utworzono biedermeierowskie saloniki, w których wystawiano oszałamiające lustra, złoczone wanny, perfumy i rумы. Zabawek było bez liku, a goście mogli wybrać się na przejażdżkę próbną motorem marki Modrá, których egzemplarze czekały na chętnych przy promenadzie Franciszka Józefa nieopodal słynnej dzielnicy bohemy. Człowiek co parę metrów potykał się o złotnika albo srebrnika. Swoją budkę miała nawet Węgierska Krajowa Spółdzielnia Mleczarzy. Kelner odnosił takie wrażenie, jakby harmider normalnie przypisany do kasyna nagle znalazł drogę na zewnątrz.

Po drugiej stronie placu Kossutha, idealnie naprzeciwko ratusza, stały trzy reprezentacyjne samochody, czarne i lśniące jak smoking kelnera. Za kierownicą każdego z nich siedział szofer, który albo czytał gazetę, albo patrzył w dal nieobecny wzrokiem.

Choć cały plac Kossutha roił się od kupców, nikt nie przekraczał niewidzialnej linii demarkacyjnej, która otaczała budynek sądu i więzienia. Gdyby nie te tłumy, kelner czerpałby pełną satysfakcję ze swej obowiązkowej rundki.

Właśnie chciał zejść na jezdnię, gdy drogę zajechał mu głośny czerwony autobus, który zatrzymał się akurat w tym miejscu, aby zabrać pasażerów. Kelner się zastanowił. Czuł ciepło tacy nawet przez rękawiczkę. U krawędzi pokrywki zebrała się para. Obszedł autobus i wstąpił na jezdnię za nim, by zaraz zacząć lawirować między jadącymi pojazdami, wśród których były zarówno auta, jak i cichsze od nich dorożki. Uniesieniem ręki wstrzymał ruch. Przeciął ulicę Gorovego szybkim krokiem, mając w uszach grzechotanie pokrywki.

Tymczasem Kronberg obserwował ze swojego okna, jak kelner mija zwinnie stoiska i wózki, sporadycznie unosząc tacę nad głowę, aby uniknąć zderzenia. W końcu mężczyzna w smokingu dotarł do linii demarkacyjnej, ale się nie zatrzymał, tylko kroczył dalej przed siebie, aż zniknął w budynku więzienia. Od niemal dwóch tygodni dzień w dzień dostarczał tam posiłek na zamówienie kobiety o nazwisku Petra Joljart Vargha.

Przebudowa więzienia – na którą Liga Narodów w końcu udzieliła pożyczki – zaowocowała wzrostem liczby osób przetrzymywanych w zamknięciu w tym samym czasie z trzydziestu do siedemdziesięciu, a to głównie za sprawą dodanej kondygnacji. Więzienna kuchnia także się powiększyła. Jako że jednak rzadko kiedy więźniów było więcej niż parunastu naraz, placówka w przeważającej części stała niewykorzystana.

Obecnie więźniów było niemal dwa razy tyle, ile mogło się w nim pomieścić. Samych kobiet aresztowanych w związku ze sprawą Nagyréva dałoby się naliczyć ze sto. To oczywiście przyczyniło się do rozlicznych trudności – w tym problemów z wykarmieniem takiej masy ludzi. Wyżywienie dla więźniów zaczęła zapewniać

jeszcze minionego miesiąca restauracja zapyziałego hoteliku Magyar Király stojącego przy rynku, ale nie ona jedna. Posiłki donoszono także z lokalu przy ulicy Kert oraz tego mieszczącego się w budynku ratusza. I tylko Petra codziennie jadała dania dostarczane prosto z kasyna, które szczyliło się najlepszą restauracją w Szolnoku. Oczywiście sama za siebie płaciła.

Kronberg uważał na to, kogo przydziela do celi z kim. Mari Fazekas siedziała z dwiema kobietami, jedną z Nagyréva i drugą z innej wsi, artystką imieniem Priscilla, którą oskarżano o defraudację. Priscilla zdążyła już przekazać śledczym, co usłyszała podczas długich, swobodnych rozmów z Mari. Wedle tej ostatniej było bez liku wersji historii narodzin małego Istvána, w tym ta mówiąca, że Mari w ogóle nie odbierała jego porodu, gdyż leżała wtedy w budapesztańskim szpitalu ze złamaną nogą. Przy innej okazji wyznała, że tylko asystowała przy porodzie, pomagając akuszerce. Jeszcze kiedy indziej stwierdziła, że owszem, przyjęła syna Anny na świat, lecz niestety urodził się martwy. Posunęła się nawet do tego, by współosadzonej zacytować słowa położnicy: „Zabierzcie ode mnie to truchło!”.

Kobiety siedziały w celach parami lub jak Mari – we trzy, ale niektóre podejrzane Kronberg postanowił trzymać pojedynczo. Do tych ostatnich zaliczała się Petra i Krisztina Csabai. Jak dotąd żadna z nich nie przyznała się do zamordowania męża, a prokurator wiedział z doświadczenia, że dłuższy czas spędzony w izolatce często wpływa na zmianę podejścia osadzonego do składania zeznań.

Kronberg znał także inne sztuczki. O mężu Petry wiadomo było, że stracił wzrok na wojnie, lecz dopiero gdy jego szczątki trafiły do Budapesztu, wyszło na jaw, iż był pierwszym węgierskim żołnierzem, który ucierpiał w ten sposób. Prokurator miał świadomość tego, jak zareaguje na podobną wieść opinia publiczna. Nie tracąc czasu, szepnął Barnabásowi słówko i wkrótce wszystkie gazety w kraju już się o tym rozpisywały.

Prokuratura najęła także miejscowego psychoanalityka, doktora Feldmanna, który miał przeprowadzić testy psychologiczne. Feldmann był zwolennikiem teorii

słynnego wiedeńczyka Zygmunta Freuda i sam także zaczął badać kobiece sny. Wprawdzie prycze w więzieniu były tak niewygodne, że wiele kobiet w ogóle nie śniło, a jeśli nawet – były to poszatowane sny, jakie przynosi totalne wyczerpanie. Nie trzeba było jednak wiele czasu, aby doktor Feldmann zauważył, że dwie kobiety siedzące w różnych celach mają identyczny, nawracający sen. Jedną z nich była Rozsa Holyba.

We śnie każda z tych dwu kobiet przechadzała się brzegiem Cisy, stąpając po rozmięklej ziemi. Rozsa niosła zawsze w ręce cegłę, której zamierzała użyć do postawienia nowego domu. W pewnym momencie ziemia zaczynała się kotłować, aż zamieniała się w ruchome piaski. Tonąc w piachu, śniąca walczyła, aby utrzymać się na powierzchni. Doświadczała przy tym uczucia duszenia. Gdy się budziła, brakowało jej tchu.

Kronberg nie był pewien, co myśleć o snach. Pozostawiał to Feldmannowi. Psychika – ani dusza – tych kobiet nie była jego domeną. Sam spał nadal dobrze, choć coraz bardziej martwiła go Anna.

Odwiedziny w więzieniu przypadały w każdy wtorek i piątek – wtedy budynek dosłownie pękał w szwach. Wiele osób musiało czekać na zewnątrz, zanim wpuszczono je do środka. Kronberg czasem się przyglądał długiemu rzędowni ludzi wędrujących z dworca kolejowego. Wszyscy oni byli obładowani koszami, w których nieśli jedzenie, ale też czyste ubrania i bieliznę. Franklin pojawiał się regularnie dwa razy w tygodniu. Zwykle przyjeżdżał swoim powozem dzień wcześniej i zatrzymywał się w hotelu.

Jedynym sposobem na pomieszczenie tylu osób na terenie więzienia było pozwolić osadzonym i odwiedzającym spotykać się na dziedzińcu. Rodziło to pewne kłopoty – odwiedzający próbowali przemyścić flaszki z alkoholem, a osadzeni starali się przekazać listy, przeważnie zawierające instrukcje co do alibi, wypisane na skrawkach papieru rdzą z rur biegnących przez wszystkie cele. Dla zapobieżenia problemom wystawiano w tym czasie więcej strażników.

Czysty przypadek sprawił, że Kronberg zauważył karygodne zachowanie Lajosa Csera. Wychodząc na przerwę obiadową, prokurator zawsze zamieniał

słowo z naczelnikiem, co w dni odwiedzin znaczyło, że musiał go odszukać na dziedzińcu. Potem rozmawiali przez furtkę minutę czy dwie.

Ileokroć Lajos się odzywał, głos miał dudniący, zupełnie jakby dochodził on nie z ludzkiego ciała, lecz z głębi beczki. Trudno zatem było go nie usłyszeć nawet w takim harmiderze.

– *Jak, do kurwy, mam stąd wyjść?!*

Kronberg się obejrzał, aby sprawdzić, czyje to słowa. Zobaczył kucającą Annę i górującego nad nią Lajosa.

– *Ty głupia dziwko. Nie wiesz nawet, gdzie są jebane drzwi!*

Nikt nie miał pojęcia – miało to wyjść na jaw znacznie później, gdy Anna oficjalnie zwróci się o wypuszczenie za kaucją – że Lajos odwiedził ją tego dnia wyłącznie z tej przyczyny, aby zażądać jej powrotu do domu i zajęcia się „swoimi bachorami”.

Prokurator kazał wyrzucić Lajosa z budynku. Poleciał też, aby więcej go nie wpuszczano.

Kilka tygodni później, w rześki jesienny dzień, gdy Anna została w celi na chwilę sama, obwiązała sobie chustę wokół szyi i przymocowała kraniec do grzejnika. Włożyła dłonie pod pachy, po czym zaczęła się opuszczać coraz niżej i niżej, aż zawisła na minutę, na dwie minuty. Życie niemal uszło z jej ciała, ale strażnik pojawił się w porę i pośpiesznie ją odwiązał.

Gdy Kronberg zobaczył kolumnę samochodów odjeżdżających spod ratusza, dzień zbliżał się ku końcowi. Choć spotkanie odbywało się na wyższym niż jego szczeblu, jak najbardziej go dotyczyło. Wcześniej godzinami relacjonował wszystko prezesowi miejscowego sądu, aby ten był dobrze poinformowany przed *tête-à-tête* z gubernatorem Almásym i regentem Horthym. Z jakiegoś powodu to właśnie prezes sądu, nie prokurator, miał prosić o pozostawienie sprawy Nagyréva w gestii wymiaru sprawiedliwości w Szolnoku.

Dzień ten był niewątpliwie przełomowy dla niego. Po raz pierwszy w życiu Kronberga jego kariera zawisła na włosku.



Rozważył w duchu wszystkie działania, które podjął od ujawnienia pierwszego morderstwa. Stworzył w pamięci harmonogram wydarzeń. Czy popełnił jakiś błąd po drodze? Czy podjął jakąś wątpliwą decyzję? Czy faktycznie biuro budapesztańskiego prokuratura poradziłoby sobie lepiej? Sąd w Szolnoku nadal musiał się mierzyć z reperkusjami po przegranej sprawie Holyby. Budapeszt chętnie by teraz przejął sprawę Nagyréva. Miejscowy sędzia musiał walczyć o zachowanie jej w swojej jurysdykcji.

Nieco wcześniej tego samego dnia Kronberg walczył o to samo na swój własny, sprytny sposób.

## **TEGO SAMEGO DNIA WCZEŚNIE RANO**

Barnabás stał na szczycie nasypu nad rzeką, gdzie teren był w miarę równy i którądy biegła niebrukowana, kamienna droga z towarzyszącą jej obok wydeptaną ścieżynką. Większość ranka spędził oparty plecami o drzewo, z notesem w dłoni i kapeluszem opuszczonym nisko na czoło, aby chronić oczy przed słońcem.

W chwilach szczególnej nudy bazgrał na marginesach poczynionych wcześniej notatek, zapelniając je roślinnością, którą miał wokół siebie. Nakreślił też rycinę przedstawiającą widok na port w dole rzeki. Kupcy rozładowywali tam swoje towary. W zachodniej części miasta można było znaleźć zakłady i młyny, które otaczały port półkręgiem niczym małe królestwo – była tam cukrownia, cegielnia, octownia, lodownia, fabryka wytwarzająca wagony, zakład produkcji maszyn do pisania Remingtona, zakład włókienniczy, tartak, piarnia. Barnabás rysował nawet dymy unoszące się z kominów.

Oczywiście zauważył chłopców z dzielnicy Tabán, którzy od wielu godzin wciągali kamienie na stromy nasyp. Tabán była jedną z najbiedniejszych dzielnic Szolnoku, której mieszkańcy zarabiali, rozładowując statki z kamienia i zaciągając go tam, gdzie powstawała droga. Barnabás obserwował ich teraz, gdy jakiś kilometr od miejsca, w którym stał, uwijali się w obskurnym starym porcie.

Dowlókszy jedną bryłę, zawracali natychmiast po drugą, przekrzykując się melodyjnymi, śpiewnymi głosami.

Barnabás sięgnął do kieszeni kamizelki, pełnej wiórków tytoniu i karteluszków. Wyjął ze środka sfatygowany zegarek kieszonkowy – z wyświechtaną kopertą, szkiełkiem zaś pękniętym w jednym miejscu. Otoczył je dłonią, aby przyciemnić tarczę. Ledwie minęła dziesiąta.

Cynk dał mu Kronberg, jak zawsze. Barnabás pojawił się przed czasem, również jak zawsze. Na pewno się nie spóźnił, ale łodzi wciąż nie było. Odłożył leniwie zegarek do kieszeni i w tym samym momencie zobaczył łódź wypływającą zza zakrętu.

Sunęła w stronę starej przystani, chlupocząc cicho wodą za rufą. Policjant stojący na dziobie wychylił się i zarzucił cumę na poler, jakby obejmował stryczkiem szyję skazańca. Gdy łódź podpłynęła bliżej i głucho stuknęła o pomost, funkcjonariusz zeskoczył na deski, aby przymocować linę ciasniej.

Z łodzi zaczęły powoli wysiadać kobiety. Nakreślone węglem czarne postacie u dołu błękitnego nieba. Zadarły głowy, żeby spojrzeć na nasyp przed sobą. Zamrugały załzawionymi od słońca i wiatru oczami. Obaj policjanci wrócili na łódź po hełmy z pióropuszem i bagnety.

W ostatnich tygodniach przyplłynęło wiele takich transportów, ale żaden nie przywiózł Cioteczki Zsuzsy.

Barnabás patrzył, jak kobiety wspinają się po śliskim nasypie, podciągając się dzięki wymacany kamieniom i gałęziom, które zarazem ratowały je przed opadnięciem niżej. Ta przystań była pomyślana dla wędkarzy amatorów chodzących boso, nie dla kobiet w średnim wieku, ubranych w długie suknie i ciężkie trzewiki.

Wtem za plecami Barnabása wszczęło się jakieś zamieszanie. Obrócił się w tamtą stronę i zobaczył, że biegną ku niemu reporterzy, niespuszczający z oka portu. Przykucnął najniżej, jak umiał, i rozpląszczył się o pień drzewa, nie chcąc, aby go zauważyli. Notes przycisnął do piersi. Słyszał coraz głośniejszy tupot ich

stóp, brzmiało to w jego uszach trochę tak, jakby zbliżało się stado koni. Wszyscy co do jednego minęli starą rybacką przystań, nie zwracając uwagi ani na nią, ani na niego. Barnabás roześmiał się pod nosem.

Dotychczas Kronberg karmił prasę wybranymi informacjami za jego pośrednictwem. Cokolwiek napisano na temat Nagyréva, wyszło najpierw spod pióra Barnabása Szabó. W końcu jednak prokurator zmienił taktykę. Tego dnia Kronberg chciał widzieć, jak wszystkie sępy kołują – i chciał je widzieć nad głowami wron.

Barnabása bawiło, że jego rywale pomknęli w niewłaściwe miejsce, ewidentnie się spodziewając, że kobiety przyplyną do portu. Gdy nikogo tam nie zastali, zawrócili i popędzili w przeciwnym kierunku.

Wrony nadal z mozołem wspinały się na nasyp, gdy reporterzy zaczęli z niego zbiegać. Ślizgając się i potykając, wykrzykiwali gardłowo pytania porywane zaraz przez wiatr. W oczach Barnabása wyglądali jak uczniowie urządzający sobie wyścig.

Kiedy reporterzy byli już blisko, na czoło wysunęli się policjanci, przytrzymujący jedną ręką hełmy, drugą zaś karabiny.

– Cisza! Żadnych pytań!

Nakazali reporterom cofnąć się, co ci posłusznie uczynili.

Gdy kobiety w końcu stanęły na nasypie, funkcjonariusze ustawili je gęsiego, po czym każdy zajął miejsce po jednej stronie szeregu. Z tyłu za nimi rozłożyli się poszarpanym wachlarzem reporterzy.

Trasa, którą Kronberg polecił obrać policjantom, bynajmniej nie była prosta. Chcąc iść najkrótszą drogą, pokonaliby odcinek wzdłuż rzeki, po czym skróciłiby na wysokości ulicy Kert w stronę więzienia. Tymczasem kazano im przejść przez centrum miasta.

Podeszwy starych butów Barnabása były tak przetarte, że czuł pod stopami każdy kamyczek, zupełnie jakby stał w samych skarpetkach. Może dlatego zwrócił uwagę na obuwie aresztantek. Trzewiki niemal wszystkich miały matowe noski,

skóra na nich była popękana, sznurówki ponadrywane, a zelówki cienkie jak papier i miejscami dziurawe.

Przez długi czas słyszał tylko chrzęst żwiru, który to dźwięk, nie wiedząc czemu, skojarzył mu się z chodzącą Śmiercią.

„Śmierć wybrała się na poranny spacer”, pomyślał.

Obejrzał się za siebie. Wachlarz z tyłu jeszcze się wydłużył. Do reporterów dołączyli jacyś młodzicy.

Z każdym krokiem wylegali na pobocze coraz to nowsi gapie. Praczka otworzyła ze skrzypieniem okno, żeby mieć lepszy widok. Ksiądz z psem musiał uciszać swojego ulubieńca, który wyczuwszy w powietrzu woń strachu, rozszczekał się wściekle. Jakiś goniec zatrzymał rower, na którym jechał, i wybałuszył oczy.

Im bliżej centrum, tym było ich więcej. Kupiec, fryzjer, kucharz, bankowiec, jubiler, drukarz, prawnik. Wszyscy przyglądali się temu orszakowi z rozdziawionymi ustami. Gdy wrony mijaly narożną kawiarnię, klienci siedzący na zewnątrz zaczęli buczeć. Zamiataczka ulic wycelowała w nie z miotły niczym z łuku, aż jeden z policjantów musiał wytrącić jej kij z rąk.

Dotarłszy na obrzeża targu, funkcjonariusze zatrzymali się, aby omówić dalszą strategię. Ostatecznie postanowili przejść rządkiem za drewnianymi budkami, korzystając z osłony rozwieszonych plandek, później jednak nie mieli już wyjścia i musieli wylec na główną alejkę. Targowicze rzucali aresztantkom nieprzychylne spojrzenia. Niektórzy pokrzykiwali i gwizdali.

Wreszcie pochód wyszedł na ulicę Barossa. Wachlarz zamykający stawkę był jeszcze szerszy niż początkowo. Oprócz reporterów i młodzieńców składał się i z innych, którzy postawili sobie za punkt honoru, że odprowadzą kobiety do samego więzienia. Ci na szarym końcu niewiele jednak widzieli. Co wyżsi mieli może widok na policyjne pióropusze nadające kierunek.

Barnabás zajmował godne pozazdrosczenia miejsce zaraz za plecami ostatniej wrony w szeregu. Obserwował ją, jak powłóczy nogami, jak garbi plecy. Z ledwie

zauważalnych ruchów jej głowy wywnioskował, jakie przekleństwo porusza ją na tyle, by zerknęła w bok, a jakie jest w stanie stoicko zignorować.

Tempo marszu było przesadnie powolne, aż Barnabás się zorientował, że przeszli mniej niż półtora kilometra w ponad godzinę. Policjanci wstrzymali procesję tylko raz, by udzielić odpowiedzi burmistrzowi, który także stanął na drodze pochodu, nie chcąc przepuścić takiej okazji.

Na ulicy Barossa, przy stoisku z sokami, stała inna grupa reporterów, interesująca się innym wydarzeniem. Najniższy z nich, ze skraju skupiska, który do tej pory tylko wspinał się na palce, nagle zaczął napierać na masę ciał kolegów, by i jemu dali popatrzeć.

Uczynili to.

Tibor Pólya był dobrze znany Barnabásowi, podobnie jak prawie wszystkim w Szolnoku i na całych Węgrzech. Uchodził przecież za jednego z najsłynniejszych środkowoeuropejskich artystów. Barnabás poświęcił mu niejeden artykuł, a Kronberg miał przyjemność nieźle go poznać dzięki miejscowej bohemie, która ściągała artystów z całej Europy. Prokurator sam był artystą amatorem i częstym bywalcem miejsc, gdzie pokazywała się bohema. Widząc teraz Tibora, Barnabás nie zdziwił się ani trochę. Przeciwnie, spodziewał się go tu zobaczyć. Gdy reporterzy się rozstąpili, oczom Barnabása ukazał się artysta we własnej osobie, popijający sok ananasowy z regentem Horthym w towarzystwie gubernatora i komendanta policji. Wszystko zgodnie z planem, który Kronberg opracował wspólnie z Tiborem.

Policjanci przeprowadzili swoje podopieczne obok regenta celowo wolnym krokiem. Szyderstwa kierowane pod adresem aresztantek stały się głośniejsze. Było je słyhać nawet wtedy, gdy orszak znalazł się już przy bramie więzienia.

Kronberg zamierzał uwolnić niemal połowę zatrzymanych kobiet w ciągu kilku dni. Udowodnił Horthyemu, co chciał.

Najbardziej żałował oczywiście tego, że nie będzie mu dane postawić przed sądem Zsuzsy Fazekas. Ale dotychczas udało mu się zgromadzić prawie wszystkie

podejrzane, bez których proces nie mógłby ruszyć – wśród nich znajdowała się siostra Cioteczki Zsuzsy oraz Rozsa Holyba.

Nic z tego nie byłoby możliwe, gdyby nie jego człowiek w Nagyrévie, funkcjonariusz Bartók, który – jak się okazało – również znał pewne sztuczki.

## TAJNY TAJNIAK

**PIĘĆ TYGODNI WCZEŚNIEJ...**

**SOBOTA, 20 LIPCA 1929 ROKU**

Łóżko klikona było stosunkowo niskie. Przestrzeń dzieląca podłogę od stelaża nie mogła mierzyć więcej niż czterdzieści centymetrów. W dodatku Bartók zapomniał naciągnąć sznurową sieć, która podtrzymywała materac, i teraz – gdy się tu wcisnął – musiał znosić opierający się o niego ciężar. Z tak bliska miał świetny widok na sztywne włókna i włosie wyłazące przez rozdarcia. Czuł się jak w klatce.

Stary materac dawno nie był wietrzony. Bartók ledwie dał radę oddychać z powodu stęchłego, dławiącego go w gardle zaduchu. A że przesunął się aż pod samą ścianę, gdzie było najwięcej kurzu, musiał walczyć dosłownie o każdy haust powietrza.

Ramiona miał przyciągnięte do piersi w pozie boksera przymierzającego się do ataku. Lekko podkurczył kolana. Klikon trzymał zimowe koce pod łóżkiem i Bartók musiał je zepchnąć stopami, żeby się zmieścić.

Miał jaki taki widok na sypialnię. W zasięgu jego wzroku znajdowała się rysa na ścianie, kawałek dywanika zszytego ze szmatek, fragment nogi stołowej. Skrzydło drzwi kończyło się sporo nad podłogą, dzięki czemu mógł wypatrzeć cień pary butów – należących do Fricska, jak przypuszczał. Dokładnie na wprost miał parę czarnych trzewików. Końcówki niezawiązanych sznurówek zwieszały się na boki. Pięty i kostki były wyraźnie rozepchane. Lídia, jak jej siostra, chorowała na artretyzm.

Policjanta przytłaczał ciężar dwu kobiet. Obok Lídii bowiem siedziała Rozsa Holyba.

Ciasnota i duchota sprawiły, że zaczął się obficie pocić. Z czoła mu kapąło. Koszulę miał przemoczoną na wskroś. Pewną ulgę przynosił mu chłód bijący od ściany, który w połączeniu z wilgocią na ciele dawał złudzenie zimna. Leżał pod tym łóżkiem co najmniej od dwudziestu minut. Wczołgał się w trakcie krótkiej przerwy, gdy kobiety wyprowadzono do wygodki. Zawsze chodziły tam grupą, dzięki czemu Fricska mógł pomóc koledze objąć posterunek, zanim zdążyły wrócić. I zanim Lídia i Rozsa zostały wezwane na przesłuchanie.

Obie wrony siedziały w milczeniu, spodziewając się nadejścia policjantów lada moment. Zwykle – jak miały okazję się przekonać – funkcjonariusze pojawiali się w izbie w towarzystwie świadka i podejrzanej. Świadek przeważnie zajmował miejsce na łóżku, podczas gdy policjanci stali. Przesłuchiwano je wszystkie wielokrotnie, nigdy jednak w parach. To było dla nich dwu coś nowego. Znalazły się sam na sam. Dotąd nawet nocą w karczmie były pilnowane przez funkcjonariusza bądź członka rady wsi.

Lídia odezwała się pierwsza:

– *Musimy się do wszystkiego przyznać. Nie dadzą nam spokoju, dopóki się nie przyznamy.*

– *Co mam powiedzieć?*

– *Powiedz im, że kupiłaś truciznę w sklepie.*

Głos Lídii był tak podobny do głosu Zsuzsy Fazekas, że Bartóka aż przeszedł dreszcz. Wciąż miał świeżo w pamięci, co stało się minionego dnia, i przez moment wydawało mu się, że to Cioteczka Zsuzsa siedzi na łóżku.

– *Nie mogę! Powiem, że dostałam ją od Cioteczki Zsuzsy.*

– *Nie! Jeśli tak powiesz, wpędzisz mnie w kłopoty.*

Bartók słyszał kolegę stojącego za drzwiami. Każde skrzyknięcie i każdy trzask rozlegał się w jego uszach głośno niczym wystrzał. Fricska był mu jak brat, ale nie umiał ustać bez ruchu.

On przynajmniej się starał. Wszystkie mięśnie miał napięte jak postronki. Pozwalał sobie tylko na unoszenie i opadanie piersi w rytm oddechu.



– *Już wiem. Przyznaj się tutaj do wszystkiego, a w sądzie zaprzecz* – poradziła Lídia siedzącej obok kobiecie. – *Skoro zadziało to podczas wcześniejszego procesu Cioteczki Zsuzsy, zadziała także w twoim przypadku.*

Bartók musiał sobie w duchu powtarzać, że starsza z kobiet kieruje te słowa praktycznie do swojej synowej, matki jej dwojga wnucząt.

– *Mam w sądzie przyjaciół. Pomogą ci. Tylko mnie nie wsyp. Jeśli obiecasz, że się dzisiaj przyznasz, masz moje słowo, że wychowam twoje dzieci jak własne.*

„Czy Fricska też to słyszy?”, zastanowił się Bartók. Nie mógł być tego pewien.

Odnosił takie wrażenie, jakby znów był na wojnie. Ukrywał się w błotnistym okopie. Nieruchomy jak kamień. Gotów do ataku.

Rozsa zmieniła temat na zupełnie, która była ostatnim zaprawionym posiłkiem zjedzonym przez Károlyego. To Lídia mu ją podała. Zaproponowała, aby powiedziały policji, że w zupie musiało coś być. Nie spodobało się to Lídi.

– *Dlaczego chcesz powiedzieć coś takiego? Dlaczego chcesz im powiedzieć, że umarł od zupy, którą mu podałam?*

Bartók zrozumiał, że to już. Miał wszystko, czego potrzebował.

„Gotuj broń. Cel. Pal”.

Wyciągnął obie ręce spod łóżka. Złapał Lídię za opuchniętą kostkę. Stopy mu się przy tym zaplątały w koce, przez co musiał wierzgnąć kilka razy, aby się uwolnić. Gdy mu się to udało, ucałował staruszkę za drugą nogę i trzymał mocno, jakby od tego zależało jego życie.

Lídia pisnęła. Zawtórowała jej Rozsa.

– *Jesteście aresztowane!* – wykrzyknął Bartók spod łóżka. – *Obie jesteście aresztowane!*

Lídia walczyła, aby się oswobodzić, ale on nie puszczał. Nawet wtedy, gdy węzowym ruchem wydostawał się spod zapadniętego materaca. Ponieważ leżał twarzą do ziemi, wyglądało to tak, jakby całował ją po nogach.

Fricska zdążył już wpaść do środka. Po piętach deptał mu Sędzia z hrabią Molnárem.

Rozsa zerwała się z miejsca. Roztrzęsiona, wcisnęła się w róg izby, żałując, że nie może ulecieć na szczytową gałąź poza ich zasięgiem.

# SZALONA UCIECZKA

**DZIEŃ WCZEŚNIEJ...**

**PIĄTEK, 19 LIPCA 1929 ROKU**

Drut odcisnął wgłębienie na dłoni Cioteczki Zsuzsy. Praktycznie werznął się w jej ciało. Gdy uchwyt był nowy, tworzył idealne kółko, metalową aureolę, która wieńczyła zgrabnie lampę. Teraz jednak drut był krzywy, zardzewiały, kłujący. Gdy rozwarła dłoń i poruszyła nią, wyraźnie widziała czerwoną pręgę. Wokół lśniły drobinki rdzy.

Uniosła lampę do twarzy. Mrużąc oczy, zajrzała przez brudne od sadzy szkło, żeby sprawdzić płomień. Knot przygasał. Nie warto było podsycać ogieńka. Opuściła rękę z lampą wzdłuż swojego boku i spojrzała na wschód, gdzie rodził się świt.

Noc upłynęła spokojnie. W pewnym momencie poczuła nawet, że jest górą. Od wielu godzin nie słyszała żadnych kroków, a te ostatnie, które się rozległy, należały do wieśniaka idącego do stajni. Nie pokazał się też nocny strażnik. Oddelegowano go na roгатki, gdzie miał pilnować, by żadna kobieta nie opuściła wioski. Choć minęło tyle godzin, klikon ani razu nie uderzył w bęben.

Kiedy rozpoczynała czuwanie, głowa jej pękała. Myśli, niczym śrucina, obijały się o wnętrze czaszki. Nie mogła się od nich opędzić. Jej siostra w chacie klikona. Niewyparzona gęba Rozsy. Mária. Zamknięte na głucho drzwi sąsiadów. Bębnienie klikona. Bębnienie klikona... Zmartwienie Cioteczki Zsuzsy sięgnęło zenitu. Od nerwowego dreptania niemal narobiła nowych wyrw w drodze.

Przyszła jednak chwila, gdy chrapliwy głos strachu został w pewnym stopniu złagodzony przez cichą noc. Resztę obaw przegoniło zwykłe zmęczenie. Nie przyszli po nią. Dlaczego po nią nie przyszli?

Cienka różowa linia świtu zaczęła rosnać w oczach, co spowodowało, że Cioteczka Zsuzsa porzuciła swój posterunek i podjęła czuwanie w czterech ścianach własnego domu.

Odkąd wdrożono śledztwo, hrabia Molnár przychodził do domu wspólnotowego coraz wcześniej. W normalnych okolicznościach zaczynał dzień pracy około ósmej rano, czego Ébner nigdy nie robił, ostatnio jednak pojawiał się nawet o szóstej, a i tak się przekonywał, że nie starcza mu czasu, aby się uporać ze wszystkimi zadaniami, które się kumulowały. Doktor Szegedy niekiedy przychodził tuż po nim, ale od niedawna sprawdzał akty zgonu w innej wsi, Tiszaföldvárze albo Tizsakürctie – hrabia nie był w stanie tego spamiętać.

Te wczesne godziny spędzone w domu wspólnotowym stały się dla niego wręcz święte, przywracały bowiem choć odrobinę porządku w ogólnym chaosie. No i nikt mu nie przeszkadzał – ani śledczy, ani policjanci, ani członkowie rady wsi.

Ci ostatni byli jego największą zmorą, odkąd objął urząd, i był pewien, że gdyby nie dochodzenie, już dawno poczyniliby kroki, aby się go pozbyć. Na pociechę myślał sobie, że bez jego uporu i bez jego skrupulatności uczynki wieśniaczek pozostałyby niezauważone przez kolejne dwie dekady.

Zanim ruszył do domu wspólnotowego, zatrzymał się w chacie klikona, aby się rozejrzeć. Była to dla niego pierwsza okazja, aby na własne oczy zobaczyć, jakie skutki przyniosła wczorajsza wycieczka Cioteczki Zsuzsy. To, co ujrzał, przeszło jego najśmielsze oczekiwania. Kobiety siedziały ramię przy ramieniu na ławkach pożyczonych z kościoła. Niektóre były młode, mogły mieć nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, inne wydawały się wiekowe, nawet po siedemdziesiątce. Wszystkie zwiesiły głowy, niektóre lamentowały. Hrabiemu się wydało, że patrzy na jakiś rytuał odprawiany na jego oczach.

W swoim gabinecie trzymał telefon lichtarzowy w prawym górnym rogu biurka. Sięgnął po niego teraz, przesuwając podstawkę po blacie, dopóki nie miał urządzenia idealnie na wprost siebie. Zdjął słuchawkę i przyłożył ją do ucha. Wynik obławy jeszcze nie został zaraportowany Kronbergowi. Hrabia wykręcił

najpierw dwójkę, potem czwórkę, bezpośredni numer do prokuratury. Zbliżył twarz do mikrofonu.

Cioteczce Zsuzsie zawsze się podobało, jak jutrzienka rozświetla jej kuchnię. Blask wlewał się przez luźny splot firanek i malował wzory na ścianach i na kredensie. Każdy słoneczny ranek jej życia w tym domu był rozjaśniony lśniąca wspaniałością.

Usadowiła się w smudze światła. Palce miała oplecione wokół miseczki z ciepłą kawą, którą podniosła ostrożnie do ust i przechyliła, by upić duży łyk. Zawsze piła kawę w ten sposób: jakby gasiła pożar we własnym gardle, i zawsze korzystała z miseczki, jak jej rodzice i dziadkowie. Nawet jej mąż gadzio robił tak samo. Cioteczka Zsuzsa była ostatnią osobą, która by złamała tradycję.

Gdzieś zameczało jagnię. Zapewne pana Tuby. Sama przyjęła je na świat. Meczenie zagłuszało werble, których Cioteczka Zsuzsa jeszcze nie mogła słyszeć.

Dom zasypiał i budził się wraz z nią. Był jej towarzyszem. Oboje tęsknili za Mari. Jej córka otwierała usta z chwilą przebudzenia, po czym przez cały dzień mówiła – nic dziwnego, że milczenie, które po sobie zostawiła, wyprowadzając się, tak bardzo bolało Cioteczkę Zsuzsę. Często rozmyślała o córce nocami. Przypuszczała, że i ją aresztowano.

„Szuje – przeklęła w duchu policjantów. – Niech diabeł wyżre im serca”.

Kwiaty, które zerwała wiele tygodni temu, wciąż stały w słoikach na parapecie. Woda zrobiła się mętna, z beżową szumowiną na wierzchu. Roztaczała nieprzyjemny zapach. Płatki zdążyły zbrązowieć i zwiędnąć.

Cioteczka Zsuzsa prawie nie bywała w domu od święta apostołów Piotra i Pawła i niemal wszystko w środku wyglądało tak jak wtedy, zanim wyszła. Zerwała jeden zwiędły płatek, roztarła go w palcach na proch i upuściła na blat przed sobą. Miała wrażenie, że opuściły ją wszystkie siły fizyczne i mentalne.

Nie licząc drzemki, którą sobie ucięła minionego popołudnia po powrocie z Szolnoku, nie spała od około dwu dób. Dodatkowo wymęczyło ją łożenie godzinami po deszczu, a późniejsze nocne rozważania na posterunku wyczerpały ją

do imentu. Włożyła dłoń do kieszeni fartucha i wyjęła stamtąd chusteczkę. Zmiała ją w ręce i otarła nią sobie czoło i kark, po czym odłożyła w to samo miejsce.

Sięgnęła po kolejny płatek i w jednej chwili przez firankę dostrzegła szczyty hełmów ponad jej płotem.

Odsunęła się od stołu razem z krzesłem. Energicznie odstawiła miskę na blat, aż kawa się rozprysła na wszystkie strony, plamiąc jej dłonie i fartuch. Podniosła się z wysiłkiem. Krzesło przewróciło się do tyłu z przeraźliwym hukiem.

– Zsuzsanna Fazekas! Pokażcie się!

Teraz już słyszała werble.

„Do diabła z nimi!”

Opadła na kolana i przekradła się do drzwi. Sięgnęła do klamki, by lekko ją nacisnąć. Klikon ponownie wywołał jej imię.

– Zsuzsanna Fazekas! Pokażcie się!

Drzwi minimalnie się uchyliły. Cioteczka Zsuzsa pchnęła je szerzej, po czym zamarła nad progiem na podobieństwo niezdecydowanego psa – z dłońmi na deskach ganku i z kolanami wciąż na podłodze kuchni. Czuła smród własnego ciała. Kosmyki włosów lepiły się do jej spoczonej twarzy. Ziajała.

Trzaśnięcie furtki kazało jej się cofnąć gwałtownie.

– Zsuzsanna Fazekas! Pokażcie się! Ale to już!

Tym razem okrzyk dobył się z ust policjanta.

– No dalej, Zsuzsanno Fazekas! Pokażcie się! Albo sami wejdziemy!

Odchyliła się na pięty. Rzuciła spojrzenie za siebie, w głąb domu. Znów zerknęła na furtkę. Oceniała odległość dzielącą ją od stajni. Każdy ruch niósł jakieś ryzyko.

Przyglądała się, jak jej furtka chybotze się w przód i w tył. Ogrodzenie trzeszczało i dzwoniło przy każdym szarpnięciu. Teraz już krzyczeli obaj funkcjonariusze. Cioteczka Zsuzsa popatrzyła na zasuwkę przy furtce i potrójny węzeł, którym ją zabezpieczyła po powrocie ze swego patrolu. Wciąż czuła zadrapania, których się nabawiła, mocując się z powrozem.

Przez szpary między sztachetami zobaczyła, że na ulicy zdążył się zebrać tłumek ludzi. Ich głosy tworzyły kakofonię.

Furtka znowu się zatrzęsła, tym razem towarzyszył temu trzask pękającego drewna. Cioteczka Zsuzsa poderwała się na nogi z szybkością, na jaką pozwalał jej wiek i tusza. Rozstawiwszy szerzej stopy, okręciła się na tyle, na ile mogła, niczym skonfundowane dziecko w czasie zabawy. Kolejny trzask i furtka całkiem się poddała.

Niemal każdy z ulicy Zöld, Árva, Jókaięgo, Kossutha i Árpád, kogo uwagę zwróciły podniesione głosy i hałasy dolatujące od posesji Cioteczki Zsuzsy, wyległ na zewnątrz, aby na własne oczy zobaczyć aresztowanie dawnej akuszerki. Za pierwszymi gapiami pojawili się następni. Część tłoczyła się w miejscu, gdzie jeszcze niedawno była furtka.

Na ganku pod okapem leżała kłoda, na której Cioteczka Zsuzsa często przysiadła. Gospodyni podniosła ją teraz i rzuciła w stronę policjantów.

Następnie pobiegła do studni. Złapała wiadro i także cisnęła nim w goniących ją funkcjonariuszy.

– *Menj a fenébe!*

Dopadłszy stajni, sięgnęła po żeliwny garnek stojący pod blatem roboczym. Nie miała czasu zamknąć wrót, ale zanim do środka wpadli policjanci, zdążyła wypić cztery albo pięć łyków płynu, który chlupotał na dnie naczynia.

Pośród gapiów na jej podwórku znalazło się nawet kilkoro małych dzieci. Przyprowały je ze sobą matki. Malcy przyglądali się wszystkiemu pomiędzy nogami dorosłych.

Tym razem aresztowania dokonywali Danielowicz i Császár, obaj w nieporęcznych, ciężkich hełmach i z bagnetami, których w pewnym momencie postanowili się pozbyć. Hełm Császára wpadł pod blat, gdzie wcześniej wczółgała się Cioteczka Zsuzsa. Schyliwszy się za nią, policjant natrafił na jej rozszalałą twarz, wykrzywioną dzikim grymasem.

Uklęknął i włożył głowę pod blat, po czym sięgnął do staruszki. Leżała tam zwinięta w kłębek, z nogami podciągniętymi pod brodę. Jej przepocona suknia wydzielala wstrętną woń. Császár chciał złapać Cioteczkę Zsuzsę za ramię, ale okazała się od niego szybsza. Rozprostowała nogi i z całych sił uderzyła go stopami w pierś. Funkcjonariusz poleciał do tyłu, rozkładając szeroko ręce.

Pozbierał się prędko z ziemi. Nieoczekiwanie znalazł się metr od ofiary, dopadł więc blatu ponownie i raz jeszcze spróbował. Danielowicz ukucnął tuż obok. Każdy z mężczyzn ucapił staruszkę za jedną rękę i zaczął ciągnąć.

Przez otwarte wrota wpadała smuga światła, w części jednak przesłonięta przez gapiów. Ci, którzy do niedawna stali przy furtce, dostali się w głąb posesji i teraz zaglądali do stajni.

Császár od razu się domyślił, co za truciznę wypija Cioteczka Zsuzsa. Sam trzymał potaż we własnej stajni. Używał go do robienia mydła, wybielacza i nawozu, jak wszyscy.

Policjantom udało się wreszcie wyciągnąć Cioteczkę Zsuzsę spod blatu. W blasku słońca jej oblicze wydało im się jeszcze bardziej zaciekle. Oczy miała częściowo przesłonięte strąkami brudnych włosów, Császár jednak widział, jak jej latają. W pewnym momencie zaczęła też charczeć i dyszeć. Funkcjonariusz przygniół jej ciało do ziemi i przyszpilił ramiona, przez co mogła tylko wierzgać nogami. Zachowywała się jak krowa chora na wściekliznę.

*– Potrzebny jest wóz. Musimy ją zawieźć do lekarza.*

Odpowiedziało mu milczenie.

*– Kto ma wóz? Kto z was ma wóz? Nie macie nawet wołu? Albo muła? Przerzucilibyśmy ją przez grzbiet... Niechże się który ruszy!*

W dalszym ciągu nikt się nie odzywał.

Na blacie stało wiadro z mlekiem. Dopóki żył staruszek Ambrúzs, zaopatrywał ją w mleko regularnie i obficie, potem jednak zaczęły się kłopoty, ale że od pewnego czasu mieszkała sama, jedno wiadro w zupełności jej wystarczało.



Danielowitz złapał wiadro za uchwyt i postawił je obok kolegi z takim impetem, aż mleczne strugi chlusnęły na boki.

Cioteczka Zsuzsa nagle wygięła plecy w łuk. Császár zaczął ją przyciskać do ziemi, chcąc nad nią zapanować. Tymczasem ona sztywniała w jego objęciach coraz bardziej z każdą chwilą.

Danielowitz złożył dłonie i wsadził je do wiadra. Napojenie staruszki mlekiem było jedyną szansą na zneutralizowanie działania trucizny. Nabrał białego, tłustego płynu i wylał go na twarz akuszerki.

Stojący we wrotach sąsiedzi stękali i wyciągali szyje, żeby lepiej widzieć. Co niektórzy musieli odprowadzić do domu płaczące dzieci.

Danielowitz próbował rozchylić usta Cioteczki Zsuzsy, ale szczęki miała mocno zaciśnięte. Sięgnął więc po wiadro i przyłożywszy jego krawędź do warg staruszki, jął nim lekko napierać, ale mleko rozlało się po jej twarzy, popłynęło w dół szyi i skończyło jako kałuża na ziemi. Ani kropla nie dostała się do zamkniętych ust.

Császár poczuł drgawki. Miał takie wrażenie, jakby próbował utrzymać nie człowieka, lecz kolebiący się pod nim pociąg. Staruszką telepało tak, jakby poraził ją prąd, co samo w sobie było przerażające. Jej tułów podskakiwał, potylicy waliła o ziemię raz po raz, aż we włosach pokazała się krew. Funkcjonariusz musiał użyć wszystkich sił, aby ją okiełznać.

Trwało to może minutę. Po tym czasie Cioteczka Zsuzsa wyzionęła ducha.

# „WYBACZ GRZECHY TYM, KTÓRZY DALI POSŁUCH SZATANOWI!”

**NIEDZIELA, 1 WRZEŚNIA 1929 ROKU**

W kościele panował niemożebny gorąc. Drzwi otworzono i podparto, aby wpuścić trochę świeżego powietrza i żeby ludzie na zewnątrz mogli słyszeć kazanie. Dziesiątki osób sterczały na schodach u wejścia, choć niektórzy obeszlili budynek i stanęli z boku, pod oknami.

W ławkach zasiadło stu dwudziestu parafian. Musieli dzielić się śpiewnikami, ponieważ nie starczyło ich dla wszystkich. Wachlowali się dłońmi. Większość przybyła z sąsiednich wiosek i osad, takich jak Abony, Nagykőrös, Szentes, a nawet z odległych miast, jak Debreczyn leżący ponad sto pięćdziesiąt kilometrów od Nagyréva.

Jeszcze tego lata kalwiński biskup diecezjalny musiał odpierać oskarżenia, że to brak przewodnictwa duchowego otworzył bramy złu i pozwolił, by kobietami zawładnął szatan. Episkopat zalała bowiem fala listów i telegramów, w których wierni zarzucali kościołowi odpowiedzialność za morderstwa i domagali się, aby poczyniono nareszcie jakieś kroki.

Pastor Tóth również otrzymywał gniewne epistoły.

„Grzech morderczyń spoczywa na Wielebnym”.

„Jeśli pastor nie wie, że jego parafianie grzeszą, staje się współwinny”.

„Żądamy, aby Wielebny został pociągnięty do odpowiedzialności”.

„Wielebnego spotka zasłużona kara”.

Jeden z autorów posunął się do groźby: „Jeszcze się spotkamy”. Słowa te widniały na pocztówce wysłanej z dworca w Szolnoku, co nie pomogło w ustaleniu tożsamości nadawcy.

W diecezji nastąpiły czystki. Biskup pozwalał nauczycieli i pastorów, w ich miejsce mianując nowych, „pewnych” kandydatów. Pierwszy musiał odejść pastor Tóth. Zastąpił go na probostwie duchowny z piekła rodem.

Tej niedzieli nawiedził Nagyrév po raz pierwszy. Wcześniej całymi dniami układał kazanie. Kilkakrotnie je przećwiczył, za słuchaczkę mając własną żonę. Zjawiwszy się rano, w drodze do kościoła musiał uciekać przed grupą reporterów.

Kazał godzinami, przechadzając się wzdłuż nawy.

*– Boże, wybacz grzechy tym, którzy dali posłuch szatanowi! – wołał. – Wiem, że winne tych przestępstw kobiety pożałowały swoich uczynków i teraz wykopią zamordowane osoby z mogił własnymi rękami!*

Uniósł zamasyście ręce, podrywając wiernych na nogi. Organista zaczął grać znajomy hymn.

Podczas gdy parafianie śpiewali, na cmentarzu odbywały się dalsze ekshumacje. Do tej pory otwarto dwadzieścia dziewięć grobów. Siedemnaście ciał przebadano. W każdym z nich znaleziono arszenik.

W chacie klikona na przesłuchanie czekało kolejnych sześć podejrzanych.

Kował wśród snopu iskier wykuwał następne metalowe trumny.

# KODA: CYLINDRY I FRAKI, I NA SZAFOT Z NIĄ

**WTOREK, 13 STYCZNIA 1931 ROKU**

Mária była w pełni ubrana, gdy pojawił się Franklin. Włożyła szarą suknię i czarne pończochy. Na stopach miała proste czarne trzewiki. Siwiejące włosy upięła z tyłu.

Wezwała księdza na chwilę przed pojawieniem się Franklina, toteż teraz obaj mężczyźni stali obok siebie przy drzwiach.

Wielebny Loos był ostatnią osobą, którą widziała minionego wieczora. Czekając, aż nadejdzie, zjadła pełną miskę gulaszu. Strażnik obiecał jej, że z nią posiedzi, by nie była sama, i faktycznie usiadł obok przy niskim drewnianym stole, który wciśnięto do celi. Gulasz był doprawiony prażoną rzeżuchą, tak jak lubiła, a podano go z puddingiem ryżowym, także jej ulubionym.

Wieczór spędziła na słuchaniu fragmentów Biblii czytanych jej przez wielebnego. Przerwano im tylko raz, gdy przyszedł lekarz z pytaniem, czy Mária chciałaby, aby jej podał środek uspokajający. Odmówiła. O północy poprosiła wielebnego Loosa, by zostawił ją samą, po czym gdy wyszedł, dojadła napoczęty pudding ryżowy i ułożyła się do snu na więziennej pryczy.

Teraz siedziała na niej, kurczowo zaciskając palce na krawędzi zawieszanej nisko nad podłogą. Kołysała się w przód i w tył, w przód i w tył.

Wpatrując się w posadzkę, przemówiła do Franklina:

*– Twojej siostrze nie chciało się przyjść? Adoptowałam ją, a ona co dla mnie zrobiła? Nawet mnie nie odwiedzała.*

Była to prawda. Noga Marcelli nie powstała w więzieniu. Mária nie widziała jej ani razu, odkąd została zabrana do chaty klikona.

Franklin był zakutany w czuhę, tę samą, która kiedyś należała do syna Márii, a wcześniej do jej pierwszego męża, starego Kovácsa. Czuhą była ciężka jak kilka

koców i Franklin czuł się przytłoczony jej wagą. Pod spodem miał garnitur, jak należało. Mária zapłaciła za niego okrągłą sumkę.

Jej adoptowany syn nie spał ani nie jadł od dobrych paru dni.

Stojąc przy drzwiach celi, sięgnął do kieszeni po flaszkę gorzałki. Odkorkował ją, po czym wręczył Márii. Gorzałka pamiętała jeszcze czasy Kovácsa juniora. Mária przystawiła ją do ust i wypła kilka łyków.

Tuż po siódmej rano prokurator Kronberg wkroczył na dziedziniec więzienia, poprzedzany przez innych urzędników sądowych. Potem przyszła kolej na Mária. Po jej obu stronach stali strażnicy. Mária nie włożyła płaszcza. Włosy nadal miała upięte z tyłu, choć kilka kosmyków się wymknęło. Czuć od niej było pot i gorzałkę. W furtce zachwiała się i byłaby upadła, gdyby strażnicy w porę nie pochwycili jej pod łokcie i nie poprowadzili dalej przez zaśnieżony dziedziniec. Goście, odziani w najlepsze ubrania – co było ponurym zwyczajem – odsunęli się, aby zrobić im przejście.

Kat wystąpił do przodu. Przyjechał z Budapesztu dzień wcześniej, by razem z pomocnikami wznieść podest i przygotować szubienicę. Po południu zmierzył wzrost i wagę skazanej, aby ocenić, jakiej grubości i długości sznura będzie potrzebował, jak również jakiego dokładnie zydła.

Mária zawyła, tyleż w krzyku, ile w modlitwie. Gapie, którzy zgromadzili się na dachach pobliskich budynków, usłyszeli ją pomimo hałasu czynionego przez tysiące zgromadzone na rynku. Spoglądali na rozgrywającą się w dole scenę, jakby byli w teatrze i mieli wykupione miejsca w łóżach.

Podniósł się sędzia.

– *Niniejszym potwierdzam, że Mária Szendi Kardos za zamordowanie swego syna i męża została skazana na śmierć i że wyrok ten został utrzymany w mocy przez admirała Horthyego, regenta Królestwa Węgier.* – Gestem poprosił pozostałych urzędników, aby także wstali. – *Przekazuję skazaną w ręce prokuratora królewskiego.*

Kronberg postąpił w stronę szafotu. Stał naprzeciw kata, który tak jak on odziany był w cylinder i frak. Ze względu na hałas za murami więzienia Kronberg musiał krzyknąć, aby zostać usłyszanym.

– *Mistrzu małodobry, czyń swą powinność.*

Kat w paru krokach pokonał odległość dzielącą go od szafotu. Strażnicy przytrzymali Márię za ramiona, podczas gdy dwaj pomocnicy kata złapali ją za nogi, by skrępować je sznurem. Wspólnie ustawili ją następnie na zydlu, siłą rozplaszczając jej stopy na siedzisku. Kat zaszedł Márię od tyłu i przełożył jej przez głowę luźny stryczek. Skazana zwróciła się do zebranych na więziennym dziedzińcu.

– *Zakryjcie mi twarz!* – zawołała.

Kat spełnił jej prośbę, zasłaniając oblicze Márii dłonią.

Potem dotknął kciukiem jej szyi.

– *Boże, miej nade mną litość!* – zawołała skazana. – *Boże, miej litość!*

W tym momencie kat nałożył jej na głowę czarny bawełniany kaptur. Mária wrzasnęła. Kat skinął na jednego ze swoich pomocników, a ten się schylił i wyszarpnął spod niej zydel, powodując, że stryczek zacisnął się na jej szyi. Nie czekając, ten sam mężczyzna złapał Márię za nogi i pociągnął mocno.

Mária rzucała się gwałtownie. Pomocnik kata nie puszczał i dalej ciągnął ją za nogi ku podestowi. Wkrótce dołączył do niego ten drugi.

Mimo że obaj naprawdę się przykładali, Mária wciąż wymachiwała ramionami.

Zaprzestała walki po ośmiu minutach. Trzymający ją wciąż za stopy mężczyźni rozluźnili uścisk i cofnęli się, przepuszczając kata.

Ciało Márii huśtało się swobodnie w zimnym styczniowym powietrzu. Kat zbliżył się do niego. Przyłożył ucho do piersi i posłuchał. Gestem przywołał więziennych lekarzy. Każdy z osobna przez chwilę nasłuchiwał bicia serca u skazanej.

Następnie kat uroczystym krokiem podszedł do Kronberga, który wstał.

– *Ogłaszam prokuratorowi królewskiemu, że wypełnił swą powinność.*

Franklin, jedyny żałobnik wśród zgromadzonych, wydał z siebie przeraźliwy krzyk.

Do dziewiątej rano tłum na rynku zdążył się rozproszyć. Swoje podwoje otworzył hotel. Aptekarz zaczął pracę. Pierwsi klienci załatwiali sprawy na poczcie. Trasę wznowił miejski autobus.

Na dziedzińcu więziennym zwłoki Márii wciąż wisały na szafocie, gdy zaczął padać śnieg.

## POKŁOSIE

Do połowy września 1929 roku na polecenie Kronberga ekshumowano dalsze pięćdziesiąt ciał. Przed końcem roku ekshumacji było już sto sześćdziesiąt dwie.

Wniosek prokuratora o wyrażenie zgody na przyjrzenie się wszystkim podejrzanym zgonom z ostatnich dwudziestu lat spotkał się z odmową. Sam Kronberg uważał, że liczba ofiar szła w setki.

Sąd w Szolnoku uznał, że osiemdziesiąt dwa zgony budzą podejrzenia.

Akty oskarżenia wniesiono przeciwko sześćdziesięciu sześciu kobietom i siedmiu mężczyznom (jako winnym współudziału) z następujących wsi: Nagyrév, Tiszakürt i Cibakháza. Ogółem dwadzieścia dziewięć kobiet i dwaj mężczyźni trafili przed sąd pod zarzutem zamordowania czterdziestu dwu osób.

W przypadku szesnastu kobiet zapadł wyrok skazujący.

Skazani zostali również obaj postawieni przed sądem mężczyźni – Lőrinc Szabó za współudział w morderstwie swojego wuja Istvána Szabó oraz József Madarász junior za zamordowanie rodzzonego ojca Józsefa Madarásza seniora. Wymierzono im karę dożywocia.

Anna Cser, której dowiedziono morderstwa z premedytacją, za zabicie teścia dostała wyrok piętnastu lat więzienia. Sąd wyższej instancji obniżył go do ośmiu. Do więzienia trafiła w wieku czterdziestu pięciu lat. Jej mąż Lajos zmarł w 1936 roku, dwa lata przed wyjściem Anny na wolność.

Mari Fazekas skazano na dziesięć lat więzienia za zamordowanie liczącego trzy dni Istvána Csera. Prokurator występował o karę śmierci. Po odsiedzeniu przez nią dwóch lat węgierski Sąd Najwyższy unieważnił werdykt niższej instancji. Mari wróciła do Nagyréva w 1932 roku. W lipcu tego samego roku zwolniono ją oficjalnie z funkcji miejscowej akuszerki. Odwołała się od tej decyzji i ubiegała



o rekompensatę za utratę pracy, lecz niczego nie wskówała. W 1935 roku wyczerpała formalne możliwości walki o odszkodowanie.

Krisztynie Csabai udowodniono zamordowanie męża Gyuli, za co otrzymała wyrok piętnastu lat więzienia, utrzymany przez sądy wyższej instancji. Choć raz, po długim pobycie w izolatce, przyznała się do winy, poza tym zawsze obstawała przy swojej niewinności. Zmarła w więzieniu.

Panią Madarász skazano na osiem lat więzienia za współudział w morderstwie teścia, Józsefa Madarásza seniora.

Petra Joljart Vargha, za zamordowanie swojego męża Istvána Joljarta, została skazana na dożywocie. Kolejnego roku sąd wyższej instancji uchylił ten wyrok.

Lídia Sebestyén została uznana za winną współudziału w morderstwie Károlyego Holyby i również skazana na dożywocie. Sąd Najwyższy obniżył jej wyrok do piętnastu lat.

Rozsę Holybę skazano na dożywocie za morderstwo Károlyego Holyby i ten wyrok został utrzymany w mocy przez Sąd Najwyższy.

Eszter Szabó została skazana na śmierć za zamordowanie Istvána Szabó. Zanim trafiła na szafot, w więzieniu urodziła córkę. Dziewczynka miała jedenaście miesięcy, gdy jej matkę powieszono. Eszter pozwolono zatrzymać dziecko przy sobie do ostatniej godziny przed egzekucją i wieść niesie, że zachowała ona spokój niemal do swoich ostatnich chwil. Na widok szafotu zemdląca i trzeba ją było wnieść na podest.

Krisztina Csordás została skazana na śmierć za zamordowanie Istvána Szabó.

Mária Szendi była pierwszą od osiemdziesięciu lat powieszoną na Węgrzech kobietą. Pochowano ją na cmentarzu komunalnym w Szolnoku. W przeddzień egzekucji podyktowała Kronbergowi swój testament. Zostawiła wszystko w spadku Franklinowi.

Nie licząc Cioteczki Zsuzsy i jej sąsiadki Julianny Petyus, także dwie inne kobiety popełniły samobójstwo – jedna podczas pobytu w więzieniu na dzień przed rozpoczęciem procesu i druga, której adwokat zjawił się u niej w domu akurat

w chwili, gdy wnoszono jej ciało. Przybył z wiadomością, że jest niewinna, ponieważ w zwłokach jej męża nie znaleziono śladu arszeniku. W przypadku jeszcze innej kobiety uznano, że jej stan psychiczny nie pozwala na postawienie jej przed sądem, w związku z czym została skierowana do szpitala psychiatrycznego.

Pozostający w separacji z Mari jej mąż Daniel nie spotkał się z żadnymi zarzutami i przez cały czas trwania śledztwa współpracował z policją.

Poza zarzutami związanymi z aborcjami Cioteczka Zsuzsa nigdy nie została oficjalnie oskarżona o jakiekolwiek przestępstwo.

Na początku lat trzydziestych XX wieku nieznanemu sprawcy podpalili dom hrabiego Molnára. Po tej i innych próbach zastraszenia go opuścił Nagyrév.

W 1935 roku Kronberga nominowano na tymczasowego prezesa sądu w Szolnoku, którą to nominację zatwierdzono dwa lata później. W czerwcu 1945 roku został on wiceprezesem budapesztańskiej prokuratury, a dwa lata później jej prezesem. Na emeryturę przeszedł 1953 roku, zmarł zaś w 1955 roku, mając sześćdziesiąt dziewięć lat. Jego syn János Kronberg junior poszedł w jego ślady i zatrudnił się w Szolnoku jako prokurator.

Barnabás Szabó został pojmany przez Niemców i razem z innymi żydowskimi mieszkańcami Szolnoku był najpierw przetrzymywany na dziedzińcu synagogi, zlokalizowanej niedaleko domu jego przyjaciela Kronberga, a następnie trafił do obozu koncentracyjnego utworzonego na terenie cukrowni. Jako jeden z dwóch tysięcy trzydziestu ośmiu Żydów z Szolnoku 29 czerwca 1944 roku został przewieziony do Auschwitz. Pobytu tam nie przeżył.

Jack MacCormac opuścił Wiedeń w 1931 roku i na krótko powrócił do ojczystej Kanady, zanim trafił na placówkę w Waszyngtonie. Z chwilą wybuchu II wojny światowej MacCormac, weteran wielkiej wojny, został wcielony do Dziewiątej Armii. Po wojnie trafił ponownie do Wiednia, gdzie pracował aż do śmierci, która nastąpiła z powodu rozległego zawału serca podczas łowienia łososi w Norwegii w 1956 roku. Miał sześćdziesiąt osiem lat.

Można twierdzić, że dzisiejszy Nagyrév jest równie zapyziały jak przed stuleciem. Wieś przeżyła czasy wątpliwej prosperity za komunizmu, kiedy to państwowe gospodarstwa rolne zapewniały pracę wszystkim i każdy otrzymał pensję, choć niewysoką. Na początku lat pięćdziesiątych XX wieku miejscowa ekonomia mocno ucierpiała od wprowadzenia wolnego rynku, a wielu mieszkańców opuściło rodzinną wieś, by przeprowadzić się do miasteczek i miast. Pod koniec tej samej dekady kilkoro budapesztańskich nowobogackich, mając nadzieję na hossę, kupiło tam chaty z przeznaczeniem na domy letniskowe. Nigdy jednak z nich nie skorzystali. Chata Cioteczki Zsuzsy przez jakiś czas była własnością księdza. Po roku 2000 wnuczka jej siostry prowadziła tam lokalną bibliotekę.

We wsi nadal nie ma komisariatu policji.

## POSTSCRIPTUM

### **LONDON W KANADZIE, PROWINCJA ONTARIO**

Około pierwszej nad ranem w niedzielę 16 lutego 1986 roku Tamara Chapman odebrała drinka, którego postawił jej klient. Zasady obowiązujące w Christos II Tavern, lokalu, w którym dziewiętnastoletnia Tamara pracowała od niedawna, wymagały, aby wszystkie drinki kupione przez klientów dla kelnerek trafiały na półkę za kontuarem. Po zamknięciu kelnerki mogły je wypić, jeśli miały wciąż ochotę.

Gdy Tamara uniosła kieliszek, aby upić łyk B-52, jak nazywa się drink na bazie irlandzkiej whiskey, poczuła silny zapach amoniaku, zanim nawet dotknęła ustami szkła. Woń była okropna, Tamara odstawiła więc szybko kieliszek i zapytała barmankę, kto zostawił dla niej tego drinka. Marsha Veercamp, która tego wieczora stała za kontuarem, odparła, że jakieś czterdzieści minut wcześniej pojawiła się drobna brunetka w płaszczu i ciemnym berecie, która zamówiła B-52, po czym niemal od razu przekazała go z instrukcją, „aby na pewno trafił do Tammy”. Wtedy też Marsha odstawiła kieliszek na półkę. Gdy Tamara to usłyszała, momentalnie się domyśliła, kto próbował ją zamordować.

Była to druga próba zamachu na jej życie tego tygodnia.

Dwa dni wcześniej Tamara otrzymała zaproszenie do Joe Kool's, nowej knajpy na Richmond Street. Zapraszającą była Diane – poprzednia dziewczyna jej obecnego chłopaka Kena, która na wszystkie sposoby starała się go odzyskać. W tym celu udawała nawet, że jest w ciąży. Odsłuchawszy jej wiadomość z zaproszeniem, Tamara nie wiedziała, co myśleć. Diane twierdziła, że będzie z Kenem i że oboje mają jej coś do powiedzenia. Tak się jednak składało, że Ken wyjechał na cały tydzień do Windsoru. A przynajmniej tak jej oznajmił. W każdym

razie gdy ostatnio ze sobą rozmawiali, nic nie wskazywało, aby był na nią pogniewany. Zresztą spodziewała się znów go usłyszeć nazajutrz, w walentynki. Miała też nadzieję dostać od niego kwiaty.

Ledwie weszła do knajpy, zobaczyła, że Diane siedzi w łoży sama.

– Ken się spóźni – powiedziała Diane do zbliżającej się do stolika Tamary. – Poprosił, żebyśmy poczekały na niego w jego mieszkaniu.

Nadal niepewna, co myśleć, Tamara pozwoliła Diane zawieźć się do mieszkania Kena na Piccadilly Street. Obie weszły na klatkę schodową, gdzie Tamara przyglądała się Diane, kiedy ta odszukała klucz pod ostatnim stopniem i otworzyła drzwi.

Wewnątrz skierowała się prosto do kuchni.

– Pozwól, że cię czymś poczęstuję – powiedziała. Tamara podziękowała, mówiąc, że nie chce jej się pić. Wtedy Diane się rozgadała. – Ken cię nie kocha. Kocha mnie. Pora, żebyś to zakończyła.

Tamara nie chciała dopuścić do siebie słów Diane. Nagle znikąd na stole pojawiła się irlandzka whiskey. Tamara zastanowiła się przelotnie, skąd Diane ją wytrzasnęła, skoro Ken woli piwo. Nie miała pojęcia, że jej chłopak w ogóle trzyma whiskey w domu.

– Napij się – poradziła jej Diane. – To pomoże ci się rozluźnić.

Tamara poczuła się w obowiązku upić łyk. Ledwie to zrobiła, poczuła, jak drętwieją jej wargi. Drink pachniał amoniakiem. Tymczasem Diane bacznie ją obserwowała. Tamara jakby nigdy nic odstawiła szklankę, podeszła do zlewu i nalała sobie wody. Była przerażona.

– Przypomniałam sobie, że nie powinnam pić alkoholu – powiedziała. – Niedługo zaczynam pracę.

Dzień po drugim incydencie Tamara i Ken, który zdążył wrócić z Windsoru, zanieśli podejrzanego drinka na komisariat. Przeprowadzone badania ujawniły, że B-52 zawierał tyle cyjanku, że mogłby uśmiercić sześć osób.

Do sprawy przydzielono dwóch policjantów. Jeden nazywał się Mike Overdulse. Drugi, Dave King, był detektywem także w życiu prywatnym, a przynajmniej tak mówili o nim bliscy i przyjaciele. Powodem tego był fakt, że Dave lubił badać dawno zapomniane sprawy kryminalne.

Im więcej Dave się dowiadywał o Diane, tym silniej był przekonany, z kim tak naprawdę ma do czynienia. Zaczął nawet w wolne dni jeździć do Ottawy, co wymagało sześciogodzinnej jazdy samochodem. W trakcie tych wypraw ślęczał nad mikrofilmami, badając pochodzenie podejrzanej.

– Trucizna to niewidzialna broń stosowana przeciwko bezbronnej ofierze – powiedział zastępca prokuratora koronnego David Arntfield na rozprawie Diane.

Oskarżona o próbę morderstwa została skazana na siedem lat pozbawienia wolności. Gdy wyrok zapadł, ojciec Diane – Julius Fazekas – siedzący na sali sądowej wśród publiczności, otwarcie się rozplakał.

Do tej pory Dave zdążył się zapoznać z życiorysem Juliusa i miał podstawy przypuszczać, że jest wnukiem niesławnej akuszerki z Nagyréva, Diane Fazekas zaś – jej prawnuczką. A jeśli tak, Diane uciekła się do tej samej metody, którą jej przodkini z Europy stosowała sześćdziesiąt, siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat wcześniej dla pozbycia się osób stojących na zawadzie.

## UWAGI I DROBIAZGI

### O OSKARŻONYCH, ICH PROCESACH I INNYCH RZECZACH

Lídia i Rozsa były sądzone razem, a ich rozprawę przesunięto z wcześniejszego terminu na piątek 13 grudnia 1929 roku. Nie tylko był to „piątek trzynastego”, ale też – i być może nieprzypadkowo – dzień Świętej Łucji (Luca napja), uważany za dzień złych duchów. Tradycja nakazywała, aby mężczyźni i chłopcy stawali na zrobionym specjalnie z tej okazji taborecie, z którego wyżyn mieli zobaczyć wszystkie czarownice w okolicy.

Oskarżone reprezentowali dwaj adwokaci, Gábor Kovács i Gyula Virág. Virág próbował zachowywać się na sali sądowej jak Clarence Darrow, amerykański prawnik, który zasłynął z wygłaszania płomiennych mów w obronie osławionej pary znanej jako Leopold i Loeb w 1924 roku. W odróżnieniu jednak od Darrowa nie zdołał rozwinąć skrzydeł, gdyż sędzia zwyczajnie nie pozwalał mu uderzać w pompatyczne tony. Co więcej, Virág omal nie spotkał się z zarzutem obrazy sądu ze względu na próbę manipulowania świadkami podczas wizyty w Nagyrévie.

Przed rozpoczęciem procesu – oraz zapewne także przed egzekucją – Mária Szendi słała utrzymane w rozpaczliwym tonie apele o pomoc do swych dawnych znajomych z Budapesztu, członków parlamentu itp., którzy niegdyś zasypywali ją prezentami i których względami się cieszyła. Błagała ich o to, aby pomogli jej się oczyścić z zarzutów. Żaden z nich nie zareagował.

Pod koniec września 1930 roku córka Mari, Lídia, złożyła wizytę bednarzowi Henrikowi Tóthowi, aby wysondować, czy napomknie cokolwiek o pojawieniu się Mari i Cioteczki Zsuzsy w jego stajni w noc chrzcin (i zarazem śmierci) małego Istvána. Tymczasem sama Mari, używając rdzy z rur biegnących w celi, pisała do przyjaciół i krewnych z instrukcjami, jak powinni zeznawać. Jej listy zostały

przechwycone przez strażników i przekazane prokuratorowi. Kronberg uznał jedno i drugie za próbę wpływania na świadków.

Petra Joljart Vargha pozwała sąd w Szolnoku po tym, jak jego wyrok został uchylony przez wyższą instancję. Domagała się odszkodowania za utratę pracy, zwrotu kosztów poniesionych w trakcie uwięzienia, jak również zadośćuczynienia za ból i cierpienie. Po tym, jak wniosek Petry spłynął do sądu, hrabia Molnár wezwał ją do domu wspólnotowego. Na miejscu zastała hełm policyjny na stole i karabin stojący w rogu. Przestraszona, natychmiast stamtąd uciekła. Molnár poruszył temat jej pozwu w rozmowie z prezesem sądu Józsefem Borsósem. Jaka była jego reakcja?

– Czego ta kobieta jeszcze chce? Powinna się cieszyć, że wróciła do domu, i siedzieć cicho na dupie.

Ostatecznie jej powództwo zostało oddalone na tej podstawie, że wyrok uchylono, zamiast ją uniewinnić.

Cztery lata po egzekucji Márii w końcu doszło do sprzedaży jej domu. Nowi właściciele, wkrótce po przejęciu nieruchomości, odkryli zamaskowaną szafkę, w której znaleźli zapas arszeniku. Informacja ta odbiła się szerokim echem w prasie regionalnej.

## **O NAGYRÉVIE**

„Nagyrev” oznacza „duży port”. Wieś otrzymała tę nazwę w 1901 roku.

Niedaleko karczmy Cserów mieściła się karczma Nováków. Jej właściciel znany był pod przydomkiem Kiskalap, czyli Kapelutek, ponieważ nosił nakrycie głowy z okrągłym rondem, charakterystyczne dla Tiszaföldváru, skąd się wywodził. We wsi była jeszcze jedna karczma połączona ze sklepem ogólnobranżowym, nieco bardziej oddalona od centrum, będąca własnością mężczyzny o nazwisku Sárai.



W latach trzydziestych XX wieku w Nagyrévie stało mniej niż pięćset domów. Wieśniacy posiadali 329 koni, 414 krów, 1274 świnie i 49 owiec. Wśród mieszkańców znaleźli się czterej stolarze, jeden stelmach, jeden cyrulik, dziewięciu szewców, trzech kowali, dwóch krawców, jeden młynarz, jeden bednarz, trzech sklepikarze, dwaj szmuklerze i dwaj sukiennicy.

Ulice w Nagyrévie otrzymały swoje nazwy dopiero po zakończeniu wielkiej wojny, prawdopodobnie w latach dwudziestych XX wieku.

Pan Kodash, piekarz, roznosił bochny chleba na własnych plecach.

Dzieci często robiły zabawki z ostów. Chłopcy puszczali latawce i grali w grę przypominającą kręgle.

W latach dwudziestych XX wieku, gdy w mieście Tiszakécske otwarto kino, dzieci z Nagyréva pływały tam promem, żeby oglądać filmy.

Po wielkiej wojnie węgierscy chłopcy zaczęli nosić robocze spodnie i drelichy, ale do tego czasu zwykle można ich było zobaczyć w płóciennych koszulach i kiltach. Ich stroje generalnie przypominały koszule nocne ściągnięte paskiem.

Większość wieśniaków z Niziny Węgierskiej, mimo że pracowała na roli, bardzo przestrzegała higieny. Kąpali się nawet w lodowatej wodzie, jeśli był to jedyny sposób na zachowanie czystości.

Ubrania prano zazwyczaj w poniedziałki albo we wtorki.

Wieśniacy często spali w butach, na wypadek gdyby musieli się zerwać do chudoby. Wielu – a nawet większość – noce spędzało w stajniach ze zwierzętami gospodarskimi i tam też miało wykrojone pomieszczenie przypominające prosto umeblowaną sypialnię.

Dzwonnik bił w mniejszy dzwon 150 razy i w większy dzwon 150 razy, czyli razem 300 razy, gdy obwieszczał śmierć mężczyzny. Dla obwieszczenia śmierci kobiety w dzwon uderzano 100 razy.

Większość dziewczynek kończyła maksymalnie dwie klasy, tyle bowiem wystarczało, by nauczyć się czytać i pisać oraz liczyć w podstawowym zakresie. Większość chłopców uczęszczała jeszcze do trzeciej klasy. Zamiast zeszytów i piór

dzieci używały blatów, na które nauczyciel wysypywał żwir albo piasek. Mária Szendi, która ukończyła pięć klas, była uważana za osobę dobrze wykształconą.

Dzieci zwykle podawano do chrztu owinięte w ślubną chustę matki. Jeśli rodzina miała studnię na podwórku, czerpano z niej wodę i zanoszono do kościoła. Po chrzcie zgodnie z tradycją obecna akuszerka albo matka chrzestna ogłaszała:

– *Przyniosliśmy małego poganina, a zabieramy aniołka.*

Woda ze studni nie zawsze nadawała się do picia, dlatego spożywano alkohol. Ponieważ uważano, że chroni przed chorobami, podawano go także dzieciom w małych dawkach. Niestety rozpowszechnione spożycie alkoholu było przyczyną nałogu pijaństwa.

Tradycyjny wiejski pogrzeb wymaga, aby po wykopaniu grobu nakryć go liściastymi gałęziami, co ma odstraszyć złe duchy przed zajęciem dołu, zanim zostanie do niego złożona trumna. Po zabiciu trumny gwoździami wynosi się ją z domu nogami do przodu. Żałobnicy niosący trumnę stukają nią trzykrotnie o próg, aby zmarły nie wrócił.

Świniobicie tradycyjnie odbywało się w okolicy świąt Bożego Narodzenia albo Nowego Roku. W niektórych wsiach świnie zabijano 19 listopada, w dzień Świętej Elżbiety, wyłącznie wtedy jednak, gdy padał śnieg (czy też „gdy Elżbieta strzepywała halki”).

Wielu mieszkańców Nagyréva miało własne winnice w Tiszaföldvárze, gdzie była zlokalizowana stacja kolejowa. Ziemia nie była ich własnością – najczęściej dzierżawili ją od przedstawicieli miejscowej szlachty.

## **O INNYCH RZECZACH**

Romowie nie są spokrewnieni z Rumunami, choć często popełnia się ten błąd myślowy.

Akuszerki z dawien dawna odgrywały kluczową rolę w planowaniu rodziny. Kobiety oddawały się w ich ręce, ilekroć chciały się pozbyć niechcianej ciąży

w sposób najbezpieczniejszy z możliwych. Metody były różne, najczęściej jednak uciekano się do ziół, z czego Cioteczka Zsusza z pewnością korzystała w większości przypadków. Skutki uboczne mogły być poważne, nierzadko śmiertelne, szczególnie że akuszerka nie miała wpływu na to, czy dana kobieta zażyje wywar zgodnie z instrukcją, nie wspominając o fakcie, że trudno było dobrać odpowiednie dawkowanie. Przykładowo mogła być mowa o trzydziestu–czterdziestu kroplach nalewki zażywanych trzy–cztery razy dziennie lub o trzech łyżeczkach na kubek, przy ilości płynu nieprzekraczającej kwarty na dzień. Nawet drobne odstępstwo mogło mieć tragiczne konsekwencje.

Arszenik – królowa trucizn – może wywoływać różne skutki, jest jednak toksyczny nawet w najmniejszych dawkach. Objawy zatrucia obejmują: ostry, palący ból żołądka i przełyku, suchość w ustach, uczucie ucisku w gardle, obfite wymioty i biegunkę, silną czkawkę, mleczne/wodniste lub jaskrawozielone stolce, uszkodzenie serca i żył, obniżone ciśnienie krwi, zaburzenia krążenia powodujące sinienie skóry, zimne, lepkie dłonie i stopy, konwulsje.

Podawany w małych dawkach przez dłuższy czas, arsenik powoduje: silne bóle i zawroty głowy, skurcze mięśni, upośledzenie pracy nerek, uszkodzenie nerwów, utratę włosów, atrofię mięśni, hydrocefalię, paraliż, nudności, wymioty i biegunkę.

## **O WĘGRZECH**

Klątwa Turana ma swoje początki w 1000 r. n.e., kiedy to król Stefan ogłosił, że Węgrzy przyjmą chrześcijaństwo. Wedle legendy pewien potężny szaman rzucił wtedy klątwę mającą obowiązywać przez kolejnych tysiąc lat w proteście przeciwko władzy chrześcijan.

Po czerwonym terrorze przyszedł w odwecie biały terror, w ramach którego kontrewolucjoniści szukali zemsty – głównie na niewinnych Żydach i chłopstwu.

W wyniku wielkiej wojny, jak również późniejszego czerwonego i białego terroru zrodziło się pytanie: jakie powinny być Węgry? Większość mieszkańców

tego kraju pragnęła na nowo monarchii. Jednak państwa centralne nie chciały słyszeć o powrocie Habsburga na tron. Padły też inne propozycje, kogo uczynić królem. Wśród wymienionych znalazł się hrabia László Széchenyi, głównie z tego względu, że był żonaty z zamożną amerykańską arystokratką Gladys Vanderbilt. Ostatecznie monarchię restytuowano z admirałem Horthym jako regentem, który otrzymał praktycznie wszystkie prerogatywy królewskie. Pod jego rządami Węgry stały się „królestwem bez króla, rządzonym przez admirała bez floty w kraju bez dostępu do morza”.

Hiperinflacja wybuchła na początku lat dwudziestych XX wieku, a w latach 1922–1924 wyniosła 98 procent.

Grypa hiszpanka uderzyła w Węgry we wrześniu 1918 roku i grasowała przez osiemnaście miesięcy. Wirusowi uległa połowa populacji, z czego około stu tysięcy osób zmarło (przy powojennej liczbie obywateli wynoszącej niecałe osiem milionów). Połowa ofiar śmiertelnych zaliczała się do grupy wiekowej 25–45 lat. Śmiertelność wśród pracowników służby zdrowia była niesłychanie wysoka.

Przyjmuje się, że wszyscy współcześni koronerzy – przez Węgrów nazywani dzwonnikami – mają wykształcenie medyczne, lecz nie jest to prawdą nawet w dzisiejszych czasach. Dla przykładu: 1600 amerykańskich hrabstw zatrudnia koronerów niemających wykształcenia medycznego. Osobom tym brakuje uprawnień do przeprowadzania autopsji, lecz mogą stwierdzać zgon i wydawać akty zgonu. Zwykle są wybierane na kadencję i otrzymują niewielkie wynagrodzenie.

## O SZOLNOKU I INNYCH RZECZACH

Gubernator Almásy był krewnym László Almásyego, pierwowzoru protagonisty z filmu *Angielski pacjent*.

Dziad Nicolasa Sarkozyego, byłego prezydenta Francji, w czasie procesu „trucicielek z Nagyréva” był wiceburmistrzem Szolnoku.

Hotel Nemzeti powstał z inicjatywy dwóch braci. Jeden z nich był ojcem, drugi zaś stryjem nie kogo innego, jak Mike'a (Marcella – takie imię otrzymał na chrzcie) Fodora i jego siostry Elizabeth (Erzsébet, bądź Erzsi, po węgiersku). Sam hotel został później przemianowany na Grand Hotel. W czasie II wojny światowej pełnił funkcję szpitala polowego.

Hotel Tisza został wzniesiony dzięki pieniądzą z pożyczek przyznanych po I wojnie światowej. Stał się on miejscem spotkań arystokratów, którzy lubili tam wypić herbatę o godzinie siedemnastej. W latach trzydziestych XX wieku zbierali się tam jazzmani. Mówi się, że Luois Armstrong zatrzymał się pod jego dachem podczas wizyty w mieście.

Bohema Szolnoku, skupiona w tak zwanej kolonii artystów, z którą utrzymywał kontakty Kronberg, jest uważana za najstarszą na Węgrzech. Pod koniec lat dwudziestych XX wieku były plany połączenia jej z amerykańską akademią sztuki. Starania o to czynił znany i uznany Tibor Pólya, który spędził w USA trzy lata, próbując zrealizować ten pomysł.

Nie licząc Giselli Tary, która zdobyła medal na igrzyskach olimpijskich w 1924 roku, Szolnok mógł się pochwalić jeszcze jednym szermierzem. Gyula Glykais zdobył złoty medal w 1928 roku i 1932 roku. Fechtunek ćwiczył w piwnicy ratusza. Nie wiadomo, gdzie ćwiczyła Gisella Tary.

Proces „trucicielek z Nagyréva” był relacjonowany przez niemal wszystkie znaczące tytuły prasowe Europy kontynentalnej, Wielkiej Brytanii oraz Stanów Zjednoczonych i cieszył się zainteresowaniem jeszcze w 1937 roku, gdy amerykańska „Oakland Tribune” zamieściła rozkładówkę na jego temat. Także „Ripley's Believe It or Not” wspomniał o nim w 1933 roku. Nowojorski proces Ruth Snyder, oskarżonej o zamordowanie swojego męża, zyskał podobne zainteresowanie w 1927 roku jak proces Márii Szendi na Węgrzech w roku 1930. Obie kobiety sądzono na oczach tłumów i obie były deprecjonowane przez media (identycznie jak pozostałe „trucicielki z Nagyréva”). „Daily Mirror” zatrudnił frenologa, który opisał powieki i wargi Ruth jako „zacięte, pozbawione współczucia, spękane jak wyschła cytryna”. Specjalista ten twierdził, że jest ona

„bezmózgą poszukiwaczką przyjemności, która nie zna umiaru, jeśli chodzi o spełnianie własnych zachcianek”. W przypadku Márii Szendi liczni pisarze tworzyli na zamówienie teksty przedstawiające jej okropny charakter.

Szanowany pisarz Zsigmond Móricz, zasiadający w pierwszym rządzie podczas jej procesu, nazwał ją „odrażającą”, dodając, że wygląda i zachowuje się jak „zepsuta przedstawicielka klasy robotniczej”, wyraża się natomiast „najgorszym językiem stolicy, nieprawidłowo używając słów bądź sięgając po takie, jakich nie powinna znać wieśniaczka”. Wszystkie sądzone były „rozwiązłymi sukami, wioskowymi ladacznicami, zboczonymi babami” oraz „więźniami własnych seksualnych chuci”.

Móricz odwiedził Nagyrév w trakcie trwania procesu i został oprowadzony po wsi przez siostrę Mihály Kardosa. Później wyraził się o Nagyréwie jako o „ziemi niczyjej”.

Od 2 czerwca do 19 września 1944 roku ten region Węgier stał się teatrem działań operacji Frantic, przypuszczonej przez połączone siły amerykańsko-brytyjskie. Dwunastokrotne bombardowanie Szolnoku spowodowało poważne zniszczenia i przyczyniło się do znaczącej liczby ofiar śmiertelnych. Bomby spadły też kilka razy na dworzec kolejowy. Gdy do miasta wkroczyli żołnierze radzieccy, zastali ledwie kilka tysięcy ocalałych mieszkańców.

Syn Kronberga, János junior, opisał traumatyczne doświadczenia swojej rodziny w trakcie operacji Frantic i po niej w liście do budapesztańskich władz. W tym czasie był on już prokuratorem miejscowego sądu. (W liście nie wspomina o tym, że dom jego rodziców, Jánosa i Iréne Kronbergów, został na koniec splądrowany przez Niemców, w czego wyniku skradziono cenną kolekcję obrazów).

Pierwsze amerykańskie bomby spadły na Szolnok 2 czerwca 1944 roku. Za zgodą prezesa sądu schroniłem się w [pobliskiej] winnicy. Później przenieśliśmy się do Tószegu [12 km na południe od Szolnoku], skąd dojeżdżałem do pracy wraz z ojcem na rowerze. Mój ojciec już wtedy cierpiał na chorobę wieńcową. Pokonywanie dzień

w dzień trasy liczącej 22 kilometry na rowerze stanowiło dla niego zagrożenie. Zresztą pod koniec września nie mógł dłużej tego robić.

Prezes sądu ogłosił 7 października, że miasto będzie wkrótce ewakuowane. Wysłałem powóz do Tószegu po rodziców, ale mój ojciec zdążył doznać ataku serca i znalazł się w szpitalu. Moja matka także pozostawała w szpitalu ze względu na zły stan zdrowia. Lekarz wojskowy – będący na urlopie, a przy okazji też teść kogoś z personelu – podał mojemu ojcu zastrzyk. Ani mój ojciec, ani żaden inny pacjent nie otrzymał obiadu, ponieważ nie było jedzenia. Udało mi się kupić tylko kilka robaczywych jabłek w pobliskim sklepie. Ojcu było wolno jeść tylko owoce. Miał zakaz przyjmowania jakichkolwiek płynów. Ostatecznie przetransportowaliśmy oboje do Budapesztu, do szpitala Świętego Rocha. [...] Musiałem jakoś zapłacić za pobyt, zwróciłem się więc z podaniem o pracę do ministerstwa. Wreszcie w listopadzie zatrudniono mnie w wydziale karnym budapesztańskiego sądu, nie mogłem jednak pracować ze względu na reżim strzałokrzyżowców\*. Podczas bombardowań Budapesztu musieliśmy się ukrywać. Później wraz z żoną wróciłem do Szolnoku pieszo [pokonując odległość 110 km].

## O ŻURNALISTACH I ŻURNALISTKACH Z EPOKI

Gdy w 1921 roku korespondentka Dorothy Thompson przybyła do Wiednia, nazwała stolicę Austrii „urokliwą rozwaliną”. Znalazła się w mieście dotkniętym wojną, w niegdysiejszym sercu potężnego imperium, obecnie zaś „straszonym miejscu”, gdzie w oczy zaglądało widmo głodu, gdzie roiło się od uchodźców, żołnierzy, komisarzy do spraw socjalnych, rabusiów, spekulantów, wysiedlonych chłopów oraz całej gamy „szlachty, która z wdziękiem przymierała głodem w swoich biedermeierowskich salonikach”.

W internecie można znaleźć wiele informacji na temat imponującej kariery Mike’a Fodora oraz jego niezwykłej szczodrości okazywanej kolegom dziennikarzom. Napisana przez Dana Durninga książka *Vienna’s Café Louvre in the 1920s and 1930s* przedstawia fascynujący obraz tego, jaką rolę w życiu prasy odegrały ówczesne kawiarnie.

W 1934 roku to Mike Fodor i János Gunther jako pierwsi przeprowadzili wywiady z krewnymi Hitlera i ujawnili względną biedę, w której dorastał Adolf. Ta niedyskrecja spotkała się z oburzeniem NSDAP, a obaj reporterzy trafili na czarną listę Gestapo. W 1938 roku Fodor tylko cudem zdołał uciec przed Niemcami, co koniec końców doprowadziło po Anschlussie do opuszczenia przez niego Austrii. Kolejno szukał schronienia w Czechosłowacji, Belgii i we Francji, zanim w 1940 roku znalazł azyl na czas wojny na terenie USA.

Siostra Mike'a Fodora, Erzsébet, była żoną mężczyzny o nazwisku Andor de Pünkösti, udekorowanego orderami żołnierza elitarniej jednostki, którego przeciwnikiem po I wojnie światowej stał się Béla Kun i jego reżim. Gdy do władzy doszedł admirał Horthy, de Pünkösti został jego zagorzałym zwolennikiem, lecz gdy Horthy ugiął się przed węgierskimi faszystami – czyli strzałokrzyżowcami – im także się przeciwstawił. Denis Fodor, syn Mike'a i dziennikarz „Time'a”, przekazał, że gdy tajna policja stanęła w progu domu Andora i Erzsébet, Andor zastrzelił intruzów, po czym popełnił samobójstwo – poprzysiągł bowiem, że nigdy nie odda się w ręce faszystów.

Erzsébet zmarła na zawał w 1953 roku. Komuniści zajęli wszystkie pokoje w jej domu oprócz jej sypialni i sypialni jej służącej.

Jack MacCormac był chyba najbardziej pomijanym korespondentem „złotej ery dziennikarstwa”, na co sam zapracował. Był Kanadyjczykiem, urodził się i wychował w Ottawie jako drugie w kolejności dziecko, aczkolwiek jego starsza siostra wcześniej zmarła. Mając dwadzieścia trzy lata, został najmłodszym reporterem akredytowanym przy kanadyjskim parlamencie, a w 1916 roku jako dwudziestoczterolatek zaczął służyć w stopniu oficerskim w Eighth Canadian Siege Battery. Podczas walk we Francji zdobył Krzyż Wojskowy za „dzielność w czasie aktywnych operacji prowadzonych przeciwko wrogowi”.

(Mówi się, że pracujący w parlamentarnej bibliotece ojciec Jacka ocalił jej zbiory, gdy 3 lutego 1916 roku wybuchł pożar w czytelni Izby Gmin. Dzięki błyskawicznej reakcji i zamknięciu stalowych drzwi ocalała bezcenna zawartość



tego przybytku, choć resztę parlamentu strawił ogień. Zarazem Conny MacCormac zasłużył sobie na miejsce w kanadyjskich podręcznikach historii).

W 1929 roku Jack i Molly mieszkali pod numerem ósmym Rosenbursenstrasse w Wiedniu, gdzie zlokalizowana była również placówka „New York Timesa”. Dla nakreślenia tła można dodać, że Zygmunt Freud mieszkał podówczas parę kilometrów od tego miejsca.

Jack został odwołany z Wiednia w 1933 roku, po czym udał się najpierw do Londynu, a następnie do Waszyngtonu, ostatecznie zaś w 1944 roku jako członek korpusu prasowego wraz z amerykańską Dziewiątą Armią kroczył w stronę Niemiec. Kolejnego roku wrócił do Wiednia, który znów spustoszyła wojna.

Nieco ponad dekadę później wydano go z Budapesztu w czasie powstania węgierskiego 1956 roku, choć doszło do tego dopiero po dwóch tygodniach jego przebywania na terenie amerykańskiego poselstwa w stolicy Węgier. W listopadzie tego samego roku tak napisał do kolegi dziennikarza nazwiskiem Simon Bourgin: „Do końca życia będzie mnie ścisnąć w gardle, ilekroć pomyślę o tym [o węgierskiej rewolucji]. Przez połowę czasu miałem łzy w oczach. Nie sądzę, aby jakikolwiek reporter przede mną relacjonował temat, który tak go porusza. Strasznie było być świadkiem ich klęski i mieć świadomość, że jest się częścią Zachodu, który ich zawiódł”. Kati Marton pisze o czasie spędzonym przez Jacka MacCormaca w Budapeszcie czasu rewolucji w swojej książce *Enemies of the People*.

MacCormac był tak poważany w środowisku, że jego kolega C.L. Sulzberger, u którego rodziny pozostawał „The New York Times”, obok zamieszczonego na łamach nekrologu złożył mu hołd, wychwalając go jako „jednego z najuprzejmiejszych, najprzypoitszych, najwaleczniejszych i najuczciwszych dziennikarzy na świecie”. Sulzberger przytoczył też przykład męstwa MacCormaca: „Zaledwie kilka lat wstecz [...] brał udział w gejowskim wiedeńskim balu maskowym i gdy pewien nieco nazbyt entuzjastyczny i lekko podpity łobuz zaatakował jego przyjaciela, rozprawił się z typem nie bez wdzięku i skuteczności, po czym pozował (w dobrym świetle, z łagodnym uśmiechem

i mając na sobie wyszukany kostium) z jedną stopą na szyi rzuconej na ziemię ofiary”.

Paul Lendvai, długoletni i wpływowy dziennikarz na austriackiej scenie, był protegowanym MacCormaca. Nie kto inny jak Jack bowiem zatrudnił go po ucieczce przed radzieckimi represjami 1956 roku. Oto, co Lendvai miał do powiedzenia o swoim mentorze: był to „zamknięty w sobie, cichy dżentelmen. Niezwykle dystyngowany i zawsze służący pomocą. Dla mnie stanowi symbol tego wszystkiego, co najlepsze w dziennikarstwie”.

## **O DIANE FAZEKAS**

Jej wyrok zmniejszono do pięciu lat pozbawienia wolności. Po krótkim czasie spędzonym w więzieniu trafiła do ośrodka resocjalizacji, gdzie doczekała końca kary. Tamara i Ken się pobrali. W późniejszym czasie Tamara widziała Diane tylko raz, przypadkiem, na lodowisku. Było to dziesięć lat od zapadnięcia wyroku.

---

\* Strzałokrzyżowcy, in. Nilaszowcy (Nyilaskeresztes Párt–Hungarista Mozgalom, Partia Strzałokrzyżowców–Ruch Hungarystyczny) – partia faszystowska na Węgrzech, przy władzy od października 1944 roku do marca 1945 roku; podczas jej rządów zamordowano nawet 15 tysięcy cywilów.

## WYBRANA BIBLIOGRAFIA

Wymieniam tu tylko główne źródła, które były pomocne w uporządkowaniu ciągu zdarzeń, oraz monografie, dzięki którym zrozumiałam, jak wyglądało życie na wsi w regionie Tiszazug.

Poniższa bibliografia w żadnym razie nie jest pełną listą pozycji, z których korzystałam, nie mówiąc o przeprowadzonych rozmowach. Stworzyłam ją z myślą o tych osobach, które zapragną dowiedzieć się czegoś więcej na temat „trucicielek z Nagyréva” i okoliczności towarzyszących tamtej sprawie.

Bodó Béla, *Tiszazug: A Social History of a Murder Epidemic*, wyd. I, East European Monographs, 2002.

Durning Dan, *Vienna's Café Louvre in the 1920s and 1930s: Meeting Place for Foreign Correspondents*, wersja 1.0, [www.academia.edu](http://www.academia.edu), 2012.

Fél Edit, Tamás Hofer, *Proper Peasants: Traditional Life in a Hungarian Village*, Subscriber, „Viking Fund Publications in Anthropology” 1969, No. 46.

Węgierskie Archiwa Państwowe, archiwa hrabstwa Jász–Nagykun–Szolnok, wszystkie materiały dotyczące sprawy „trucicielek z Nagyréva”: HU-MNL-JNSZML-VII.1.a.-1929.-13, et al.

„Kis Hírlap”, wybrane artykuły z rocznika 1929.

„Kis Újság”, wybrane artykuły z roczników 1929 i 1930.

Węgierska Telegraficzna Agencja Prasowa, *Texts of Reports Made About the Trials of the Tiszazug Arsenic Women*, 1930.

„New York Times”, wybrane artykuły z roczników 1929, 1930 i 1931.

„Pesti Napló”, wybrane artykuły z rocznika 1929.

„Szolnok Újság”, wybrane artykuły z roczników 1929, 1930 i 1931.

## PODZIĘKOWANIA

Wkrótce po złożeniu propozycji wydawniczej na tę książkę – moją pierwszą – dowiedziałam się, że mój ojciec jest umierający. Właściwie był w stanie agonalnym. Nadal przytomny i świadomy, miał serce wydolne tylko w pięciu procentach. Pozostały mu godziny życia. Połączyłam się z nim przez Skype'a (przebywał wtedy w szpitalu w Jacksonville na Florydzie) ze swojego domu w Austrii, aby się z nim pożegnać. W pewnym momencie rozmowy powiedziałam:

– Chcę, abyś wiedział, że dedykuję tę książkę tobie.

– Och – odparł. Był wyraźnie poruszony. Odchylił się na poduszkę, by przetrwać tę informację. Leżał tak przez chwilę, po czym znów powoli podniósł głowę. – Jedną chwileczkę – rzucił. Najwyraźniej zastanowił się głębiej nad tym, co oznacza mój gest. – Czy to przypadkiem nie jest książka o tych kobietach, które zamordowały tylu mężczyzn?

Usłyszałam, że pielęgniarki i lekarze obecni w jego pokoju wybuchają śmiechem. Mój ojciec był bardzo z siebie zadowolony.

Zapewniłam, że decyzja należy do niego, ale dodałam, że być może będzie to jedyna książka, jaką napiszę w życiu.

– Chcesz być w tej dedykacji czy nie? – zapytałam.

– Chcę – powiedział. Uśmiechał się przy tym.

Nie miałam wtedy pojęcia, ile potrwa jej napisanie. Ani że będę pisać ją w trzech krajach i dwóch różnych stanach USA, gdzieś po drodze podnajmując salkę w kościele. Im bardziej też czas się wydłużał, tym więcej osób mi pomagało. Największy dług wdzięczności zaciągnęłam u mojego agenta. Joe Veltre z Gersh Agency nieustannie mnie wspierał i kibicował mojej książce. Moi redaktorzy, Mauro DiPreta oraz Andrew Yackira, nie tylko wykazali się talentem, ale też

służyli mi zachętą, gdy jej potrzebowałam. Szczególne podziękowanie składam American Society of Journalists and Authors za stypendium, które mnie uratowało.

Sama nie wiem, jak mam dziękować mojemu wyjątkowemu asystentowi, niezrównanemu historykowi o jakże adekwatnym nazwisku. Attila Tokai od razu zrozumiał, do czego dążę. Jeśli ktokolwiek chciałby spędzić miesiące w rozgrzanym, dusznym, słabo oświetlonym archiwum, ślęcząc nad liczącymi sto lat odręcznie pisanymi dokumentami, powinien to zrobić w jego towarzystwie. Attila, dziękuję ci z całego serca.

Głębokie podziękowania dla mojej siostry Jude – za to, że trzymała mnie wirtualnie za rękę, że odbyła wiele, naprawdę wiele altruistycznych podróży i co najważniejsze, że pilnowała, abym tańczyła na piasku. Dziękuję też za doping reszcie rodzeństwa, a są to: Steve, John, Sarah i Joellyn. Podziękowania jestem również winna mojemu „prawie” dziadzi, Worthowi Kiddowi, pierwszemu prawdziwemu pisarzowi, jakiego poznałam, i człowiekowi, który nadal pojawia się w moich snach. Dziękuję swojej mamie – za Rosamund i Candy.

Podziękowania niechaj przyjmie również mój najpierwszy czytelnik Jon Dathen – za swą romską duszę i to, że zwabił mnie z powrotem, kiedy znalazłam się na krawędzi. Dziękuję wszystkim moim pierwszym czytelnikom. Poza Jonem byli to: Andie Warren, Carolyn McSparren, Janine Latus.

Jon Krasnoff i Wendi Sugarman, dziękuję wam za waszą miłość. Eric i Robin Turnerowie, to wam zawdzięczam Martha's Vineyard. Lisa Stillman i Jessie Songco, dzięki za auto Pinkie i za waszą dobroć. Lizy Schule, zaskarbiłaś sobie moją wdzięczność za empatię okazaną, gdy potrzebowałam jej najbardziej.

Serdeczne podziękowania dla wszystkich z Węgierskich Archiwów Państwowych w Szolnoku za cierpliwość, z jaką całymi miesiącami tolerowali obecność moją i Attili, oraz za wszelką udzieloną pomoc. Zostanę waszą dłużniczką na zawsze. Szczególnie dziękuję osobom i instytucjom, które wymieniam poniżej. Są to: dr Benedek Vargha i László Magyar z Biblioteki Historii Medycyny przy Uniwersytecie Semmelweisa; Muzeum Geograficzne w Tiszazugu; sąd hrabstwa Szolnok; prokurator Árpád Vargha; pracownicy

więzienia w Szolnoku, dzięki którym obejrzałam ten przybytek dokładnie; psychiatr kryminalny dr Max Friedrich z Uniwersytetu Wiedeńskiego; Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich za pomoc w zlokalizowaniu kluczowych archiwów; Ildikó Terenyei i Mária Szurmai, moje tłumaczki; rodzina Kronbergów; Paul Lendvai; Mollie MacCormac i Denis Fodor, którzy otworzyli mi oczy na to, kim był naprawdę Jack MacCormac; Tamara Chapman i Mike Overdulse, którzy pomagali mi na różne sposoby. Dziękuję też wszystkim mieszkańcom Szolnoku i Nagyréva, których pomoc była nieoceniona.

*Vielen Dank*, Haraldzie Lebanie (mój były sąsiad z Austrii odbył ze mną pierwszą podróż do Nagyréva) i Milojko Gindl (Milojka po prostu zawsze była sobą). Dzięki, Remi (mój ukochany przyjaciel, który w tym życiu objawił się pod postacią psa). I na koniec dziękuję tobie, Eduardo, za to, że jesteś czarodziejem.

TYTUŁ ORYGINAŁU:

*The Angel Makers.*

*Arsenic, a Midwife, and Modern History's Most Astonishing Murder Ring*

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik  
Wydawczyni: Agata Garbowska-Karolczuk  
Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania  
Korekta: Martyna Tondera-Łepkowska  
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski  
Zdjęcie na okładce: © Turaev / Stock.Adobe.com

Copyright © 2023 by Patricia Nell McCracken Published by arrangement with HarperCollins Publishers. All rights reserved.

Copyright © 2023 for the Polish edition by Mova an imprint of Wydawnictwo Kobięce Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Urszula Gardner, 2023 Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2023

ISBN 978-83-8321-191-6

Grupa Wydawnictwo Kobięce | [www.WydawnictwoKobięce.pl](http://www.WydawnictwoKobięce.pl)



Plik opracował i przygotował Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)